

„Przerażająca, infekująca i piękna opowieść.
Szkoda, że mogłaby być prawdziwa. Na szczęście
dowodzi, że każdy może zostać bohaterem.
Nie bój się walczyć o siebie!”

Katarzyna Bonda

GDY OGIEŃ GAŚNIE

Will Hill

ZIELONA
SOWA

GDY
OGIEŃ 
GAŚNIE

Will Hill

przełożył
Mateusz Rulski-Bożek

ZIELONA
SOWA

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wstęp

Potem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Przedtem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Potem

Od autora

Tematy do dyskusji po lekturze książki

O autorze

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: AFTER THE FIRE
Redaktor prowadzący: NATALIA GALUCHOWSKA
Redakcja: ANNA WŁODARKIEWICZ
Korekta: JOLANTA SPODAR
DTP: Poldrex

Copyright © Will Hill, 2017
blonde girl with red berries © Lena Okuneva / Trevillion Images
Cover background © Sherrry / Thinkstock
Vulture 1 © S_Lew / Thinkstock; Vulture 2 © David De Lossy / Thinkstock
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-8073-800-3

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Ma kłamca długi ozór,
A złodziej nocą łupi,
Hej, łotry, dajcie pozór,
Wnet Bóg was ukatrupi.*

Piosenka ludowa



Pędzę przez dziedziniec. Oczy mi łzawią, serce tłucze w piersi. Huk wystrzałów ogłusza, kule świszczą wokół, a ich cichy skowyt brzmi jak przyśpieszone brzęczenie owadów, ale nie zwalniam, nie zmieniam kierunku. Kaplica płonie, jej dach obejmują ryczące płomienie, z których unosi się wielki pióropusz czarnego dymu, a wzmocniony megafonem głos Rządu dudni wszędzie wokół, bez końca powtarzając te same żądania:

– Rzućcie broń i wyjdźcie powoli z rękami nad głową!

Nikt go nie słucha. Ani Rządowi, ani – tym bardziej – żadne z moich Braci i Sióstr.

W oddali, blisko Bramy Frontowej, terkoceczołg. Miażdży wiotki drucziany płot, żłobiąc pustynię gąsienicami. Gdzieś spoza ryku silników i bezustannego grzechotu wystrzałów dochodzą mnie słabe okrzyki bólu i błagania o pomoc, ale udaję, że ich nie słyszę. Wbijam wzrok w drewniane kwatery na zachodnim skraju Bazy i pędzę naprzód.

Potykam się o coś.

Stopy płaczą mi się i padam jak długa na spękany asfalt dziedzińca. Uderzając o ziemię, czuję, jak wściekły ból przeszywa moje ramię, ale zaciskam zęby, wstaję i oglądam się, by zobaczyć, o co się potknęłam.

Alice leży na plecach. Trzyma się za brzuch.

Bluzkę ma przesiąkniętą czerwienią. Trudno uwierzyć, że tak wielka kałuża krwi wypłynęła z jednego człowieka. Ale Alice żyje. Znajduje mnie półprzytomnym wzrokiem i patrzy z wyrazem, którego nie umiem opisać. W jej bolesnym spojrzeniu jest szok, strach i coś na kształt zdziwienia, jakby nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło.

Patrzę jej w oczy. Chcę z nią zostać, powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że wydobrzeje, ale nic nie jest w porządku. Nie znam się na ranach postrzałowych, ale wątpię, czy Alice się wyliże.

Jestem prawie pewna, że umrze.

Wpatruję się w nią, tracąc cenne sekundy, ale mój umysł resztkami przytomności wrzeszczy: RUSZAJ!, więc zrywam się i pędzę do zachodnich kwater. Oczy Alice rozszerzają się, gdy się odwracam, ale nie ma w nich złości. Chyba rozumie, co muszę zrobić.

Przynajmniej tak sobie mówię.

Z wirującego dymu wyłania się postać. Hamuję, ślizgając się, i podnoszę ręce do góry. Ale to nie jest jeden z Rządowych w czarnym hełmie i goglach. Oczy Amosa są przekrwione i spuchnięte, jedno ramię zwisa bezwładnie, a w zdrowej, rozedrganej ręce widzę pistolet.

– Gdzie Ojciec John? – pyta ochrypłym, rwanym głosem. – Widziałas go?

Potrzęsam głową, próbując go obejść, ale chwytą mnie za ramię i przyciąga.

– Gdzie on jest? Gdzie Prorok? – chrypi.

– Nie wiem! – odpowiadam, krzycząc, bo czołg jest już na dziedzińcu, strzelanina sięga zenitu, a ogień skacze z budynku na budynek. Już go nie wyprzedzę.

Odpycham Amosa z całej siły. Zatacza się do tyłu. Wyciąga pistolet w moją stronę, ale ja już pędzę dalej. Słyszę strzały za plecami, ale żaden nie sięgnie celu, nim zapadnę się w dym.

Trudno tu oddychać. Zasłaniam usta i nos dłonią, ale dym jest gęsty, gryzący. Przeciska się między palcami, wywołując kaszel. Biegnę, lawirując i skacząc nad ciemnymi kształtami leżących wokół Braci i Sióstr. Niektórzy poruszają się, wlekąc ciała po ziemi lub wiją się w konwulsjach, jakby w ataku padaczki, ale tylko niektórzy.

Większość się nie rusza.

Wyrastają przede mną zachodnie kwatery. Ich ściany i płaskie dachy spowija gryzący dym. Strzelanina za plecami nie ustaje. Przy takim roju kul w powietrzu nieuniknione wydaje się kwestią czasu. Ale jeśli tylko zdołam otworzyć kwatery, to nic innego mnie nie obchodzi.

Naprawdę nic.

Wytaczam się z gęstego dymu i pędząc ku najbliższej chacie, nerwowo wyciągam z kieszeni uniwersalny klucz. Chwytam kłódkę na drzwiach. Słyszę skwierczenie i przez ułamek sekundy nie rozumiem, co się stało, aż moje ciało eksploduje bólem. Odrywam rękę od kłódki – zostaje na niej większość skóry z wnętrza dłoni. Padając na kolana, przyciskam oparzoną dłoń do brzucha, a z ust wyrywa mi się nieludzki wrzask.

Nie zniosę tego!

Boli!

Jakby ktoś wcisnął mi dłoń do słoja z kwasem i trzymał tam siłą. Mózg stara się ogarnąć tę gehennę. Przy niej wszystko inne schodzi na dalszy plan: smród dymu, żar ognia i huk wystrzałów. Szarość wciska się we mnie ze wszech stron, jak gdyby ktoś pokrętem zmniejszał czułość moich zmysłów. Wtedy coś popycha mnie od tyłu, powalając na ziemię, i wszystko gwałtownie wraca.

Nade mną stoi jeden z Rządowych. Jego twarz kryje maska. Celuje we mnie bronią, między oczy. – Pokaż ręce! – słyszę głos mężczyzny. – Chcę je zobaczyć!

Podnoszę je nad głowę, trzęsą się.

– Proszę – skrzeczę sucho – tam są dzieci. W kwaterach.

– Stul pysk! – wrzeszczy. – Ani słowa!

– Proszę – powtarzam. – W środku. Musisz im pomóc.

Rządowy spogląda na budynki. Mam zawroty głowy, a mój żołądek kurczy się gwałtownie. Rozdzierający ból dłoni zaraz pozbawi mnie przytomności, ale nie pozwalam sobie zamknąć oczu. Zmuszam skołowany mózg, by skupił się na majaczącej nade mną ciemnej postaci.

– Kłódkę – szepczę, podając mu klucz. – Błagam...

Opadam z sił. Rządowy patrzy na kwatery. Potem na mnie. I znów na kwatery.

– Szlag! – rzuca, po czym wyrywa klucz z mojej ręki i obraca się ku drzwiom. Patrzę, jak chwyta kłódkę dłonią w rękawiczce, wsuwa klucz i przez jedną potworną chwilę uderza mnie myśl, że to wszystko okaże się

stratą czasu, że klucz uniwersalny nie pasuje do tych kłódek. I wtedy zamek się obraca, a kłódka ustępuje. Rządowy otwiera drzwi na oścież, a z wnętrza, kaszłąc, wytacza się tłum moich Braci i Sióstr. Z ich przekrwionych oczu leją się łzy.

– *Do Bramy Frontowej* – charczę resztką sił. – Idźcie razem, z rękami w górze...

W grupce dostrzegam Honey i coś ściska mnie w piersi tak mocno, że na chwilę zapominam o bólu dłoni. Honey ma przekrwione oczy, spuchnięte powieki i bladą skórę, ale na jej ustach i zaciętej twarzy rysuje się determinacja, którą tak dobrze znam. No i oddycha! To najważniejsze.

Bałam się, że nie będzie oddychać.

Pomaga wyjść z kwatery ostatnim szlochającym, spanikowanym dzieciakom i prowadzi je na południe, ku Bramie Frontowej. Rządowy pędzi do następnych drzwi, wzywając wsparcie przez radio, a we mnie coś odpuszcza. Ulga jest tak potężna, że mogę jej niemal dotknąć. Włacza nowe życie w moje wyczerpane mięśnie, więc dźwigam się i siadam.

Dzieciaki idą przez dziedziniec z rękami w górze. Nagle z dymu wypadają Rządowi, chwytają moich Braciszków i Siostrzyczki i wynoszą ich przez dziury ziejące w płocie. Dzieci płaczą i wołają rodziców. Serce mi pęka, ale mówię sobie, że przecież żyją, ocalały, i tylko to jest ważne. Tylko to się liczy, gdy płonie świat.

Dobiega mnie wrzask. Jest tak potężny i przenikliwy, że przebija się przez strzelaninę i piekielny huk pożaru. Obracam głowę tam, skąd dochodzi. Przy płonących ruinach Kaplicy dwaj Rządowi schwytali Luke'a. Niosą go nad ziemią za ramiona i nogi. Miota się w ich uścisku, wyje i wrzeszczy, żeby go zostawili, żeby pozwolili mu Wniebowstąpić wraz z innymi.

Jego wrzask, żarliwy, pełen furii, desperacji i dzikiej paniki jest ostatnią rzeczą, którą słyszę. Potem zapada ciemność.

POTEM

...ODPŁYWAM...

...czuję się tak, jakby moją dłoń spowijał ogień. Otwieram oczy. Wszystko wokół jest białe, słychać pikanie, nade mną majaczy kształt bez twarzy. Próbuję krzyczeć, ale nic się nie dzieje. Tak bardzo się boję, że nie mogę myśleć. Potem oczy uciekają mi z orbit i...

...przygląda mi się mężczyzna. Jego twarz to same oczy nad białą maską. Pokazuje wielką igłę. Gapię się na nią tylko, nie mając odwagi drgnąć, a gdy wbija ją w moje ramię, nic nie czuję, bo potworny ból dłoni blokuje inne bodźce. Lekarze. Wiem, co to za jedni. Będąc dzieckiem, widziałam ich w telewizji, gdy jeszcze mogliśmy ją oglądać, ale nigdy dotąd na własne oczy. Prorok grzmi w mojej głowie, że lekarze to agenci RZĄDU, a każdy z nich jest sługą węża, jego głos odbija się w mojej czaszce, trzęsie mózgiem, aż kurczy mi się żołądek. Z przerażenia nie mogę oddychać, gdy lekarz przykleja mi plasterm do skóry wbitą w rękę igłę i podłącza do niej rurkę biegnącą od woreczka z mlecznobiałym płynem. Coś mówi, ale nie rozumiem. Płyn zaczyna pełznąć rurką w dół, do mojego ramienia, a ja nie mogę się poruszyć. Udaje mi się złożyć myśl ponad wyjąłym między uszami głosem Ojca Johna – myśl o tym, co się ze mną stanie, gdy biały płyn znajdzie się we mnie i czy wciąż będę sobą, gdy znów się obudzę...

...lampy nade mną oślepiają, ból znacznie zelżał, a plastikowy worek na końcu rurki jest pusty. Mogę unieść głowę na tyle, by dostrzec wielką

rękawicę bandaży owijających moją lewą dłoń. Lekarz staje czasem przy moim łóżku i przygląda mi się. Czasami słyszę odległe, podniesione głosy, a innym razem płaczę i nie mogę się uspokoić. Na przemian pocę się i marznę, i wszystko jest źle. Chcę wracać do domu, bo nawet tam byłoby mi lepiej niż tutaj.

Mężczyzna w kapeluszu i mundurze pyta mnie o imię, ale Ojciec John grzmi w mojej głowie, więc nie odpowiadam. Znowu pyta, ja znów nie odpowiadam, więc przewraca oczami i odchodzi...

...kobieta w mundurze każe komuś podnieść mnie na łóżku, czyjeś palce sięgają pode mnie, naciskają na skórę, ciągną po łóżku i podpierają plecy poduszką. Kobieta w mundurze mówi: „Od razu lepiej”, a ja prawie wybucham śmiechem, bo nic nie jest lepiej, ani trochę lepiej. „Czy wiesz, kto wzniecił pożar?” – pyta, a ja kręcę głową. „Kto rozdał broń?”. Kręcę głową. „Czy widziałś Johna Parsona po rozpoczęciu strzelaniny?”. Kręcę głową. „Co zaszło w głównym budynku? Co tam robiłaś?”. Kręcę głową. Patrzy na mnie przeciągle, a gdy znów się odzywa, jej głos jest zimny. „Dziewczyno, zginęli ludzie. Wielu ludzi. Zaczynaj odpowiadać”. Pochyla się nade mną. Nie wiem, co zamierza, więc odwracam głowę. Przy jej pasku dostrzegam złotą odznakę z napisem Biuro Szeryfa Hrabstwa Layton. Serce mi zamiera i słyszę swój własny wrzask. Kobieta w mundurze odskakuje i wytrzeszcza oczy, zdziwiona. Słyszę kroki. Ktoś biegnie. Moje serce rusza, a ja rzucam się na łóżku i wrzeszczę wniebogłosy. Czyjeś dłonie obezwładniają moje ręce i nogi, lekarz opuszcza ku mnie kolejną igłę i...

...z ciemności wypływa mrowie twarzy moich Braci i Sióstr. Włosy ludzi, których znam od zawsze, stoją w płomieniach, skóra spływa im z czaszek, a ich krzyk niesie bezustannie te same dwa słowa: „TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA”. Odwracam się od nich i próbuję uciekać, ale ziemia pod moimi stopami zmienia się w ruchome piaski. Tonę po kostki, a wtedy koniuszki czyichś

palców omiatają moje ramiona i kark. Jestem przerażona, ale nie krzyczę, bo nie jestem w stanie otworzyć ust. Mogę tylko brodzić w atramentowej czerni, wlekąc się naprzód w poszukiwaniu drogi powrotnej...

...przy łóżku stoi mężczyzna w ciemnym garniturze. Pocę się, a moja dłoń naprawdę boli, jakby żądlił ją rój owadów. Umieram ze zmęczenia. Moje ciało wydaje się zrobione z betonu i ołowiu, a powieki są najcięższą rzeczą na świecie. Mężczyzna mówi, że mnie przenoszą, chcę spytać dokąd, ale Ojciec John grzmi w mojej głowie: „Nigdy, pod żadnym pozorem, nie rozmawiaj z Obcymi”, więc wydaję z siebie tylko rzeżący szept. Mężczyzna mówi, że nie wie. Zbieram resztkę sił i pytam, kto ocalał z pożaru. Krzywi się i odchodzi...

...pędzel, który trzymam w ręce, ocieka chabrowoniebieską farbą. Wiem, że śnię, ale wszystko mi jedno, bo i tak nie chcę się obudzić. Stoję przed drewnianą ścianą i ją maluję. Słyszę odległy szum fal u podnóża klifów. Czuję dym unoszący się z komina i wiem, że gdy spojrzę w dół, zobaczę pod stopami zieloną trawę. Ale nie patrzę w dół. Maluję deskę, którą mam przed sobą, a potem następną. I następną...

...inny mężczyzna w takim samym ciemnym garniturze odczytuje listę imion z kartki. Słucham. Honey, Rainbow, Lucy i Jeremiah. Płaczę. Co za ulga! Mężczyzna uśmiecha się do mnie – to pierwszy uśmiech, jaki widzę, odkąd leżę w tym łóżku – i wraca do czytania, ale wkrótce kończy, więc ulga ustępuje smutkowi, a łzy nie przestają płynąć, bo lista jest bardzo, bardzo krótka...

...sufit przesuwają się nade mną, gdy dwóch lekarzy przetacza łóżko korytarzem do pustej metalowej skrzyni, która trzęsie się, grzechoce i przyprawia mnie o nudności. Próbuje sięgnąć ścian, ale jeden z lekarzy siłą przyciska mi ręce do łóżka i moją lewą dłoń przeszywa ból przeraźliwy jak skowyt. Krzyczę, więc lekarz rzuca: „Przepraszam”, ale oczy ma zimne, a usta ukryte pod maską. Słyszę „biiip”, czuję wstrząs i do

skrzyni wpływa fala chłodnego powietrza. Znów mnie wiozą, widzę wąski skrawek nieba – tak niebieski jak ściana z mojego snu – a potem podnoszą mnie i wtaczają do kolejnej skrzyni z metalu, ale w tej pełno jest półek, skrzynek, buteleczek i urządzeń, których nie rozpoznaję. Z bliska, spode mnie, dochodzi charkot uruchamianego silnika. Brzmi trochę tak jak czerwony pick-up, którym jeździł Amos, ale ten jest znacznie głośniejszy i wściekły...

...kobieta o dobrej twarzy, w białym uniformie, pomaga mi wstać z łóżka, w którym leżę, odkąd się ocknęłam, i delikatnie opuszcza mnie na inne, w białym kwadratowym pokoju z jednym oknem osadzonym wysoko na ścianie. Każę nacisnąć pomarańczowy przycisk przy drzwiach, jeśli czegoś będzie mi trzeba. Mam ściśnięte gardło. Proszę, żeby nie wychodziła, na co ona przytula mnie, więc znów płaczę, a głos w tyle głowy wścieka się potężnie, bo od dzieciństwa tyle nie płakałam, ale nie umiem przestać. „Ćśśś, ćśś” – mówi kobieta o dobrej twarzy, głaszcząc moje włosy. „Już dobrze, wszystko się ułoży”, po czym łagodnie oswabadza się z mojego uścisku i uśmiecha. Wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Kładąc się na łóżku, słyszę ciężki szcęk metalowego zamka...

...odpływam...

POTEM

SIEDZĘ NA CIEMNOCZERWONEJ SOFIE. Nie mogę powstrzymać drżenia nóg, ręka naprawdę boli, a ja próbuję odsunąć od siebie strach, ale i tak się boję, bo nie wiem, co ze mną będzie.

Nie wiem nawet, gdzie jestem.

Ten pokój jest większy od mojego pokoju w Bazie, ale i tak dość mały. Ma jasnoszare ściany, ciemnoszarą wykładzinę na podłodze, ciemnoczerwoną sofę i szeroki stół z dwoma krzesłami wsuniętymi pod blat po przeciwnej stronie, przodem do mnie. Wszystko jest gładkie i czyste, na stole widzę jakąś maszynkę, a znad drzwi obserwuje mnie kamera. Kobieta o dobrej twarzy w białym uniformie, siostra Harrow, przyprowadziła mnie tu przed pięcioma minutami. Gdy popchnęła drzwi, dostrzegłam na nich napis: „Pokój Rozmów Indywidualnych NR 1”.

Zanim wyszła, spytała, czy czegoś potrzebuję. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Słyszę szcęk zamka i wstrzymuję oddech. Drzwi otwierają się i wchodzi jakiś mężczyzna. Jest niski, ma gęstą brodę, rzednące włosy i głębokie zmarszczki po obu stronach przyjaznych oczu. Nosi białą koszulę, krawat i skórzaną torbę na ramieniu. Odsuwa jedno z krzesel, siada, wyciąga z torby stos notatników i przyborów do pisania i starannie układa je przed sobą na stole. Kiedy osiąga pożądaną efekt, wciska przycisk w maszynce, czeka, aż zaświeci się zielona lampka, i uśmiecha się do mnie.

– Dzień dobry – mówi.

Nie odpowiadam.

Pamiętam, że wcześniej, gdy leżałam półprzytomna w łóżku, pytałam o coś mężczyznę w garniturze. Ale teraz myślę jaśniej, a niektóre sprawy tak głęboko wplotły się w tkaninę mojej tożsamości, że nie pamiętam czasu, kiedy ich tam nie było. Trudno mi obejść je rozumem, nawet teraz, gdy stało się to, co się stało.

„Nie rozmawiaj z Obcymi. Przenigdy!”

– Nazywam się doktor Robert Hernandez – kontynuuje. – Jestem Dyrektorem Oddziału Psychiatrii Szpitala Dziecięcego w Austin. Wiesz, kto to jest psychiatra dziecięcy?

Milczę.

– To specjalista od dobrego samopoczucia u dzieci. Zwłaszcza tych, które przeżyły traumę. Słucham ich i próbuję pomóc.

Głos Ojca Johna w mojej głowie wrzeszczy, że Obcy pragną tylko mojej krzywdy. Chcą mnie torturować i zabić.

– Rozumiem, że ta sytuacja budzi w tobie lęk – mówi doktor Hernandez. – Przeszłaś piekło i wiem, że strasznie cię boli. Ale, niezależnie od tego, co ci mówiono, nie jestem twoim wrogiem i przyrzekam, że nie chcę twojej krzywdy. Chcę pomóc. Ale żeby to było możliwe, musiałabyś mi zaufać. Na początku tylko troszeczkę. Myślisz, że możesz?

Wgapiam się w niego. Jego wyczekujący wzrok dowodzi, że nie ma pojęcia, o co mnie prosi.

– Zaczynajmy od czegoś prostego – ciągnie. – Powiesz mi, jak masz na imię?

Nie odpowiadam. Wpatruję się w jego oczy.

– Okej. Nie ma sprawy. Zrobimy inaczej, dobrze? Zadam pytanie, a ty kiwniesz albo pokręcisz głową. Nie musisz nic mówić.

Ani drgnę. Staram się nawet nie mrugać.

Jego uśmiech odrobinę blednie.

– Nie? – pyta. – Nie chcesz spróbować?

Mrugam, ale wyłącznie dlatego, że zaczynają boleć mnie oczy.

Doktor kiwa głową i bazgrze coś w jednym z notesów. Widzę, jak skrobie długopisem po kartce. Chcę wiedzieć, co o mnie pisze, ale przecież nie mogę go o to zapytać.

– Ok – mówi, odkładając długopis. – Nie chcę na ciebie naciskać, to naprawdę ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo przerasta cię ta cała sytuacja. Najlepiej, żebyś teraz wróciła do swojego pokoju, a jutro spróbujemy jeszcze raz. Nie musisz ze mną rozmawiać, zapewniam cię, że ani ja, ani nikt inny nie będzie cię do tego zmuszać. Ale gdybym nie wierzył, że rozmowa ci pomoże, toby mnie tu nie było.

Opieram się pokusie, by przytaknąć, bo Ojciec John wrzeszczy we mnie, że jestem Heretyczką i zawsze miał mnie za Fałszywą.

Doktor Hernandez znów kiwa głową, uśmiecha się szeroko i zaczyna chować notesy i przybory do skórzanej torby.

– No, dobrze – mówi. – Odpocznij. Zobaczymy się jutro.

SIOSTRA HARROW odprowadza mnie do pokoju. Milczę, idąc szarymi korytarzami, ale ona i tak obdarza mnie uśmiechem, nim zamknie drzwi i obróci klucz w zamku.

Rozglądam się po pokoju, który – jak sędzę – będzie teraz moim domem. Nie jest ani wielki, ani mały, w Bazie było wiele mniejszych, tylko ten ma umywalkę, toaletę i biurko z krzesłem.

Ale drzwi rygluje się od zewnątrz, tak samo jak tam.

Gdy siostra Harrow przyprowadziła mnie tutaj poprzedniego wieczoru, znalazłam na biurku stos ubrań, a obok niego grubą ryzę papieru, ołówki, długopisy i kredki. Spodnie, bielizna, skarpetki, T-shirty, bluzy i sportowe buty są szare. Większość wciąż spowija plastik, wszystkie opatrzone są metkami z ceną. Część z tych rzeczy mam na sobie.

Chyba nigdy wcześniej nie nosiłam całkiem nowych ubrań.

Nad drzwiami wisi świecący, cyfrowy zegar. Pokazuje 10:17. Siostra

Harrow powiedziała, że codziennie o dziewiątej będzie przynosić śniadanie, a o 12:30 obiad, ale nie wiem, co mam robić między posiłkami.

Kładę się na łóżku i przez jakiś czas gapię się na sufit, potem wstaję i chodzę tam i z powrotem, aż nogi zaczynają mnie boleć, a dłoń – płonąć pod bandażami, więc siadam przy biurku.

Po Czystce zakazano w Bazie wszystkich ksiązek poza Biblią. Nie było też prawie wcale papieru ani ołówków, ale ja miałam gładki szkicownik, który Ojciec Patrick podarował mi, gdy byłam mała. Centurioni musieli wiedzieć o jego istnieniu, bo go nie chowałam, a jednak mi go nie zabrali. Wielokrotnie zapełniałam wszystkie strony rysunkami, aż papier w całości pokrył się rowkami po ścieranym w nieskończoność ołówku.

Biorę kartkę z ryzy i przesuwam palcami po powierzchni. Jest gładka, bo nigdy jej nie używano. Jest całkiem nowa.

Nie ma historii.

Wpatruję się w białą ścianę przede mną, aż opuszczają mnie wszelkie myśli. Wtedy biorę ołówek z plastikowego słoja i zaczynam rysować.

Od dawna to, co pojawia się na kartce, wydaje się poza moją kontrolą. Mogę chcieć narysować psa, statek kosmiczny albo bezludną wyspę, ale zawsze w końcu pojawia się to samo. Ołówek w moich palcach ożywa, jak gdyby znał moje prawdziwe intencje lepiej niż ja sama. Wiem mniej więcej, co robią psychiatrzy. Dowiedziałam się tego z telewizji i ksiązek, kiedy jeszcze nie były zakazane, ale nie przyznałam się do tego doktorowi Hernandezowi, gdy o to spytał. Powiedziałby zapewne, że moje rysunki są projekcją podświadomości i prawdopodobnie miałyby rację, ale i tak nigdy mu ich nie pokażę, więc to bez znaczenia.

Szkicuję pierwsze linie i – prawie natychmiast – znany mi obrazek zaczyna płynąć z głowy na papier. Zamieniam ołówek na kolorowe kredki i oddaję się monotonii powtarzalnych ruchów. Ręka działa automatycznie, a poplątane strzępy wspomnień płyną przez głowę...

...rysuję tatę, choć wiem, że tak naprawdę to nie on, a tylko jakaś jego wersja, którą mój mózg ożywił ze starej fotografii. Uśmiecha się do mnie. Ciekawe, czy naprawdę taki był, kiedy się uśmiechał. Ludzie, którzy się

poruszają, wyglądają inaczej niż ci zastygli w ramkach...

...ogień bucha z okien Kaplicy i pędzi po pustyni jak dzikie zwierzę w pogoni za ofiarą, trzaskając z drapieżną rozkoszą...

...wyraz twarzy Honey, gdy sprzeciwiła się Ojcu Johnowi, rzucając mu Herezję prosto w twarz...

...moja mama, gdy widziałam ją po raz ostatni. Siedzi na skrzyni czerwonego pick-upa i wpatruje się we mnie, ściskając worek z całym swoim dobytkiem...

...Nate pochyla się nade mną w ciemności. Ma szeroko otwarte oczy, głos pełen obawy i ręce pełne zakazanych przedmiotów...

...zaryglowane drzwi w piwnicy Wielkiego Domu...

...Ojciec John, gdy jego przepowiednie wreszcie się spełniły, a Słudzy Węża stoją u naszych bram. We wspomnieniu jego twarzy szukam pewności, stanowiącej fundament Legionu, która długo przekonywała moich Braci i Siostry – a mnie samą najdłużej – że Pan nas ochroni i ześle chwalebne zwycięstwo, ale niczego nie znajduję...

...wnętrzości Alice wypływają...

...toczący się ku mnie czołg...

...tak wiele krwi...

...oto cały mój świat, na chwilę zanim się skończył...

Mam ciarki na plecach, a potem już cała drzę. Spoglądam w dół, na papier, i widzę rysunek. Zawsze ten sam.

Większość kartki wypełnia woda – blady błękit upstrzony bielą. Nie wiem, co to – jezioro, ocean, rzeka czy jeszcze coś innego, bo największym zbiornikiem, jaki widziałam, była fontanna na rynku w Layfield. A więc nie wiem, co to za woda, ale nie rysuję jej z pamięci.

Poszarpane brązowe klify wznoszą się nad falami ku płaskowyżowi pokrytemu bujną, zieloną trawą, tak odmienną od spieczonego, pomarańczowego pyłu pustyni. Z dala od krawędzi urwiska stoi domek o bladobłękitnych ścianach, białym dachu z kominem i z delikatną smużką szarego dymu płynącą spiralnie w niebo w kolorze niemal identycznym

jak woda.

Obok domku stoją dwie małe postacie. Składają się z ledwie kilku kresek, a jednak dobrze wiem, kim są.

Jedną jestem ja.

Druga to moja mama.

POTEM

BUDZĘ SIĘ W POŚCIELI MOKREJ OD POTU, w moim gardle rośnie wrzask.

Złe sny. Ogień, Luke i Ojciec John.

Patrzę na zegar nad drzwiami.

8:57.

Odkąd pamiętam, nie spałam tak długo. Być może tylko w czasie choroby. Za trzy minuty przyjdzie siostra Harrow z moim śniadaniem, jeśli wczoraj mówiła prawdę.

„Łgarstwo! – Wielki, tubalny głos Ojca Johna grzmi echem w mojej głowie. – To Obca, a Obcy łą! Zawsze!”.

Dostaję gęziej skórki na rękach. Mimo wszystkiego, co zaszło, potęga w głosie Proroka wciąż mnie przeraża, a jej płomienny autorytet nie znosi sprzeciwu. Zaciskam powieki i skupiam się z całych sił na wodzie, klifach i błękitnym domku, a głos powoli słabnie, choć wiem, że nigdy na dobre mnie nie opuści.

Otwieram oczy i siadam na krawędzi łóżka. Ręka boli bardziej niż dotąd. Horizon mówił, że ból jest oznaką zmiany na lepsze. Oby miał rację, bo czuję, jakby ktoś przypalał mi dłoń żywym ogniem, a gdy próbuję ją podrapać przez grube zwoje bandaży, mam wrażenie, że świat się zaraz skończy.

Nie wiem, o której wczoraj zasnęłam. Gdy skończyłam rysować, płakałam, aż siostra Harrow przyniosła talerz parówek z babką ziemniaczaną. Siostra miała serdeczny wyraz twarzy, więc gdy wyszła, znów się popłakałam. Łzy spływały mi po policzkach nad obiadem.

Nie wiem, o której to było, ale gdy już zjadłam, położyłam się

i zamknęłam oczy. Z moich obliczeń wychodzi, że spałam z przerwami jakieś osiemnaście godzin, ale nie czuję się wypoczęta. Jestem sterana i zużyta jak pokurczona i rozciągnięta do niemożliwości skóra, która i tak nie okryje już całego ciała.

Czuję się pusta.

W zamku słyszę klucz, ale drzwi otwierają się dopiero po pukaniu. Wydaje się to nieco bezcelowe, bo z pewnością i tak zignorowano by moje „nie wchodzić”, doceniam jednak tę uprzejmość.

Wchodzi siostra Harrow. Niesie kolejną tacę, a na niej talerz parującej jajecznicy z bekonem i smażonymi ziemniakami, miseczkę owoców i plastikowy dzbanek soku pomarańczowego. W mojej głowie – natychmiast, błyskawicznie – pojawia się myśl: „Nie mogę tego tknąć!”. Bo mimo że owoce podano oddzielnie, to są częścią tego samego posiłku co ziemniaki, a owoce i warzywa w jednym posiłku są absolutnie zakazane. Prawa Legionu, które przekazał nam Ojciec John wprost z ust Pana, wryły się w mój mózg jak blizny po skalpeli.

Burczy mi w brzuchu. Prawie skręcam się z głodu. Wyciskam z siebie słaby uśmiech, gdy siostra Harrow kładzie tacę na biurku. Zerka na obrazek, który narysowałam wczoraj po spotkaniu z doktorem Hernandezem, a moje serce przyśpiesza, bo nie chcę, żeby mu się przyglądała. Czuję się obnażona.

– Świetny – mówi z coraz szerszym uśmiechem. – Gdzie jest ten dom?

– Nie ruszać – wyrzucam z siebie. To moje pierwsze słowa, odkąd mnie tu sprowadzono, wypowiedziane głosem przypominającym rechot. W mojej głowie Ojciec John mówi, że „jestem głupia, bezużyteczna i słaba”. – Proszę.

Siostra Harrow kiwa głową i odsuwa się od biurka.

– Nie dotknę go. Bez obaw. Wrócę za dwadzieścia minut, żeby zmienić opatrunek, a potem pójdziesz do doktora Hernandeza. Dobrze?

Potakuję. Uśmiecha się ponownie, znika za drzwiami i zamyka je za sobą na klucz. Czekam, aż na pewno odejdzie, po czym chwytam rysunek,

składam na pół i przyciskam mocno do piersi, rozglądając się po pokoju za miejscem, gdzie mogłabym go ukryć.

Nie ma takiego miejsca.

No, oczywiście. W pokojach z ciężkimi drzwiami zamykanymi od zewnątrz i oknami, których nie sposób sięgnąć, nie ma skrytek. Przypominam sobie luźną deskę w podłodze mojego pokoju w Bazie i ciemną przestrzeń pod nią, ale tutaj podłoga zrobiona jest z gładkich plastikowych płytek, a ściany są nagie i płaskie.

Najłatwiej byłoby zniszczyć rysunek. W końcu domek na klifie nad wodą mogę sobie znów narysować. Ale nie chcę tego robić. Po prostu nie. To jedyna rzecz w tym pokoju, która jest naprawdę moja.

Nie niszczę go. Rozpinam poszewkę, chowam złożony rysunek do środka i kładę tak, żeby oczywisty prostokąt kartki znalazł się między poduszką a materacem. To najgorsza skrytka, jaką widziałam, ale – choć nie wydaje mi się, żeby w pokoju były kamery, a w każdym razie ich nie dostrzegam – gdyby siostra Harrow albo ktokolwiek inny zechciał szukać rysunku, to zajmie mu to dobre pięć sekund.

Lepszej skrytki tu nie ma.

– Chciałbym coś zaproponować – mówi doktor Hernandez. – Mogę?

Znów jestem na sofie w Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Na biurku, za którym siedzi psychiatra, znajdują się jego pedantycznie ułożone notesy i przybory do pisania oraz maszynka z lampką świecącą na zielono. Gdy tylko wszedł do pokoju, spytał, jak się dziś mam. Nie odpowiedziałam, choć rzeczywiście czuję się nieco lepiej, przynajmniej fizycznie, bo siostra Harrow zmieniła mi opatrunek i posmarowała spaloną skórę wnętrza dłoni tłustym białym kremem.

Na to pytanie też nie odpowiadam.

– Rozumiem, że mam twoją zgodę – mówi. – Proponuję wymianę. Spytaj mnie o coś, a ja ci odpowiem. Potem ja zapytam, a ty odpowiesz. Co ty na to?

W mojej głowie Ojciec John ostrzega, żebym nie dała się nabrać na tę oczywistą sztuczkę, żebym nie była głupia, łatwowierna i Fałszywa. Staram się, jak mogę, zignorować ten głos, ale to naprawdę trudne, bo dudni, warczy i charczy, i przez wiele lat był jedynym głosem, który się liczył, wyłącznym źródłem prawdy w świecie pełnym łgarstw. A jednak próbuję, bo chociaż obawiam się rozmowy z doktorem Hernandezem – i w ogóle z kimkolwiek – i nie chcę odpowiadać na żadne pytania, to dwóch rzeczy muszę się dowiedzieć. Bez tego dłużej nie wytrzymam.

„Odwagi” – szepce głos z tyłu głowy, ale ten nie należy do Ojca Johna. Brzmi jak mój własny, choć mówi rzeczy, których ja nie śmiałabym wypowiedzieć.

– Okej – odpowiadam. Doktor uśmiecha się. Ciekawe, czy zaczął myśleć, że już nigdy się nie odezwę. – Ale ja pytam pierwsza.

– Oczywiście. Pytaj. O co tylko chcesz.

Biorę głęboki wdech.

– Gdzie jest moja matka?

Kąciki uśmiechniętych ust opadają nieco. Widzę litość w jego oczach i jestem wściekła, że się nade mną użala, ale nie mogę mu tego powiedzieć, bo wyraz jego twarzy wydaje mi się zwiastunem odpowiedzi tak okropnej, że moja klatka piersiowa kurczy się z przerażenia, wiążąc oddech.

– Przykro mi. Nie mam żadnych informacji o twojej mamie.

Skurcz zeber ustępuje. Spodziewałam się, że odpowie albo, ściślej mówiąc, uniknie odpowiedzi właśnie w ten sposób, ale i tak jego słowa mnie ranią.

„Mogło być gorzej – szepce głos w mojej głowie. – Mógł powiedzieć, że umarła”.

Fakt. To byłoby gorsze. Ale nie wiem, o ile gorsze, bo ta niewiedza jest okropna, mimo upływu lat.

– Przykro mi – powtarza.

– Nie ma jej tutaj? – Mój głos wciąż przypomina niski, wąły rechot.

– Nie. Nie ma.

– Żyje?

– Nie wiem.

Wpatruję się w niego.

– Jak to: nie wie pan?

– Po prostu: nie wiem – mówi. – Gdybym mógł, udzieliłbym ci odpowiedzi, na której ci zależy, albo skłamał, żebyś lepiej się poczuła, ale jestem głęboko przekonany, że w tym procesie szczerść jest najważniejsza. Z czasem, gdy będziesz gotowa, będziesz mogła porozmawiać z innymi ludźmi. Wielu z nich na to czeka. Może wiedzą na ten temat więcej niż ja.

„To nie żaden temat, tylko moja mama, dupku!”

Przekleństwo powoduje, że się rumienię, choć słyszałam je tylko ja. Doktor marszczy brwi.

– Co się stało?

– Kiedy?

– Co: kiedy?

– Kiedy ci inni ludzie będą mogli ze mną rozmawiać?

– W stosownym czasie – odpowiada.

– Czyli kiedy?

– Kiedy będziesz gotowa.

– A kto o tym zadecyduje?

– Ja. W porozumieniu z kolegami. Nie podam ci dokładnego planu działań, na to jeszcze za wcześnie, ale jedno mogę ci obiecać. Po naszej sesji poproszę ludzi z innych służb pracujących nad sprawą o informacje na temat twojej mamy i przekażę ci, czego się dowiedziałem. W porządku?

Wzruszam ramionami. On chce, żebym powiedziała „tak”, ale nie zamierzam.

Doktor Hernandez przygląda mi się dłuższą chwilę, po czym pisze coś

w jednym z notesów. Ma ich cztery, każdy innej wielkości, i trzy podkładki z luźnymi kartkami. Nie wiem, po co mu ten cały kram.

– Dobrze. – Mówiąc to, odkłada długopis i uśmiecha się do mnie. – Teraz kolej na moje pytanie. Jeśli nie masz nic przeciwko.

„W porządku” – szepcze głos w tyle mojej głowy.

Znów wzruszam ramionami.

– Okej. Świetnie. Jak masz na imię?

– Moonbeam – odpowiadam.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Pięknie!

Milczę.

– Masz jakieś inne?

– Inne co?

– Imiona.

– A muszę?

– Większość ludzi ma co najmniej dwa.

– Niektórzy z moich Braci i Sióstr mają ich sześć albo siedem. Ja mam tylko jedno.

– W porządku – mówi. – Też dobrze.

Wpatruję się w niego. Najwyraźniej chce, żebym coś powiedziała, ale nie mam pojęcia co.

– Mówisz, że masz tylko jedno imię. Wierzę ci.

„Nie wierzysz. To oczywiste. Chociaż nie wiem, skąd pomysł, że miałabym kłamać na temat własnego imienia”.

– Okej – mówię.

– A John Parson? Jak cię nazywał?

– Ojciec John mówił na mnie Moonbeam.

– A czy...

Kręcę głową.

– Nie chcę o nim mówić.

– Nie ma sprawy – rzuca. Unosi otwarte dłonie w geście oznaczającym „tylko spokojnie”, za który najchętniej przywalilibym jego łbem o biurko.

– Rozumiem. Dopóki nie będziesz gotowa, nie musimy rozmawiać ani o nim, ani na żaden inny temat, który sprawia ci dyskomfort.

Potwierdzam najoszczędniejszym kiwnięciem głowy. Chyba mu ulżyło.

– Świetnie – mówi. – Twoja kolej.

– Co zrobiliście z moim listem? – pytam.

Marszczy brwi.

– Z czym?

– Miałam w kieszeni list – odpowiadam. – Był tam w czasie pożaru. Gdzie on jest?

– Obawiam się, że nie wiem. Był ważny?

„Najważniejszy na świecie”.

Wpatruję się w jego twarz w nadziei, że dostrzegę w niej dowód, że kłamie. Zawsze byłam dobra w „rozgryzaniu” ludzi, zwłaszcza po tym, co przytrafiło się mamie, ale w twarzy doktora Hernandeza widzę tylko troskę, więc potrząsam głową.

– To bez znaczenia.

Potakuje, choć wcale nie wydaje się przekonany.

– Okej. Zapytaj o coś innego. To pytanie się nie liczy.

– Nie mam więcej pytań.

– Żadnych?

„Na te, które miałam, nie odpowiedziałeś”.

– Żadnych.

– No to opowiem ci o tym, co tu robimy, dobrze? Może wtedy pojawią się pytania i poczujesz się swobodniej w nowym otoczeniu.

Szczerze wątpię, ale wzruszam ramionami.

– Okej.

– Świetnie. – Zaczynam dostrzegać, że często to powtarza. – Budynek,

w którym się znajdujemy, to Miejski Ośrodek Zdrowia im. George'a W. Busha w Odessie, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od twojego poprzedniego domu. Wiesz, kim jest George W. Bush?

Kręcę głową.

– Byłem prezydentem Stanów Zjednoczonych – wyjaśnia doktor Hernandez. – Wiesz, co to znaczy?

– Był szefem Rządu.

– Zgadza się. Pełnił urząd przez osiem lat, a gdy go opuścił, nazwano jego imieniem nasz budynek. Ta część ośrodka, w której się znajdujemy, to Oddział Chroniony. Tu otaczamy pacjentów opieką. To bezpieczne miejsce. Wiesz, gdzie byłaś, zanim trafiłaś do nas?

– W szpitalu.

– Brawo. W szpitalu Mercy Memorial, dziesięć kilometrów na zachód stąd. Spędziłaś tam cztery dni.

Dostaję zawrotów głowy. Wydaje mi się, że leżałam tam miesiącami.

„Cztery dni? Naprawdę tylko tyle? Czy to możliwe?”

– Wiem, że w szpitalu ktoś z tobą rozmawiał – ciągnie doktor Hernandez. – Zadawano ci pytania, kiedy nie byłaś w stanie na nie odpowiedzieć. Bardzo mi przykro, że do tego doszło. To nie powinno było się zdarzyć. Odtąd nikt nie będzie zadawał ci żadnych pytań, chyba że w mojej obecności i tylko za twoją zgodą. Obiecuję.

Kiwam głową. Po raz już, chyba, setny. Ale wciąż czuję, że to nie dość, że on oczekuje wyraźniejszej odpowiedzi, choć nie wiem jakiej. Mogłabym wydusić z siebie uśmiech, ale chyba nie byłby zbyt przekonujący.

– Nie jesteś więźniem. To ważne, żebyś nie myślała o sobie jak o więźniu. To prawda, że drzwi zamykane są od zewnątrz, a personel mówi ci, co masz robić i dokąd pójść. I jest zupełnie normalne, że w tych okolicznościach czujesz się sfrustrowana. Ale, uwierz mi, wszystko to robimy dla twojego dobra i bezpieczeństwa, bo one są najważniejsze. Nie jesteś w żadnych tarapatach.

Mało co nie parskam śmiechem.

„Nie masz pojęcia, w jak wielkich jestem tarapatach. Najmniejszego”.

– A więc mogę stąd odejść? – pytam.

– O, widzisz! – Uśmiech wraca mu na twarz. – A jednak miałaś inne pytanie.

Świdruję go wzrokiem.

– Odpowiedź brzmi: tak – mówi, gdy orientuje się, że nie zamierzam odpowiedzieć na to, co chyba miało być żartem. – Jestem tutaj wyłącznie po to, żeby pomóc ci jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

– Ale czy mogę odejść od razu?

Marszczy brwi.

– Cóż. Tak od razu to nie.

– Więc jednak jestem więźniem?

Zastanawia się przez sekundę lub dwie.

– Tu bardziej chodzi o to, jak widzisz swoją sytuację – odpowiada w końcu. – Patrz na nią jak na proces, przez który oboje przejdziemy. Żeby się powiódł, konieczne są pewne... ograniczenia przestrzenne. Potrzebne jest miejsce, w którym będziesz czuć się bezpiecznie. Tu będziemy mogli wrócić do tego, co przeżyłaś, i podjąć pozytywne działania, związane z tymi wydarzeniami. Gdy ten proces dobiegnie końca, a ja zyskam pewność, że jesteś bezpieczna, gotowa i masz się dobrze, wtedy będziesz mogła odejść.

Nie wierzę, nawet przez sekundę. Ale nie ma sensu mówić tego na głos.

– A kiedy to będzie?

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

– Okej.

– Świetnie. – Doktor Hernandez otwiera jeden z notesów. – A więc, Moonbeam, ile masz lat?

„W porządku, może być”.

– Siedemnaście.

– Kiedy masz urodziny?

– W listopadzie skończę osiemnaście lat. Dwudziestego pierwszego.

– Poślę ci kartkę z życzeniami.

Kolejny dowcip. Znow wbijam w niego oczy.

Opuszcza wzrok i notuje. Czekam. W końcu jego spojrzenie spotyka się z moim.

– Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać podczas tej sesji? Dowolny temat.

– Nie.

– Na pewno?

– Nie jestem kłamczuchą – kłamię.

– No pewnie, że nie – odpowiada i znow wykonuje rękami gest „tylko spokojnie”. Tym razem mam chęć połamać mu nadgarstki, bo sędzę, że, zważając na okoliczności, jestem nieziemsko spokojna. – W takim razie może mi coś opowiesz? Wszystko jedno co. Nie musi to być coś ważnego, coś o twoim życiu.

– Na przykład?

– To zależy od ciebie. Cokolwiek przyjdzie ci na myśl.

Zastanawiam się nad tym. Wiem, o czym chce usłyszeć. O tym samym, o co wypytywała w szpitalu kobieta w mundurze. Ale nic nie opowiem. Ani jemu, ani nikomu innemu, teraz ani nigdy, bo – jeśli w ogóle mam na to wpływ – nie chcę spędzić reszty życia za kratami.

Ale głupia też nie jestem. Może on tak sądzi, ale się myli.

Wiem, że nigdy mnie stąd nie wypuści, chyba że coś mu opowiem.

„Patrz na to jak na proces” – szepcze głos z tyłu głowy.

Biorę głęboki wdech i zaczynam opowiadać.

PRZEDTEM

NAD GRUNTOWĄ DROGĄ biegnącą od Bramy Frontowej wznosi się tuman pyłu. Jest za mały, żeby wzbil go nadjeżdżający samochód, ale i tak wszyscy czterej Centurioni ruszają tam z karabinami w rękę. Nieczęsto mamy gości, a większość z tych, którzy się pojawiają, nie jest mile widziana.

Płot na całej długości znaczą tablice z napisem „TEREN PRYWATNY”, ale to nie zawsze odstrasza intruzów. Przez kilka kolejnych lat mieliśmy jesienią problem z pierwszorocznymi z uczelni w Midland i Odessie, którym studenckie bractwa nakazywały ukraść coś z naszej Bazy i przynieść z powrotem. Chyba żadnemu z nich się nie powiodło, bo Centurioni zwykle przeganiali roześmianych i wrzeszczących studentów na pustynię, jeszcze zanim tamci znaleźli się przy płocie. Ale co najmniej dwóch pijanych, półnagich nastolatków musieliśmy odcinać ze zwojów kolczastego drutu wieńczących szczyt płotu. Owijaliśmy ich w koce, zapłakanych, krwawiących i białych jak ściana od przeżytego szoku, a Amos wioził ich do Layfield na pace czerwonego pick-upa, żeby ich ktoś opatrzył. W końcu przestali się pojawiać. Może znudziła im się ta sama, coroczna szopka. Nie wiem.

Ale tego gościa chyba nie musimy się obawiać, bo jest jasny dzień, a on wzbija tuman pyłu, idąc środkiem drogi. Studenci zwykle zakradali się od pustyni, z zachodu, od zakrętu szosy. Horizon twierdzi, że tam parkowali samochody. Nie dziwi mnie, że na te eskapady porywali się wyłącznie nocą.

Idę do płotu w rosnącej grupie moich Braci i Sióstr: są tu Iris, Alice, Luke, Martin, Agavé i jeszcze sześcioro innych. Zbliżając się do bramy,

czuję w brzuchu lekkie podniecenie. Centurioni ustawili się już tam w szeregu, przed którym staje Horizon. Czuję podniecenie nie dlatego, że spodziewam się kłopotów, ale ponieważ w tym, jak dotąd zupełnie zwyczajnym, dniu może wydarzyć się coś niezwykłego.

Centurioni odryglowali drzwi mojej sypialni zaraz po świcie. Na śniadanie w Sali Legionisty zjadłam to co zwykle: dwie połówki grejpfruta, dwa jajka na twardo – jaja to nie warzywa, więc nie zламаłam żadnych praw – i miseczkę musli z rodzynkami. Potem przez kilka godzin pracowałam w warzywnikach za Wielkim Domem i właśnie miałam odnieść narzędzia do szopy, gdy Iris zauważyła chmurę pyłu i zawołała najbliższego Centuriona.

Wciskam się między szerokie barki Beara i Horizona i wbijam wzrok w metalowe pręty Bramy Frontowej, gdy nagle czuję, że robi mi się gorąco, jakbym za długo przebywała na słońcu.

Gruntową drogą idzie mężczyzna. Pustynny wiatr zwiewa jego długie włosy na twarz, a T-shirt wygląda jak namalowany na mięśniach rysujących się tak wyraźnie, że mogłabym je policzyć, nawet z tej odległości. Obcy ma spłowiałe dzinsy, zakurzone wysokie buty i torbę podróżną na ramieniu, a jego uśmiech sprawia, że kolana mi miękną, tak że nie wiem, czy się nie przewrócę.

– O, rany. – Oddech Alice jest przyśpieszony. – Panie, nie wódz mnie na pokuszenie.

Jestem zaskoczona, jak bardzo złości mnie ten komentarz. Alice ma dwadzieścia lat – pięć lat więcej niż ja – i dwie córki. Jakaś dziecinna część mnie, o której istnieniu jeszcze przed pięcioma minutami nie wiedziałam, chce krzyknąć: „JA PIERWSZA GO ZOBACZYŁAM!”, ale oczywiście nie krzyczę, bo to by było żałosne. Zamiast tego gapię się z łomotem serca na mężczyznę, który zatrzymuje się w bezpiecznej odległości od uzbrojonych w karabiny Centurionów i podnosi ręce w pokojowym geście.

– Bez obaw – mówi nieśpiesznie. – Przybywam w pokoju.

Jego głęboki głos sprawia, że pragnę natychmiast otworzyć bramę,

popędzić drogą i rzucić mu się na szyję, mimo że jest Obcy, być może niebezpieczny i wygląda na dużo starszego ode mnie, a Trzecia Proklamacja mówi jasno, że w ogóle nie powinnam myśleć o tych sprawach.

– Sami to ocenimy. – Głos Horizonta jest zdecydowany, ale nie całkiem nieprzyjazny. – Co cię sprowadza?

– Pytania – mówi nieznajomy. – Podobno u was można znaleźć odpowiedzi.

– Może tak, a może nie – rzuca Horizon. – Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Nate – pada odpowiedź. – Nate Childress.

– Skąd jesteś, Nacie Childress?

– Z Lubbock – odpowiada mężczyzna.

„Nate. Ma na imię Nate”.

Ruchem głowy wskazuje na drogę, którą przyszedł.

– To znaczy stamtąd pochodzę, ale teraz mieszkam w Abilene.

– Kto ci powiedział, że znajdziesz tu odpowiedzi? – pyta Horizon.

– Kelnerka z baru w Layfield – mówi Nate. – Ma na imię Bethany. Rozmawialiśmy trochę i poradziła mi, żebym sam się przekonał.

„Dziękuję, Bethany! Bardzo dziękuję!”

– Mało prawdopodobne – oponuje Horizon. – Nie zadajemy się z miastowymi.

– Wspomniała o tym. Mówi, że dawniej, w dzieciństwie, rozmawiała z dziećmi od was i żałuje, że nie przychodzą już do miasta.

Horizon kiwa głową, a trzech pozostałych Centurioni stoją w ciszy, pozwalając mu mówić w ich imieniu.

– W porządku – odzywa się wreszcie. – Skoro szukasz odpowiedzi, to jest tu ktoś, z kim powinieneś porozmawiać. Ale ostrzegam, póki rozmawiamy jak przyjaciele, że jeżeli masz fałszywe serce, on to odkryje. Nie okłamiesz go ani nie nabierzesz, więc, jeśli taki masz zamiar, możesz

równie dobrze zawrócić i wrócić, skąd przyszedłeś.

– Dzięki za ostrzeżenie, ale jednak spróbuję.

– Jak chcesz. – Mówiąc to, Horizon otwiera kłódkę na Bramie Frontowej. – Witaj w Świętym Kościele Legionu Pana. Jeśli odnalazłeś Ścieżkę Prawdy, to oby twój pobyt był długi i owocny. Ale nie ja o tym decyduję.

Cofamy się wszyscy, gdy Horizon otwiera bramę. Nate wchodzi powoli, pozdrawiając skinieniem każdego z moich Braci i Sióstr. Gdy przychodzi kolej na mnie, uśmiecha się, a ja czuję, że skóra na policzkach czerwienieje mi i płonie jak powierzchnia słońca. Chcę zabłysnąć jakąś bystrą, dowcipną i niezwykłą uwagą, ale w głowie mam zupełną pustkę, więc tylko gapię się na niego, gdy mnie mija.

– Odprowadzę cię do Kaplicy – mówi Horizon i oddaje kłódkę Bearowi, by ten ponownie zamknął bramę. – Tam poczekaś na Ojca Johna.

– Prowadź. – Nate kiwa głową.

Horizon zarzuca karabin na ramię i odchodzi z Nate'em w stronę najwyższego budynku w centrum Bazy. Wszyscy podążamy za nimi aż do asfaltu dziedzińca, gdzie Amos odłącza się od nas i zmierza w stronę Wielkiego Domu, oglądając się przez ramię. Horizon prowadzi Nate'a po schodach do Kaplicy i zamyka wrota. Nasza grupa zostaje na zewnątrz.

– No, ładnie – mówi Alice, a jej oczy przepełnia taka żądza, że prawie się cofam. – Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Jeśli Prorok go wygoni, odchodzę razem z nim.

– Bacz na słowa, Alice – karci ją Jacob.

– Dlaczego Ojciec John miałby go wyganiać? – pytam, ignorując Jacoba.

– A po co miałby tu zostać? – pyta Luke. – Nie odwiedzają nas zbłąkane niewiniątka. Będzie mącił.

– Ucisz się, Luke – przerywa Alice. – Bzdury wygadujesz.

Luke wzrusza ramionami.

– Zobaczymy.

– Właśnie – ucina Alice. – Zobaczymy.

Na werandzie Wielkiego Domu na północnym skraju dziedzińca pojawia się Ojciec John i rusza w naszą stronę w towarzystwie Amosa, idącego o krok za nim. Gdy schodzi po schodach, tłum milknie. Jego długie, ciemne włosy powiewają nad ramionami. Ma szary T-shirt, przykurzone niebieskie dzinsy i poważną, surową twarz, a jednak, zmierzając do Kaplicy, znajduje chwilę, by kiwnąć głową w naszą stronę, po czym znika we wnętrzu. Amos przyłącza się do nas z pochmurną twarzą, na której czas zostawił swój ślad.

– Co powiedział Prorok? – pyta Luke.

– Ojciec John nie tłumaczy się takim jak ja – odpowiada Amos. – Porozmawia z nowym, potem naradzi się z Panem i oznajmi, co postanowili.

– Powinniśmy go przyjąć – słychać głos Alice.

– Aha – mruczy Amos. – Nawet wiem, która część twojego ciała chce go przyjąć.

Oczy Alice zwięzają się.

– Nie mów do mnie w ten sposób. Nie ma takiej potrzeby.

Amos wzrusza ramionami i odwraca się do niej plecami. Stoimy bez ruchu, milcząc, w oczekiwaniu na decyzję Ojca Johna w sprawie Nate'a Childressa. Mijają minuty, słońce praży nad głowami, a moi Bracia, Siostry i ja wytężamy uszy, próbując złowić jakieś słowo z wnętrza Kaplicy.

W końcu, a wydaje się, że minęły godziny, wysokie drewniane wrota otwierają się i wychodzi Ojciec John. Z jego obojętnej twarzy nie sposób nic wyczytać. W ślad za nim po schodach na dziedzińcu schodzą Horizon i Nate. Prorok zatrzymuje się i zwraca ku tłumowi. Oni robią tak samo.

– Posłano między nas człowieka. – Pełen niewymuszonej pewności głos Ojca Johna wznosi się, grzmiąc basem na lekkim wietrze. – Przekonamy się, czy ma potencjał, by zostać Wiernym Bratem Legionu Pana, czy może

powinniśmy wygnać go jako Sługę Węża. Przekonamy się, ale nikt z tu zgromadzonych nie pozna prawdy sam z siebie. Dlatego pozwolimy nieznanemu spędzić noc w naszych murach, a każdy z nas wzniesie modły w jego intencji. Nie wątpię, że do rana Pan obwieści nam swój zamiar. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarzają wszyscy, ja również.

Ojciec John daje znak Nate'owi, po czym zwraca się do Horizonta.

– Dajcie mu koc i posiłek. W Budynku Dwunastym jest wolne łóżko.

– Tak, Ojczy – odpowiada Horizon.

Prorok kiwa głową i milcząc, oddala się do Wielkiego Domu. Nate przesuwa wzrokiem po zgromadzonych z uśmiechem, który – przynajmniej według mnie – jest bardziej niż tylko trochę niepewny.

– Słyszeliście Ojca Johna – mówi Horizon. – Kto zaprowadzi tego mężczyznę do...

– Ja! – wyrywam się. – Zaprowadzę go do Dwunastki.

Horizon uśmiecha się i potwierdza skinieniem. Nate unosi brew w moją stronę, a wzrok Alice wypala mi dziurę w karku.

– W porządku – podsumowuje Horizon. – Moonbeam pokaże ci, gdzie możesz zostawić swoje rzeczy. Długi budynek na wschód od Kaplicy to Sala Legionisty. Za trzydzieści minut przyjdź tam na wspólny obiad.

W rozchodzącym się nieśpiesznie tłumie słychać ciche, podniecone rozmowy. Nic dziwnego. Nie licząc narodzin w Bazie, ostatni nowy członek przystał do Legionu ponad dwa lata temu. Nate zarzuca torbę na ramię i podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

– Moonbeam. Ładne imię.

„O, Panie, daj mi umrzeć! Pozwól teraz wstąpić do nieba, bo to najwspanialsza chwila mojego życia i nic lepszego mnie już nie czeka”.

– Dzięki – udaje mi się wydusić i nagle stwierdzam, że mój głos jest śmieszny: wysoki i skrzeczący jak miauknięcie kota. Nie rozumiem, dlaczego nikt wcześniej mi o tym nie powiedział! Jestem bliska decyzji, żeby już nigdy w życiu nie odezwać się do nikogo słowem, kiedy głos

z tyłu głowy każe mi się uspokoić. Słysząc w nim szeroki uśmiech. Biorę głęboki wdech i wskazuję na północ. – Tędy.

– Prowadź – mówi Nate. – Chyba że nie ma tam jacuzzi.

Marszczę brwi.

– To pokój w drewnianym domu. Jest tam łóżko i, być może, jakieś półki.

Wybucham śmiechem, a moje wnętrze płonie jak lawa.

– Zaprzyjaźnimy się – obwieszcza. – Już to czuję.

POTEM

– KIEDY NATE CHILDRESS POJAWIŁ SIĘ w kompleksie Legionu? – pyta doktor Hernandez.

– Nie podoba mi się to słowo. – Krzywię się.

– Kompleks?

Kiwam głową.

– Wybacz. Nie będę go używać.

– Dziękuję.

Zapisuje coś w jednym z notesów.

– A więc, kiedy się pojawił?

– Dwa lata temu.

– Dlaczego opowiedziałś mi właśnie o tym?

– Miałam coś opowiedzieć, to opowiedziałam.

– W porządku. Czy to wspomnienie jest szczęśliwe?

Zastanawiam się. Późniejsze zdarzenia wszystko zepsuły. Moje wspomnienia są ciemne, powykrzywiane i złe, ale próbuję przypomnieć sobie uczucia w dniu, gdy zjawił się Nate. Moje prawdziwe uczucia. I to, jak bardzo ucieszyło mnie, gdy Ojciec John ogłosił, że Nate może zostać.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Szczęśliwe.

– Dlaczego?

– Bo Nate był moim przyjacielem.

Przez długą chwilę siedzimy w milczeniu. Doktor patrzy na mnie z półuśmiechem, a ja nie wiem, czy opowiedziałam mu właśnie taką

historię, jaką chciał usłyszeć, i czy taka wystarczy – przynajmniej na razie. Zjadła tyrada Ojca Johna w mojej głowie nie ustaje, przeklinając mnie za rozmowę z Obcym, a do tego z psychiatrą, ale doktor Hernandez nie spuszcza ze mnie oczu, a jego uśmiech wygląda na szczery, i naprawdę trudno mi go przejrzeć, co zapewne jest mu na rękę, ale mnie frustruje. Nareszcie, a wydaje się, że minęły całe godziny milczenia – niezbyt krępującego, ale jednak trochę niezręcznego – patrzy na zegarek.

– Mamy jeszcze czas, ale chyba w tym miejscu przerwiemy – mówi. – Zgadzasz się?

Staram się nie pokazać wzbierającej we mnie ulgi.

– W porządku.

– Ale, zanim skończymy, mam jeszcze jedno pytanie – mówi. – Powiesz mi, gdzie mieszkałaś w kom..., to znaczy na terenie należącym do Legionu?

– Po co?

– Po ugaszeniu pożaru odzyskaliśmy osobiste przedmioty. Chcemy je zwrócić właścicielom.

Serce łomocze mi w piersi.

– Jakie przedmioty?

– Interesuje cię coś konkretnego?

– Nie – kłamię.

– A więc, gdzie mieszkałaś?

– W Budynku Dziewiątym. Był kwadratowy. Stał w południowo-zachodnim narożniku Bazy. Mój pokój był w jego zachodnim końcu, najbliższej płotu.

Doktor Hernandez kiwa głową i notuje. Gdy podnosi wzrok, znów się uśmiecha.

– Robimy postępy. Cieszę się. To był świetny początek, możesz być dumna ze swojego zaangażowania w dzisiejszą sesję. I z tego, że zadawałaś pytania i udzielałaś odpowiedzi. To będzie bardzo ważny element w dalszych etapach procesu. Jak się z tym czujesz?

– Wcale się nie czuję – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Rozumiem.

Nie wątpię, że tak mu się wydaje, ale to niemożliwe, żeby naprawdę mnie rozumiał.

– Jeśli to będzie możliwe, chciałbym, żeby nasze sesje trwały pełną godzinę, ale dziś już nie zaprzątajmy sobie tym głowy. Odpowiadają ci codzienne spotkania o poranku?

– A mam wybór?

– Oczywiście, że masz – mówi z uśmiechem – ale niezwykle ważny jest stały plan działań i... Coś się stało?

Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu.

– Nie.

– Na pewno? – Lekko przekrzywia głowę.

Potakuję.

– Świetnie. Chcesz o coś spytać, zanim skończymy?

Zastanawiam się sekundę albo dwie i stwierdzam, że tak.

– Czy rozmawia pan też z moimi Braćmi i Siostrami?

– Osobiście pracuję tylko z tobą i dwoma innymi ocalałymi. Z szesnaściorciem pozostałych pracują moi koledzy.

– Z kim?

– Z kim co?

– Z kim pan rozmawia, oprócz mnie?

– Niestety, to informacja poufna. Ale po innej sesji, na którą cię zaproszę, sama łatwo się domyślisz.

Marszczę brwi.

– Jakiej „innej sesji”?

– Co rano, po śniadaniu, będziemy się spotykać w cztery oczy – odpowiada doktor Hernandez. – O dwunastej trzydzieści masz obiad, a po nim zaproszę cię do udziału w nadzorowanej sesji grupowej.

– Co to takiego?

– Rodzaj terapii w grupie, pozwalającej na samodzielne rozwijanie się relacji w kontrolowanych warunkach, w której ja i moi koledzy możemy monitorować interakcje społeczne osób po traumatycznych przejściach.

Wpatruję się w niego. Nie rozumiem wielu słów, których właśnie użył.

– Tą grupą będziemy ja, pan i pana koledzy?

Uśmiecha się i potrząsa głową.

– Niezupełnie.

Dokładnie o dwunastej trzydzieści pojawia się siostra Harrow z moim obiadem. Dziś przyniosła pieczeń z purée ziemniaczanym w morzu jasnoczerwonego sosu, słodkiego jak karmel, ale jestem naprawdę głodna, więc siadam przy biurku i zjadam wszystko, myśląc o doktorze Hernandezie.

Nie ufam mu. Mimo że jakaś zdesperowana, gorliwa część mnie pragnie mu zaufać, po prostu nie mogę. Chyba nie trzeba tego tłumaczyć. I wcale nie dlatego, że jest Obcym, chociaż kiedy o nim myślę, właśnie to słowo wciąż pojawia się w mojej głowie jako pierwsze. Nie mogę mu zaufać, bo póki co nie wiem, czego ode mnie chce.

To znaczy chcę uwierzyć, że nie ma żadnych ukrytych zamiarów. Że pragnie pomóc mi wyzdrowieć, żebym mogła stąd odejść, ale nie mogę pozwolić sobie na zaufanie. Tak wielu z nas zginęło, aż sześćdziesiąt siedem osób, jeżeli lista ocalałych, którą odczytano mi w szpitalu, była prawdziwa, a ja przecież wiem o rzeczach... robiłam rzeczy, o które będą chcieli mnie wypytywać. Doktor Hernandez i ci inni, o których wspomniał. A ja przecież nigdy i nikomu nie będę mogła o tym opowiedzieć.

„Sześćdziesięcioro siedmioro – szepcze głos z tyłu głowy. – Wszyscy martwi”.

Gardło zaciska mi się gwałtownie.

„Ale osiemnaścioro żyje – kontynuuje głos. – Z tobą dziewiętnaścioro.

To już coś”.

Zaciskam powieki, bo w tej chwili nie mogę myśleć ani o tym, ani o niczym, co się z tym tematem wiąże. Z ciemności obok mnie wyłania się twarz doktora Hernandeza. Zaskakuje mnie to, ale jednak koncentruję się na niej, a właściwie na nim, aż ucisk w gardle ustępuje, myśli odzyskują klarowność, a ja znów czuję się mniej więcej w porządku.

W czasie tej sesji w Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 dotarły do mnie dwie zaskakujące rzeczy. Po pierwsze, chcę dzielić się z doktorem Hernandezem moimi doświadczeniami. Po drugie, czuję, że te rozmowy mogą pomóc. Wiem, czym zajmują się psychiatrzy, choć po Czystce Ojciec John stwierdził jednoznacznie, że wszelkie formy leczenia poza modlitwą są narzędziem Sług Węża. Mimo że było to zakazane, mama poruszała ten temat w rzadkich chwilach, kiedy rozmawialiśmy o tacie. Zanim rodzice przenieśli się do Bazy, chodził na cotygodniowe rozmowy z terapeutą. Tak nazywała go mama, ale jestem pewna, że to to samo co psychiatra. Mówiła, że terapeuta pomaga pozbyć się stresu, otworzyć i mówić o rzeczach trudnych i bolesnych.

„Przesłuchują! – wrzeszczy Ojciec John. – Łapią duszę w szpony i rwą na strzępy! Gwałcą! Skazują na piekło!”

Tubalny głos odbija się echem w mojej czaszce, przyprawiając mnie o dreszcze, mimo że nie jest prawdziwy. Bezgłośnie krzyczę, żeby się zamknął, bo chcę wierzyć, że doktor Hernandez nie kłamał, mówiąc, że nie jest wrogiem i nie chce mojej krzywdy. Naprawdę chcę mu uwierzyć. Tylko że nie mogę.

Jeszcze nie teraz.

Kończę jeść i kładę się na łóżku. Przez małe okno, celowo umieszczone tak wysoko, żeby nikt go nie dosięgnął, widzę wąski prostokąt nieba. Wracam myślami do nieba nad Bazą – z codziennym ogromem błękitu tak jasnego, że nie sposób patrzeć nań przez dłuższą chwilę, i conocną czernią nieskończoności migocącą światłem trylioną gwiazd od ziemi po Niebiosą.

W kącikach moich oczu zbierają się łzy i płyną po policzkach. Cichutki

głos z tyłu głowy szepcze, że muszę być silna. Wiem, że ma rację, ale ta wiedza nie wstrzymuje łez, bo to, że będę silna, nie znaczy, że nie wolno mi tęsknić za Braćmi, Siostrami, niebem, słońcem i pustynią. Mogę być silna, a jednocześnie tęsknić, bo nic nie jest tylko złe ani tylko dobre. Wszystko jest zawieszona między dobrem a złem.

Słyszając znajomy odgłos klucza w zamku, siadam na łóżku i patrzę na zegar. Świecące cyfry pokazują 13:55. Drzwi otwierają się i siostra Harrow pyta, czy doktor Hernandez zapraszał mnie na sesję grupową. Potwierdzam skinieniem, a ona mówi, że już czas.

Wstaję i idę za nią długim korytarzem. Mijamy wiele identycznych drzwi, aż w końcu stajemy przed tymi opatrzonymi tabliczką na ścianie z napisem „TERAPIA GRUPOWA”. Siostra Harrow otwiera je i staje obok. Sekundy zdają się wlec w nieskończoność, a ja ani drgnę. Stoję w szarym korytarzu, nasłuchując.

Z wnętrza pokoju dobiegają głosy, ale nie należą do dorosłych. To raczej wysokie, niespokojne głosy dzieci.

Rozpoznaję jeden, potem następny i kolejny, a serce zaczyna walić mi jak szalone, więc rzucam się biegiem, mijam siostrę Harrow – uśmiecha się – drzwi i przez ułamek sekundy widzę buzie moich małych Braciszków i Siostrzyczek, gdy nagle wyrasta przede mną Luke. Chce wiedzieć, co powiedziałam Obcym.

– Nic – kłamię automatycznie. – Nic im nie powiedziałam.

– Oby – cedzi. – Lepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Patrzę na niego. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był aż tak wściekły – poczerwieniał, ma przekrwione oczy i zaciśnięte pięści. Za nim widzę Honey, Lucy, Rainbow i Jeremia. Reszta stoi bliżej ściany w głębi pomieszczenia znacznie większego od pokoju, gdzie spotykam się doktorem Hernandezem. Pełno tu krzesel, stołów i pudeł z grami i zabawkami. Tamci patrzą na mnie cudownie uśmiechnięci, a moje serce wzbiera radością i ulgą, choć głos z tyłu głowy każe mieć się na baczności.

„Ostrożnie, dziewczyno!”

– Nie powiedziałam ani słowa. Odczep się, Luke.

Chwyta mnie za ramię i ściska, aż kostki bieleją mu z wysiłku. Strasznie boli, ale nie zdradzam tego najmniejszym grymasem i wytrzymuję jego spojrzenie.

– Puść ją – żąda Honey. – Nie masz prawa nikogo przesłuchiwać. Nie jesteś tu szefem.

Luke obraca się do niej.

– Zamknij się! – wrzeszczy. – Powinnaś smażyć się w Piekło za to, co zrobiłaś, więc zamknij przeklętą gębę! Nikt nie chce słuchać twoich Herezji!

– Może i masz rację – odparowuje Honey – ale nie jestem w Piekło, tylko tutaj. Po prostu ją puść. Nikt się ciebie nie boi.

– Powinnaś gnić w karczerze, ty mała kurwo – wypluwa z siebie Luke. – Najlepiej, żebyś tam zdechła.

Żołądek podchodzi mi do gardła, ale Honey świdruje Luke'a jasnym wzrokiem, nie czerwieniąc się nawet. Ma tylko czternaście lat, ale jest odważniejsza od nas wszystkich. A na pewno ode mnie.

– Wystarczy, Luke – staram się mówić spokojnie, choć przepełnia mnie obawa. – Niczego im nie powiedziałam. Ochłoń wreszcie.

Przenosi wzrok na mnie i teraz widzę – to tak przerażająco oczywiste – że w jego oczach kłębi się szaleństwo, którego wcześniej nie dostrzegałam, póki nie było za późno.

– Pan poddaje nas próbie. – Jego drżący głos potężnieje. – Słucha każdego naszego słowa. Jest z nami w tym pokoju.

– Wierzę ci – uspokajam go. – Puść mnie już, proszę. Chcę uściskać Braci i Siostry.

Jeszcze głębiej wbija palce w moje ciało, aż w końcu rozluźnia uścisk. Cofam się o krok, obracam, przechodzę przez salę i obejmuję Honey. Inni podbiegają do nas, a ja szepczę jej do ucha, tak cicho, że tylko ona może mnie usłyszeć:

– Wiem, że masz pytania na temat pożaru. Pamiętaj, że sesje grupowe

są nadzorowane. – Puszczam ją. Patrzy mi w oczy i kiwa głową, a pozostali Braciszkanie i Siostrzyczki opadają nas, prawie wchodząc na siebie wzajemnie, i ściskają małymi rączkami. Cieszą się na mój widok, bo myśleli, że poszłam do Nieba wraz z innymi. Jak dobrze, że tak się nie stało. Lucy ma na twarzy czarno-fioletowe sińce, a mnie, po raz drugi tego dnia, oczy wzbierają łzami. Nie płaczę dlatego, że to ja ją poturbowałam, choć mogłam to zrobić, ale ponieważ żadne dobro ani Prawda nie usprawiedliwia zamykania przerażonych dzieci w domu pełnym nieznanym. Nikt nigdy nie powinien na to pozwolić.

Nigdy, przenigdy nie powinno było do tego dojść.

– O co cię pytali? – To Aurora, jedna z córek Alice.

Moją głowę wypełnia obraz krwi wsiąkającej w pustynny piach i nagle zdaję sobie sprawę, naprawdę to do mnie dociera, choć chyba już wcześniej to wiedziałam, że ona i jej siostra, Winter, zostały sierotami.

Jezu.

Mają pięć i sześć lat, i są sierotami.

Chryste.

– O nic. – Uwalniam się z uścisku małych rączek i wstaję. – Naprawdę. Jeszcze dwa dni temu byłam w szpitalu.

Aurora wskazuje bandaż na mojej dłoni.

– Poparzyłaś się?

Kiwam potakująco.

– Boli?

Posyłam jej uśmiech pełen odwagi.

– Nie jest tak źle – kłamię. – Ale ponieważ byłam w szpitalu aż do wczorajszego ranka, nie rozmawiałam z nikim stąd. O co was pytali?

– O życie – odpowiada Aurora. – Co robiliśmy i jedliśmy. I tak dalej.

– Rozmawiałaś z doktorem Hernandezem?

Potrząsa głową.

– Z doktor Kelly. Jest miła jak na Obcą. Ciągle prosi, żebym coś

rysowała.

– Co konkretnie? – przerywa Luke.

Odwracam głowę i widzę, jak jego twarz tężeje.

– Wszystko jedno. Co tylko przyjdzie mi do głowy – odpowiada Aurora.

– I co narysowałaś? – pytam.

– Jednorożca.

Uśmiecham się.

– A może jeszcze coś?

– I Ojca Johna. Jechał na złotym koniu i tratował Sługi Węża.

Luke wyszczerza się w uśmiechu, a mój uśmiech przygasa.

– I co na to Obca? – pyta.

– Nic. Schowała obrazek do teczki i zaczęła pytać, czego się uczyliśmy.

– Zuch dziewczyna – chwali ją Luke. – Nic im nie mów. Niech sobie gada, co chce, a ty pozostań na Ścieżce Prawdy. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarza Aurora z błyskiem w oczach, a za nią większość tych, którzy są z nami, choć nie wszyscy. Luke wbija we mnie wzrok, więc w końcu i ja mamroczę te słowa.

– Obcy kłamią – mówi, znów odwracając się do dzieci. – Słuchajcie, co mówię. Obcy kłamią. Ich serca toczy zaraza i ciemność. Sam Wąż ją tam zasiał i pielęgnuje. Na ich oczach dokonał się cud Wniebowstąpienia Proroka oraz naszych Braci i Sióstr, którzy zajęli należne im miejsce u boku Pana. Ale czy to dostrzegli? Czy padli na kolana, wyrzekając się Herezji? Czy błagali o wybaczenie? Otóż nie, bo ich zatrute głowy nie przyjęły prawdy, którą widzieli. Jeśli musicie, okażcie im litość, ale nigdy nie zapominajcie, kim są i komu służą. Będą próbowali oderwać nas od Pana, zwieść na manowce, z dala od Ścieżki, którą tylko nam objawiła prawdziwa Wiara. Ale nie pozwolimy im na to. Nie pozwolimy, ponieważ to do nas należy Chwała wiekuista. Wszyscy wiecie, że to prawda. Oto próba naszej Wiary, ale jeśli nasza Wiara w Pana pozostanie silna, przetrwamy trudy. Nasz czas wkrótce nadejdzie.

Luke milknie. Wpatruję się w niego, a przerażenie ściska mi żołądek. Spojrzeniem błagam Honey – na jej twarzy maluje się niesmak, którego nie umie albo nie chce ukryć – żeby milczała. Zakładam, że doktor Hernandez i jego koledzy nas obserwują i nie pozwolą, żeby stało się coś złego, ale w tej chwili wcale nie czuję, że jesteśmy bezpieczni. Choć doktor obiecywał nam bezpieczeństwo, nie wiem, do czego dojdzie, jeżeli Honey postawi się Luke’owi.

Ten wpatruje się w skupione twarze młodych Braci i Sióstr, po czym przenosi wzrok na najbliższy kąt pomieszczenia. Pod sufitem dostrzegam obserwującą nas kamerę.

– A wam, Sługi Węża, powiem jedno – cedzi. – Spróbujecie nas rozbić i zniszczyć, unurzać naszą Wiarę w błocie. I dobrze, bo to Wiara prawdziwa, a w naszych sercach nie ma lęku. Oto stajemy przed wami. Lecz kiedy Pan da znak, Wniebowstąpimy i staniemy u jego boku, a wy będziecie pełzać na brzuchach przez piekielny ogień po wieki wieków. – Luke milknie i patrzy w kamerę przez niekończące się sekundy. Wreszcie odwraca się i klęka. – Czas na modlitwę.

Dzieci chętnie otaczają go kołem, chwytając się za ręce. Honey trzyma się jak najdalej od niego, ale jednak staje w kręgu. Czuję ulgę, ze względu na nas obie. Mam nadzieję, że zrozumiała to, co powiedziałam jej na ucho. Są sprawy, o których powinna się dowiedzieć, w które tylko ja mogę ją wtajemniczyć, ale nie mogę tego zrobić, kiedy słuchają nas inni.

Klękam. Aurora delikatnie ujmuje moją dłoń w bandażach, a Rainbow mocno chwyta za zdrową. Luke patrzy na mnie przeciągle lodowatym wzrokiem, aż wreszcie zamyka powieki i spuszcza głowę. Dobrze wiem, co znaczy to spojrzenie:

„Obserwuję cię”.

Ale nie mam mu tego za złe. Naprawdę. Był wobec mnie podejrzliwy na długo przed pożarem. Słusznie. I nadal powinien być. Bo jest coś, o czym nikt nie wie i czego nigdy nie wyjawię ani doktorowi Hernandezowi, ani nikomu innemu.

To przeze mnie Aurora, Winter i wielu innych Braci i Sióstr zostało

sierotami. To przeze mnie zginęło tak wielu z nas.
To wszystko moja wina.

POTEM

ZNÓW MIAŁAM KOSZMARY. Nie były tak przerażające jak ostatnio, ale jednak je miałam. Strach, ogień i krew.

Gdy po sesji grupowej wróciłam wczoraj do pokoju, na biurku leżała plastikowa torba. Przyglądałam się jej długo, zanim otworzyłam ją drżącymi palcami, bo przez przeźroczysty plastik widać było rzeczy, które ostatnio widziałam w moim pokoju w Bazie. Nie było tam noży z rzeźbionymi trzonkami, zdjęcia dziadków ani strony z pamiętnika taty. Pewnie zwęgliły się w pożarze, jak większość rzeczy. W torbie nie było też mojego listu. Nic dziwnego. Za to przetrwała muszla i zegarek, który nie chodzi. Należał do mojego taty.

Musnęłam jego szkiełko po przebudzeniu, a w mojej głowie wciąż kłębiły się resztki złych snów. Potem włożyłam wszystko z powrotem do torby i czekałam na siostrę Harrow, która niebawem miała pojawić się ze śniadaniem.

Mało co zjadłam.

Potem siostra wróciła, by zabrać mnie na dzisiejszą sesję z doktorem Hernandezem. Chciała wiedzieć, czy dobrze się czuję. Skłamałam, że tak. Chyba nie całkiem uwierzyła, ale w drodze do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 nie drążyła tematu. Byłam jej za to wdzięczna.

– Jak się masz, Moonbeam? – pyta doktor Hernandez.

Odsuwając się na sofie, wzruszam ramionami.

– Dobrze spałaś?

Kręcę głową.

– A czy...

– Przyglądaliście się? – przerywam. – Wczoraj. Gdy wszyscy byliśmy razem.

Kiwa głową.

– Zawsze monitorujemy sesje grupowe.

– I co, poszło zgodnie z planem? – naciskam. – Sądzi pan, że to było w porządku?

– Nie ma żadnego planu. Chodzi o naturalną interakcję. Rozwój sytuacji zależy od uczestników.

– Ale te sesje mają pomóc, tak?

– Takie jest ich założenie – odpowiada. – Mogę spytać, co cię martwi? To, co powiedział Luke?

„To chyba oczywiste”.

– Nie wiem, jak komukolwiek miałyby pomóc wysłuchiwanie takich rzeczy.

– Rozumiem cię. Naprawdę. Ale terapia Luke’a przebiega inaczej niż twoja, Honey, Rainbow i wszystkich innych. Każdy radzi sobie z traumą inaczej.

– Twierdzi pan, że takie przemowy nie są groźne?

Odchyła się na krześle.

– A według ciebie to, co powiedział, było niebezpieczne? A może trudno ci było go słuchać, bo nie wierzysz w to, co mówił?

Wpatruję się w niego, a Ojciec John w mojej głowie grzmi, że tylko Heretyk może wpaść w tak ewidentną pułapkę, tylko ktoś głupi, bezużyteczny i Fałszywy.

– Gdybym uważał, że słowa Luke’a są niebezpieczne, przerwałbym sesję. Obiecałem ci bezpieczeństwo, to ono jest najważniejsze. W grupach często zdarzają się ożywione dyskusje, a nawet różnice zdań prowadzące do kłótni, ale sesje odbywają się w kontrolowanych warunkach i pod obserwacją. Nie ma się czego obawiać.

– Okej. – Nie wierzę nawet przez sekundę, ale nie ma sensu mu o tym mówić. Pozostaje mieć nadzieję, że on mówi prawdę, a ja się mylę.

– Chcesz dalej rozmawiać o grupie? – podejmuje wątek. – Jeśli tak...

Kręcę głową, na co on potakuje.

– Okej. Przejdźmy zatem...

– Ma pan dzieci? – przerywam. To pytanie przyszło do mnie wczoraj przed zaśnięciem. Jeśli go teraz nie zadam, to zapomnę o nim, kiedy zaczniemy rozmawiać na temat, który miał zaproponować.

Doktor marszczy brwi.

– Czemu pytasz?

– Powiedział pan, że zawodowo pomaga dzieciom, więc zastanawiam się, czy ma pan własne.

– Rozumiem. To pytanie jest całkiem na miejscu. Nie, nie mam dzieci. Czy to ci przeszkadza?

Jego odpowiedź zbija mnie z tropu. Myślałam, że to pytanie go zirytuje, że nie spodoba mu się, że to ja – jemu zadaję osobiste pytania, a nie na odwrót. Ale wcale nie wygląda na zirytowanego.

– Moonbeam? – przerywa ciszę.

„Zadał ci pytanie – szepcze głos z tyłu głowy. – Czy to ci przeszkadza? Powiedz prawdę”.

– To chyba bez znaczenia – odpowiadam. Myślałam o tym chwilę przed zaśnięciem. – Można chyba być dobrym weterynarzem, nawet jeśli nie ma się własnych zwierząt.

Doktor parska śmiechem. Przez ułamek sekundy w oczach ma przerażenie, ale w końcu ulega wesołości i śmieje się długo i głośno, czerwieniejąc na twarzy. Sama się uśmiecham, bo jego śmiech brzmi przyjemnie, choć bez wątpienia śmieje się ze mnie.

– Przepraszam. – Łapie powietrze, gdy już udaje mu się uspokoić. – Pewnie myślisz, że śmieję się z ciebie. W życiu nie słyzałem lepszego opisu mojej pracy. Zapamiętam go na przyszłość.

– Miło, że się przydałam – mówię z uśmiechem. – Dlaczego nie ma pan dzieci?

– Gdy moja żona była nastolatką, zachorowała. – Ta odpowiedź zmywa mi uśmiech z twarzy. – Teraz jest zdrowa, ale nie może mieć dzieci.

– Przykro mi.

– W porządku. – Kiwa głową. – Dzięki za zainteresowanie.

– Kiedy się pobraliście?

– Jesteś dzisiaj dociekliwa.

– Powiedział pan, że pytania są dobre.

Uśmiecha się.

– Owszem. Poznaliśmy się na studiach. Jesteśmy małżeństwem od szesnastu lat.

– Jak jej na imię?

– Marion.

– Jest ładna?

– Najpiękniejsza na świecie.

Teraz ja się uśmiecham.

– Raczej mało prawdopodobne. Bez urazy.

– Nie ma sprawy. – Widzę, że mówi szczerze. – Miłość zmienia punkt widzenia. Zaślepia, ale w dobry sposób. Gdy patrzę na Marion, mózg mówi obiektywnie, że nie jest najpiękniejsza na świecie, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo dla mnie jest najpiękniejsza.

Uśmiecham się szerzej. To na pewno miłe, mieć kogoś, kto tak o nas myśli, wiedzieć, że spośród wszystkich ludzi na Ziemi wybrał właśnie nas. Wtedy przypominam sobie, jak Ojciec John patrzył na Esmę, Bellę, Agavé i wszystkie pozostałe, i mój uśmiech znika. Doktor zauważa to.

– Wszystko w porządku, Moonbeam?

– Tak.

– Chcesz jeszcze o coś spytać, zanim zaczniemy?

– O dwie rzeczy. – Kiwam głową.

– Zgaduję, że najpierw zapytasz o mamę?

Znów kiwam.

– Wysłałem prośbę do szefa grupy operacyjnej prowadzącej śledztwo w sprawie Legionu Pana o wszelkie informacje na temat twojej mamy. Potwierdził, że ją otrzymał, ale jeszcze nie odpowiedział. Dam ci znać, jak tylko się odezwie.

– Dziękuję. – Nie wiem, co to jest „grupa operacyjna”, ale cieszę się, że wysłał tę prośbę. – Jestem wdzięczna.

– Zrobiłem, co obiecałem. Naprawdę, nie zamierzam cię okłamywać.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Ludzie zawsze mówią, że nie będą kłamać, ale i tak zawsze kłamią. Skoro nawet ja to wiem, to on też powinien, bo jest znacznie starszy ode mnie i całe życie spędził w świecie poza Bazą.

– A drugie pytanie? – wraca do rozmowy.

Biorę głęboki wdech.

– Co ze mną będzie?

Marszczy brwi.

– Z moją pomocą przejdziesz proces terapeutyczny, tak jak mówiłem wczoraj. A potem...

– Nie o to chodzi. Nie pytam, co stanie się tutaj, w tym pokoju, ale o wszystko inne.

– Nie rozumiem...

– Mówił pan, że inni ludzie chcą ze mną rozmawiać. Co się stanie, gdy pan im na to pozwoli?

Patrzemy na siebie w milczeniu. Wydaje się, że trwa to naprawdę długo. Mam ochotę wiercić się na sofie, ale siedzę bez ruchu, wytrzymuję jego spojrzenie i czekam, aż odpowie.

– Nie wiem – mówi w końcu. – Zdaję sobie sprawę, że to mało pomocne i przykro mi, ale skupiam się na tym, żeby przepracować z tobą

wszystko, co się zdarzyło, i przygotować cię do życia, cokolwiek miałyby ono przynieść. Wszystko inne jest poza moją kontrolą.

– Czy pójdę do więzienia?

„Więzienie jest dla ciebie za dobre! – Wycie Ojca Johna odbija się echem w mojej głowie. – Za to, co zrobiłaś, będziesz smażyć się w Piekło!”

Doktor Hernandez pochmurnieje.

– Za co, u licha, miałabyś pójść do więzienia?

Panika wzbiera we mnie jak tsunami.

– Za nic – zmuszam swój głos do spokoju. – Nieważne.

Patrzy na mnie i nic nie mówi. Zastanawia się, czy nawiązać do tego, co powiedziałam, czy odpuścić i zmienić temat.

– Nie wsadza się ludzi do więzienia, chyba że popełnili przestępstwo – mówi wreszcie. – Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

„Tak”.

Potrząsam głową przecząco.

– Na pewno?

– Możemy zmienić temat? – Mój głos pobrzmiwa błagalnym tonem, którego nie cierpię. – Proszę.

Doktor wpatruje się we mnie, po czym długo pisze w jednym z notesów.

– Oczywiście, że możemy – odzywa się wreszcie, podnosząc głowę. – Dobry pomysł. Od wczoraj nurtuje mnie pewna myśl. Gdy powiedziałem, że w terapii potrzebny jest stały plan działań, zareagowałaś dziwnie. A może mi się zdawało?

„Gratuluje spostrzegawczości”.

Kiwam głową.

Doktor Hernandez odchyła się na krześle.

– Powiesz mi dlaczego?

PRZEDTEM

TYLKO AMOS MOŻE WYCHODZIĆ na zewnątrz.

Co piątek, rankiem, znika w czerwonym pick-upie pozostawionym przez Dezrę, który Odszedł. Pojawia się znów po sześciu, siedmiu godzinach z paką wyładowaną owocami w puszkach, kanistrami oleju napędowego, workami z mąką, makaronem, fasolą i najcięższymi – pełnymi nasion. Amos nie jest Centurionem, ale to on został wraz z prorokiem powołany na Ścieżkę Prawdy, dlatego transport zaopatrzenia – zadanie, które Horizon nazywa złem koniecznym – powierzono właśnie jemu. Pan powiedział Ojcu Johnowi, że Amos jest najodporniejszy na pokusy świata za ogrodzeniem Bazy.

Oczywiście sam Ojciec John nie może się tam wybrać, bo Słudzy Węża zamordowałyby go, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Ale świat Na Zewnątrz jest niebezpieczny dla wszystkich Legionistów, nawet dla tych najwierniejszych. Psuje i wodzi na pokuszenie, sącząc ciemność nawet w najczystsze serca. Zaraz po powrocie do Bazy, kiedy moi Bracia i Siostry rozładują pick-upa, Ojciec John zabiera Amosa do Kaplicy, gdzie go oczyszcza, błogosławi i upewnia się, że nie zboczył ani na krok ze Ścieżki Prawdy.

Wiele, wiele lat temu Amos przybył na pustynię wraz z Prorokiem. Często powtarza, że na zewnątrz znalazł tylko rozpacz, a jeszcze częściej – zbyt często, bym mogła zapamiętać, ile razy mi to powiedział – że Ojciec John wybawił jego duszę od potępienia i że bez wahania oddałby za niego życie.

– Oby to nie było konieczne – odpowiadam zawsze.

Ten piątek nie różni się od poprzednich. Niedługo po śniadaniu pomachaliśmy odjeżdżającemu Amosowi i wróciliśmy do niekończących się prac i zadań, dzięki którym życie w Bazie toczy się płynnie, a nasza Rodzina jest zdrowa i szczęśliwa. Popołudnie spędziłam z Honey. Usuwałyśmy odporne kamienie z nieobsianego pola na skraju wschodnich ogrodów i wywoziłyśmy je na stertę za Kaplicą. To ciężka praca. Męczy, wyciska ze mnie pot, ale pochłania tak bardzo, że mimo zapadającego zmroku orientuję się, iż Amos nie wrócił do Bazy, dopiero gdy wchodzę do mojego pokoju i słyszę Nate'a, który zastanawia się na głos, co też mogło zatrzymać Amosa tak długo.

Przez dłuższą chwilę słychać tylko ciszę, jak zwykle po długim dniu pracy. Zanim odezwie się dzwon wzywający na wieczerzę, moi Bracia i Siostry gromadzą się tłumnie na dziedzińcu. Niektórzy spoglądają z niepokojem na Bramę Frontową.

– Już po szóstej – odzywa się Bear. – Mam powiadomić Ojca Johna?

Ale gdy tylko wybrzmiewa jego głos, z oddali dobiega inny dźwięk. Gruntowa droga prowadząca od Bramy Frontowej do szosy ma ponad półtora kilometra, więc klekotanie silnika słychać na długo, zanim pojawia się światło reflektorów pick-upa.

Lonestar przebiega dziedziniec i otwiera Bramę Frontową. Nie mija pół minuty, gdy wjeżdża przez nią pick-up Amosa. Pędzi tak szybko, że Lonestar musi uskoczyć, żeby uniknąć rozjechania. Hamulce piszczą, z ziemi wstaje dusząca chmura pyłu i wreszcie pick-up zatrzymuje się z poślizgiem na środku dziedzińca. Z kabiny wychodzi Amos. Ma oczy jak spodki i zakrwawioną koszulę.

– Napadli mnie – wyrzuca z siebie, dysząc. – Przed sklepem żelaznym. Było ich trzech.

Z tłumy wysuwa się Nate, jego przystojna twarz jest zatroskana. Ilekroć dzieje się coś złego, zawsze jest spokojny i dobry.

– Zranili cię? – pyta.

Amos kręci głową, po czym bierze głęboki, świszczący wdech.

– Nic mi nie jest. Smagnęli mnie kilka razy, zanim schowałem się w pick-upie, to wszystko. Musiałem uciekać, Nate. Dasz wiarę? Gonili mnie dwoma samochodami, prawie przez całe Lubbock. W końcu im się znudziło i odpuścili.

– Kto zaczął? – pyta Nate.

Wpatruję się w jego mocno zarysowaną linię szczęki i czerwień na policzkach, która pojawia się, gdy jest zły. Wiem, że powinnam skupić się na Amosie, bo to on ucierpiał i to jemu przydarzyła się ta straszna przygoda, ale i tak gapię się na Nate'a.

Pożeram go wzrokiem.

– Nic im nie zrobiłem – odpowiada Amos. – Wypakowywałem wózek, gdy jeden z nich zapytał, skąd jestem. Ale nie był ciekawy odpowiedzi, bo już ją znał.

– I co dalej? – drąży Nate.

– Spytał, czy jestem ciotą z Legionu Boga. – To wspomnienie zalewa twarz Amosa purpurą. – A potem, czy dymałem już dziś własną córkę.

Z tłumu zgromadzonego wokół pick-upa dochodzi oburzony pomruk. Słysząc okrzyki: „Herezja!” i „Węże!”, a kilkoro spośród Braci i Sióstr modli się z zamkniętymi oczami.

– I co ty na to? – dopytuje Nate.

Amos uśmiecha się ponuro.

– Że nie mam córki.

Wybuch śmiechu Nate'a odbija się echem po dziedzińcu.

– Cięta riposta! I pewnie wtedy zaatakował?

Amos kiwa głową.

– On i jego kompani.

– Walczyłeś z nimi?

Dobrze znam niski, dudniący głos, którym zostaje wypowiedziane to pytanie. Nie należy do Nate'a. Jak jeden mąż tłum odwraca się w stronę Wielkiego Domu. Na werandzie stoi Ojciec John. Jego długie włosy falują

w chłodnym powiewie wieczoru. Ma na sobie tę samą szarą koszulę, dżinsy i wysokie buty co zwykle, a jego przenikliwe oczy utkwione są w człowieku przy pick-upie.

– Nie, Ojcie – odpowiada Amos. – Wyrwałem się i uciekłem.

Ojciec John kiwa głową.

– I dobrze – mówi, obdarzając Amosa skąpym uśmiechem. – Przysłużyłeś się Panu najlepiej, jak mogłem się spodziewać.

Kątem oka widzę, że Luke marszczy brwi. Ma siedemnaście lat – jest starszy ode mnie może o miesiąc, choć nie ma co do tego pewności, i całe życie spędził w Bazie. W każdy niedzielny poranek Ojciec John powtarza nam, że tylko najlepszym ludziom: lojalnym, szczerym i wiernym, dane jest służyć w Legionie, albowiem Pan nie błądzi, a kto czyni sugestie, że jest inaczej, dopuszcza się Herezji. Ale wątpię, żeby ten opis pasował do Luke’a.

Bardzo wątpię.

Gdy mieliśmy po dwanaście lat, przyłapałam go za szopami na narzędzia, jak znęcał się nad oposem. Tak bardzo pokaleczył go nożem, że Amos musiał dobić nieszczęsne zwierzę strzałem z karabinu. Luke sobie nagrabił – Ojciec John ciągle powtarza, że nawet najmniejsze stworzenia Pana zasługują na szacunek, oczywiście poza Obcymi spoza Bazy. Luke chyba nigdy nie wybaczył mi, że na niego doniosłam. Nadal rzuca mi spode łba spojrzenia, które wcale mi się nie podobają.

– Słudzy Węża napadli naszego brata! – wykrzykuje. – Pobili go, splamili krwią i ścigali przez pół hrabstwa! Jutro o świcie powinniśmy ruszyć do Layfield i pokazać im, jak wygląda zemsta Pana!

Przez tłum przetacza się niski pomruk. Większość głosów, które jestem w stanie odróżnić, sprzeciwia się propozycji Luke’a. Ale nie wszystkie.

Jest ich wiele.

– A więc tak byś postąpił, Luke? – pyta Ojciec John głosem cichym jak odległy grzmot, prawie przyjaznym.

Drzę, bo tłum znów milknie.

– Tak, Ojcie – odpowiada Luke z błyskiem w oku. – Właśnie tak. I uczynię to, na twój rozkaz.

– Posłuchałbyś mojego rozkazu?

– Oczywiście, Ojcie.

– Nie kwestionując go?

– Nie.

– A jednak, kiedy ja chwalebę Brata Amosa za to, że nadstawił drugi policzek, ty wzywasz do zemsty – mówi Ojciec John. Jego głos potężnieje. – Przed swymi Braćmi i Siostrami, w miejscu, które wznosiliśmy razem, twierdzisz, że znasz wolę Pana lepiej niż ja? Skąd ta arogancja?

Luke krzywi się, ale nie odwraca wzroku od twarzy Proroka.

– Wątpisz we mnie, Luke?

Luke nie odpowiada. Prorok staje na skraju werandy. Poblądł, ale oczy ma jasne.

– Zadałem ci pytanie. – Jego głos łomocze jak skalna lawina, wciąż głośniej i głośniej. – Zadałem pytanie, a ty, w Imię Pana, odpowiesz MI na nie albo po Ostateczną Bitwę będziesz oglądać wnętrze karceru!

Głos Ojca Johna dudni nieziemsko, ogłusza, przewala się echem i uderza jak grzmot pioruna. Luke kurczy się, jego oczy wypełnia strach, a niejeden Brat i Siostra cofa się pod naporem furii Proroka.

– ODPOWIEDZ! – grzmi Ojciec John.

Luke przełyka z trudem ślinę.

– Nie, Ojcie – mówi w końcu chrapliwym szeptem. – Nie wątpię w ciebie. Przepraszam.

– Przyznajesz, że dopuściłeś się arogancji? – pyta Ojciec John. Jego głos cichnie tak nagle, jak przed chwilą wybuchł.

Luke spuszcza wzrok na asfalt dziedzińca.

– Tak, Ojcie.

– Rozumiesz, że kwestionowanie woli Pana jest Herezją?

– Tak, Ojcie.

Prorok kiwa głową.

– Niech to się nie powtórzy, Luke. Pan nie jest tak pobłażliwy jak ja.

Luke milczy. Zbladł jak ściana i wpatruje się w ziemię.

– Mężczyźni i kobiety Legionu Pana. – Ojciec John przenosi spojrzenie na resztę zgromadzonych. – Moja Rodzino, ukochana ponad wszystko na tej grzesznej, przeklętej ziemi. Jesteście wierni i czysti, a odpór, który dajecie Herezji, codziennie uczy mnie pokory. Dziękuję Panu, że nas połączył. Dziękuję za Jego mądrość, łaskę i doskonałość, która nam przyświeca. Bracia i Siostry, od lat wiemy, że nadchodzi Kres Dni, a oto teraz Pan przypomina, że czas wkrótce się wypełni. Są wśród nas błogosławieni, którzy pójdą Ścieżką Prawdy – niedługo staną do walki ze Sługami Węża. Wówczas przyjdzie nam cieszyć oczy zemstą Pana. A będzie to widok wspaniały! Równie piękny, co przerażający. Lecz niech śmiertelnik nie wyznacza daty Sądu. Ani ja, ani nikt inny z tu obecnych. Bo Sąd nadejdzie wtedy, kiedy postanowi Pan. On, i tylko On. Czy we mnie wątpicie?

Ogłuszające „NIE!” wybucha nad dziedzińcem, ale Luke nie porusza ustami. Wiem, bo na niego patrzę.

Ojciec John uśmiecha się.

– Pan jest Dobry – mówi. – Julio, opatrz rany Amosa, a Becky niech przygotuje mu kąpiel. Centurioni, zbierzcie się w Wielkim Domu i czekajcie tam na mnie. Nate, rozładuj ciężarówkę i przynieś moje osobiste rzeczy do kwatery. Pozostali mogą wrócić do przerwanych obowiązków.

Stłumiony pomruk rozmów rozchodzącego się tłumu zaczyna wypełniać dziedziniec. Widzę Julię kierującą się do domu za Kaplicą, który współdzielili z Becky. Są tam środki opatrunkowe i leki. Bear, Horizon i inni ruszają do Wielkiego Domu. Na jego werandzie stoi jak posąg Ojciec John, a głos w tyle mojej głowy szepce:

„To jeszcze nie koniec”.

Krzywię się, widząc, jak Ojciec John przypatruje się Luke'owi spod zwężonych powiek, i wiem, że ten głos się nie myli.

– Luke – odzywa się Prorok.

Cizba zamiera. Luke, który szedł do pick-upa, odwraca się w stronę Wielkiego Domu.

– Tak, Ojcze?

– Przyłącz się do mnie w Kaplicy. Pomodlę się z tobą.

Luke ponownie spuszcza głowę i ociężale rusza, dokąd mu kazano. Dobrze wie, co go tam czeka. Wszyscy inni też to wiedzą. Bracia i Siostry pośpiesznie rozchodzą się we wszystkie strony, jakby poczuli nagłą potrzebę, żeby znaleźć się gdzie indziej.

Amos pozwala Becky wziąć się za rękę i odprowadzić do lazaretu, a Nate opuszcza tylną burtę pick-upa i przesuwa worki i pakunki. Gdy podchodzę, podnosi akurat skrzynkę puszkowanych pomidorów. Mięśnie jego ramion połyskują w szybko gasnącym świetle wieczoru.

– Pomóc ci? – pytam.

Odpowiada szerokim uśmiechem, od którego – znam dobrze to uczucie – mój żołądek rozpływa się, a skóra płonie.

– Nie trzeba – rzuca. – Zmykaj.

Kiwam głową, ale nie odchodzę. Stoję i gapię się, jak odkłada skrzynkę z pomidorami i sięga po następną.

– Luke nie wyglądał na zadowolonego – rzucam.

Nate wzrusza ramionami.

– Jego Wiara jest silna. Ale to jeszcze dzieciak. Lekcja panowania nad wybuchami gorliwości może mu się przydać. Ale co ja tam wiem o sprawach duchowych.

– „Wszystkie sprawy są duchowe” – odpowiadam, cytując jedno z ulubionych powiedzonek Ojca Johna. – „Pan baczy na wszystko, co robimy”.

– Nie przeczę – rzuca Nate. – Naprawdę chcesz pomóc?

„Niczego bardziej nie pragnę”.

– Pewnie.

– No to masz. – Ściąga z pick-upa dwa pudła owinięte czerwono-niebieską taśmą. – Zanieś je do Wielkiego Domu.

Podnoszę je. Są naprawdę ciężkie, chyba się pod nimi załamie. Ale nie dam Nate’owi poznać, że jest mi za ciężko. Nie ma mowy.

– Dasz radę? – pyta, jakby czytał mi w myślach.

– Bez problemu.

– Na pewno?

– Przecież mówię.

Znów się uśmiecha. Wnętrznosci ponownie mi się przewracają, a skóra rozpała się jak powierzchnia Słońca.

– W porządku. Dzięki za pomoc.

– Bardzo proszę – rzucam, ruszając ku Wielkiemu Domowi, z całych sił wczepiona w ciężkie pudła. Pokonując dziedziniec – zataczam się i słabnę z każdym krokiem – zerkam na etykiety pocztowe z adresem, na który wysłano osobiste przedmioty Ojca Johna. Jest tam też nazwisko adresata.

James Carmel.

POTEM

– ZDZIWIŁO CIĘ? – pyta doktor Hernandez. Usiadł na krawędzi krzesła i, podczas gdy ja opowiadałam, zapisał cztery strony w jednym z notesów. – To nazwisko na etykietach?

Kiwam głową twierdząco.

– Wtedy? Czy teraz, po wszystkim, co się zdarzyło?

Przez chwilę zastanawiam się nad tym pytaniem.

– Chyba już wtedy. Wszyscy znali przyczynę takiego stanu rzeczy, ale... tak, zdziwiło mnie to. Przecież nie ukrywaliśmy Bazy przed światem.

– Wiesz, co było w tych pudłach?

– Nie.

Zapisuje w notesie kilka linijek. Czekam cierpliwie, bez słowa, ale nie podoba mi się, że pisze o mnie akurat teraz, gdy siedzę półtora metra od niego. To tak, jakby mnie obgadywał. Wreszcie kończy, odkłada długopis i uśmiecha się do mnie zachęcająco.

– Mamy jeszcze dwadzieścia minut – podejmuje. – Czy chciałabyś...

– Nie, to wszystko.

PRZEDTEM

PRZEZ JAKIŚ TYDZIEŃ Luke nosi na ramionach ślady pasa.

Nikt się nie dziwi ich obecności ani temu, że Luke wcale nie stara się ich ukryć. Obnosi się z nimi, jakby to były ordery stopniowo zmieniające kolor z błękitnego na siny. Paraduje po Bazie w koszulkach na ramiączkach albo i bez nich, żeby absolutnie nikt nie przeoczył dowodów jego pokuty.

Nadchodzi piątek. Amos jest zwarty i gotowy do następnej wyprawy do Layfield po zaopatrzenie.

– Nikt dwa razy mnie nie napadnie – powtarza wszystkim, którzy zechcą słuchać. – Teraz będę gotowy. Przekonają się.

Ale okazuje się, że jego gotowość – a może jej brak – nie zostanie sprawdzona, bo Ojciec John ogłasza całkowity zakaz opuszczania Bazy do odwołania. Amos jest wyraźnie rozczarowany, ale nie mówi ani słowa, bo według niego sprzeciw wobec Ojca Johna byłby jednoznaczny z krytyką samego Pana. Ze stoickim spokojem godzi się z tą decyzją, ku aprobachie większości Braci i Sióstr. Współczują mu, sądząc, że trapi go niemożność przysłużenia się dobru całej Rodziny. Według nich, dowodzi to – jakby w ogóle potrzebny był kolejny dowód – głębokiej Wiary Amosa i jego oddania Braciom i Siostrom.

Ja widzę to inaczej.

Podejrzewam, a raczej jestem pewna, że za tym rozczarowaniem stoi w znacznej części prosta prawda. Choć sam Amos wielokrotnie twierdził inaczej, on po prostu lubi te wyjazdy i nie może się doczekać piątkowych poranków, gdy znika pick-upem za bramą. Nigdy i z nikim nie dzieliłam

się moimi podejrzeniami, nawet z Nate'em i Honey, bo, teoretycznie rzecz biorąc, są Herezją. Pierwsza Proklamacja mówi jasno, że Ziemskie Królestwo dzieli się na świętą domenę Legionu Pana i świat Na Zewnątrz. Na tych, którzy kroczą Ścieżką Prawdy, i na Sługi Węża. Nie ma żadnych szarych stref ani czegoś pomiędzy. Ale nawet jeśli mam rację co do Amosa, a jestem przekonana, że ją mam, to nie mam mu za złe jego skłonności. A to dlatego – co już z pewnością jest Herezją – że mnie też brakuje zewnętrznego świata.

Przed Czystką, gdy byłam małą, często wychodziliśmy z Bazy. Tylko wtedy nie nazywaliśmy tego świata „Zewnętrznym”. Mówiło się, że jedziemy „do miasta” albo „do Layfield” – bo tak się ono nazywało. Zresztą wciąż tak się nazywa.

Miasteczko Layfield w Teksasie. Założone w 1895 roku. Liczba mieszkańców: 2147.

Każdego ranka, z wyjątkiem niedziel, Ojciec Patrick – którego imienia nie wolno nam wymawiać ani w myślach, ani, tym bardziej, na głos – prowadził do miasta kawalkadę trzech samochodów wypełnionych moimi Braćmi i Siostrami. Siadałam zawsze na tylnej kanapie drugiego samochodu z Lizzie i Benjaminem, moimi najlepszymi przyjaciółmi, którzy potem Odeszli. Mama Lizzie parkowała przed kancelarią prawną, gdzie pracowała jako recepcjonistka. Zanim weszła do środka, całowała każde z nas w czoło i przykazywała, żebyśmy byli grzeczni, a my zawsze obiecywaliśmy, że będziemy.

Przez następne trzy, a może cztery godziny chodziliśmy po głównej ulicy Layfield, rozdając ulotki z zaproszeniem do Wysłuchania Słowa Bożego i informacją, że z wdzięcznością przyjmiemy wszelkie datki. Czasami sprzedawaliśmy przedmioty wyrabiane przez nas w Bazie w długie, upalne popołudnia po powrocie z miasta, gdy mama Lizzie odwiozła nas już do domu w swojej przerwie na obiad. Były to łapacze snów z patyków powiązanych wstążkami, suszone kwiaty w srebrnych ramkach do zdjęć i przepisane ręcznie psalmy z kolorowymi rysunkami zrobionymi flamastrem.

Ludzie przeważnie nas ignorowali, zwłaszcza ci, którzy pracowali w mieście i widzieli nas tam codziennie. Zdarzało się, że ktoś rzucił nam złe słowo, ale najczęściej ludzie byli dla nas mili. Na swój sposób mieszkańcy Layfield byli i bez wątpienia nadal są bogobojni. Ogólnie rzecz biorąc, szanowali naszą Wiarę, choć różniła się od ich własnej. Po Czystce, gdy Ojciec John ogłosił, że wyjścia na zewnątrz są niebezpieczne, płakałam w poduszkę. Na pewno nie ja jedna. Gdy mama Lizzie zwalniała się z pracy, koledzy z kancelarii upiekli dla niej ciasto i powiedzieli, że będzie im jej brakowało.

Co przytomniejsi nie byli zaskoczeni, gdy dwa tygodnie później odeszła od nas, zabierając Lizzie.

Prorok powiedział, że miastowi wydają się mili, dobrzy i przyjaźni właśnie dlatego, że Wąż posyła wilki w owczej skórze między wierne sługi Pana, by wykorzystać ich dobrą naturę. To ulubiona strategia Węża.

Gdy rozdawaliśmy ulotki, przechodnie często wciskali mi w dłoń dolara albo chwalili ładną sukienkę. Ciekawe, czy wśród mężczyzn, którzy w zeszły piątek zaatakowali Amosa, byli ci sami ludzie.

Ojciec John na pewno powiedziałby, że tak.

BEZ WYPRAWY PO ZAKUPY piątek stracił na atrakcyjności.

Jedno z praw Legionu Pana mówi, że w magazynach zawsze, ale to zawsze musi być dość żywności dla wszystkich na trzy miesiące. To na wypadek gdyby Słudzy Węża oblegli Bazę i chcieli złamać nas głodem. Tak więc nikt nie zazna głodu, nawet jeśli Amos nie pojedzie do miasta przez kilka tygodni. Ale w normalnych okolicznościach piątki kręcą się nie tylko wokół podstawowego zaopatrzenia.

Oprócz niezbędnych produktów, takich jak paliwo, mąka i puszkowane owoce, Amos prawie zawsze przywozi kilka toreb przysmaków, jak bochenki chleba, ciastka, pączki albo cukierki w jaskrawych paczuszkach, a co mniej więcej miesiąc wraca z workami pełnymi ubrań ze sklepu

charytatywnego, które dawno wyszły z mody, ale czasem są nowe, więc i tak mamy z nich mnóstwo radości.

Zakładam, że Ojciec John tego nie pochwała, choć żadna z Proklamacji ani zasad nie wspomina o obdarowywaniu Braci i Sióstr czekoladą czy duńskim ciastem z jabłkami, ale na pewno dobrze wie, że ta odrobina przyjemności sprawi, że nasza Rodzina będzie go kochać jeszcze bardziej.

A wierni Legionu Pana naprawdę kochają Proroka. Całym sercem.

Nikt nie wie zbyt wiele o tym, jak żył Ojciec John, zanim Pan kazał mu pójść na pustynię. Większość kobiet i mężczyzn będących wówczas członkami Legionu opuściła nas w czasie Czystki. W ostatnich, naznaczonych obłędem dniach poprzedzających ich odejście z Bazy mówili o Proroku i jego życiu różne rzeczy, pełne zawiści i Herezji, ale już wtedy dowiedziono, że są kłamcami o fałszywych sercach i nikt ich nie słuchał.

Ci, którzy pozostali i dochowali wierności, którym udało się oprzeć uwodzicielskim sztuczkom Sług Węża, znają Ojca Johna już niemal osiem lat i są bardziej oddani jemu niż sobie samym. Najwierniejsi z moich Braci i Sióstr uważają okres życia Proroka poprzedzający jego Powołanie za nieważny, a do publicznych dywagacji na ten temat można ich skłonić równie łatwo jak do oblania się benzyną i podpalenia zapalki.

Niemniej jednak plotki krążą, choć powtarza się je rzadko i zawsze szeptem. Słyszałam, na przykład, że przed przybyciem do Bazy Ojciec John był muzykiem. W Los Angeles, a może w San Francisco. Że był wędrownym kaznodzieją, który poświęcił życie poszukiwaniu Ścieżki Prawdy, za co w końcu otrzymał nagrodę w postaci nieskończonej Wiary. Że był pijakiem, a może nawet przestępcą, zwiedzionym przez Węża na manowce, a potem Ocalonym. Gdy byłam mała, zauważyłam, że w obecności dzieci dorośli mówią rzeczy, o których milczą przy innych dorosłych. Odtąd uważnie nadstawiałam uszu. To wtedy po raz pierwszy usłyszałam te i dziesiątki innych opowieści, z których wysnułam prosty, niepodważalny wniosek.

A mianowicie taki, że tak naprawdę nikt nie wie, kim był Ojciec John,

zanim stał się Ojcem Johnem.

On po prostu jest i tylko to się liczy.

Gdy tylko się dowiaduję, że Amos nie jedzie do miasta, wracam przez dziedziniec. Dziś znów mam pracować w jednym z ogrodów, ale nie śpieszy mi się, więc przemierzając centralne miejsce jedyne domu, jaki kiedykolwiek znałam, zwalням kroku.

Na Bazę – nazywano ją tak na długo przed Czystką, być może zawsze – składa się dwadzieścia kilka budynków, w tym jest Kaplica (to nazwa zbyt skromna jak na kościół z ławkami dla dwustu osób), Wielki Dom, w którym mieszka Ojciec John z żonami i ich dziećmi, dwa zgrabne kwadraty domów na planie litery L, dwa długie szeregi drewnianych budynków mieszkalnych, Sala Legionisty, kuchnia i magazyny oraz grupa niskich zabudowań gospodarczych różnych rozmiarów, od zwykłych komórek po kolosy wielkości stodoły.

Na odległym skraju dziedzińca widzę Nate'a. Zmierza w stronę ogrodów, więc zaczynam biec, by go dogonić. Głos z tyłu głowy besztaje mnie za tę żalostną pogoń przez dziedziniec, ale każę mu się zamknąć. Przecież nie robię nic złego, a poza tym wcale nie obchodzi mnie, co sobie myśli ten głos.

Prawda jest taka, że między mną a Nate'em nigdy do niczego nie doszło i wiem, że nigdy nie dojdzie.

Od zawsze to wiedziałam, już w chwili, gdy Nate przybył do Bazy, nie tylko dlatego, że za niespełna rok mam poślubić Ojca Johna. Nie jestem głupia. Ale też dlatego, że moje uczucia wobec Nate'a są pomieszane jak rozsypane puzzle bez elementów tworzących ramkę. On patrzy na mnie wyłącznie jak na młodszą siostrę – inaczej niż niektórzy starsi Bracia – co mnie smuci, ale i cieszy, a przynajmniej zazwyczaj tak jest. Nate nigdy nie zakrada się do mnie, gdy zgasną światła, i wiem, że nigdy tego nie zrobi, a mimo to zdarza mi się leżeć bezsennie, aż na wschodnim niebie wstanie świt, targana naprzemiennymi falami winy i nadziei, że jednak się mylę.

Zresztą nie tylko Nate nie odwiedza mnie, gdy zgaśnie światło. Nikt

tego nie robi. Przychodzą do Alice, Star, Lizy i innych Sióstr – tych ładniejszych ode mnie. Nocne odwiedziny są całkowicie zakazane – trzecia Proklamacja jest w tej kwestii jednoznaczna i przewiduje karę za to przewinienie – ale i tak się zdarzają, choć klucze do kwater mieszkalnych mają tylko Centurioni i bez zgody Proroka nie otworzyliby ich nigdy i nikomu.

Moje drzwi są zawsze zamknięte na kłódkę aż do świtu. Myślę, że Ojciec John byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że ktoś tknął jedną z jego Przyszłych Żon i chyba to odstrasza moich Braci. Przynajmniej tak to sobie tłumaczę, że przyczyną są obowiązujące nas zasady, choć przecież mama kazała mi się pilnować w towarzystwie starszych Braci. Mawiała, że mężczyźni mają w głowie prztyczek, który przestawia się przy ładnych dziewczętach, zmieniając ich w nieprzewidywalnych głupców.

Spytałam ją kiedyś, czy tata też miał taki prztyczek. Powiedziała, że nie miał przytyczka. Po prostu był głupi i nieprzewidywalny. Zabolalo mnie, że mówiła o nim w ten sposób, ale przecież to ona znała go bardzo dobrze, a ja prawie wcale, więc chyba muszę jej uwierzyć na słowo. Pamiętam, że lubiłam, gdy mówiła, że jestem ładna, choć robiła to jakoś tak nie wprost.

Ale odbiegłam od tematu.

Nate słyszy moje kroki za plecami i odwraca się z tym uśmiechem, od którego zawsze przyśpiesza mi serce.

– Cześć, Moonbeam. Wiedziałem, że to ty.

Odpowiadam uśmiechem.

– Skąd?

– Łatwo rozpoznać odgłos twoich kroków. Jest w nich jakaś powaga i gorliwość.

Mój uśmiech zmienia się w grymas dezaprobaty.

– Co ty wygadujesz?

– Sam nie wiem – odpowiada, wzruszając ramionami. – Przysłuchaj mu się.

– Chyba sobie odpuszczę.

Parska śmiechem i kiwa głową.

– Rozumiem. Pomożesz mi zbierać ogórki?

– Mogę.

Zrównuję się z nim i już razem idziemy w stronę zachodniego ogrodzenia. Słońce w zenicie praży nas i zalewa Bazę taką jaskrawością, że wszystko w niej wydaje się nowe, a mnie – z siłą ciosu w podbrzusze – uderza niezmiernie trudna do przyjęcia prawda.

„Byłam tu szczęśliwa”.

„Bardzo długo naprawdę byłam tu szczęśliwa”.

Mimo że Ojciec John twierdzi inaczej, Baza nie jest rajem. Nawet go nie przypomina – ani teraz, ani wcześniej. A jednak tak jak wszyscy, ja też pamiętam czas – byłam wtedy znacznie młodsza niż teraz – kiedy wierzyłam we wszystko, co słyszałam, zwłaszcza jeśli zapewniano mnie, że to prawda. Ale dla mnie, inaczej niż dla większości, a może nawet wszystkich moich Braci i Sióstr, ten czas się skończył.

Nie za sprawą Ojca Johna, a w każdym razie nie wtedy. On często powtarza, że jest tylko człowiekiem. Niedoskonałym i pysznym, jak wszyscy inni. Mówi, że chociaż wszystkich nas stworzono na obraz i podobieństwo Stwórcy, to jesteśmy dalecy od świętości, bo stan Doskonałej Łaski dostępny jest tylko jednemu Panu i nikomu poza Nim. Dlatego też zawsze uważałam, że słowa Proroka nie stanowią niepodważalnej prawdy, a z czasem to przekonanie umacniało się we mnie i stawało coraz bardziej klarowne.

Jest absolutnie niemożliwe – jestem tego pewna – żeby każdy człowiek żyjący w świecie poza Bazą był zły. Jestem też absolutnie pewna, że nie wszyscy moi Bracia i Siostry są dobrzy. Dobro i zło. Wierność i Fałsz – to przeciwne bieguny całego spektrum zachowań, a nie jedyne możliwe stany, w których może znaleźć się człowiek. Życie nie jest takie proste. Ludzie też nie, chociaż z pewnością wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby tacy byli.

Myślę, że Ojciec John to rozumie, choć nigdy tego nie przyzna. To pewnie dlatego utrzymuje, że on sam nie jest nowiną, a jedynie posłańcem. Długo nie miało to dla mnie znaczenia. Nawet jeśli wątpiałam w słowa, które padały w naszych rozmowach, to mimo wszystko wierzyłam.

Miałam pytania i myśli, którymi z nikim się nie dzieliłam, wiedząc, że nazwą je Herezją, ale jednak wierzyłam – w niego, w moich Braci i Siostry, i w Legion. Aż do chwili, gdy skrzywdził moją mamę.

– Dam grosik za twoje myśli – odzywa się Nate, gdy docieramy do gęstej drucianej siatki wokół ogrodów.

– Przeplaciłbyś.

Uśmiecha się.

– Moonbeam. Widzę, że coś cię gryzie. Wal, śmiało.

Kiwam głową, bo ma rację. Coś mnie gryzie. To myśl, ciemniejsza od słodko-gorzkich wspomnień ze szczęśliwszych czasów. Zzera mnie od poprzedniego piątku. Nigdy nie śmiałabym podzielić się nią z kimkolwiek.

– Chodzi o Luke’a – mówię wreszcie.

– Co znów nabroił ten gówniarz? – Pytanie Nate’a sprawia, że chwytam powietrze jak po ciosie w brzuch, bo nikt nie mówi tak o Braciach i Siostrach. Nigdy!

– Nie wolno tak mówić! – Brzmie jak mała, przerażona dziewczynka i nie cierpię tego.

– Jeśli to prawda, to można. – Uśmiech Nate’a jest coraz szerszy. – Przynależność do Legionu Pana nie sprawia, że automatycznie przestaje się być gnojkiem. Niestety.

Nie umiem powstrzymać chichotu.

– Zresztą chyba nie podkablujesz mnie Centurionom. No więc, co z tym Lukiem?

– Sprzeciwił się Ojcu Johnowi. Na oczach wszystkich.

Nate wzrusza ramionami.

– I dostał za to baty. Masz z tym problem?

– Nie.

– No, to o co chodzi?

Biorę głęboki wdech, bo chcę, żeby to zabrzmiało tak, jak trzeba.

– On wprowadza zamęt. Czasami... wydaje mi się, że robi to celowo.

– Ma siedemnaście lat. Jasne, że robi to celowo. Próbuje się połapać, gdzie jest jego miejsce na świecie i, co jakiś czas, odreagowuje po bandzie. Martwi cię to?

– Nie było cię tu poprzednio. Ale teraz to wygląda podobnie. I to mnie gryzie.

– Mówisz o Czystce?

– Nie wiem... Chyba tak.

– Niepokoisz się?

Potrząsam głową.

– Raczej nie. Po prostu nie ufam Luke'owi. Wybacz, Nate, nie chciałam robić z igły wideł.

Znów się uśmiecha.

– Nie ma sprawy. I nie martw się. Luke to zadziorny gnojek. Już wcześniej zasłużył sobie na baty i ten ostrzegawczy strzał z liścia też mu nie zaszkodził, ale gdyby naprawdę komuś zagrażał, Ojcu Johnowi albo komukolwiek innemu, to już dawno bym go utemperował.

– Czyli że co byś zrobił?

Jego uśmiech gaśnie tak szybko, jak się pojawił.

– Uduśliłbym go we śnie – odpowiada. – Ale dość ploteczek. Ogórki same się nie pozbierają.

Dostaję ciarek, ale zmuszam się do uśmiechu. Nate odwraca się i rusza do ogrodów. Postanawiam trzymać się kilka kroków za nim.

POTEM

DOKTOR HERNANDEZ JUŻ DAWNO PRZESTAŁ NOTOWAĆ. Gdy opowiadałam, nie spuszczał ze mnie oczu.

– Myślisz, że Nate by to zrobił?

– Nie. – Kręcę głową.

– Skąd ta pewność?

Wzruszam ramionami. Nie jestem pewna. Nie na sto procent. Chociaż wiem – bez żadnych wątpliwości, bo widziałam to na własne oczy – że Nate miał chęć zrobić Luke’owi krzywdę, ale teraz o tym nie wspomnę. Nie sądzę jednak, żeby chciał go zabić, a więc, teoretycznie, nie kłamię.

– Czy karano was za mówienie Herezji?

– Nie – odpowiadam. I to jest kłamstwo. Tak wielkie, że wypowiadając je, boję się, że stanę w płomieniach.

– A za łamanie zasad?

– Nie.

– A więc nie żyliście w strachu?

Nie odpowiadam.

Oczy doktora Hernandeza zwężają się.

– Moonbeam? Czy członkowie Legionu Pana bali się Ojca Johna?

– Co mu powiedziałaś? – Cichy, nieustępliwy głos Luke’a przypomina syk węża. – Co wypaplałaś temu Obcemu?

Jego twarz wisi o centymetry od mojej, a ja zapieram się plecami o ścianę. Pozostali Bracia i Siostry przypatrują się w milczeniu ze

stężalymi twarzami. Przypominam sobie, co doktor Hernandez mówił o sesjach grupowych: że mają odbywać się w kontrolowanych warunkach, i zastanawiam się, jak długo jeszcze musi potrwać ta konfrontacja, zanim ktoś z zewnątrz wejdzie tu i ją przerwie.

– Nic nie powiedziałam – kłamię. – Próbowałam opowiedzieć o Ojcu Johnie, o tym, że Prorok jest dziesięć razy lepszym człowiekiem od niego, ale on nie chciał słuchać i odesłał mnie do pokoju. To wszystko, Luke. Przysięgam.

Odsuwa się o pół kroku. Nie mam pojęcia, jak długo już wpatruje się we mnie, ale w końcu na jego twarzy pojawia się grymas uśmiechu. Gładzi pięścią mój policzek. Staram się opanować drżenie.

– Dobrze zrobiłaś. Prawidłowo – mówi. – Chcą nas skłócić. Właśnie teraz, kiedy musimy trzymać się razem. Ale nie pozwolimy im na to. Prawda?

Potrząsam głową. Jego oczy wciąż pobłyskują szaleństwem. Od tego rozchwianego blasku robi mi się niedobrze. Identyczny blask widziałam w oczach Ojca Johna pod sam koniec, gdy wszystko wokół niego stanęło w płomieniach.

– Zgadza się – ciągnie, zwracając twarz ku pozostałym. – Nie pozwolimy im. Prorok Wniebowstąpił, tak jak nam obiecano. Nasi Bracia i Siostry Wniebowstąpili, tak jak nam obiecano. Na własne oczy widzieliście, jak wznoszą się do nieba. Jeśli sądzicie, że zostawiono nas tu przez przypadek, to sami siebie okłamujecie. Jeśli tak sądzicie, to jesteście Fałszywi. W tej właśnie chwili każdy z nas poddawany jest próbie, musi dowieść swej Wiary i pokazać, że zasługuje na miejsce u boku Pana, pośród naszej Rodziny. Czy pojmujecie, co do was mówię?

Odpowiedzią jest twierdzący pomruk, ale nic więcej.

Luke ściąga brwi.

– Nie słyszę! CZY POJMUJECIE PRAWDE, KTÓRĄ WAM WYJAWIAM?

Kolejny pomruk, tylko trochę głośniejszy od poprzedniego.

Wcześniejszy entuzjazm, który przepełnił ich na chwilę, gdy Luke mówił o Wniebowstąpieniu, zniknął. Być może słowa, tak podobne tym, do których latami przyzwyczajał nas Ojciec John, straciły inspirującą moc w obliczu nowej rzeczywistości: tego pomieszczenia i budynku. A może duch walki na dobre opuścił moich Braci i Siostry. Jaskrawy blask świetlówek zalewający ten obszerny pokój obnaża ich prawdziwe oblicze: są przestraszonymi dziećmi daleko od domu. Długo patrzę na nich z bólem serca, a potem zerkam na Luke'a i wiem, że on widzi to samo. Robi krok do przodu, zaciska pięści jeszcze mocniej i próbuje ponownie.

– Wiem, że cierpicie. Wiem, że nęka was strach i że brakuje wam rodziców. To normalne, choć wszyscy w głębi serca wiemy, że ten świat przeminie. **ALE, BRACIA I SIOSTRY, TERAZ NIE MOŻEMY STRACIĆ SERCA!** Właśnie tutaj, właśnie w tej chwili musimy chwycić się naszej Wiary mocniej niż kiedykolwiek, dochować Wierności słowom Proroka i dowieść, że jesteśmy godni Wniebowstąpić u jego boku. Musimy w niego wierzyć, tak jak zawsze wierzyliśmy. Wierzmy w niego, a on nas nie zawiedzie. Przyrzekam wam.

Willow zaczyna płakać. Nawet przez chwilę nie jestem na nią zła, bo ma tylko dziesięć lat i na własne oczy widziała, jak jej matka ginie od kuli roztrzaskującej czubek jej głowy. Myślę, że w tej chwili może jej być trudno dochować Wiary, choćby Luke mówił nie wiem co.

A on podchodzi do niej, klęka i uciska najdelikatniej, jak umie. Nigdy nie był łagodny, ale – muszę to przyznać z nutą zawiści – stara się, a to już coś. Po jakichś dwóch minutach Willow przestaje płakać, ale na jej buzi maluje się najgłębsze nieszczęście. Jak ma pojąć to wszystko, co widziała? Jak ktokolwiek może twierdzić, że zdoła jej pomóc wrócić do normalności?

Luke bierze ją za rękę.

– Ojciec John wiele mnie nauczył – mówi cicho. – Przekazał umiejętności i Moce, których Słudzy Węża nigdy nie pojmą. Jeśli nasze Wniebowstąpienie będzie się odwlekać, to z nich skorzystam. Użyję ich i uwolnię nas wszystkich. Odejdziemy stąd i w innym miejscu zaczniemy

od nowa. Tam będziemy czekać, aż Prorok wezwie nas do Domu.

Willow kiwa głową. Na jej buzi pojawia się cień uśmiechu.

– Pieprzysz bzdury, Luke – odzywa się Honey. – Nie okłamuj jej.

Uśmiech Willow znika. Mała podnosi oczy na Luke'a. Są szeroko otwarte i pełne niepewności, ale on nawet na nią nie zerka. Wbija wzrok w Honey.

– Przekonasz się – mówi. – I to już niedługo. Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny.

– I tu się mylisz – ucina Honey. – Doskonale to wiem.

Luke odpowiada uśmiechem pozbawionym wesołości i zaraz wraca spojrzeniem do Willow.

– Nie słuchaj jej. Wszystko pięknie się ułoży. Nie ma się czego bać.

Świdruję go wzrokiem.

Przeszywam oczami, bez słowa.

Milczę, ale nie dlatego, że mam go za łgarza.

Nawet teraz, kiedy pożar, strzelanina i rozlew krwi są już za nami, jest się kogo bać.

I właśnie patrzę na tego kogoś.

POTEM

DWIE MINUTY PO DZIESIĄTEJ doktor Hernandez otwiera drzwi Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1, ale nie wchodzi i nie siada za biurkiem jak zazwyczaj. Zamiast tego staje w progu i szczerzy się szeroko. Ten uśmiech w najmniejszym stopniu mnie nie przekonuje.

– Dzień dobry, Moonbeam – mówi. – Jak się dziś masz?

– W porządku. – Czuję, że ściągam brwi, marszcząc czoło. – Będzie pan tak stał?

Uśmiech nie schodzi mu z twarzy.

– Oczywiście, że nie, ale, jeśli nie masz nic przeciwko, nasza poranna sesja będzie nieco inna. Pamiętasz, jak mówiłem, że są ludzie, którzy chcieliby z tobą porozmawiać?

Czuję niepokój w żołądku.

– Pamiętam.

– To świetnie. I właśnie jedna z tych osób chciałaby zamienić z tobą kilka słów. Co ty na to?

– Kto to jest? – pytam.

– Agent Andrew Carlyle. Pracuje w FBI. Wiesz, co to jest FBI?

„TO RZĄD! – wrzeszczy Ojciec John, jego głos przewala się grzmotem w mojej głowie. – RZĄD! Nic mu nie mów! Uciekaj! Ratuj się!”

Kręcę głową. Doktor nie musi wiedzieć, że w niemal każdy niedzielny poranek Ojciec John potępiał FBI i wszystkie inne rządowe agencje, nazywając je Sługami Węża.

– To Federalne Biuro Śledcze – mówi doktor. – Prowadzą tam

dochodzenia w sprawie bardzo poważnych przestępstw, zbyt poważnych albo skomplikowanych dla lokalnej policji. To ważne, więc mówię ci to na wstępie: fakt, że FBI chce z tobą rozmawiać, nie znaczy, że jesteś w tarapatkach. Nikt nie będzie cię zmuszać do odpowiedzi na niewygodne pytania. Ale jeżeli z nim porozmawiasz, to ułatwisz śledztwo w sprawie tego, co przydarzyło się twoim Braciom i Siostram. Przynajmniej wysłuchaj jego pytań. Myślę, że możesz skorzystać na tej rozmowie.

– Dlaczego chce rozmawiać właśnie ze mną? – pytam. – Ja nic nie wiem.

– Chce się tylko dowiedzieć, co widziałaś. Co się działo w czasie pożaru i przed nim. No to jak? Pogadasz z nim?

– A mam wybór?

– Zawsze – odpowiada. – Ale jeśli z nim porozmawiasz, to znacznie ułatwi naszą, twoją i moją, pracę. Targuję się z tobą, jakbyśmy handlowali końmi, bo może właśnie tak jest, ale to prawda.

– Quid pro quo.

Marszczy brwi.

– Dokładnie tak. Skąd znasz tę sentencję?

„Od Horizonta. Nauczył mnie jej, gdy byłam mała i wciąż jeszcze wolno było nam się uczyć”.

Kręcę głową.

– Nie wiem. Musiałam gdzieś usłyszeć.

– Pogadasz z nim? Znaczący, z agentem Carlyle'em?

Wzruszam ramionami.

– Mogę.

Znów się uśmiecha, tak szeroko i nieprzekonująco jak wcześniej, po czym znika w holu, zamykając za sobą drzwi. Gapię się na nie i próbuję uciszyć przyśpieszające serce.

„Spokojnie. Tylko ty znasz prawdę. Nie zmuszą cię, żebyś ją wyjawiała. O niczym nie wiedzą, więc po prostu zachowaj spokój”.

Doktor Hernandez wraca do pokoju. Za nim wchodzi mężczyzna niosący plastikowe krzesło. Jest wyższy od psychiatry, ma ciemne włosy z przedziałkiem gładko zaczesane na prawo i niebieskie oczy niepasujące do opalonej wiatrem i słońcem skóry. Nosi ciemnoszary garnitur i białą koszulę. Przystawiając sobie krzesło, wita mnie skinieniem głowy.

– Moonbeam – mówi doktor Hernandez – to jest agent Carlyle.

– Miło cię poznać – odzywa się przybysz. „Sługa Węża!”. – Jak ci mija poranek?

– Dobrze. – Patrzę na niego, powstrzymując drżenie głosu. – A panu?

– Dziękuję, doskonale. I dzięki, że zgodziłaś się na rozmowę.

„Tak, jakbym miała wybór”.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Doktor Hernandez zaczyna wyjmować notesy i przybory do pisania, a agent Carlyle zdejmuje marynarkę i wiesza ją na oparciu krzesła. Gdy obraca się do mnie, pod jego pachą dostrzegam czarny, kanciasty przedmiot i zamieram, bo wiem, co to jest. Przez sekundę gapię się tylko, a potem wycofuję się jak najdalej, wciskam plecy w oparcie sofy i wytrzeszczam oczy. Niechcący uderzam zabandażowaną dłońią o ścianę, wyzwalaając eksplozję bólu, ale prawie jej nie czuję, bo w moim gardle narasta wrzask tak potężny, że gdyby od niego zależało moje życie – uratowałabym się.

– Moonbeam? – Głos doktora Hernandeza zaskakuje mnie swoją siłą. – Co jest? Co się stało?

Kręcę głową. Jeśli otworzę usta, krzyk wybuchnie jak bomba, ponieważ widzę pistolet agenta Carlyle’a, a głowę rozrywa mi łomot automatycznej broni, skowyt kul i wrzask Braci i Sióstr. Czuję gorzki smród spalenizny i wszystko zaczyna falować. Na pewno zaraz zemdleję.

Doktor Hernandez odwraca głowę w ślad za moim spojrzeniem. Chce zobaczyć, przed czym uciekam. Nagle wytrzeszcza oczy, zrywa się, przyskakuje do agenta, chwyta go za barki i wywleka z krzesła.

– Odbiło panu!? – krzyczy Carlyle, czerwieniejąc. Chce się

oswobodzić, ale doktor Hernandez trzyma go jak w imadle i ciągnie w stronę drzwi.

Szamotoaninę i protesty ucina dopiero syk doktora.

– Wniosłeś broń, idioto.

Agent Carlyle zamiera, a jego twarz blednie jak papier. Pozwala wypchnąć się z pokoju. Doktor też wychodzi, trzaskając drzwiami, ale zamek nie chwyta, więc pozostają leciutko uchylone. Wpatruję się w szczelinę, serce łomocze mi w piersi i wtedy zdaję sobie sprawę, że naprawdę bardzo długo już nie oddycham.

Mam wrażenie, że moje wnętrzości skamieniały. Wbijam wzrok w drzwi i skupiam całą uwagę na wąziutkim pasku szarego korytarza widocznego w szczelinie. „Spokojnie. Tylko spokojnie”. Po długiej chwili ciszy, w której nic się nie wydarza, udaje mi się wpuścić do gardła cieniutką, świszczącą strużkę powietrza i czuję, jak wszystko powoli się rozluźnia. Więc może jednak nie zemdleję. Biorę głębszy wdech, potem kolejny, a napór w płucach i szum w głowie ustępują. Zaczynam słyszeć dalekie głosy z korytarza za drzwiami.

– O czym, na Boga, sobie pan myślał? – Głos doktora Hernandeza jest ostry i zimny. – Czy naprawdę muszę tłumaczyć, dlaczego nie wolno wносить broni na sesję terapeutyczną? To jest chyba jasne, do cholery!?

– Nie pomyślałem – mówi agent Carlyle. – Siła nawyku. Zakładam ją rano i zdejmuję dopiero wieczorem. Przepraszam.

– Przepraszam pan. To świetnie. Doskonale. A mogę o coś spytać?

– Tak.

– Wie pan, przez co ona przeszła? Bo chyba raporty pan czytał? Pan sobie zdaje sprawę z tego, co ona widziała?

Krzywię się, skulona w pustym pokoju. Nienawidzę, gdy mówi się o mnie jak o szcurze doświadczalnym, ale też cieszy mnie gniew doktora Hernandeza, który wybuchł w mojej obronie. Dawno nie czułam, że ktoś jest po mojej stronie, nawet przez chwilę.

– Dobrze już, dobrze – burczy agent Carlyle. – Odkładam ją.

W porządku?

– Następnym razem proszę ją odłożyć, zanim wejdzie pan do pokoju. Powiem wprost. Jeśli zrobi pan cokolwiek, co mogłoby przeszkodzić w terapii Moonbeam, to złożę na pana raport do szefa pańskiej sekcji. Mówię poważnie.

Zapada długa cisza. Kulę się na brzegu sofy, wyęzając wzrok.

– Ma pan rację – odzywa się Carlyle. – Naprawdę jest mi przykro. To się nie powtórzy.

– Dziękuję – odpowiada doktor Hernandez. Jego głos nabiera zwykłego ciepła. – Proszę nie zapominać, gdzie jesteśmy i co ona przeszła, dobrze? Jest silniejsza, niż mogłem przypuszczać, ale nie wolno lekceważyć powagi sytuacji. Jej stan jest niezwykle delikatny.

– PTSD?

– Nie zamknąłem jeszcze wstępnej diagnozy. Niczego na pewno nie stwierdzam ani nie wykluczam. PTSD również. Dlatego proszę o rozwagę w działaniu, okej?

– Jasne. – Agent Carlyle głośno wypuszcza powietrze. – Mam córkę w jej wieku, plus minus pół roku. Nie wiedział pan?

– Niech pan się skupi i ogarnie. – Głos doktora Hernandeza jest znów ostry. – Wnoszenie bagażu osobistych doświadczeń tu nie pomoże. Ani panu, ani jej.

– Wie pan, że służę w FBI od osiemnastu lat? – W głosie agenta Carlyle’a pobrzmiwa uśmiech. – Przeprowadziłem ponad siedemset przesłuchań.

– I co z tego?

– Nic. Ot, taka ciekawostka. Wracamy tam?

Przez długą chwilę nic nie słychać. Nie wiem, co robią. Gapią się na siebie? Może doktor Hernandez zwleka z odpowiedzią, bo naprawdę nie wie, czy do mnie wróca, a może w ten sposób pokazuje Carlyle’owi, kto tu rządzi. Umiejętne milczenie może być bronią – wprawia innych w nerwowość, zmusza, by powiedzieli coś, czego mówić nie powinni,

tylko po to, żeby złagodzić napięcie. Ojciec John doskonale rozumiał potęgę milczenia.

– Dobrze. – Doktor Hernandez wreszcie przerywa ciszę. – Chodźmy.

Natychmiast wracam do swojej zwykłej pozycji na sofie – z plecami wciśniętymi w kąt oparcia i kolanami przyciągniętymi do piersi. W mojej głowie kłębią się pytania.

Co to jest PTSD? Co on rozumie przez „niezwykle delikatny stan”? Czy to znaczy, że mnie złamią?

Drzwi otwierają się na oścież. Doktor Hernandez ściąga brwi, patrząc na klamkę, a potem na mnie, ale odpowiadam mu spojrzeniem pełnym niewinności, a przynajmniej taką mam nadzieję. Mierzymy się wzrokiem przez sekundę, a potem doktor siada. Agent Carlyle również siada – nie widzę już kabury z bronią – i patrzy mi w oczy.

– Bardzo przepraszam – mówi. – Nie pomyślałem. Naoglądałaś się już broni. Wystarczy ci na całe życie, prawda?

Kiwam głową.

– To się nie powtórzy – dodaje.

– W porządku. Jej widok mnie zaskoczył.

– To oczywiste – odzywa się doktor Hernandez. – Wcale się nie dziwię twojej reakcji.

– Jeszcze raz przepraszam – powtarza agent Carlyle.

– Nie ma sprawy, naprawdę. To Glock 22, prawda? – rzucam.

Jego oczy się rozszerzają.

– Słucham?

– Broń w pana kaburze. Wyglądała na Glocka 22.

– Zgadza się.

Doktor Hernandez marszczy brwi.

– Ten temat jest niezbyt konstruktywny...

Ale agent Carlyle pochyla się do przodu.

– Znasz się na broni?

„Nie masz pojęcia jak dobrze”.

PRZEDTEM

W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY, PIĄTKOWE PORANKI i sobotnie popołudnia mamy szkolenie.

To jeden z dwóch punktów programu – drugim jest kazanie Ojca Johna w każdy niedzielny poranek – obowiązujących absolutnie wszystkich członków Legionu. Szkolenie jest ważniejsze od wszelkich innych obowiązków w Bazie, choćby były najważniejsze na świecie, nawet od chorób, na które zdarza się cierpieć Braciom i Siostram. Sama widziałam, jak rozpaleni od grypy padają półprzytomni w połowie kazania, a potem cuci się ich, pomaga wstać, i tak stoją z twarzami pełnymi strachu i determinacji.

Na początku każdego szkolenia Ojciec John daje wykład, w którym przypomina o złu, jakie czai się Na Zewnątrz. O potwornych wrogach, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć.

Powiedziano nam, abyśmy u Kresu Dni spodziewali się pokrytych łuską skrzydlatych demonów z paszczami pełnymi zębów. Te groteskowe bestie o tuzinie głów z twarzami naszych bliskich powstaną z ziemi, a ogień, którym będą ziać, spopieli ziemię pod ich kopytami. I wtedy rozpocznie się Ostateczna Bitwa, a Pan napełni prawdziwych Wiernych mocą, bez której nie sposób pokonać siły ciemności. A gdy już zwyciężymy, to Wniebowstąpimy – Pan uniesie nas w górę na kolumnach światła i da miejsce u swego boku.

Jednak zanim nadejdzie ten Chwalebny dzień, musimy chronić się przed innym, ludzkim wrogiem. Skorumpowanym i spotworniałym od grzechu. Gdy Ojciec John o nim mówi, jego głos jest czystym jadem.

„Ten wróg TO RZĄD”.

To oczywiste, że wszystkie rządowe agencje są Sługami Węża, ale gdy mówi o nich Ojciec John, wydają się prawie tak samo złe jak ich władca. Sługi Węża to szczury w ludzkim ciele, bezduszne poczwary, które nienawidzą Pana i zrobią, co w ich mocy, by sprowadzić Wiernych ze Ścieżki Prawdy. Bez wahania zamordowaliby mnie, moich Braci i Siostry, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Oszaleliby z radości, mogąc zamknąć nas na wieczność i nękać torturami. Rząd przybiera wiele różnych form: FBI, ATF^[1], CIA, Biuro Szeryfa, Policja, IRS^[2] i Departament Bezpieczeństwa Krajowego, ale to wszystko łączy ta sama, panosząca się na Ziemi hydry, której przyświeca jeden plugawy cel: tryumf Węża nad światem.

Idę przez dziedziniec w stronę strzelnicy. Nie śpieszę się, chociaż widzę, że na terenie strzelnicy na tyłach Wielkiego Domu zgromadziła się już większość Rodziny, i wiem, że ten, kto spóźni się na szkolenie, nie uniknie kary. Ale już i tak – za sprawą Nate’a i mamy – wydaje mi się, że wszyscy patrzą właśnie na mnie i plotkują szeptem, więc w tej chwili jest mi już wszystko jedno. Nie obchodzi mnie, że damę im kolejny powód do krzywych spojrzeń.

Obchodzę Wielki Dom i przyłączam się do tłumu. Honey odwraca głowę i rzuca mi uśmiech, który cieszy mnie bardziej, niż mogłaby się spodziewać. Zdaje się, że nikt inny nie dostrzegł mojego spóźnienia. Na placu przed strzelnicą widzę Ojca Johna. Zaczął już wykład. Ze ściągniętą twarzą i zmrużonymi oczami tłumaczy szczegółowo, co Rząd zrobi Braciom i Siostram, jeżeli choć na sekundę przestaną mieć się na baczności.

Rząd ma śmigłowce, które zrzucą na nas płonąca benzyna, jeśli dopadną nas na zewnątrz Bazy – tam, gdzie nie sięga ochrona Ojca Johna.

Rząd zamorduje naszych najmłodszych, upiecze ich ciała nad jamą z Piekielnym Ogniem i zje.

Rząd zapłodni Siostry Legionu pasożytami, które pożrą je od środka.

Rząd poucina nam ręce, nogi i zaszyje usta, by szydzić z naszej agonii

w głodowych męczarniach.

Gdy Ojciec John kończy, wielu z najmłodszych Braci i Sióstr szlocha bezgłośnie, a ich rodzice stoją obok, popatrując na nich nerwowo, gdyż w Legionie Pana nie toleruje się słabości. Kątem oka zerkam na Honey, która patrzy Prorokowi prosto w oczy. Nie umiem odczytać wyrazu jej twarzy.

Po wykładzie przychodzi czas na strzelanie. Strzelnica znajduje się najdalej od Bramy Frontowej. Przed wścibskimi spojrzeniami zasłania ją Wielki Dom, ogrody i rząd zabudowań gospodarczych. Absolutnie krytyczne znaczenie ma to – Ojciec John nieustannie o tym przypomina – żeby Obcy do ostatniej chwili nie zorientowali się, jak dobrze jesteśmy przygotowani. Centurioni są zawsze uzbrojeni, ale pozostałym członkom Legionu Pana nie wolno mieć własnej broni. W czasach Ojca Patricka większość trzymała w kwaterach przynajmniej jeden karabin, ale po Czystce to się zmieniło. Tak jak wszystko inne.

Strzelanie trwa prawie godzinę. Celujemy do namalowanych na drzewach sylwetek z napisem FBI na piersi, strzelamy do tarcz łuczniczych, puszek, butelek i mnóstwa innych przedmiotów rzuconych w głąb strzelnicy. Huk wystrzałów ogłusza nas, a zawieszony w powietrzu gęsty dym jest gorzki i gryzie w gardle.

Strzelamy z najróżniejszej broni: z Glocków 17 i 22, Desert Eagle, MP5, Smith & Wesson, kaliber 45, AR-15, Sig Sauer P226, AK-47, M4, M16, z dubeltówek Remington, pistoletów Beretta 9 mm i wielu, wielu innych. Dzieciom do ósmego roku życia nie wolno strzelać, ale wszyscy, niezależnie od wieku, muszą być obecni. Jestem pewna, że większość moich młodszych Braci i Sióstr prędzej wymieniłaby nazwy dwudziestu sześciu modeli broni niż wszystkie litery alfabetu.

Składam się do strzału z M4 – karabinu, który ledwie mogłam unieść, gdy pierwszy raz dano mi go do ręki – i naciskam spust. Jestem gotowa na kopnięcie: obciążam wysuniętą do przodu nogę i zapieram kolbę o bark, tak że lewa ręka prawie nie drga, gdy po raz kolejny i jeszcze raz naciskam spust. Strzały wystukują metaliczny rytm o pnie, a każdy z nich

wzbija w powietrze fontannę odłamków kory.

Opróżniam cały magazynek. Gdy przeładowuję, moje spojrzenie zatrzymuje się na Ojcu Johnie. Stoi pod białym dębem na skraju zachodniego ogrodu. Dogląda swojej Rodziny z wyrazem dobrotliwej dumy na twarzy. A ja nagle, z całą jasnością, uświadamiam sobie, że trzymam w rękach broń i że ta broń może tak wiele, a w mojej głowie rozbłyskuje myśl tak dalece przekraczająca granice Herezji, że natychmiast odpycham ją od siebie, żeby – broń Boże – nie pojawiła się na mojej twarzy.

Po strzelaniu Amos zbiera broń i odnosi ją do Wielkiego Domu, a pozostali przygotowują się do treningu walki wręcz. Cały Legion dzieli się na wskazane przez Ojca Johna pary, które przez trzy minuty mają walczyć, jak umieją, używając jako broni wszystkiego, co się nawinie: rąk, nóg, paznokci, zębów, kamieni i kawałków drewna.

Ten trening też jest obowiązkowy, tak jak wszelkie inne ćwiczenia. Ale, w przeciwieństwie do strzelania, tutaj nie da się symulować. Na strzelnicy uważny obserwator dostrzegłby, że niektórzy Bracia i Siostry chybiają celu, ale brak należytego starania mógł im się upiec.

Z walką wręcz jest zupełnie inaczej. Gdy jeden z Centurionów widzi, że odpuszczamy, to wywleka nas na środek i robi z nas przykład. W Legionie Pana nie ma miejsca na litość ani słabość, a nieposłuszeństwo to grzech karany najsurowiej. Każdy, kto ma choć odrobinę rozumu, pojmie to w mgnieniu oka.

Ojciec John szepcze Centurionom imiona i patrzy, jak rozdzielamy się na dwa długie szeregi zwrócone twarzami do siebie. Dziś naprzeciwko mnie staje Lucy. Zawsze ma serce na dłoni i jest jedną z najmilszych dziewcząt w całym Legionie.

To nie jest przypadek. Na pewno nie.

Musiałabym być naprawdę głupia, żeby nie dostrzec, o co tu chodzi: Ojciec John chce przekonać się przy wszystkich, czy na jego rozkaz skrzywdzę bliską mi osobę. Czy będę posłuszna. Czy wciąż może mi ufać. Czuję się tak, jakby urządzono mi proces, nie wysuwając zarzutów,

choć i tak wiem, czego dotyczą.

Mojej mamy.

I Nate'a.

Lucy ma tylko dwanaście lat, jest o głowę niższa ode mnie i nie waży nawet czterdziestu kilogramów. Mogę ją powalić w pięć sekund i wiem, że powinnam to zrobić: jak najszybciej wykonać ten wstrętny obowiązek, zadając jej jak najmniej bólu. Ale nie chcę tego robić.

I nie zrobię.

Staram się – i myślę, że przez większość czasu udaje mi się – ukryć swoją wściekłość na Nate'a, mamę i siebie samą. Ten ostry, palący gniew wypełnia mi głowę myślami, od których robi mi się niedobrze, myślami, które nauczono mnie widzieć jako prostą drogę do wiecznego ognia Piekieł. A teraz, choć wiem, że wiele się zmieniło – że ja sama się zmieniłam – jakaś część mnie wciąż wierzy, że powinnam zostać ukarana za to, co pomyślałam, ściskając w rękach M4 i patrząc na Ojca Johna, oraz za wszelkie inne myśli, które nie dają mi zasnąć długo w nocy i zatruwają sny.

„Bzdury – odzywa się głos z tyłu głowy. – To nic...”.

Każę mu się zamknąć, bo naprawdę zasłużyłam na karę, nawet jeśli nikt poza mną nie wie za co. Boję się, jestem zła, osamotniona i nie wiem, co będzie dalej.

Ale w tej chwili pragnę tylko cokolwiek poczuć.

Dlatego gdy na wykrzyczaną przez Beara komendę: „Walczyć!” Lucy robi krok naprzód i wymierza mi słaby cios, ani drgnę. Pozwalam, by jej piąstka wylądowała na moim nosie i rozkoszuję się bólem, który uderza mi do głowy.

Oczy natychmiast wypełniają mi się łzami, a w gardle czuję posmak miedzi. Przez łzy widzę panikę na twarzy Lucy, ale mała nie ma się czego obawiać, nie oddam jej. Stoję bez ruchu, jak posąg, dając jej czas, by załapała, o co chodzi. Wreszcie uderza ponownie. I jeszcze raz.

Trzeci cios jest znacznie mocniejszy od poprzednich – odrzuca mnie do

tyłu. Potykam się i padam na wznak. Lucy staje nade mną. Zwykłą łagodność na jej buzi zastępuje pierwotna, krwiożercza euforia wywołana bólem zadany innym istotom. Patrzę na nią i szczerzę się w uśmiechu, który musi wyglądać okropnie, bo usta mam pełne krwi. Wiem to, bo gdy jej oczy robią się ogromne, przez chwilę przypomina samą siebie, ale wtedy Jacob Reynolds odpycha ją na bok i wbija we mnie wściekły wzrok.

– Wstawaj – cedzi.

Nikt inny już nie walczy. Ojciec John patrzy na mnie spod białego dębu, ale nie wygląda na złego. Wstając mozolnie, zdaję sobie sprawę, że jestem w centrum zainteresowania.

– Jeśli będziesz się tak ochrzaniać, kiedy nadejdzie Kres Dni, to już po tobie – mówi Jacob. – Słyszysz mnie? Nie wstąpisz do Nieba i nie zasiądziesz u boku Pana, tylko zdechniesz, a twoja dusza zgnije w Piekło. Chcesz tego?

Gapię się na niego przez dłuższą chwilę, a potem – najoszczędniej jak się da – kiwam głową.

Wskazuje na Lucy, która wzrokiem błaga mnie o przebaczenie. Chcę jej powiedzieć, że to nie jej wina, że nie zrobiła nic złego, ale wiem, że to tylko pogorszyłoby sprawę.

– Myślisz, że nie broniąc się, oddajesz jej przysługę? – pyta Jacob. – Wydaje ci się, że ją chronisz? Otóż nie. Jeśli nie nauczy się walczyć, przyjmować ciosów, padać, wstawać i znów walczyć, to Pan nie poprowadzi jej w Ostatecznej Bitwie i skończy w Piekło, u twego boku. Zawiodłaś ją.

Spluwam krwią na ziemię, a gdy znów przenoszę wzrok na Jacoba, po raz pierwszy dostrzegam, jaki jest naprawdę: gruby, brzydki i wredny, i nie mogę się nadziwić, że kiedykolwiek dałam posłuch choćby jednemu słowu, jakie wydobyło się z tej wstrętnej mordy.

– Uderz ją – szczuje.

– Nie.

Zgromadzeni Bracia i Siostry nerwowo wciągają powietrze, bo nikomu nie wolno sprzeciwiać się Centurionom, nawet tak kiepsko dobranym do tej roli.

Absolutnie nikomu.

Robi krok w moją stronę, zwężając oczy.

– Uderz ją albo ja to zrobię.

– Moonbeam – dobiega mnie głos Lucy – nie ma sprawy, zrób to.

– Nie! – krzyczę, wywołując skrzywienie na twarzy Jacoba.

Rozgląda się, czerwony od upokorzenia i gniewu, a potem znów obraca się do mnie.

– Masz ostatnią szansę – warczy.

– Idź do diabła – odpowiadam.

Wśród zgromadzonych zapada całkowita, przerażająca cisza. Przez chwilę, która wydaje się nie mieć końca, Jacob nie reaguje. Świdruje mnie tylko wzrokiem. Twarz ma purpurową, a jego dżinsowa koszula wyraźnie unosi się i opada wraz z oddechem. I nagle – znacznie szybciej, niż można było się spodziewać po grubasie o słabej kondycji – obraca się w lewo i potężnym ciosem pięści wymierzonym w twarz Lucy wyrywa ją z ziemi. Lecąc w powietrzu, mała bezwładnie rozrzuca ramiona, po czym wali się na ziemię i wydaje z siebie pisk.

– NIE! – wybucham wrzaskiem i rzucam się naprzód, gotowa rozszarpać paznokciami twarz Jacoba, wydłubać mu oczy.

I prawie mi się udaje.

Prawie.

Lonestar chwyta mnie w locie i rzuca mną o piach, wyciskając całe powietrze z płuc jak z pękającego balonu. Uderzam głową o pustynną ziemię i dostrzegam mrowie gwiazd, a potem Lonestar zmusza mnie do wstania, wykręcając mi ręce do tyłu. Podbiega Bear i we dwóch bez wysiłku, ściskając mocno za kostki i nadgarstki, unoszą mnie nad ziemię. Miotam się, klnę i wrzeszczę, żeby mnie, NA MIŁOŚĆ BOSKĄ!, puścili, ale nie puszczają, tylko niosą bez słowa przez strzelnicę.

Bracia i Siostry uskakują nam z drogi, prawie się przewracając. Wszyscy bez wyjątku robią, co mogą, żeby nie spojrzeć mi w oczy, a ja pluję, wrzeszczę i wyję. Ojciec John przygląda mi się spod białego dębu z wyrazem głębokiej dezaprobaty.

Gdy w uścisku Centurionów mijam róg Wielkiego Domu, ciepłe powietrze niesie okropne, głuche odgłosy uderzeń i krzyki. To Jacob daje Lucy lekcję, której ja nie chciałam jej udzielić.

POTEM

GDY KOŃCZĘ MÓWIĆ, obaj mężczyźni siedzący za biurkiem są bladzi.

Nie dziwię się, chociaż jestem pewna, że to właśnie tę historię chciał usłyszeć agent Carlyle, a może i doktor Hernandez, choć prawdopodobnie czuje się z tego powodu winny. Historię o przemocy, karach i broni. Krew rzadko zwiastuje szczęśliwe zakończenia, ale prawie zawsze dodaje dramatyzmu opowieściom.

– Kiedy do tego doszło? – pyta agent Carlyle cichym, spiętym głosem.

– Trzy dni przed pożarem – odpowiadam.

– A więc to był ostatni trening, jaki odbył Legion Pana?

Czuję dreszcz na plecach, bo dopiero teraz pomyślałam o tym w ten sposób.

– Tak jakby. Chyba tak.

– Podobno nie karano was za łamanie zasad. – W głosie doktora Hernandeza odzywa się dziecinna nuta. Brzmi zabawnie, jak nastolatek, który stara się nie dąsać, przez co o mało nie wybucham śmiechem. – Mówiłaś, że członkowie Legionu nie żyli w strachu. Dlaczego tak powiedziałaś?

Wzruszam ramionami. Mogłabym powiedzieć prawdę, że nie ufałam mu, gdy o to pytał, i że wciąż nie całkiem ufam, ale co by mi to dało?

Zerka na agenta Carlyle'a z wyrazem twarzy, w którym przez mgnienie dostrzegam jakąś dziwną zazdrość, a potem długo gryzmoli w jednym z notesów. Gdy wreszcie wraca spojrzeniem do mnie, jego twarz znów zdobi maska neutralnego profesjonalizmu.

– I co się z tobą stało? – pyta. – To znaczy, potem.

– Bear i Lonestar zamknęli mnie w pokoju. Myślałam, że zaraz po szkoleniu zaprowadzą mnie do Wielkiego Domu, ale tak się nie stało. Po dzwonie wzywającym na kolację Bear mnie wypuścił.

– Jak sądzisz, dlaczego cię nie ukarano?

Wzruszam ramionami.

– Może Ojciec John się rozmyślił, bo byłam jego Przyszłą Żoną. A może nie zdążył podjąć decyzji, zanim wszystko się zaczęło. Nie wiem.

Doktor Hernandez notuje, a potem kiwa głową.

– Parę razy wspomniałaś o Centurionach. Powiesz nam o nich coś więcej?

Przytakuję skinieniem.

– Tak Ojciec John nazywał czterech najbardziej zaufanych członków Legionu.

– W dziwny sposób okazywał im swoje zaufanie – przerywa agent Carlyle. – To znaczy pod koniec. Ale chyba sama wiesz najlepiej, o czym mówię.

Moje serce gwałtownie przyśpiesza.

– O czym?

– O tym, co wydarzyło się w Wielkim Domu. W czasie pożaru. Widziałaś to.

Doktor Hernandez ściąga brwi.

– Okej – zaczyna – myślę, że powinniśmy...

– Nie wchodziłam do Wielkiego Domu w czasie pożaru – odpowiadam. Oczy agenta Carlyle’a stają się wąskimi szparkami.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wpatruje się we mnie, a ja z trudem wytrzymuję to spojrzenie.

„Tylko spokojnie – szepcze głos z tyłu głowy. – On nie wie, nie ma takiej możliwości, więc po prostu zachowaj spokój”.

- W porządku – odzywa się w końcu. – Skoro tak mówisz, to ci wierzę.
- Proszę o rozwagę... – mówi doktor Hernandez cicho.

Agent Carlyle kiwa głową, po czym uśmiecha się do mnie.

- Twój ojciec był Centurionem. Zgadza się?

Marszczę brwi.

- Kto to panu powiedział?
- W tej chwili to nie ma znaczenia.
- Dla mnie ma.
- Dlaczego?
- Bo drażni mnie myśl, że ktoś rozmawia z panem o mojej rodzinie.
- Czy chcesz powiedzieć, że...

Wzbiera we mnie gejzer wściekłości.

- Może ma mnie pan za głupią, ale nie jestem głupia. Jeśli ktoś mówił panu, co robił mój ojciec, gdy już przystał do Legionu, to mógł to być tylko ktoś, kto odszedł z niego w czasie Czystki. Wszyscy inni nie żyją.

Agent Carlyle kiwa głową.

- Z wyjątkiem twoich młodszych Braci i Sióstr. No i ciebie.

Wpatruję się w niego przez długą chwilę, bo to było naprawdę główniane zagranie. Jest jasne, że wie więcej, niż mówi. Obaj wiedzą więcej. Niech im będzie. Ja też wiem znacznie więcej, niż im mówię. Ale obcesowe wyciąganie wspomnień o moim tacie jest po prostu okrucieństwem, bo skoro wiedzą, że był Centurionem, to pewnie wiedzą też, że nie żyje.

- Nikt nie chce mi powiedzieć słowa o mojej mamie, a pan wypytuje mnie o ojca? – odzywam się. – To nie fair.

- Nie fair? Dlaczego?

- Moonbeam, przecież mówiłem ci, że nie mamy żadnych informacji o twojej mamie – wtrąca się doktor Hernandez. – Nie wierzysz mi?

Wzruszam ramionami.

- Okej – odzywa się agent Carlyle. – A więc mówisz, że twój ojciec

nie był Centurionem?

– Najwyraźniej sam pan wie, jak było – odpowiadam, próbując ukryć bulgoczącą we mnie frustrację, ale nie wiem, czy mi się udaje. – Dlaczego chce pan to usłyszeć ode mnie?

– Bardziej mnie ciekawi, dlaczego nie chcesz tego powiedzieć – odparowuje.

– Dobrze – przerywa doktor Hernandez. – Proszę was oboje o powstrzymanie nerwów. Szorstka dyskusja może być konstruktywna, ale kłótnia do niczego nie prowadzi.

– Wybacz – odzywa się agent Carlyle, ale gdy patrzę mu w oczy, widzę, że nie mówi szczerze.

– Mój ojciec zmarł czternaście lat temu.

Kiwa głową.

– Wiem i bardzo mi przykro.

– Więc co za różnica, czy był Centurionem czy nie?

– Ciekawi mnie, czy ten fakt wpływa na to, jak o nich myślisz.

– Nie wpływa – mówię. – Ojciec był jednym z pierwszych Centurionów, powołanych jeszcze przez Ojca Patricka. Wtedy byli inni.

– Inni niż pod rządami Ojca Johna?

Potakuję skinieniem.

– Zmienili się po Czystce.

– Ale twierdzisz, że to tylko nazwa dla najbardziej zaufanych pomocników Ojca Johna – drażny temat agent Carlyle. – A przecież tylko oni mogli nosić broń. To oni przyglądali się bezczynnie, jak Jacob Reynolds masakruje twoją przyjaciółkę Lucy. To oni zawlekli cię siłą do twojego pokoju i zamknęli tam, mimo że nie zrobiłaś nic złego.

Powoli kręcę głową. Frustracja wzbiera we mnie jak pożar lasu i nie wiem, czy zdołam ją ugasić.

– Co konkretnie chce pan ode mnie usłyszeć? Znacznie łatwiej i szybciej nam pójdzie, jeśli mi pan powie, co mam mówić.

– To nie jest przesłuchanie, Moonbeam – przerywa doktor Hernandez. – Jeśli odniosłaś takie wrażenie, to przepraszam. Chcemy tylko, żebyś opowiedziała nam o tym, co pamiętasz, myślisz i czujesz. Żebyś mówiła prawdę, o ile tylko chcesz ją powiedzieć. Ale wkładanie słów w twoje usta jest ostatnią rzeczą, na jakiej nam zależy.

Nagle jestem bliska łez.

W spojrzeniu doktora Hernandeza jest tyle łagodności i współczucia, że chce mi się krzyczeć, agent Carlyle patrzy zaś na mnie tak, jakbym nie była człowiekiem tylko szafką z aktami pełnymi danych, do której trzeba się jakoś włamać, a całe moje wnętrze wyje i ciska się z nienawiści do niego. Do nich obu. I w ogóle do wszystkich na całym świecie.

Siebie też nienawidzę.

„I powinnaś! – wrzeszczy Ojciec John. – Jesteś bezużyteczna i Fałszywa!”.

– Opowiesz nam o Centurionach? – słyszę doktora Hernandeza.

– Już opowiedziałam. – Głos mi się trzęsie.

– Jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy. Ale faktem jest, że nam o nich nie opowiadałaś.

– Nie chcę – ucinam.

Na twarzy doktora Hernandeza pojawia się ledwie widoczny błysk rozczarowania. Trwa ułamek sekundy, ale jednak go dostrzegam.

– Dobrze – odzywa się. – Nie ma najmniejszego problemu. Wrócimy do tego jutro.

Agent Carlyle marszczy brwi – chyba normalnie nie przerywa przesłuchania tylko dlatego, że podejrzany nie ma ochoty odpowiadać – ale nic nie mówi.

Doktor Hernandez przenosi swoją torbę na stół i z dbałością chowa do niej notesy i przybory do pisania. Po ułożeniu wszystkiego w porządku wstaje.

– Zobaczymy się jutro rano. Mam nadzieję, że dzisiejsza sesja grupowa pójdzie dobrze. Będę się przyglądał.

Nie umiem się powstrzymać, bo choć gniew nie szaleje już we mnie wielkim ogniem, to jego żar tli się jeszcze gdzieśgdzie.

– Jak Centurion – wypalam.

Staje jak wryty i wbija we mnie wzrok.

– Dlaczego to powiedziałaś?

Milczę.

Znów siada obok agenta Carlyle’a, który jeszcze nie wstał.

– Jeśli Centurioni byli tylko najbardziej zaufanymi członkami Legionu, to dlaczego uważasz, że nazwanie mnie jednym z nich jest obelgą?

– Bo wiem, że pan myśli, że byli źli.

Kiwa głową, ale jego twarz pozostaje zachmurzona.

– Masz rację. Właśnie tak o nich myślę.

– To, co się stało z Lucy, ostatecznie miało sens – mówię. – Wówczas, gdy wszystko wokół się rozpadało. Ale nie zawsze tak było. Oni nie zawsze tacy byli.

„To żalosne – szepcze głos z tyłu głowy. – Okłamujesz się. Kogo usiłujesz chronić? Ich czy siebie samą?”.

– Wierzę ci, Moonbeam – mówi doktor Hernandez. – Serio. Więc może powiesz nam, jacy byli naprawdę?

PRZEDTEM

TRZEBA MIEĆ ZASADY. Tak mówi Ojciec John. Bez zasad wszystko się rozpada.

Ale nie wystarczy po prostu mieć zasady. Trzeba jeszcze sprawić, żeby ludzie ich przestrzegali. Można tłumaczyć, że zasady przynoszą korzyść wszystkim, że dzięki nim czujemy się chronieni i bezpieczni. Wielu ludzi, prawdopodobnie większość, będzie przestrzegać zasad, bo jest z natury uczciwa i rozumie, że dzięki nim społeczność działa jak dobrze naoliwiony mechanizm. Ale to nie wystarczy, bo niektórzy nie są tak uczciwi i skłonni do poświęceń. Takich ludzi trzeba specjalnie zachęcać do przestrzegania zasad, mimo że sami dobrze wiedzą, że powinni to robić. A ponieważ nie można nagradzać za każdy przejaw dobrego zachowania, należy znaleźć inną zachętę. Na przykład bezwzględne konsekwencje za nieprzestrzeganie zasad.

Właśnie tak działa Legion Pana.

Centurionów zawsze było tylko czterech. Od początku istnienia Legionu było ich łącznie sześciu, bo tę funkcję i związane z nią obowiązki pełni się do końca życia. Centurioni nie noszą mundurów ani dystynkcji, ale wszyscy ich rozpoznają. I to nie tylko po broni wiszącej u pasa lub zarzuconej na ramię. W latach, które nastąpiły po Czystce, nowym Braciom i Siostram – wciąż jeszcze dość regularnie przybywającym do Bazy – mówiono na dzień dobry dwie rzeczy. Po pierwsze, że słowo Ojca Johna jest niepodważalne. Po drugie, że jego gwarantem są Centurioni.

Zdarzało mi się słyszeć stwierdzenie – zwykle wypowiedziane w gniewie, przez ludzi dotkniętych karą za jakieś przewinienie – jakoby

Centurioni zachowywali się podobnie do policji z Zewnątrz. Sama wiem o policji tylko tyle, ile widziałam w telewizji, gdy jeszcze mogliśmy ją oglądać, ale, przynajmniej ja, wcale nie widzę podobieństwa. Centurioni nie szpiegują swoich. Nie przesłuchują, nie stosują podstępów ani prowokacji i są zawsze pełni pokory. Nie wywyższają się. Ale jeśli faktycznie coś zaczyna się psuć, jeśli dostrzegą, że ktoś choćby na chwilę zbacza ze Ścieżki Prawdy, to pojawiają się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. A kiedy już się pojawiają, to czynią sprawiedliwość w imieniu Pana.

Oczywiście – w interpretacji Ojca Johna.

Gdy miałam dwanaście lat, jeden z Braci imieniem Shanti stłukł swoją czteroletnią córeczkę Echo kijem od szczotki, bo zobaczył, że ta, siedząc na podłodze w kuchni, zabiera się do wypicia wybielacza. Odgłosy tego zajścia dało się słyszeć w każdym zakątku Bazy: uderzenia kija, przenikliwe wrzaski małej, gniewne krzyki Shantiego i pełne desperacji błagania Leny, jego żony, żeby przestał, „żeby już, na miłość Boską, przestał!”.

Horizon i Bear rzucili się pędem przez dziedziniec i zniknęli w kuchni. Krzyki i płacze nasiliły się, a potem zobaczyłam, jak Centurioni wleką Shantiego w stronę trzech metalowych kontenerów stojących w północno-wschodnim narożniku Bazy. Krzyczał, wierzgał i szarpał się całą drogę, ale Bear i Horizon nie ustąpili o krok. Wepchnęli Shantiego do kontenera, zatrzasnęli i zaryglowali drzwi, po czym popędzili do kuchni, żeby sprawdzić, czy Echo i Lena są całe. Niebawem obie wyszły z kuchni blade jak ściana, w zakrwawionych ubraniach.

Shanti spędził w metalowym kontenerze dziesięć dni i nocy, otrzymując pół bochenka chleba i dwulitrową butelkę wody na dobę.

W ciągu dnia, gdy słońce bezlitośnie praży pustynię, kontenery rozgrzewają się tak, że nie da się ich dotknąć gołą ręką. Nocą zaś, kiedy po zachodzie słońca ciepło uleci, kontenery się wyziębiają i do maja, a czasem nawet do czerwca, ich dachy pokryte są szronem.

Pierwszego dnia Shanti wygłaszał tyrady, szlochał i walił w ściany

kontenera jak w bęben, wybijając rytm, który przypominał, jak wygląda – i brzmi – sprawiedliwość w Legionie Pana. Drugiego dnia po obiedzie z kontenera co jakąś godzinę dobiegał już tylko cichy charkot. Na trzeci dzień wszelkie odgłosy ucichły.

Piątego wieczora Ojciec John kazał otworzyć kontener, długo patrzył do środka i wreszcie spytał, czy Lena życzy sobie, by okazał jej mężowi łaskę. Lena mocno objęła Echo i odpowiedziała Prorokowi, że łaska jest dla słabych. Ojciec John ucałował ją w czoło, powiedział, że Pan jest Dobry i kazał Centurionom zamknąć kontener.

Kiedy znów go otwarto po upływie niemal dwustu pięćdziesięciu godzin, człowiek wywleczony z wnętrza w jaskrawym świetle poranka nie był Shantim, który trafił do środka. Nie był w stanie chodzić o własnych siłach, blada jak pergamin skóra wisiała mu na kościach jak u cielaka, a oczy zapadły się i nie było w nich życia. Nie umiał spojrzeć w oczy Braciom i Siostram, którzy zebrali się, by zobaczyć jego uwolnienie.

Julia i Becky pielęgnowały Shantiego przez trzy miesiące pod bacznym okiem Centurionów. Leżał w łóżku karmiony cienką zupą, aż wreszcie zaczęło mu się polepszać. W tym czasie Echo i Lena ani razu go nie odwiedziły. Gdy tylko wydobrzeł na tyle, że mógł usiąść za kierownicą i nacisnąć na pedały, zniknął w tumanie pyłu.

Żona i córka nawet się z nim nie pożegnały. Niespełna miesiąc później Ojciec John ogłosił, że Pan nakazuje Lenie, by połączyła się z nim w małżeństwie, i wkrótce obie przeniosły się do Wielkiego Domu.

Ale większość z nas nigdy nie wpadła w tak poważne tarapaty ani nie doświadczyła tak surowych kar. Najgorsze, co mnie spotkało, to trzydniowy post zasądzony przez Ojca Johna za to, że podczas mojej pierwszej nocnej straży opuściłam posterunek przy Bramie Frontowej, bo chciałam sprawdzić, co wydaje dziwne odgłosy, dobiegające z pustyni. Okazało się, że był to bezpieczny kot.

Trzydniowy post był dotkliwą, ale zasłużoną karą. Horizon długo tłumaczył mi swoim niskim, łagodnym głosem, że gdyby Słudzy Węża weszli przez Bramę Frontową i zabili Proroka w Wielkim Domu, to

byłaby moja wina.

I miał rację. A kara była skuteczna.

Ilekcóć później pełniłam straż, nigdy nie zeszłam z posterunku, nawet na sekundę.

POTEM

– Głodzili cię przez trzy doby tylko dlatego, że na kilka minut opuściłaś posterunek? – pyta agent Carlyle.

– Nie głodzili – odpowiadam. – To była kara. Dla mojego własnego dobra.

„Nie rób tego – ostrzega głos z tyłu głowy. – Nie tłumacz ich”.

Doktor Hernandez zapisuje coś w jednym z notesów, a potem obdarza mnie spojrzeniem, którego nie cierpię chyba najbardziej ze wszystkich – przepełnionym współczuciem dla mnie.

– Jakie jeszcze kary wymierzali Centurioni?

Milczę.

„Tylko spokojnie”.

Odkłada długopis.

– Moonbeam? Nie odpowiesz?

Kręcę głową.

„Spokojnie”.

– Dlaczego?

– Bo dla pana to wcale nie jest prawda! – Mój głośny wybuch dziwi mnie samą, ale nie wstydzę się go. Bawi mnie zaskoczenie na twarzy doktora Hernandeza, jego marszczące się czoło i wytrzeszczone oczy. – Ani trochę! Obłożył się pan notesami i bazgroli na mój temat, a ja przecież siedzę panu przed samym nosem. Pan myśli, że nie wiem, co pan ze mną robi i co tam wypisuje? Zawsze taki łagodny, te jego pytania zawsze takie rozsądne! Dla pana to wszystko są tylko puzzle, które

wystarczy ułożyć. Nawet ja sama. Jakoś wcale pan tego nie chwyta. Nie opowiadam, żeby was zabawić, ani nie zmyślam bzdur na życzenie. Ja to wszystko przeżyłam. To naprawdę było moje życie! Nie rozumie pan tego?

Agent Carlyle wpatruje się we mnie tymi swoimi błękitnymi ślepiami, ale go ignoruję. Całą uwagę, która mi jeszcze została, skupiam na doktorze Hernandezie.

– Przepraszam cię. – Gdy się w końcu odzywa, mam wrażenie, że minęły całe godziny. – Wiem, że nigdy nie zdołam w pełni zrozumieć tego, przez co przeszedłeś. I sam przyznaję, że nie zawsze wyciągam właściwe wnioski. Ale wszystko, co tu robimy, to proces, przez który musimy oboje przejść. I ja, i ty. Są sprawy, których zrozumienia nikt od ciebie nie oczekuje. Dotyczą świata, w którym dorastałeś i świata zewnętrznego, poza ogrodzeniem Bazy. Do niektórych z nich musimy wrócić i obnażyć ich prawdziwą naturę. Staram się jak najdelikatniej przeprowadzić cię przez ten proces, chociaż wiem, że nie zawsze masz wrażenie, że tak się to odbywa. Masz do tego pełne prawo. Nie lekceważę twoich uczuć ani nie opisuję cię szczegółowo w notatkach. Okej?

Serce wali mi w piersi, skóra płonie, a obandażowaną rękę nagle przeszywa większy ból niż ten, który ćmił przez cały dzień, ale w głosie doktora słyszę szczerą i nie wydaje mi się, żeby udawał. A może tylko nie dopuszczam do siebie tej myśli.

Biorę głęboki wdech.

– Okej. Przepraszam.

– Ja również. Ale teraz, skoro już o tym rozmawiamy i otworzyliśmy się wzajemnie z emocjami, pozwól, że o coś zapytam. Czy byłabyś zaskoczona, gdybym ci powiedział, że prawie wszędzie na świecie dorosły, który przez trzy dni nie karmi dziecka, trafiłby do więzienia?

Wpatruję się w niego.

– A czemu?

– Bo to podlega pod zaniedbanie obowiązku opieki nad dzieckiem,

znęcanie się albo podobny paragraf – odpowiada. – Rozumiesz?

Kręcę głową. Nie wiem, o co mu chodzi.

– Zaniechanie jest wtedy, gdy ktoś nie troszczy się wystarczająco o osobę, za którą jest odpowiedzialny. Na przykład, jeśli rodzic albo opiekun nie zapewni dziecku czystego ubrania albo nie posyła do szkoły, mimo że powinno do niej chodzić. Pozostawienie dziecka bez posiłku przez trzy dni to z całą pewnością zaniechanie.

– To była kara – odpowiadam, bo tak właśnie było. Złamałam zasady i zostałam ukarana. To normalna kolej rzeczy.

„Tak naprawdę w to nie wierzysz – mówi głos z tyłu głowy. – Może kiedyś wierzyłaś, ale teraz już nie”.

– Zamknij się – karcę się szeptem.

Doktor Hernandez ściąga brwi.

– Moonbeam?

Potrząsam głową.

– Moja mama tam była. Wtedy, kiedy Ojciec John ogłaszał, że mam pościć. Zgodziła się na to.

Obaj milczą i wpatrują się we mnie.

– Możemy już skończyć? – pytam, zawstydzona błagalną nutą w swoim głosie. – Proszę.

Doktor Hernandez kiwa twierdząco głową.

– Oczywiście. Dobry pomysł.

Siostra Harrow uśmiecha się do mnie, po czym zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Próbuję odwzajemnić jej uśmiech, ale chyba mi się nie udaje.

Przez chwilę lub dwie stoję na środku pokoju, a potem padam na łóżko i wbijam wzrok w sufit, starając się odgonić wspomnienie twarzy Shantiego, kiedy już wypuścili go z kontenera. Malowała się na niej potworna, desperacka... ulga.

Nie chcę jej widzieć. I w ogóle nie chcę już dziś oglądać żadnych innych okropności. Mogłabym tego nie wytrzymać.

Zamiast tego próbuję przywołać obraz taty.

Umarł, gdy miałam ledwie trzy lata, więc wcale nie powinnam go pamiętać. A jednak – to dziwne – pamiętam. Jego obraz jest wyraźny. Chyba siedzę mu na kolanach albo bawię się na podłodze u jego stóp i z tej perspektywy go widzę. Wiem, że te wspomnienia nie mogą być prawdziwe, bo miałam wtedy tylko trzy lata. To na pewno obrazy, które wymyśliłam sobie już po jego śmierci. Stworzyłam je i zagrzebałam tak głęboko we własnym mózgu, że już nie umiem odróżnić ich od prawdy.

To niepokojąca sprawa, nie móc w pełni zaufać własnemu umysłowi. Pamiętam – zdarzyło się to więcej niż kilka razy – że zastanawiałam się, czy mój ojciec w ogóle istniał czy może był tylko wymyśloną przez moją matkę bajeczką na pocieszenie. Ale nie wierzę, nie umiem uwierzyć, żeby okłamywała mnie w kwestii tak fundamentalnej jak moje pojawienie się na świecie. Jedyne zdjęcie taty, jakie miałam, spłonęło w pożarze wraz ze znakomitą większością dobytku znajdującego się w Bazie. Ale przecież nadal mam jego zegarek, a kiedyś miałam też noże, które – mimo że nie wiem, gdzie teraz są – naprawdę istnieją, są fizycznymi przedmiotami, które należały kiedyś do prawdziwej osoby.

A jeszcze trudniej jest zaakceptować fakt, że on naprawdę istniał, ale umarł i to znacznie wcześniej, niż powinien.

To trudniejsze i znacznie bardziej bolesne.

Ale taka jest prawda.

PRZEDTEM

– ŻLE – MÓWI MAMA. – Daj mi to.

Podaję jej sznurek i słoje z koralikami i patrzę, jak zaczyna je nawlekać – na przemian niebieskie, białe i bladożółte – i pozwala im zsunąć się razem przy kciuku, tam gdzie nawinęła sznurek.

Nigdy nie celowałam w robótkach ręcznych. Gdy byłam mała, jeszcze przed Czystką, Alice i kilka innych dziewcząt robiły bransoletki i naszyjniki na sprzedaż, które błyszcząły, mieniły się i były tak ładne, że kobiety w Layfield piały z zachwytem nad nimi i nad zmyślnością moich sióstr.

Zazdrościłam im. Gdy sprzedawały swoją biżuterię, strumień banknotów dolarowych płynął w ich stronę, a ja snułam się wte i wewte po chodniku nagrzanym jak patelnia z plikiem przepoconych ulotek w rękę, próbując skłonić przechodniów do rozmowy o Słowie Pańskim. Większość odmawiała, chociaż nie po chamsku, bo byliśmy dziećmi, a dorośli wobec dzieci starają się być trochę bardziej mili, ale i tak większość tyle co mruknęła: „Nie, dziękuję”, a potem odchodziła, ledwie omiatając mnie wzrokiem.

Jednakże kiedy już ktoś się zatrzymał, to była zupełnie inna historia. Może i nie umiałam nawlekać koralików, suszyć kwiatów czy kleić kawałków kryształu górskiego, ale rozmawianie z ludźmi szło mi świetnie. Najczęściej dawali się zagadnąć z nudów albo upatrywali rozrywki w łatwym do wygrania pojedynku na argumenty z małą dziewczynką, ale kiedy już przykułam ich uwagę, to zwykle rozmowa szła inaczej, niż sobie wyobrażali.

Zaczynałam od podchwytliwego pytania, takiego, na które musieli odpowiedzieć twierdząco. Na przykład: „Czy boi się pani Piekła?” albo: „Czy wierzy pan w potęgę Boga?”. Te działały niezawodnie, bo mimo że większość mieszkańców Layfield wiodła życie dalekie od Ścieżki Prawdy, to niemal wszyscy twierdzili, że są wierzący. No więc kiedy już na moje pierwsze pytanie odpowiedzieli „tak” – mówiłam dalej.

Opowiadałam im o Wężu i jego Sługach, o Kresie Dni i Ostatecznej Bitwie, wciskając im do rąk ulotkę za ulotką, po czym zapraszałam, by odwiedzili Bazę i zastanowili się nad tym, o czym rozmawialiśmy. Teraz, kiedy Pierwsza Proklamacja Ojca Johna zakazuje prawie wszystkich kontaktów członków Legionu ze światem Na Zewnątrz, wydaje się to szaleństwem, ale w czasach Ojca Patricka poranne niedzielne nabożeństwo było otwarte dla wszystkich gości, którzy chcieli wziąć w nim udział, a mieszkańcy okolicznych miasteczek odwiedzali nas dość regularnie. Niektórzy przyjeżdżali z ciekawości, a inni z braku lepszych zajęć, więc co tydzień widziało się w tylnych ławkach Kaplicy kilka nowych twarzy. I najczęściej byli to ludzie, z którymi wcześniej rozmawiałam.

Ojciec Patrick często nazywał mnie swoją małą ewangelistką. Ta pochwała zawsze wywoływała u mnie uśmiech od ucha do ucha.

Mama nawleka ostatni koralik, mocuje zapięcie i podaje mi naszyjnik.

– Gotowe – mówi. – To nie jest trudne, Moon. Tylko trzeba nabrać wprawy.

Kiwam głową, bo co można odpowiedzieć osobie, która nie rozumie, dlaczego nam nie wychodzi coś, co dla niej jest banalnie proste, i zakładam naszyjnik. Czuję ciężar i gładkość koralików, więc się uśmiecham.

– Jest świetny, mamó. Dzięki.

– Okej. – Lubię sobie wyobrażać, że to znaczy: „Bardzo proszę, córeczko”, mimo że mama nie wypowiada tych słów.

Siedzimy na ławce przy zachodnim skraju Bazy, pod jesionem, w który dwa lata temu uderzył piorun. Jego martwe gałęzie wyciągają się ku niebu

jak połamane palce, a podstawę pnia otacza krąg nagiej ziemi, gdzie nic już nie rośnie, nawet chwasty. Niebo nad nami jest jasnoniebieskie i przeogromne, bez najmniejszej chmurki, a słońce praży tak mocno, że aż czuję mrowienie na ramionach. Obiad skończył się przed godziną. W zwykłe dni dawno wróciłybyśmy do pracy, ale dziś jest niedziela, a w niedzielę nie pracujemy. Ojciec John chce, żebyśmy odpoczęli, oddali się myślom o kolejnym tygodniu spędzonym na Ścieżce Prawdy i podziękowali Panu za błogosławieństwa, którymi nas obdarzył.

Zerkam na mamę. Znam ten jest pusty wzrok utkwiony w dali. Budzi we mnie irytację, a irytacja – poczucie winy.

Nie zrozumcie mnie źle, kocham moją mamę.

Naprawdę ją kocham.

Kocham ją, bo jest bystra i ładna, bo o mnie dba i bardzo mi pomaga nie zboczyć ze Ścieżki Prawdy. Ale prawda jest taka – przyznając to nawet przed sobą samą, czuję się okropnie – że niespecjalnie ją lubię. I często wydaje mi się, że z wzajemnością.

Nigdy nie jest dla mnie szorstka, przynajmniej nie celowo. Niektórzy z naszych Braci i Sióstr są tak wstrętni dla swoich dzieci, że trudno mi zrozumieć, po co w ogóle sprowadzili je na świat. Krzyczą i ubliżają im, a gdy dostaną zgodę od Centurionów, surowo karzą je za najmniejsze przewinienie. Moja mama taka nie jest, za co jestem wdzięczna.

Ale trudno właściwie powiedzieć jaka jest. Chyba najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że mama – i to, mówiąc szczerze, bardzo często – jest nieobecna. Jakby ta postać, którą codziennie widzę, była tylko echem prawdziwego człowieka. Jakby odarto ją z życia i energii, pozostawiając tylko chodzącą, gadającą i śmiejącą się powłokę, która tak naprawdę nic nie czuje.

Zresztą to nic nowego. Długo myślałam, że ten jej dystans wynika z tęsknoty za tatą, ale przecież on nie żyje już ponad dziesięć lat i wydaje mi się, że są jakieś granice – przecież żałoba nie może trwać w nieskończoność, bo inaczej jak w ogóle ludzie mieliby żyć? Jestem pewna, że kiedyś musi nadejść dzień, kiedy się budzimy i bólu już nie ma,

jak wtedy, gdy mając siedem lat, spadłam z dachu jednego z samochodów i złamałam rękę. Jeśli tak nie jest, to nie wiem, po co w ogóle ludzie mieliby się zakochiwać, brać śluby i mieć dzieci, no bo przecież te wszystkie rzeczy niosą ze sobą rany tak głębokie, że nie sposób się z nich wylizać, a to mi wygląda na kiepski interes.

– Dam grosik za twoje myśli – mówię.

Przenosi spojrzenie na mnie.

– Słucham?

– O czym myślisz, mamó? Dam grosik za twoje myśli.

– A – odpowiada z nieznacznym uśmiechem. – Wybacz, zupełnie odpłynęłam.

„Mhm. Jak zawsze”.

– Nie szkodzi. O czym myślałaś?

– O twoim ojcu – odpowiada, a ja czuję, że sztywnieję. Prawie nigdy o nim nie wspomina, nawet gdy ją o to proszę. – Myślałam o tym, jak bardzo uwielbiał to miejsce.

– Uwielbiał? Dlaczego?

– Bo był idiotą – rzuca mama. Widzi, że marszczę czoło, więc sama również się krzywi. – Wybacz. Chciałam powiedzieć, że łatwo było na nim zrobić wrażenie.

– Co robiło na nim wrażenie?

Wzrusza ramionami.

– Wszystko. Ludzie, obrazy, muzyka, książki, miejsca. Zwłaszcza miejsca. Dorastał w Chicago, był typowym chłopakiem z miasta, a kiedy przeprowadziliśmy się do Santa Cruz, co najmniej raz dziennie mówił mi, że Pacyfik jest wspaniały, tak jakby każdego ranka widział go po raz pierwszy w życiu. Ale jego uczucie do oceanu było niczym wobec miłości, jaką zapałał do tej pustyni. Mawiał, że ona jest niepodważalnym dowodem na istnienie Boga, bo tylko Pan mógł stworzyć coś tak zupełnie niesamowitego, a na dodatek dać nam mózgi zdolne do ogarnięcia tej wspaniałości. Mówił, że ta pustynia jest Najświętszym miejscem, jakie

widział.

– A co ty o niej myślisz, mamó?

Znowu wzrusza ramionami.

– To zwykła pustynia. Gorąca i pusta jak każda inna. Ranki i wieczory są tu bardzo ładne, no i lubię tę ciszę i spokój, ale to tylko pustynia. Miejsca nie mają większego znaczenia, Moon, chociaż ludziom wydają się ważniejsze, niż są w rzeczywistości.

– A ty nie chciałaś tu przyjechać? – Nigdy wcześniej nie zadałam mamie tego ani żadnego z podobnych mu pytań, ale dziś wydaje się być w niezwykłym nastroju, jakby chciała ze mną naprawdę porozmawiać, więc nie mogę zmarnować tej okazji.

Ściąga brwi.

– To bardzo niebezpieczne pytanie, Moon. Sugerujesz, że jestem Heretyczką? Że niechętnie wstępuję na Ścieżkę Prawdy?

Czuję, jak mój żołądek zmienia się w wielki kamień.

– Nie, mamó. Przepraszam. Nie chciałam...

Rozpogadza się i obdarza mnie lekkim uśmiechem.

– Drocę się z tobą – mówi. – Ale proszę cię, żebyś nikogo innego o to nie pytała.

Potrząsam głową.

– Dobrze.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję, mamó.

– Zuch dziewczynka! – mówi. – Nie. Mówiąc szczerze, nie chciałam tu przyjeżdżać. Uwielbiałam nasz dom w Santa Cruz, i ocean też, choć nie paplałam o tym tak często jak twój ojciec. Miałaś wtedy półtora roku, a ja miałam z tobą pełne ręce roboty, więc gdy ojciec trafił na kazanie Horizona w domu misyjnym przy nabrzeżu, był sam. Właśnie położyłam cię spać, gdy wrócił do domu i oświadczył, że spotkał prawdziwego posłańca Pana i że musimy wyjechać do Teksasu.

– I co ty na to? – pytam.

Wybuchają śmiechem. Uwielbiam go, choć słyszę bardzo rzadko.

– Powiedziałaś mu, że bzdury wygaduje, a ja nie zamierzam wywracać domu do góry nogami i wyprowadzać się na pustkowie tylko dlatego, że tak każe jakiś wędrowny kaznodzieja.

– No więc jak się tu znaleźliśmy?

Jej oczy na chwilę tracą blask.

– Twój ojciec potrafił być bardzo... przekonujący – mówi wreszcie. – Wiedział, że nie nakłoni mnie do zmiany zdania, więc udął, że odpuszcza. Ale co raz przytaczał słowa Horizona, którym nie mogłam odmówić sensu, więc kiedy wreszcie zaproponował, żebyśmy przyjechali tu na długi weekend, bez zobowiązań, zgodziłam się.

– I co się stało?

– Przyjechaliśmy – odpowiada. – I tak już zostało. W niedzielne popołudnie wprowadziłam się z tobą do Budynku Dziewiątego, a ojciec wrócił do Santa Cruz, żeby spakować nasze rzeczy.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie? – pytam.

– Bo usłyszałam, co mówią Ojciec Patrick i inni. Sama też rozmawiałam z Braćmi i Siostrami. A poza tym, jak już wspomniałam, twój ojciec... umiał przekonywać.

POTEM

SUFIT W MOIM POKOJU zrobiony jest z szarych kwadratowych paneli mierzących trochę ponad pół metra.

Cztery z nich łączą się nade mną, dokładnie w miejscu, na które gapię się już sama nie wiem od jak dawna. Na rogach dwóch z nich jest plama, bladopomarańczowy kleks wtapiający się płynnie w materiał, z którego wykonane są panele. Chyba jest nad nimi jakiś przeciek – coś kapie, a plama powiększa się codziennie o ułamek milimetra.

Dziwnie się czuję, mogąc myśleć o mamie bez obawy, że ktoś zajrzy mi do głowy i doniesie na mnie jednemu z Centurionów. Gdy odeszła, jej imię znalazło się na długiej liście osób, o których nigdy już nie można było wspomnieć, zdegradowanych do pozycji nie ludzi, jak gdyby w ogóle nie istnieli. Ale ona przecież istniała, i teraz już nikt nie zabroni mi o niej myśleć.

Wpatruję się w małe okienko i zachodzę w głowę, czy ona gdzieś tam jest i żyje życiem, w którym nie ma miejsca dla mnie. Zastanawiam się, czy choć trochę jej ulżyło, kiedy została Wygnana. Czy poczuła, że nareszcie może zostawić za sobą wszystko, łącznie z córką i duchem męża. Bardzo długo z całych sił wierzyłam, że kiedyś do mnie wróci. Że pewnego dnia usłyszę, jak woła mnie po imieniu, że się odwrócę i zobaczę ją za Bramą Frontową. Że przejdę górą i pobiegnę do niej, a ona zabierze mnie stąd i ani razu nie spojrzymy za siebie.

Ale tak się nie stało.

Dużo o tym myślałam w ciemnościach mojego pokoju w Budynku Dziewiątym, gdy drzwi były już zamknięte, a światła zgaszone, i o tym,

co tak naprawdę znaczył fakt, że nigdy nie wróciła. Może przerażał ją Ojciec John i to, co może zrobić jej albo i mnie. A może – i to było znacznie, znacznie gorsze – po prostu nigdy mnie nie kochała, a moje najgorsze obawy, które dręczyły mnie w najczarniejszej godzinie, były prawdą?

Jedną z najgorszych rzeczy było to, że nikogo nie mogłam o nią zapytać, z nikim nie mogłam o niej porozmawiać, nawet z Braćmi i Siostrami, z którymi byłam najbliżej, bo oni też zaraz by na mnie donieśli. Nie sprawiłoby im to przyjemności, ale jednak zrobiliby to bez wahania.

Ale teraz? Teraz jest ktoś, z kim mogę o niej porozmawiać. Choć nadal nie mam pojęcia, czy mogę zaufać doktorowi Hernandezowi czy jednak nie. Całkiem możliwe, że mówi prawdę, twierdząc, że nic nie wie o mamie ani o tym, gdzie ona jest i czy w ogóle żyje. Być może pytał o nią swoich kolegów, a jeśli coś wiedzą, może przekazać mi informacje, tak jak obiecał. A może...

Może wie, gdzie ona jest, ale mi nie mówi, bo myśli, że będę chętniej współpracować, jeśli będę czegoś od niego chciała.

A może ona nie żyje i on o tym wie, ale nie chce mnie denerwować ze względu na mój „niezwykle delikatny stan”.

Być może.

Do oczu napływają mi łzy, ale słyszę kroki, które ustają za drzwiami pokoju. Ścieram łzy, bo nie chcę, żeby przynosząc mi obiad, siostra Harrow widziała, że płaczę. Ale łzy nie przestają płynąć, jakby w moim wnętrzu pojawił się przeciek, którego nie sposób zatamować.

A to dlatego, że gdy zsuwam nogi z łóżka, moją głowę wypełnia pewna myśl, zarazem głęboka i zupełnie oczywista, myśl, którą niezmiernie rzadko do siebie dopuszczałam.

Tęsknię za mamą.

Naprawdę bardzo za nią tęsknię.

Dwie godziny później wchodzę do Sali Terapii Grupowych i zanim jeszcze drzwi zamkną się za mną, spojrzeniem szukam Luke'a.

Cześć mnie – ta sama, która na kilka miesięcy przed pożarem oglądała się z obawą przez ramię – jest pewna, że Luke wyskoczy nagle i rzuci się na mnie. Wiem, że to głupia obawa, choćby dlatego, że doktor Hernandez i jego koledzy przyglądają się nam i nie pozwoliliby zrobić mi krzywdy, ale nie umiem tak całkiem się jej oprzeć. Dlatego szybko zerkam w lewo i w prawo, jak dziecko, które chce przejść przez ulicę, ale go nie widzę i czuję nieznaczną falę rozluźnienia.

– Cześć, Moonbeam – odzywa się Rainbow. Siedzi po turecku na środku pomieszczenia z Lucy i Winter. Wszystkie trzy z zapamiętaniem rysują coś grubymi kredkami na wielkim arkuszu papieru. Nie mam pojęcia, co przedstawia ich rysunek – z miejsca, w którym stoję, wygląda na jakąś olbrzymią, diabelską ośmiornicę – ale i tak miło jest patrzeć, jak wspólnie się bawią, chociaż na widok pokrytej sińcami twarzy Lucy boli mnie serce.

– Cześć, Rainbow – odpowiadam. – Cześć wszystkim.

Większość Braci i Sióstr patrzy w moją stronę i odpowiada uśmiechem, słowem „cześć” albo jednym i drugim. Odwdzięczam się najcieplejszym uśmiechem, ale jednocześnie rozglądam się po pomieszczeniu za Lukiem. Już zaczyna świtać mi myśl, że go tu nie ma, gdy Jeremiah zrywa się z podłogi i pędzi szaleńczo przez pokój z papierowym samolotem w ręce, wydając charkotliwe dźwięki, które mają chyba przypominać odgłos silnika, i wtedy go dostrzegam.

Luke siedzi na podłodze w odległym kącie pokoju, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę nogi. Głowę trzyma wysoko, a ja zamieram, bo wygląda tak, jakby patrzył wprost na mnie, ale po chwili orientuję się, że właściwie na nic konkretnego nie patrzy. Oczy ma zapadnięte i puste, jakby od wielu dni nie spał.

– Siedzi tak, odkąd tu przyszedłem.

Oglądam się na Honey, która stoi obok mnie i patrzy na Luke'a.

– A mówił coś? – pytam.

Honey kręci głową.

– Ani słowa.

Krzywię się. Nagle pomieszczenie wypełnia śmiech i szmer podnieconych rozmów, bo Aurora rzuca się w pogoń za Jeremiah, trzymając w ręku węża z plasteliny, a Sunset i Violet siedzące na końcu stołu zaczynają śpiewać piosenkę, która brzmi znajomo, ale nie umiem powiedzieć, skąd ją znam. Kiedy przestają śpiewać, Sunset zapisuje coś szybko na kartce, a ja orientuję się, że chyba właśnie piszą tę piosenkę.

Nikt nie zwraca uwagi na Luke'a, co wprawia mnie w niemałą konsternację. Bo z jednej strony cieszy mnie, że wszyscy bawią się, śpiewają i zachowują jak zwyczajne dzieci, ale z drugiej strony fakt, że nie dbają o to, że ktoś, kogo znają całe życie, najwyraźniej cierpi, sprawia, że czuję się nieswojo.

„To tylko dzieci – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie potrafią odróżnić poważnej sprawy od błahostki. Ciesz się, że jest im dobrze”.

– W porządku? – pyta Honey, jakby czytała mi w myślach.

– Tak, jasne. Czemu pytasz?

– Wyglądasz, jakbyś niedawno płakała.

Potok łez ustał na kwadrans przed pojawianiem się siostry Harrow, która przyszła zabrać mnie na sesję grupową, ale nie mogłam nic zrobić z przekrwionymi i spuchniętymi oczami, które teraz wyschły na wiór, jak pustynia.

– Wszystko w porządku – powtarzam.

Kiwa głową. Wygląda tak, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się powstrzymuje.

Wskazuję głową na Luke'a.

– Pogadam z nim.

Honey marszczy brwi.

– Po co?

– Ktoś musi.

– I ktoś rozmawia – ripostuje Honey. – Codziennie rano o dziesiątej, podobnie jak z tobą, mną i całą resztą. Nie jesteś za niego odpowiedzialna.

Chcę jej powiedzieć, że się myli, bo gdyby nie ja, toby go tutaj nie było – ani jego, ani nikogo innego – ale nie mogę.

Nikomnie nie mogę tego powiedzieć.

– A jednak spróbuję.

Honey wzrusza ramionami.

– Rób, jak uważasz.

Kiwam głową, ale przez długą chwilę nie ruszam się z miejsca. Nie chcę z nim gadać, właściwie to jedna z ostatnich rzeczy, na jakie mam ochotę.

Ale nie mogę zostawić go siedzącego w kącie pokoju ze wzrokiem wbitym w pustkę.

Biorę głęboki wdech i zmuszam się, żeby powoli do niego podejść. Nawet jeśli mnie widzi, nie daje tego po sobie poznać, ani drgnie. Nie spogląda w moją stronę nawet przez mgnienie oka. Obracając się plecami do ściany, obserwuję go bardzo uważnie i powoli siadam obok niego.

– Hej – zaczynam.

Żadnej reakcji.

– Luke? Wszystko w porządku?

Nic.

– Posiedzę tu przez chwilę, okej? – ciągnę. – Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną rozmawiać.

Nie odwraca głowy, ale w jego oczach dostrzegam prawie niezauważalne drgnienie. Siedzę cicho i nieruchomo jak kamień, aż wreszcie widzę, że Luke bezgłośnie rusza ustami.

Pochyliam głowę w jego stronę.

– Co mówisz? Nie dosłyszałam.

– Dlaczego jeszcze tu jesteśmy? – szepcze na granicy słyszalności. – Dlaczego Prorok po nas nie wrócił?

– Nie wiem, Luke. – Mówię tak, bo wiem, że nie chciałby usłyszeć mojej prawdziwej odpowiedzi na to pytanie.

– Nie zasłużyłem na Wniebowstąpienie – ciągnie. – Nie inaczej. Nie ma innego wyjaśnienia. Moja Wiara nie była wystarczająco silna.

– Luke...

– Nie byłem godzien...

– Przestań – ucinam. – Nie wolno tak myśleć.

Niezwykłe wolno obraca głowę.

– Zeszliśmy ze Ścieżki Prawdy. – Mówiąc to, wbija we mnie wzrok. – Nie wiem jak, ale tak właśnie się stało. Zabłądziliśmy gdzieś po drodze.

Spoglądam na niego bezradnie. Pomimo wszystkich jego uczynków i wielu powodów, by szczerze go nienawidzić, czuję ból serca, bo człowiek, na którego patrzę, nie jest tym, którym mógł się stać, a miał potencjał, żeby zostać kimś zupełnie innym. Patrzę na największe dzieło Ojca Johna – wrak pełen kłamstw i strachu.

– Pomódlmy się razem, Moonbeam – szepcze. – Może jeszcze nie jest za późno.

Kręcę głową.

– Nie chcę się modlić, Luke.

Jego usta wykrzywają się w najbardziej demonicznym uśmiechu, jaki widziałam.

– Nigdy nie byłaś jedną z nas, prawda? Nigdy nie miałaś Wiary. Nie było w tobie Prawdy.

– Mylisz się – odparowuję. – Wierzyłam. I to bardzo długo.

– A teraz?

Nie odpowiadam. Niech moje milczenie mu wystarczy, jakkolwiek zechce je zinterpretować.

Przez wiele długich sekund mierzymy się wzrokiem. Potem jego oczy nagle zwężają się, a uśmiech gaśnie.

– To twoja wina – szepcze.

Dreszcz strachu przebiega mi po plecach.

„Czyżby wiedział, co zrobiłam? Jak to możliwe?”

„On nic nie wie – natychmiast ucina głos z tyłu głowy. – Ale musisz być ostrożna. W tej chwili musisz być bardzo ostrożna”.

Nagle z całą jasnością zdaję sobie sprawę, jak niewielki dystans nas dzieli. Nie ma najmniejszej możliwości, żebym odsunęła się od niego tak, żeby nie spostrzegł, co robię.

– Nic nie zrobiłam, Luke. – Ledwie udaje mi się powstrzymać drżenie głosu.

Jego oczy rozszerzają się powoli, jakby patrzył na coś zdumiewającego.

– No jasne – szepcze. – Oczywiście, że to ty. Jak mogłem dotąd tego nie widzieć?

– Idę – staram się zachować spokój. – Chciałam tylko sprawdzić, czy u ciebie w porządku.

Wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię.

„Spokojnie. Tylko spokojnie”.

– Puść mnie – mówię.

Zaciska palce.

– Luke, puść moje ramię.

Ani drgnie. Wpatruje się we mnie, a ja znów dostrzegam w jego oczach białe światło szaleństwa, którego teraz już nie zniosę. Wyszarpuję swoje ramię i staję na równe nogi, a on wystrzela w moją stronę jak grzechotnik, z czerwieniejącą na twarzy furią

– To przez ciebie! – wrzeszczy.

W pokoju zapada cisza, bo Bracia i Siostry natychmiast przerywają swoje zajęcia i przenoszą spojrzenie na nas. Kątem oka widzę, jak Honey robi krok w moją stronę, nachmurzona jak rzadko kiedy.

– Nic nie zrobiłam, Luke – naciskam. – Po co te nerwy?

Przez chwilę wydaje mi się, że te słowa zbiły go z tropu, bo, oczywiście, ma powód do nerwów, i to bardzo dobry, ale szybko

odzyskuje rezon.

– Twoja matka była Heretyczką! – Jego ryk uderza mnie jak cios w brzuch. – Ona była Heretyczką, a twój przyjaciel był szpiegiem z Zewnątrz, a więc i ty służysz Wężowi. Właśnie dlatego po nas nie wracają! Bo ty tu jesteś. To twoja sprawka! TY NAM TO ZROBIŁAŚ!

Cofam się przed gorącą falą jego wściekłości, ale nie zaprzeczam i nie oponuję, bo i cóż mogłabym mu powiedzieć? Przecież mówi prawdę.

Drzwi otwierają się i do środka wchodzi dwóch pielęgniarzy, których wcześniej nie widziałam.

– Chłopcze – odzywa się jeden z nich. – Uspokój się.

Luke obraca się do nich z płonącymi oczami.

– Idźcie do diabła! – wydziera się. – Jesteście Obcy! Nie widzicie Węża, który stoi przed wami?

– Widzę, że się denerwujesz – odpowiada pielęgniarz. – Uspokoisz się i zostaniesz do końca sesji czy mamy cię wyprowadzić do twojego pokoju?

Luke wpatruje się w pielęgniarza z purpurą na wykrzywionej nienawiścią twarzy, po czym spluwa na podłogę.

– Nie chcę być tam, gdzie ona – warczy. – Zaraz się porzygam od jej smrodu.

Rusza wielkimi krokami i opuszcza pomieszczenie, nie oglądając się za siebie. Pielęgniarze wychodzą za nim i zamykają drzwi.

Zostaję sama na środku pokoju. Wszyscy Bracia i Siostry wpatrują się we mnie, a ja nie umiem spojrzeć im w oczy. Chcę im powiedzieć, że nic się nie stało, że wszystko jest w porządku, ale nie mogę, bo nie jest w porządku.

Bardzo dużo się stało i nic nie jest w porządku.

I nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będzie.

POTEM

AGENT CARLYLE ZNÓW TU JEST. Kiedy zegar nad drzwiami pokazał dziesiątą, wszedł za doktorem Hernandezem do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 i siadając, wyszczerzył się do mnie w uśmiechu.

Tej nocy nie spałam najlepiej, ale też wcale mnie to nie dziwi. W ciemności przede mną majaczyła twarz Luke'a wykrzywiona się w grymasie wściekłości, kiedy zdał sobie sprawę albo wmówił sobie, że to z mojej przyczyny nie było mu dane Wniebowstąpić i zasiąść po prawicy Pana. Z braku snu jestem zmęczona, a mój rozleniwiony mózg wolno kojarzy, więc sama nie wiem, czy obecność agenta Carlyle'a cieszy mnie czy nie.

Z wczorajszej sesji wnioskuję, że oczekuje ode mnie konkretniejszych odpowiedzi niż te, którymi zadowala się doktor Hernandez – bardziej ciekawi go, co się stało i kto co robił w danym momencie niż to, co na ten temat myślę i czuję. Ale pomijając fakt, jakich oczekuje odpowiedzi, sama jego profesja budzi we mnie niepokój. Doktor Hernandez pracuje w szpitalu, ma żonę i wydaje się zwykłym człowiekiem. Ale agent Carlyle, choćby miał córkę i zbierał pluszowe misie, to i tak jest na usługach Rządu.

Wiem, że teraz to już nie powinno mieć znaczenia. A w każdym razie nie powinno być sprawą tak wielką, jak to przedstawiał Ojciec John, ale niektóre przekonania zakorzeniają się głębiej, niż sięga trzeźwy osąd. Istnieją rzeczy wplecione tak ściśle w tkanekę mojej duszy, że ani doktor Hernandez, ani jego koledzy, ani terapia nigdy ich nie dotkną.

Nie wiem, czy istnieją realne szanse na to, że kiedyś mnie stąd

wypuszczają. Chcę wierzyć, że tak, że doktor Hernandez mówił prawdę i pewnego dnia wyjdę na zewnątrz, pójdę przed siebie, czując słońce na twarzy, i będą mogła zacząć nowe życie daleko stąd. Ale nawet jeśli taka możliwość istnieje, to nie wiem, kiedy do tego dojdzie ani kto tak naprawdę decyduje, czy mnie stąd wypuszczają. Zaczynam podejrzewać, że agent Carlyle będzie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia.

„Musisz zachować ostrożność – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie ty jedna wiesz więcej, niż mówisz. On jest bystry i może cię przejrzeć. Obaj mogą”.

– Dzień dobry, Moonbeam – odzywa się doktor Hernandez, układając na biurku notesy i przybory do pisania. – Jak się dziś...

– Nie chcę rozmawiać o Centurionach – przerywam mu, bo jestem zmęczona, boli mnie głowa i odkąd się obudziłam, myślę o tym, co chcę mu powiedzieć. – O Nacie, mojej mamie ani na żaden inny przykry temat. Mówiąc szczerze, nasze spotkanie dzisiaj chyba w ogóle nie ma sensu.

– W porządku – mówi doktor. – Dobrze cię rozumiem. I przykro mi, że wczorajsze sesje sprawiły ci dyskomfort.

– Nic się nie stało – odpowiadam. – A jak ma się Luke?

– Pracujemy z nim i z pewnością osiągniemy pozytywne wyniki.

„Oby się pan nie mylił”.

– To dobrze – bąkam. – Czyli mogę wrócić do siebie?

Agent Carlyle zerka na doktora, którego spojrzenie utkwione jest we mnie.

– A może po prostu pogadamy? – proponuje. – Żadnych pytań, na które nie chcesz odpowiadać, żadnego planu ani procesu terapeutycznego. Zwykła rozmowa.

Patrzę na niego niechętnie.

– Niby o czym?

– Wiem, że myślisz, że mamy wyrobioną opinię o Legionie Pana – mówi – i że według nas był na wskroś zły. Więc może sama opowiesz nam o drugiej stronie medalu?

– Nie rozumiem?

– O czasie, kiedy byłaś tam szczęśliwa. O normalnym dniu, przyjemnym wspomnieniu albo o chwili, która wywołuje na twojej twarzy uśmiech.

– Po co? – pytam. – Przecież takie rzeczy was nie obchodzą.

Doktor Hernandez kręci głową.

– To nieprawda. Agent Carlyle prowadzi śledztwo w sprawie przestępstwa, w które jesteś zamieszana, choć wiem, że wolałabyś nie być, ale mnie interesują wszystkie sfery twojego życia, te złe i te dobre również.

– Nie mam żadnych dobrych wspomnień – odparowuję. I to nawet nie jest kłamstwo.

– Trudno mi w to uwierzyć, Moonbeam. Jesteś pewna?

Przeszukuję pamięć, usiłując znaleźć wspomnienia, o które prosi doktor Hernandez, ale nie jest łatwo.

Wcale nie jest łatwo.

To, co się stało, kładzie się cieniem na tym, co było wcześniej, jak gdyby pożar pochłoniął, spopielił i zaczernił wszystkie moje wspomnienia. Tak, jakby terażniejszość zatrzymała całą przeszłość.

Tak, pamiętam chwile szczęścia, ale przelotne i ważne tylko dla mnie: jakiś żart, który powtarzałyśmy z Honey, piątkowe popołudnie, gdy Amos przywiózł z miasteczka ostre *churros* albo twarz Nate'a widzianą pod pewnym kątem w świetle zachodzącego słońca. Nic, o czym warto komukolwiek opowiadać.

„A przed Czystką? – szepcze głos z tyłu głowy. – Zanim Ojciec John przejął władzę w Legionie?”

Cofam się pamięcią w czasie, grzebię głęboko we wspomnieniach, aż wreszcie z pustki wyłania się myśl, a wraz z nią uśmiech, nie tylko dlatego, że to szczęśliwe wspomnienie, ale też dlatego, że bez obawy będę mogła podzielić się nim z doktorem Hernandezem i agentem Carlyle'em. Mogą się w nim babrać do woli, ale nie zbliżą się zanadto do spraw,

o których nie chcę im powiedzieć.

To będzie dobry układ.

Przynajmniej dla mnie.

PRZEDTEM

KOLOROWE LAMPKI ZAWIESZONE NA DRZEWACH i między budynkami migocą bielą, czerwienią i błękitem, oświetlając Ojca Patricka, który bierze zamach i rzuca baseballową piłkę.

Oczekujący na rzut Horizon marszczy czoło i wyprowadza tak mocne uderzenie kijem, że prawie traci równowagę i kontakt z ziemią. Gdy piłka uderza o ścianę Kaplicy za jego plecami, podnosi ją w burzy oklasków, okrzyków radości i zawodu i szczerząc się w uśmiechu, odrzuca tam, skąd przyleciała.

– Niezły rzut – mówi.

Ojciec Patrick uchyla wyobrażonego kapelusza, a jego włosy migocą jasnorudą poświatą w świetle lampek zawieszonych dla uczczenia Święta Niepodległości. Siedzę po turecku na ciepłym asfalcie dziedzińca, po jednej stronie mam mamę, a po drugiej Honey i Alice. Honey ma tylko cztery lata i baseball jej nie interesuje, ale Alice ma ją na oku, a mała i tak świetnie się bawi, ganiając za jedną z zapasowych piłek. Nie wiem, gdzie jest jej mama, ale prawdopodobnie w ich pokoju, złożona bólem głowy. Często go miewa.

Moja mama kończy jednego z ostatnich hamburgerów grillowanych przed rozpoczęciem meczu. Na górnej wardze ma musztardę, a na czubku nosa ketchup, ale nie mówię jej o tym, bo zabawnie wygląda i zastanawiam się, kiedy sama się zorientuje.

Ja zjadłam dwa hamburgery, sama nie wiem ile skrzydełek z kurczaka, sałatkę ziemniaczaną i ryż z łyżką zielonego sosu przyrządzonego przez Beara. Smakował trochę dziwnie, jakby mchem, ale i tak go zjadłam, bo

lubię Beara i nie chciałam, żeby mu było przykro, że nikt nie spróbował jego sosu. Moi dorośli Bracia i Siostry piją coca-colę z butelek i lemoniadę ze szklanek. Mnie nie wolno pić coli, ale Bella dała mi łyk swojej. Chyba nikt tego nie widział.

– Druga strata! – krzyczy moja mama. – Ojciec Patrick zagiął na ciebie parol, Horizon!

Dziedziniec jest wypełniony po brzegi. Po meczu część widzów wymknie się, żeby odespać grillowe obżarstwo, część pójdzie do Sali Legionisty oglądać baseball w telewizji, a inni będą w ogrodach słuchać muzyki z radia, ale w tej chwili prawie wszyscy są razem, na dziedzińcu. Ojciec Patrick podrzuca na dłoni piłkę, a ja rozglądam się i widzę kobiety, mężczyzn i dzieci piknikujących wokół baseballowego pola, graczy oczekujących na swoją kolej przy kiju lub piłce, i uśmiecham się, bo jest ciepło, słonecznie, a moja Rodzina jest przy mnie.

Horizon spogląda na mamę, kręci głową i mówi – odczytuję to z ruchu jego ust: „Zobaczmy”. Ona macha do niego i szczerzy się od ucha do ucha, co bardzo mnie cieszy, bo nie uśmiecha się tak często, jak bym tego chciała. Najczęściej wcale nie wygląda na zadowoloną, ale nie pytam jej już, czy wszystko u niej w porządku, bo ostatnim razem, kiedy to zrobiłam, wściekła się na mnie i powiedziała, że gdyby nie było w porządku, to pierwsza bym się o tym dowiedziała. Ale nie sądzę, żeby to była prawda. Myślę, że mama po prostu nie chce, żebym zadawała jej podobne pytania.

Ojciec Patrick znów bierze okrągły zamach, a Horizon staje w gotowości i podnosi kij, ale kiedy ręka Ojca Patricka strzela już jak bicz i prawie wyrzuca piłkę, potężne beknięcie przetacza się przez dziedziniec i niknie na pustyni. Ojciec Patrick przerywa rzut, prawie się przewracając, a Horizon i wszyscy inni obracają głowy ku źródłu niewybrednego odgłosu.

Luke wcale nie stara się ukryć, że to on. Na jego różowej twarzy i w błyszczących z zadowolenia oczach maluje się szeroki uśmiech. Przez kilka chwil panuje absolutna cisza, w której wybucha śmiech Horizona –

jego dudnienie wypełnia cały dziedziniec. Nie sposób mu się oprzeć. Reszta tłumu zaczyna rechotać wraz z Horizonem, a Luke siedzi bez ruchu z malującym się na twarzy wyrazem bezgranicznej dumy. Bracia i Siostry klepią go po plecach, mierzwią mu czuprynę, a najmłodszy wpatrują się w niego z wyrazem najwyższego podziwu.

– Widzę, Luke, że nie żałowałeś sobie dokładek przy grillu – odzywa się Ojciec Patrick z szerokim uśmiechem na piegowatej twarzy. – Ale byłbym wdzięczny, jeśli teraz się powstrzymasz i pozwolisz mi dać łupnia Horizonowi.

– Nie ma sprawy, Ojciec Patryku – mówi Luke z coraz szerszym uśmiechem.

– Serdecznie dziękuję – odpowiada Ojciec Patrick. – Jesteś wzorem cnót.

Ostatnie śmiechy milkną dopiero, kiedy Ojciec Patrick wraca do kręcenia ramieniem z piłką. Tym razem nikt nie beka ani nie wydaje innych odgłosów. Ojciec Patrick robi wielki krok do przodu i rzuca piłkę w stronę Horizona, który porusza się tak szybko, że prawie nie nadążam za nim wzrokiem.

Łup!

Odbita kijem piłka wystrzeliwuje jak rakieta i wznosi się wysoko w bezchmurne niebo. Kilkanaścioro młodszych Braci i Sióstr zrywa się i pędzi, wznosząc tuman pyłu i krzycząc w podnieceniu, gdy piłka uderza w ziemię przy szopach z narzędziami i kozłuje w stronę ogrodzenia. Horizon na długą chwilę zastyga w triumfalnej pozie z wielkim uśmiechem na twarzy, po czym niedbale rzuca kij Bearowi, a tłum wiwatuje, klaszcze i wykrzykuje imię zwycięzcy.

Ojciec Patrick potrząsa głową, ale jego uśmiech nie gaśnie.

– Co za bestia – mówi. – Byłem przekonany, że się odsłonisz.

Horizon odpowiada mu uśmiechem.

– Pan jest Dobry, Ojciec.

Od strony szop dobiega wrzawa. To maluchy odnalazły piłkę i szamocą

się, bo każdy chce ją złapać. Wygrywa Aja. Chwyta piłkę pulchną dłonią, unosi ją nad głowę i ucieka pozostałym dzieciakom, które rzucają się za nim w pogoń w chmurze pyłu. Aja pędzi w stronę dziedzińca, zaśmiewając się do rozpuku, po czym ciska piłkę z całej siły, ledwie dorzucając do asfaltu. Ta odbija się zgrabnie, toczy do stóp Horizonta i uderza o podeszwę jego buta, ale Horizon chyba tego nie zauważa. Podnoszę oczy i widzę, że patrzy w stronę Bramy Frontowej.

– Samochód – mówi.

Prawie wszyscy, ja również, wstają i patrzą na południe.

„Brama Frontowa” brzmi szumnie, ale to tylko kilka desek zбитych w kształt litery Z, od których rozchodzi się ogrodzenie z rzadkiej drucianej siatki rozpiętej na drewnianych słupkach. Ma zatrzymać kojoty i inne dzikie zwierzęta, ale i tak często widuję je po zmroku myszkujące po Bazie, więc średnio się sprawdza.

W wolno opadającym obłoczku pyłu na gruntowej drodze za Bramą stoi biały samochód. Niczym na cichy rozkaz wszyscy ruszają w tamtym kierunku za Horizonem, Bearem i Ojcem Patrickiem.

No, prawie wszyscy.

Rozglądam się i widzę Johna Parsona i Amosa Andrewsa. Stoją sami przed Kaplicą i rozmawiają cicho, a ja nagle mam dziwną pewność, że jeśli się zorientują, że na nich patrzę, to wpadnę w kłopoty, więc się odwracam. Udaje mi się zrobić kilka kroków, ale ciekawość bierze górę i znów odwracam głowę ku Kaplicy.

Johna i Amosa już tam nie ma. Nigdzie indziej też ich nie widzę.

Marszczę czoło. Niby to nie moja sprawa, co robią John i Amos, ale nie wiem, dlaczego nie idą ze wszystkimi do bramy, a kiedy rozmawiali, w ich twarzach dostrzegłam coś niepokojącego. Powiem o tym mamie, kiedy drzwi białego samochodu się otworzą i wysiądzie z niego nieznajomy.

Od pierwszego wejrzenia mi się nie podoba.

Jest gruby, ma czerwoną, spoconą twarz, a jego szcurzy – długi i ostro

zakończony – nos wydaje się wężyc. Uśmiecha się do Ojca Patryka i Centurionów, którzy podchodzą do Bramy Frontowej.

– Dobry wieczór – mówi i sięga do tylnej kieszeni spodni, skąd wyciąga jedną z ulotek rozdawanych przeze mnie, Braci i Siostry codziennie rano w miasteczku, tę z napisem „Czy słyszałeś dobrą nowinę?” na froncie. – Znalazłem ją parę tygodni temu i nie mogłem przestać o tym myśleć, więc postanowiłem odszukać jej autora.

– To ja – odzywa się Ojciec Patrick. – Bardzo chętnie porozmawiam o Dobrej Nowinie. Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Jacob Reynolds – odpowiada przybysz. – Miło mi was wszystkich poznać.

POTEM

DOKTOR HERNANDEZ ODCHYLA SIĘ NA KRZEŚLE.

– Wybacz, ale trochę zbiłaś mnie z tropu.

– Mnie również – mówi agent Carlyle.

– Aha. A czym?

– Przybycie Jacoba Reynoldsa to naprawdę wesołe wspomnienie? – pyta doktor Hernandez

– Tamten dzień był pełen radości – odpowiadam. – Wszystko, co zdarzyło się po przejęciu władzy w Legionie przez Ojca Johna, wspominam źle. Ten czwarty lipca to naprawdę ostatni szczęśliwy dzień, jaki pamiętam.

Mężczyźni wymieniają się spojrzeniami.

– Czegoś tu nie rozumiem – odzywa się agent Carlyle. – Mam wrażenie, że ta opowieść jest wyjęta z kontekstu.

Nagle dociera do mnie, w czym tkwi ich problem, i czuję falę podniecenia, bo zdaję sobie sprawę, że oni naprawdę nie wiedzą wszystkiego na każdy temat.

– Ojciec John przystąpił do działania nazajutrz po przybyciu Jacoba Reynoldsa – wyjaśniam.

– Mówisz o Czystce? – pyta doktor Hernandez.

Kiwam głową.

– Oni już znali Jacoba. To znaczy Ojciec John i Amos. Nie wiem, jak ani gdzie się poznali, ale wszystko mieli zaplanowane. Uknuli to. Wtedy nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, ale dziś to dla mnie oczywiste.

– Czy Jacoba Reynoldsa przyjęto w Bazie? – pyta agent Carlyle.

– Oczywiście. Ojciec Patrick przyjmował wszystkich.

– A co właściwie zrobił Ojciec John? To znaczy dzień później. Jak dokładnie przejął władzę nad Legionem?

– To nie była tak dramatyczna zmiana, jak się wam pewnie zdaje – odpowiadam. – Żadnej walki ani strzelaniny. Nic podobnego. Ojciec John po prostu stanął na schodach Kaplicy i obwieścił, że Pan przyszedł do niego nocą z wiadomością.

– Zakładam, że nie była zbyt dobra dla Ojca Patricka? – przerywa agent Carlyle.

Uśmiecham się.

– To prawda. Jej treść była taka, że Pan zażądał, by odtąd Legionowi przewodził Ojciec John. Stanął przed wszystkimi i ogłosił, że Ojciec Patrick był wprawdzie wiernym sługą Pana, człowiekiem dobrym i łagodnym, ale ludzie dobrzy i łagodni nie wygrywają wojen, a na pewno nie zdołają zwyciężyć w Ostatecznej Bitwie z Wężem, która, jak wszyscy wiemy, nadchodzi. Poprosił, byśmy wszyscy spojrzeli w swoje serca i stanęli po jego stronie, jeśli wierzymy, że mówi prawdę. Zgadnijcie, kto wystąpił pierwszy?

– Amos i Jacob – zgaduje doktor Hernandez.

Kiwam głową.

– Wyszli z tłumu i stanęli po bokach Ojca Johna. Nie powiedzieli ani słowa, nie uczynili żadnego gestu, ale...

– Obaj byli uzbrojeni – kończy agent Carlyle cicho. – Trafiłem?

Kiwam głową.

– Czy nie wspominałaś, że w czasach Ojca Patricka mogliście mieć broń? – pyta doktor Hernandez.

Znów kiwam głową.

– Mogliśmy, ale nikt nie nosił jej przy boku jak kowboj. Trzymano ją w pokojach i w kwaterach mieszkalnych.

– I co na to Centurioni? – pyta agent Carlyle.

– Bear, Angel i Lonestar stanęli u boku Ojca Johna jako następni. Horizon wahał się przez kilka sekund, ale w końcu też się do nich przyłączył.

– A gdzie był w tym czasie Ojciec Patrick?

– Był wśród nas – odpowiadam. Wciąż pamiętam wyraz jego twarzy, w chwili gdy Centurioni odwrócili się od niego plecami i stanęli przy Ojcu Johnie. Widzę go niezwykle wyraźnie. To nie był gniew ani nawet rozczarowanie, ale raczej smutek, jakby serce pękało mu w piersi.

– Ale nic nie zrobił? – pyta agent Carlyle.

Kręcę głową.

– A czy coś powiedział?

– Ani słowa – odpowiadam. – Na to było już za późno. Wielu z nas wiedziało, co się święci, i nie ruszyło się z miejsca, ale też wielu innych stanęło u boku Ojca Johna. Szczerzyli się od ucha do ucha. Naprawdę wierzyli, że jest tym, za kogo się podaje.

– Czyli właściwie kim? – pyta doktor Hernandez.

– Tubą Pana – odpowiadam. – Jego świętym posłańcem na Ziemi.

Gdy obaj trawią tę informację, zapada cisza.

– Jak Ojciec John sprawił, że ludzie na to przystali? – pyta agent Carlyle po chwili. – Jak ich przekonał, żeby mu uwierzyli?

„DO NICZEGO ICH NIE PRZEKONYWAŁEM! – dudni głos Ojca Johna w mojej głowie. – UJRZELI PRAWDĘ NA WŁASNE OCZY! PAN NIE POPEŁNIA BŁĘDÓW!”.

Wzruszam ramionami z udawaną niedbałością.

– Trudno to wyjaśnić komuś, kto sam tam nie był. Wszyscy uwielbiali Ojca Patricka, ja też. Zawsze uważałam, że jest dobrym człowiekiem, a dziś jestem tego całkowicie pewna. Miał serce na dłoni, był przyzwoity i bardziej dbał o innych niż o siebie. Poświęcił życie służbie Panu.

– A Ojciec John? – pyta doktor Hernandez.

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Czasami wydawało się, że wcale nie jest człowiekiem, lecz raczej żywołem, dzikim i nieprzewidywalnym. Pamiętajmy, że przed tymi wydarzeniami przez trzy lata był wiernym członkiem Legionu Pana, a Siostry i Bracia go uwielbiali. Potrafił oczarować, był inteligentny i znał Biblię nawet lepiej od Ojca Patricka. Każdy, kto chciał zabrać głos w Kaplicy, mógł to zrobić, a Ojciec John przemawiał najczęściej. Nikomu to nie przeszkadzało, bo zawsze warto było go słuchać. Podchodził do pulpitu w swojej przykurzonej dżinsowej koszuli, z długimi włosami, zielonymi oczami i łagodnym uśmiechem, po czym wrzeszczał, pluł, wył i walił w mównicę, póki nie rozkrwawił sobie pięści. Mówił o Panu tak, jak większość ludzi mówi o starych dobrych przyjaciołach, jak gdyby właśnie przed chwilą, przed samym kazaniem, uciał sobie z nim pogawędkę. Wrzeszczał o bitwach, wojnie, czasie, który się kurczy i bez przerwy, do znudzenia, głądził o Obcych. Mawiał, że nikt inny, tylko my możemy udaremnić zwycięstwo Wężowi.

– Czy te przemowy były zgodne z nauką Ojca Patricka? – pyta doktor Hernandez.

– Mniej więcej – odpowiadam. – Ojciec Patrick wierzył w Księgę Objawień i w Koniec Świata. Właśnie z tego powodu założył Legion. Uczył nas, że nadchodzi Kres Dni i że wierni muszą się nań przygotować. Ale wizja Ojca Johna była bardziej... – Próbuję znaleźć właściwe słowo. – Ekstremalna.

– Czy Ojciec Patrick nie zauważył, co się święci? – pyta agent Carlyle.
– Skoro wszyscy tak uwielbiali Ojca Johna, który był świetnym mówcą, a do tego głosił agresywną wersję nauk Legionu, to dlaczego Ojciec Patrick nie dostrzegł w nim zagrożenia?

– Nie wiem – odpowiadam. – Może inni je dostrzegli, bo kilka osób opuściło Legion w miesiącach poprzedzających Czystkę. Ale jeszcze zanim Ojciec John przejął władzę, i tak większość przychodziła do niego z pytaniami i problemami, i to jego rad słuchano. Chociaż on zawsze afiszował się ze swoim posłuszeństwem wobec Ojca Patricka i pozował na

wiernego członka Legionu.

– Czy przejęciu władzy towarzyszyła przemoc? – dopytuje agent Carlyle.

Kręcę głową.

– Nikt nie poszedł po broń ani nie protestował przeciwko takiemu obrotowi spraw?

Znów kręcę głową.

– A co stało się z ludźmi, którzy pozostali lojalni wobec Ojca Patricka – pyta doktor Hernandez – kiedy już Ojciec John go zastąpił?

– Nic. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Było dużo krzyków i trochę przepychanek, gdy pakowali się do samochodów przed wyjazdem. Ale nic poważniejszego się nie stało.

– Co krzyczano?

– Ojciec Patrick błagał wszystkich o zachowanie spokoju, ale niektórzy z odjeżdżających zostawiali w Bazie członków rodziny, więc atmosfera zrobiła się napięta. Jedni płakali, inni wyzywali pozostałych od Heretyków i Niewiernych, jeszcze inni modlili się, żeby wyjeżdżający zmienili zdanie.

– Czy Ojciec Patrick też wtedy wyjechał? – pyta agent Carlyle.

Kiwam głową.

– Tak, przewodził wyjeżdżającym.

– Czy zastanawiałaś się kiedyś, co się z nim później stało?

– Nie. Nie wolno nam było o nich myśleć.

– A teraz?

Wyobrażam sobie szczerą, piegowatą twarz Ojca Patricka w zamęcie pakowania, szlochów, krzyków i kłótni, kiedy wszystko, co zbudował, waliło się na jego oczach.

– Chyba mi go żal – odpowiadam. – Stracił to, w co wierzył przez całe życie. Wtedy chyba nie rozumiałam, jak bardzo musiało mu być ciężko.

– Przesłuchiwalismy go w toku śledztwa – odzywa się agent Carlyle. –

Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć, co robił po opuszczeniu Legionu.

Kręcę głową.

– To bez znaczenia.

– Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać – odpowiada.

– Jeśli zmienię, to dam. Dziękuję.

Ponownie kiwa głową.

– No dobrze, a co z Johnem Parsonem? Co robił w czasie, gdy ludzie wyjeżdżali?

– Siedział sobie na werandzie Wielkiego Domu i przyglądał im się. Nie powiedział ani słowa.

– Jak ci się wydaje, dlaczego? – pyta agent Carlyle.

– Bo wiedział, że już wygrał.

Agent Carlyle uśmiecha się cierpko.

– Już wtedy do tego doszłaś?

– Nie wiem – odcinam się. – Zapewne później.

– Bystrzacha z ciebie.

Wzruszam ramionami.

– Jestem uważna, w przeciwieństwie do większości.

– Zgadzam się – odpowiada agent Carlyle. – Większość ludzi to tępaki. A czy rozmawialiście o Czystce, kiedy już się dokonała?

– Owszem. Na życzenie Ojca Johna. Nazajutrz po wyjeździe Ojca Patricka i innych wszyscy pozostali zgromadzili się w Kaplicy, żeby to omówić. Każdy miał powiedzieć, co sądzi o sprawie, choćby po głowie chodziły mu najgorsze myśli.

– A potem?

Kręcę głową.

– Zakazano tego.

– Więc nigdy nie rozmawiałaś o tym z mamą? Ani z Nate'em, kiedy już się pojawił?

Wbijam w niego wzrok.

– A co przed chwilą mówiłam?

– Agencie Carlyle – odzywa się cichym głosem doktor Hernandez – Moonbeam powiedziała wyraźnie, o czym nie chce dziś rozmawiać. Proszę to uszanować.

Agent Carlyle nie spuszcza ze mnie oczu, ale kiwa głową.

– Ma pan rację – odzywa się. – Przepraszam.

„A idź do diabła”.

– Nie szkodzi – odpowiadam.

– Chciałbym jeszcze porozmawiać o okresie przed Czystką – mówi doktor Hernandez. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu?

– Nie mam.

– Gdy przewodził wam Ojciec Patrick, członkowie Legionu mogli oglądać telewizję, słuchać radia, grać w gry, czytać książki i jeść, co się komu podobało – mówi doktor Hernandez. – Zgadza się?

Kiwam potakująco głową.

– Ale po Czystce wszystkich tych rzeczy zakazano?

Znów kiwam głową.

– Czy to nie podkopało lojalności wobec Ojca Johna?

– Nie odniosłam takiego wrażenia. Nie wiem, co myśleli inni, nie jestem jasnowidzem, ale Ojciec John powiedział, że staliśmy się zbyt wygodni, gnuśni i rozpuszczeni. Mówił, że musimy się wzmocnić i większość się z nim zgodziła.

– Wzmocnić? Przed Ostateczną Bitwą? – pyta agent Carlyle.

– Oczywiście.

– A więc twoja mama też się z nim zgadzała? Bo przecież obie zostałyście w Legionie.

– No dobrze – przerywa doktor Hernandez. – Dostyc tego. Nie pan decyduje o przebiegu sesji. Nie pozwalam na to.

Obdarza mnie uśmiechem, który na pewno, według niego, ma

okazywać mi wsparcie, uśmiechem pod tytułem „jestem po twojej stronie”, ale go ignoruję. Rośnie we mnie bulgocący gniew, bo nie znoszę, gdy ktoś próbuje mną manipulować, a już szczególnie, kiedy sądzi, że nie wiem, że to robi. Nie cierpię ludzi, którzy mają mnie za głupią.

– Najwyraźniej musiała – odpowiadam, wbijając wzrok w agenta Carlyle’a. – Choć może i nie, skoro w końcu odeszła.

Jego oczy się zwięzają.

– Odeszła? Czy ją wygnano?

To słowo rani mnie jak nóż, czuję się tak, jakbym miała skamienieć.

– Co pan powiedział?

– Trzy lata temu. – Agent Carlyle mówi dalej, jakby nie dosłyszał mojego pytania. – Dwudziestego trzeciego dnia tego samego miesiąca, który mamy obecnie. Zgadza się?

– Carlyle – wtrąca się doktor Hernandez – nie będę powtarzał.

– Nic nie wiecie o mojej matce – rzucam ostro. Zastanawiam się, z kim rozmawiali i kto mógł im opowiedzieć o tej najgorszej rzeczy, jeszcze przed pożarem, jaka mogła mi się przydarzyć. Słyszę drzenie własnego głosu. – Absolutnie nic.

Agent Carlyle nie odpowiada. Patrzy na siedzącego obok mężczyznę, tak jak wilk patrzyłby na psa.

– Wybacz – mówi doktor Hernandez. – Powiedziałaś wyraźnie, że dziś nie chcesz rozmawiać o twojej mamie, i miałaś do tego pełne prawo.

Ogarnia mnie fala gorąca.

– A może zmieniałam zdanie?

– To nie są odpowiednie warunki na tę rozmowę – odpowiada.

– Dlaczego? – pytam, wskazując ruchem głowy agenta Carlyle’a. – Bo on tu jest?

Doktor Hernandez kiwa głową.

– Między innymi dlatego. Ale są też inne powody. Musisz pamiętać, że terapia to...

– Tylko niech pan nie mówi „proces” – przerywam mu. – Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła nigdy więcej nie słyszeć tego słowa. Jestem tu już prawie tydzień, ale pewność mam tylko co do jednego: że nie wolno mi stąd odejść. Więc jak to jest? Czy jestem więźniem? Oskarżycie mnie o jakąś zbrodnię?

– Zaraz, zaraz – wcina się agent Carlyle – nikt cię o nic nie oskarża. Uspokój się.

Nie umiem się uspokoić.

I nie chcę.

– Powiedzcie wprost – naciskam. – Co tutaj robię i co się ze mną stanie? Możecie to dla mnie zrobić? Proszę.

– Przerywam sesję – odzywa się doktor Hernandez. – Przykro mi, że cię zdenerwowaliśmy, Moonbeam, ale proszę, zrozum, że twoje dobro jest dla mnie najważniejsze. Postaraj się w to uwierzyć.

– Już pan to mówił – parskam. Fala gniewu opadła tak szybko, jak wezbrała, i teraz czuję, że do kącików oczu napływają mi łzy. Powstrzymuję je z całych sił, bo nie zamierzam znowu płakać w jego obecności.

Po prostu.

Nie zamierzam.

Przy nim.

Płakać.

– Mówię poważnie – podejmuje doktor Hernandez. – Przeżyłaś niezwykłą traumę, nie mówiąc już o poprzedzających ją latach. Jestem pod ogromnym wrażeniem siły i odporności, którą wciąż okazujesz. Być może powinienem częściej ci to mówić, wybacz, że tego nie robiłem. Ale musisz zrozumieć, że mamy pewien plan działania i zasady, których musimy przestrzegać. Choć wiem, że trudno ci uwierzyć, że zostały one ustalone dla twojego własnego dobra.

Wybucham śmiechem. Po prostu nie mogę się powstrzymać.

– Dla mojego dobra – powtarzam. – Wie pan, ile razy to słyszałam?

– Nie – odpowiada doktor Hernandez. – Nie wiem. Powiedz mi, naprawdę chcę się dowiedzieć. Musimy działać rozważnie i bez pośpiechu, tylko tyle.

– Skończmy na dziś – przerywa agent Carlyle. – Wszyscy powinniśmy trochę ochłonać. – Wstaje, zakłada marynarkę i spogląda na mnie. – Zrozum, dzieciaku, że nic ci nie grozi. Odpocznij i jutro pogadamy.

– A jeśli nie będę miała ochoty? – pytam, choć wiem, że to głupie pytanie, bo to, czego ja chcę, nie ma znaczenia. Nigdy nie miało.

– Porozmawiamy jutro – odpowiada agent Carlyle.

Doktor Hernandez przypatruje mi się, chowając swoje notatniki i długopisy do torby. Dostrzegam coś w jego oczach, jakby prośbę o zrozumienie, ale nie jestem pewna, czy dobrze to odbieram.

Może to jednak litość? Współczucie? Albo troska?

Cokolwiek to jest, złości mnie tak, że aż przyprawia o swędzenie skóry.

Doktor wstaje i wychodzi za Carlyle'em, a ja zamykam oczy, biorę głęboki wdech i czekam na siostrę, która odprowadzi mnie do pokoju.

„Już dobrze – szepce głos z tyłu głowy. – Poradziłaś sobie. Wszystko się ułoży”.

Siostra Harrow uśmiecha się do mnie, zamykając za sobą drzwi do mojego pokoju. Gdy tylko słyszę klucz obracający się w zamku, siadam przy biurku, biorę kartkę i zaczynam rysować.

Wodę. Klify. Domek o błękitnych ścianach.

Siebie.

I mamę.

Pierwsza Proklamacja Świętego Kościoła Legionu Pana,
wiernie spisana przez najpokorniejszego Sługę
Pańskiego,

Ojca Johna Parsona

W swojej Nieskończonej i Doskonałej mądrości Pan wskazał Ścieżkę Prawdy tym mężczyznom i kobietom, których Wiara jest silna, a serca Czyste i Oddane. Pokazał, że Ścieżka Prawdy jest trudna i długa, a okala ją Ciemność.

Objawiono mi wiedzę, dzięki której moi Bracia i Siostry będą mogli lepiej służyć Chwale Pana.

trzeba zapomnieć O Tych, którzy odeszli. W Oddanym sercu nie ma miejsca dla Heretyków. Wiernym nie wolno o nich mówić ani zaprzętać sobie nimi myśli.

Na zewnątrz panuje korupcja i Bezbożność, zdolne zatruć nawet tych, których Wiara jest najmocniejsza. NIE BĘDZIE WIĘCEJ KONTAKTÓW ZE ŚWIATEM należącym do węża, poza tymi, które są absolutnie niezbędne w czasie oczekiwania na Wniebowzięcie. Żaden członek Legionu nie będzie narażać swej nieśmiertelnej duszy Na Zewnątrz, gdzie grasują potwory i demony, a Prawdziwy Świat Pana został odrzucony przez tych, którzy zamknęli oczy i serca.

Prawdziwie Oddani muszą zerwać Związki ze Światem. To, co śmiertelne, jest Bezbożne, a wszystko, co ludzkie, ma Skazę.

Pan jest Dobry.

PRZEDTEM

GDY AMOS NARESZCIE ZNÓW JEDZIE DO LAYFIELD, dzień jest wyjątkowo gorący, nawet jak na Teksas.

Bracia i Siostry Legionu Pana oddychają z wyczuwalną ulgą. Wiemy, że cała ludzkość mieszkająca za ogrodzeniem Bazy nas nienawidzi i chce naszej krzywdy – Ojciec John nie pozwala nam o tym zapomnieć – ale życie z tą wiedzą bywa ciężkie, a myśl o nieuchronnym ataku z Zewnątrz ciąży wiernym w czasie izolacji.

Dlatego też gdy Amos wsiada do czerwonego pick-upa i wyjeżdża przez Bramę Frontową, Bracia i Siostry, którzy zgromadzili się na dziedzińcu, by go odprowadzić, wiwatują. Jednakże gdy popołudnie przemija, a wraz z nim pora spodziewanego powrotu Amosa, euforię zaczyna wypierać niepokój.

Dopiero gdy słońce zachodzi za spadzistym dachem Kaplicy, słyszę odległy warkot silnika. Pracowałam właśnie w strzelnicy za Wielkim Domem – trzeba było uprzątnąć łuski po nabojach, kamienie i opadłe liście – ale rzucam narzędzia i pędzę na dziedziniec. Byłam pewna, że Amosowi nic się nie stanie, a na pewno nic poważnego, ale i tak zaskakuje mnie ulga, jaką napełnia mnie jego bezpieczny powrót.

Gdy docieram na dziedziniec, większość Braci i Sióstr już tam jest. Wpatrują się w Bramę Frontową. Nad odległym garbem terenu skrywającym zakręt gruntowej drogi wznosi się obłok pyłu. Odgłos silnika potężnieje. Gdy mrużę oczy w zachodzącym słońcu, zza widnokregu wyłania się pick-up, a napięcie w piersi, którego nie byłam świadoma, ustępuje.

Luke i Bear otwierają wrota, by wpuścić Amosa, który wjeżdża do Bazy i zatrzymuje pick-upa na środku dziedzińca. Od góry skrzynek, worków i ładunków na pace pick-upa odbija się nowa salwa wiwatów. Po sekundzie Bracia i Siostry tłumnie otaczają samochód. Jedni klepią Amosa po plecach i witają w domu, inni szukają utęsknionych chipsów ziemniaczanych i słodyczy.

– Co za sępy – rozlega się obok mnie cichy głos, bez cienia złości.

Odwracam się i uśmiecham do jego właściciela.

– Nie bądź wredny – odparowuję. – Okazują radość, że wrócił cały i zdrowy.

Nate szczerzy się i przewraca oczami.

– Ta, jasne. Na pewno właśnie to ich raduje.

Najpoważniej, jak umiem, marszczę brwi, co jednak nie wywołuje stosownego efektu, bo jednocześnie wciąż się uśmiecham.

– Chyba nie sugerujesz, że gumisie i draże obchodzą naszych Braci i Siostry bardziej niż zdrowie Amosa?

Nie muszę dodawać, że Nate jest jedyną osobą w całym Legionie, z którą mogę w ten sposób rozmawiać. Nie śmiałabym nawet pomyśleć, że mówię to komukolwiek innemu.

Zanosi się chrapliwym śmiechem.

– Ależ skąd! To byłoby zupełnie nie na miejscu.

– Żebyś wiedział. – Teraz już szczerzę się od ucha do ucha. – Centurioni wtrąciłiby cię do karczeru. Bo przecież, z bólem serca, musiałabym na ciebie donieść.

– A więc świetnie się składa, że tego nie powiedziałem! Dla nas obojga!
– Obejmuje mnie ramieniem. – Nieprawdaż?

I tak, ni stąd, ni zowąd, pozbawia mnie tchu.

Dotyk jego szorstkich palców i ciepło ręki na moim nagim ramieniu i karku sprawia, że zamieram. Próbuję coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie umiem wykrztusić słowa, bo mój mózg zmienił się w papkę, a struny głosowe nie reagują. Nawet jeśli Nate to zauważy, to nie daje po sobie

poznać, tylko najzwyczajniej w świecie idzie – obejmując mnie – do pick-upa.

„Oczywiście, że nic nie zauważył – szepcze głos z tyłu głowy. – Dlaczego miałby zwracać na ciebie uwagę? Przecież jesteś dla niego jak młodsza siostra. To tylko przyjazny gest, który nic nie znaczy”.

Uciszam ten głos, mimo że ma rację. Wiem, że właśnie tak Nate mnie widzi i tak o mnie myśli, i – przeważnie – odpowiada mi to. Ale nic nie poradzę, że czasem po głowie błędzą mi myśli, od których twarz staje w płomieniach, a żołądek wywija akrobacje.

– Chodź, gumisiu, zobaczmy, czy coś nam zostawili.

Gdy dochodzimy do pick-upa, na pace leży już tylko stos brązowożółtych paczek z logo UPS adresowanych do Jamesa Carmela. Gdy się na nie gapimy, wyrasta obok nas Amos. Na jego pociągłej twarzy rysuje się wyraz skromnej dumy bohatera. Mogłoby się wydawać, że wrócił tryumfalnie do domu po stoczeniu zwycięskiego boju z samym Wężem, a nie tylko z zakupów w mieście.

– Te idą do Wielkiego Domu – mówi. – Łap się, mała.

Przewracam oczami i chwytam najbliższą paczkę. Jest tak ciężka, że ledwo mogę ją unieść. Nate natychmiast oferuje pomoc, ale kręcę głową, że „poradzę sobie”, szarpię paczkę do góry i gramolę się z nią przez dziedziniec. Nate zostaje z tyłu z Amosem, który zaczyna mu opowiadać o swojej monumentalnej, pełnej przygód i niebezpieczeństw wyprawie do supermarketu w Layton.

Pokonuję dziedziniec, wciągam paczkę na werandę Wielkiego Domu i kopię w drzwi butem. Z wnętrza słychać czyjś głos i kroki, więc czekam, trzymając pakunek coraz bardziej drżącymi rękami. Drzwi otwierają się i widzę uśmiech Belli.

– Moonbeam – słyszę. – Czy Amos już wrócił?

Kiwam głową.

– Przed paroma minutami.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Pan jest Dobry – mówi, po czym przenosi spojrzenie na pakunek. – Co tam masz?

– Paczkę dla Ojca Johna – udzielam oczywistej odpowiedzi.

– Jak miło, że ją przyniosłaś – mówi. – Dlaczego duzi, silni bracia pozwalają dźwigać ciężary takiej okruszynce?

– Chciałam im pomóc – odpowiadam, choć to przecież nieprawda. Tak naprawdę szukałam pączka albo batonika, a skoro ich nie znalazłam, postanowiłam zrobić wrażenie na Nacie. Ale kłamstwo brzmi lepiej od prawdy.

– No, oczywiście – mówi Bella i odsuwa się na bok. – Wchodź, siostrzyczko.

Dziękuję jej i wtaczam się przez drzwi.

Parter Wielkiego Domu to jeden wielki otwarty salon z kominkiem, sofami i fotelami po jednej stronie i kuchnią po drugiej. Jak zawsze pełno tu ludzi. Esme, Lena i Star witają się ze mną głośno, a szóstka dzieci przerywa wrzaskliwego berka i inne harce. Spoglądają na mnie, po czym zaraz decydują, że nie jestem zbyt interesująca, i wracają do zabawy.

Na ścianach pokoju wiszą jasne obrazki rysowane kredkami przez dzieciaki, dla których Wielki Dom jest domem rodzinnym. Są tu też czarno-białe zdjęcia pustyni i Bazy, oprawione w ramki fragmenty Biblii i oryginalne Proklamacje przepisane ręcznie przez Jacoba Reynoldsa. Podłogę pokrywają dywany o przeróżnych kształtach i kolorach – wiele z nich jest tak przetartych, że przez dziury przeświecają podłogowe deski. Wszędzie walają się zabawki: samochodziki, układanki, książki, piłki i samoloty. W tym pokoju jest ich więcej niż w całej Bazie.

„Dobrze jest być jednym z dzieci Ojca Johna – szepcze głos z tyłu głowy. – Nawet jeśli tylko przybrany”.

Ogrom mojej własnej Herezji prawie pozbawia mnie tchu. Przełykam głośno i krztuszę się, co powoduje gwałtowny atak kaszlu.

Bella marszczy czoło.

– Wszystko w porządku, Moonbeam?

– Nic mi nie jest – wyrzucam z siebie, próbując złapać powietrze. – Gdzie mam ją postawić?

– Mówiłaś, że to dla Ojca Johna? – pyta.

„Jak widać”.

Kiwam głową.

– Wiesz, gdzie ma gabinet – ciągnie. – Zanieś mu ją. Ucieszy się na twój widok.

Znów kiwam głową i ostrożnie, krok po kroku, kieruję się ku schodom. Nie mam pojęcia, czy zdołam wtargać tę głupią paczkę na samą górę, czy stracę równowagę i skręcę sobie kark, spadając, ale wiem, że Bella i dzieciaki mają na mnie oko, więc biorę głęboki wdech i wchodzę na pierwszy stopień. Na piątym schodku, czyli nawet nie w połowie drogi, nogi trzęsą mi się tak bardzo, że nie wiem, czy utrzymają mój ciężar. Po kolejnych sześciu schodach chce mi się wyć z bólu i frustracji. Kiedy stawiam nogę na podeście pierwszego piętra, kości ramion palą mnie jak rozpalone do białości metalowe pręty.

Zataczam się do przyściennego stolika i odkładam paczkę, powstrzymując szloch ulgi. Mrowienie i ukłucia tysięcy szpilek przeszywają moje mięśnie, ale to o niebo lepsze od agonalnego bólu, który zastąpiły. Pozwalam ramionom zwisnąć bezwładnie i rozglądając się wokół, czekam, aż wróci do nich czucie.

Na piętrze Wielkiego Domu znajdują się sypialnia i gabinet Ojca Johna oraz pokoje jego żon. Jak na razie ma ich sześć. Łatwo się zorientować, które lubi bardziej, a które mniej po tym, gdzie śpią. Jedna dzieli z nim łożę, inna zajmuje pokój obok, a pozostałe cztery muszą zadowolić się dwoma pokojami na końcu korytarza. Są to sprawy, o których nie należy rozmawiać, ale powszechnie uważa się, że żony zmieniają pokoje co tydzień, a nawet codziennie, zależnie od woli męża.

„Wkrótce się przekonasz – słyszę szept z tyłu głowy. – Kiedy sama tu zamieszkas. Już niedługo...”.

Odpycham tę myśl. Ten głos punktuje mnie dziś już nie pierwszy raz

i naprawdę mam go dość.

Kolejne schody prowadzą na poddasze, gdzie śpią dzieci Ojca Johna. Nigdy tam nie byłam, ale mówiono mi, że są tam dwa pokoje z mnóstwem łóżek piętrowych – duży dla chłopców i znacznie mniejszy dla dziewczynek.

Mieszka w nich jedenaścioro dzieci Proroka. Wydawałoby się, że to prosta sprawa, a jednak to trochę bardziej skomplikowane.

Wszystkie urodziły się już po przybyciu Ojca Johna do Bazy i oficjalna wersja jest taka, że wszystkie bez wyjątku są dziećmi Proroka, nawet te, które przyszły na świat, zanim poślubił ich matki. Taka jest wersja oficjalna.

Ale są też plotki, bo przecież ludzie są tylko ludźmi, mimo że obowiązuje ich Trzecia, najświętsza Proklamacja.

Według tych plotek niektórzy z Braci odwiedzają Wielki Dom po wieczornym zamknięciu wszystkich drzwi i to ponoć za zgodą samego Ojca Johna.

To mniej więcej ci sami Bracia, który przychodzą do zaciemnionych pokoi Alice, Leny i kilku młodszych Sióstr, gdy zgasną światła, a wpuszczają ich tam Centurioni.

Plotka głosi, że dzieją się tam rzeczy, które wcale nie powinny mieć miejsca.

Zaczynam odzyskiwać czucie w ramionach – mrowienie nie ustępuje, ale przynajmniej wiem, że nie straciłam rąk – więc biorę głęboki wdech i jeszcze raz podnoszę paczkę z logo UPS. Moje mięśnie natychmiast eksplodują bólem, ale zaciskam zęby i taszczę ciężar do gabinetu Proroka. Stukam butem w drzwi, znacznie lżej niż w te na dole.

– Proszę – rozlega się głos Ojca Johna, który jak zwykle oszałamia mnie swoją mocą, przebija się przez wszystkie inne odgłosy, ucisza je i prawie wyczuwalnie nakazuje, by go słuchać.

Domaga się posłuszeństwa.

Uginam kolana i próbuję sięgnąć do klamki. Muskam ją tylko

opuszkami palców, ale już wiem, że nie zdołam jej chwycić, nie upuszczając paczki zaklinowanej między mną a drzwiami i nagle dociera do mnie, że już nie rozprostuję kolan, które się ugięły i zablokowały w tej pozycji.

– Proszę wejść! – krzyczy Ojciec John.

Zamieram.

Nie jestem w stanie obrócić klamki, ale też nie mogę odłożyć paczki, i nie mam bladego pojęcia, jak wytłumaczę tę idiotyczną sytuację Prorokowi. Zastygam przykucnięta na dygocących nogach z ramieniem opartym o futrynę, aż wreszcie z wnętrza gabinetu słyszę szurnięcie odsuwanej po deskach podłogi krzesła i ciężkie kroki.

Drzwi otwierają się na oścież z impetem, a powstałą przestrzeń wypełnia Ojciec John. Ma czerwoną twarz i z góry przeszywa mnie wzrokiem. Gdy dostrzega moje trudne położenie, wyraz irytacji na jego twarzy ustępuje promiennemu, pełnemu życzliwości uśmiechowi, a ja wzdrygam się gwałtownie, bo nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo część mnie wciąż łaknie aprobaty Ojca Johna, mimo tego, co stało się z moją mamą i wszystkich innych rzeczy.

„Jesteś żałosna – szepcze głos z tyłu głowy. – Bezgranicznie śmieszna”.

– Moonbeam! – wykrzykuje Ojciec i unosi paczkę z moich objęć z taką łatwością, jakby w środku było pierze. – Kto ci kazał ją do mnie taszczyć? Który to leń nie raczył sam się pofatygować? Mów natychmiast.

Kręcę głową.

– Nikt, Ojczy. Sama chciałam ją przynieść.

– Zuch dziewczyna – odpowiada z coraz szerszym uśmiechem. – Prawdziwy wzór czynności. Wchodź, wchodź.

– Dziękuję, Ojczy – odpowiadam.

Do bólu ramion przyłącza się ostre klucie u podstawy pleców i pulsujący ból głowy, ale udaje mi się przestąpić próg, nie zdradzając tego miną. Gdy Prorok zamyka za mną drzwi, próbuję złapać oddech.

Ojciec John obchodzi biurko, staje za nim i stawia paczkę obok grubej,

oprawionej w skórę Biblii, z której czytuje w niedzielne poranki, po czym ściąga brwi.

– Nie przedźwigałaś się? Chcesz się położyć?

Potrząsam głową przecząco.

– Nic mi nie jest, Ojcze. – Nie brzmię zbyt przekonująco. – Za chwilę dojdę do siebie.

– Czy to Amos ją przywiózł? – pyta, wskazując paczkę.

– Tak, Ojcze. Jest ich tam jeszcze kilka.

Kiwa głową.

– Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – odpowiadam natychmiast.

Ojciec John uśmiecha się i siada w starym fotelu za biurkiem.

– Widziałaś nazwisko adresata?

Waham się, bo nie wiem, jaka odpowiedź jest właściwa. To jedna z rzeczy, których szybko uczą nas osobiste spotkania z Prorokiem, nawet jeśli ten zaszczyt spotkał nas tylko jeden lub dwa razy: rozmowa często idzie zupełnie innym torem, niż się spodziewaliśmy. Ojciec John uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Nic się nie bój – mówi. – Nie jesteś w tarapatach. Widziałaś nazwisko na etykiecie?

Potakuję.

– Jakie?

– James Carmel.

– Czy ja się tak nazywam?

– Nie, Ojcze.

– Zgadza się. A domyślasz się, dlaczego nazwisko na przesyłkach jest fałszywe?

Jestem pewna odpowiedzi na to pytanie.

– Ze względu na bezpieczeństwo.

Mruży oczy.

– Bezpieczeństwo czego?

– Gdyby Obcy zobaczyli nazwisko Ojca na przesyłce, mogliby ją ukraść – odpowiadam. – Albo podłożyć w niej coś złego, zanim Amos ją odbierze.

Przez dłuższą chwilę mierzy mnie spojrzeniem, świdruje jasnymi oczami. I właśnie w chwili, gdy zaczynam się zastanawiać, czy powiedziałam coś nie tak, kiwa głową i obdarza mnie uśmiechem, który – mimo protestów głosu z tyłu głowy – napełnia mnie radością pomieszaną z poczuciem winy.

– Otóż to, Moonbeam – odzywa się. – Właśnie tak zrobiliby Słudzy Węża. Dobra odpowiedź. Znakomita!

Czerwienię się, zawstydzona.

– Dziękuję, Ojczy.

– Jesteś bystra – mówi. – I to bardzo. Szkoda, że Pan nie powołuje kobiet na Centurionów. To szczęście dla Rodziny, że jesteś po naszej stronie. Bez ciebie bylibyśmy znacznie słabsi.

Milczę, bo już sama myśl o tym, że kobieta mogłaby zostać Centurionem, jest Herezją.

– Nie jesteś Heretyczką, Moonbeam – odzywa się Ojciec John, jakby czytał mi w myślach. – Mimo że tak mogą sądzić co mniej życzliwi Bracia i Siostry. Ani ty, ani ja nie jesteśmy Heretykami. Interpretowanie woli Pana, tak jak zmyślne obchodzenie jego przykazań, nie jest moją rolą. Ja je tylko przekazuję, w całej ich doskonałości, bo Pan nie popełnia błędów. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem, Ojczy.

– A więc pojawi się nowy Centurion – mówi Prorok, odchylając się na fotelu. – To jest pewne. Wkrótce Pan położy kres ziemskim cierpieniom jednego z Braci i wezwie go do siebie. Potem, gdy tak mu się spodoba, Pan da mi znać, kto ma zająć jego miejsce. Jak myślisz, kogo wskaże?

Kręcę głową przecząco.

– Nie wolno mi snuć przypuszczeń na ten temat, Ojczy.

Prorok znów się uśmiecha, ale oczy ma wąskie, a w jego twarzy jest znacznie mniej ciepła niż poprzednio. Czuję skurcz żołądka, ale zmuszam się, by nie odwrócić spojrzenia.

– Możesz, bo tak ci każę. To nie jest szkolny test z dobrymi i złymi odpowiedziami do wyboru. Zastanów się, proszę. To, co powiesz, nie wyjdzie poza ten pokój. Odpowiedz na moje pytanie i wskaż tego, kogo według ciebie Pan wybierze na nowego Centuriona.

Gorączkowo szukam odpowiedzi, bo przecież zawsze jest jakaś właściwa odpowiedź, choćby ktoś twierdził, że jej nie ma. A może zwłaszcza wtedy.

– Luke? – zgaduję.

Ojciec John kiwa głową.

– Ciekawe. Luke jest człowiekiem głębokiej Wiary, a jego lojalność nie ulega kwestii. Brak mu wiedzy, która przychodzi wraz z doświadczeniem, ale ma mnóstwo młodzieńczego wigoru. Nie byłoby dla mnie całkowitym zaskoczeniem, gdyby Pan go wybrał.

Wydaję bezgłośnie westchnienie ulgi i kiwam głową.

– A może Nate Childress? – pyta Prorok.

Mój żołądek zaciska się jeszcze bardziej.

– Tak myślisz, Ojczy?

– Nie sądzisz, że byłby z niego dobry Centurion?

Z trudem przełykam ślinę.

– Nie śmiałybym zastanawiać się...

– Dobra z ciebie dziewczyna – przerywa mi ostrym tonem. – Dowiodłaś dziś swojej życzliwości i lojalności, ale gdybym musiał ponownie zadawać ci to samo pytanie, byłbym rozczarowany.

„Ostrożnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Miej się na baczności”.

– Przepraszam, Ojczy. Wybacz mi.

– Wybaczam, jak zawsze – odpowiada. – A teraz odpowiedz.

– Myślę, że Nate by się nadawał – odpowiadam nieśpiesznie. – Starsi

Bracia i Siostry mają lepsze rozeznanie, ale myślę, że byłby sprawiedliwy, i jestem pewna, że jego Wiara jest Prawdziwa.

Ojciec John uśmiecha się.

– Bardzo go lubisz, prawda?

– Jest moim Bratem – odpowiadam. – Kocham go całym sercem.

Jego uśmiech zmienia się w wilczy grymas, który przyprawia mnie o ciarki.

– No, oczywiście. Tak jak powinnaś. Ale Nate przystał do Legionu niedawno. Czy nie sądzisz, że zdaniem Pana może być za wcześnie na powierzenie mu tak odpowiedzialnej funkcji?

Znów czuję skurcz żołądka. Mam wrażenie, że podłoga pod moimi stopami zmienia się w ruchome piaski.

– Nie umiem sobie wyobrazić, co dzieje się w umyśle Pana, Ojczy. – Widzę, jak jego czoło marszczy się coraz bardziej, więc szybko dodaję: – Ale zawsze uczyłeś mnie, że Pan nagradza tych, którzy na to zasługują, niezależnie od okoliczności, w jakich się znaleźli. Zawsze powtarzasz, że Pan nie daje nam więcej, niż potrafimy unieść.

Chmura na twarzy Ojca Johna rozplywa się w szerokim uśmiechu dumy.

– I tu masz rację – mówi. – Absolutną.

Wbijam oczy w podłogę i kiwam głową z pokorną wdzięcznością, a przynajmniej mam nadzieję, że tak to wygląda, bo w tej chwili pragnę już tylko, żeby pozwolił mi wyjść na zewnątrz i schować się w jakimś cichym kącie, gdzie przestanie mi się zdawać, że balansuję na krawędzi wilczego dołu.

Ojciec John kładzie dłoń na paczce z logo UPS, którą przyniosłam.

– Chcesz zobaczyć, co jest w środku?

„Nie. Tak”.

– Jeśli Ojciec chce mi to pokazać...

Uśmiech na jego twarzy gaśnie.

– Może jednak nie – odzywa się po kilku długich chwilach. – Być może na tę prawdę nie jesteś jeszcze gotowa.

– Masz rację, Ojczy. – Nie jestem głupia. Nie będę się dopraszać, żeby zdradził mi sekret, którym potem będzie mógł mnie szantażować.

O, nie! Aż tak tępa to ja nie jestem.

– Nie jest gotowa – powtarza sobie. Spojrzenie ma nieobecne, jakby patrzył na coś bardzo odległego, coś, co tylko on sam może dostrzec. Jednakże po chwili wraca do siebie i obdarza mnie powściągliwym uśmiechem. – Dziękuję, że ją przyniosłaś, Moonbeam. To bardzo miło z twojej strony. Nasza rozmowa też sprawiła mi radość. Możesz już iść.

Kiwam głową.

– Dziękuję, Ojczy.

Macha mi ręką, po czym otwiera Biblię i zaczyna czytać. Czekam sekundę, może dwie, bo chcę mieć pewność, że nie zmieni zdania i mnie nie zatrzyma, ale nawet nie podnosi wzroku. Tak, jakby już mnie tu nie było, choć wciąż jeszcze przed nim stoję.

Biorę głęboki wdech i wycofuję się do drzwi, czując powolną falę rozluźnienia. Nie pozwalam jej rozplątać się swobodnie, zanim nie dotrę do podnóża schodów, nie przejdę przez korytarz i nie wyjdę na werandę, ale gdy tylko dotykam stopą asfaltu dziedzińca i rzucam się pędem w stronę pokoju, który nazywam domem, ulga wybucha we mnie i zalewa mnie rwącą falą.

„Udało się – słyszę szept z tyłu głowy. – Oddychaj. Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze”.

POTEM

DOKTOR HERNANDEZ I AGENT CARLYLE przyglądają mi się, jakbym była kosmitką, ale miny malujące się na ich twarzach już wcale mnie nie dziwią. Przywykłam do nich.

Zaczęłam mówić, zanim usiedli, nawet zanim doktor Hernandez zdążył powiedzieć: „Dzień dobry”. Wiedziałam, że będzie chciał omawiać wczorajszą sesję, ale ja nie chciałam tego robić, bo cholernie kiepsko spałam i obudziłam się zrana z głową ciężką od zamartwiania się o wszystkich i wszystko.

Na wczorajszej popołudniowej sesji grupowej nie było Luke’a. Honey i Lucy nie kryły swojej całkowicie zrozumiałej radości z tego powodu, a innych jego nieobecność mało obeszła, co trudno było mieć im za złe. Nie są za niego odpowiedzialni. Odpowiedzialność za niego i za nich wszystkich spoczywa na mnie, ponieważ zrobiłam to, co zrobiłam. Dlatego chcę – muszę – dowiedzieć się, co się z nim dzieje. I właśnie dlatego musiałam coś opowiedzieć Obcym.

„Quid pro quo” – szeptał głos z tyłu głowy, gdy siostra Harrow prowadziła mnie korytarzem do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1.

Coś za coś.

– Dziękuję, że nam zaufałaś i zdecydowałaś się opowiedzieć o Ojcu Johnie – mówi doktor Hernandez. – Jestem pewien, że nie przyszło ci to z łatwością.

Wzruszam ramionami. Owszem, ale mówić o innych rzeczach byłoby mi jeszcze trudniej. Znacznie trudniej.

– Nie ma sprawy – odzywam się. – Mogę o coś spytać?

– Pewnie. O co tylko chcesz.

– Jak się ma Luke?

Doktor kiwa głową.

– Jest pod naszą opieką.

Czekam, aż powie coś więcej, ale po sekundzie, może dwóch, jestem pewna, że tego nie zrobi.

– To wszystko? – pytam.

– To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć – odpowiada.

– Nie było go wczoraj na terapii grupowej.

Doktor Hernandez potwierdza kiwnięciem.

– Wiem.

– Ale ma się dobrze? – pytam ponownie i słyszę nutę desperacji pobrzmiewającą w moim głosie.

– Zajmujemy się nim – powtarza. – Czy możemy wrócić do twojej opowieści?

„Dlaczego nie chcecie rozmawiać o Luke’u? Co przede mną ukrywacie?”

Nie odzywam się.

Doktor Hernandez pochyla się w moją stronę.

– Moonbeam, chcesz rozmawiać czy wolisz skończyć na dziś?

„Co za różnica? Dziś przerwiemy, a jutro i tak wrócimy do tego samego tematu. Pojutrze też. I popojutrze. Aż wszystko ze mnie wydusicie”.

– Wszystko mi jedno – odpowiadam. – Możemy kontynuować.

Patrzy na mnie przeciągle, jakby nie mógł się zdecydować, czy mi wierzy czy nie, po czym odchyła się na oparciu i kiwa głową.

– No to w porządku – odzywa się agent Carlyle. – Skoro możemy, to kontynuujmy. Mówisz, że Ojciec John miał wtedy sześć żon?

Potwierdzam kiwnięciem.

– Czy to cię nie dziwiło?

– Niespecjalnie – odpowiadam. – Wiem, że was to dziwi, bo teraz już się orientuję, jak wyglądają sprawy u was, ale nie dziwiło mnie to wtedy. To było dla mnie normalne.

– Czy jeszcze ktoś inny miał więcej niż jedną żonę? – pyta agent Carlyle. – Albo męża?

– Nie.

– A czy Ojciec Patrick miał więcej żon?

– Nie miał żadnej.

– A Ojciec John? To znaczy, przed Czystką?

Kręcę głową przecząco.

– A kiedy się to zmieniło?

Krzywię się na samo wspomnienie.

– Nie chcę już rozmawiać na ten temat.

Agent Carlyle nieznacznie pochyla głowę w moją stronę.

– A dlaczego nie?

– Po prostu nie chcę – odcinam się. – Czy muszę wszystko uzasadniać?

– Wtedy łatwiej byłoby mi zrozumieć.

– Agencie Carlyle – przerywa doktor Hernandez – to nie jest przesłuchanie. Proszę się miarkować.

– Nie rozmawiam z panem tylko z Moonbeam – odparowuje Carlyle. – Chcę się dowiedzieć, dlaczego nie chce mówić o żonach Proroka.

„Nie rób tego – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie waż się...”.

– A na co panu ta wiedza? – pytam wrzącym od gniewu głosem. – Zazdrości mu pan? Marzy się panu sześć żon?

Agent Carlyle odsuwa się, jakbym sięgnęła nad stołem i wymierzyła mu policzek. Przez długą chwilę mierzymy się wzrokiem. Kątem oka widzę pobladłego doktora Hernandeza. Przygląda się nam.

Wreszcie na twarz agenta Carlyle’a wypływa ledwie uchwytny cień uśmiechu.

– Cięta riposta – przerywa milczenie. – Nie potnij się własnym

językiem.

Czuję, że bulgocąca fala gniewu ustępuje.

– Ściśle rzecz biorąc, język to mięsień, nie bywa ostry. W każdym razie nie ten za zębami.

Uśmiecha się coraz szerzej.

– Więc wolisz trzymać język za zębami? Zgadłem?

– Bawi to pana?

Doktor Hernandez marszczy brwi.

– Nic nikogo nie bawi. Masz absolutną...

– Większość siedemnastolatek nie używa sformułowań typu „ściśle rzecz biorąc” – przerywa agent Carlyle.

– Może te siedemnastolatki, które pan zna, nie są specjalnie bystre? – odcinam się.

Carlyle zanosi się chrapliwym śmiechem.

– To możliwe – mówi. – A nawet bardzo prawdopodobne.

Doktor Hernandez spogląda to na mnie, to na agenta, chmurząc się coraz bardziej.

– Powinniśmy chyba...

Tym razem przerywa mu pukanie do drzwi. Klamka obraca się i w drzwiach zawisa głowa nieznannej mi siostry.

– Bardzo przepraszam, że przerywam, panie doktorze, ale jest telefon do pana. Z Austin.

– Niech zostawi wiadomość.

– Już im proponowałam, ale nie chcieli. Najwyraźniej to coś pilnego.

Doktor przewraca oczami i wstaje.

– Dobrze – mówi. – Wracam za dwie minuty.

– Obiecywał mi pan, że nikomu nie pozwoli rozmawiać ze mną bez pańskiego nadzoru – mówię.

„To był złośliwy chwyt – szepcze głos z tyłu głowy, ale tym razem szept przypomina śmiech. – Naprawdę wredny”.

Doktor Hernandez zastyga w pół kroku z grymasem na twarzy, nie dochodząc do drzwi, jakby zamrożony własną obietnicą.

– Ja też wyjdę – proponuje agent Carlyle i odpycha krzesło od stołu.

– Żartowałam – przerywam. – Niech pan idzie.

– Na pewno? – pyta doktor Hernandez. – Masz pełne prawo się nie zgodzić, jeśli wolisz, żebym został.

– Na pewno – powtarzam.

Agent Carlyle z powrotem przysuwa krzesło do stołu. Uśmiecha się półgębkiem.

– Okej – mówi doktor Hernandez. – Zostajecie sami. Agencji Carlyle, przypominam, że Moonbeam jest pod moją opieką i proszę, żeby pan jej nie przesłuchiwał, gdy mnie nie będzie.

– Żadnych pytań – potakuje agent Carlyle. – Obiecuję.

– Dobrze – odpowiada doktor Hernandez, ale jego głos brzmi tak, jakby nie był specjalnie przekonany. – Wracam za dwie minuty.

I wychodzi z pokoju, a siostra zamyka za nim drzwi.

Carlyle posyła mi uśmiech, który – z pewnością – ma mi dodać otuchy, ale jest w nim niepewność, jakby agent FBI obawiał się zostać ze mną sam na sam.

– No to sobie pomilczymy – przerywa ciszę.

– Doktor zakazał panu wypytywać mnie, ale nie na odwrót.

Jego oczy się zwężają, ale uśmiech nareszcie staje się prawdziwy.

– Chcesz mnie o coś spytać?

– Czy pójdę do więzienia?

Jego uśmiech znika.

– Już ci mówiłem.

– Powiedział pan, że nie pójdę.

Kiwa głową.

– Więc po co znów o to pytasz?

– Bo panu nie wierzę.

Patrzy na mnie przez długą chwilę, a potem pochyla się w moją stronę.

– Powiem wprost, choć, jak to ujął doktor Hernandez, będę się miarkować, bo zgadzam się, że praca, którą razem wykonujecie, jest ważna i nie chcę jej utrudniać. Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, najwyższy czas, żebyś zrozumiała jeszcze jedną rzecz. Otóż nie popełniłaś żadnej zbrodni, Moonbeam. Jesteś ofiarą. I to nie jednego, ale setek przestępstw. Czy to jest jasne?

„Tak”.

Kręcę głową.

– No, oczywiście, że nie jest – mówi i głęboko wzdycha. – I właśnie to jest, kurwa, najgorsze. Ty przecież nic nie wiesz.

„Wiem znacznie więcej, niż ci się wydaje”.

– Czego nie wiem?

– Nie ja o tym decyduję... no... nie mogę ci powiedzieć. – Pochyla się jeszcze bardziej, wpierając łokcie w stół. – Posłuchaj, nie pójdziesz siedzieć, jasne? Nie zamkną cię, bo nic złego nie zrobiłaś. Przynajmniej o ile wiem. Wiem też, że nie wszystko nam mówisz, i na razie tak ma być. A nawet jeśli popełniłaś przestępstwa, o których nie wiem, to i tak pierwszy lepszy adwokat z urzędu, choćby i wczorajszy absolwent prawa, bez trudu oczyści cię z zarzutów. Zwłaszcza że jesteś nieletnia.

– Nieletnia?

– Jesteś dzieckiem.

– Nie jestem dzieckiem.

– Zgoda. Jesteś dojrzała, masz głowę na karku i serce tam, gdzie trzeba, ale prawo widzi to inaczej. Do osiemnastych urodzin jesteś dzieckiem.

– A co potem? Czy w jakiś tajemniczy sposób zmienię się w kogoś, kim nie byłam, mając siedemnaście lat?

Agent Carlyle marszczy brwi.

– Oczywiście, że nie. Chodzi o wiek, w którym prawo zaczyna

traktować cię jak osobę dorosłą.

– A dlaczego akurat osiemnaście?

– Nie wiem. Może to nie jest właściwy wiek, ale jakaś granica musi być.

– Po co?

– Bo prawo traktuje dzieci inaczej niż dorosłych.

– A więc musi tak być, bo taka jest zasada?

– Mniej więcej.

– Czyli jest tak samo jak z Proklamacjami Ojca Johna?

Przed długą chwilę mierzy mnie wzrokiem, po czym odchyła się na krześle z uśmiechem.

– Jesteś dla mnie za cwana. Po każdej naszej rozmowie przydałaby mi się sesja medytacji w ciemnym pokoju.

– Przykro mi – mówię.

Kręci głową.

– Niepotrzebnie. Wiedziałaś, że służę w FBI od osiemnastu lat?

– Nie.

– Od osiemnastu lat – powtarza. – Przesłuchiwałem gwałcicieli, terrorystów i Bóg wie kogo jeszcze. Siedziałem oko w oko ze zbójcami, którzy wiedzieli, że w najlepszym razie czeka ich dożywocie, a w najgorszym egzekucja. Ale wiesz co?

Kręcę głową przecząco.

– Wszystkich rozgryzłem bez większego trudu. Poza tobą. – Znów się uśmiecha. – Wiem, że to nie brzmi jak komplement, ale jest. Najszczęśliwy.

– Dziękuję – mówię, chociaż agent Carlyle ma rację, bo to wcale nie brzmiało jak komplement.

W tej chwili drzwi się otwierają i wraca doktor Hernandez. Zerka na agenta Carlyle'a i zaraz badawczo patrzy na mnie.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– W jak najlepszym – odpowiadam.

Przez ułamek sekundy mruży oczy, po czym kiwa głową i siada.

– No, to w porządku. Na czym stanęliśmy?

– Na tym, że Moonbeam nie chce mówić o żonach Proroka – odpowiada agent Carlyle i puszcza do mnie oko. Właściwie tylko prawie niedostrzegalnie zmruża lewą powiekę, ale to ewidentne oko.

Z trudem powstrzymuję uśmiech.

– Zgadza się – mówi doktor Hernandez. – Ma do tego pełne prawo. A zatem zmieńmy temat. Chciałbym pomówić o tym, jak Ojciec John sprawował władzę nad Legionem Pana. Co ty na to, Moonbeam?

– Może być.

– Świetnie. Dzięki. A więc Ojciec John ustanawiał wszystkie zasady, według których żyli członkowie Legionu?

Kręcę głową.

– Nie wszystkie. Wiele z nich obowiązywało jeszcze przed Czystką.

– Na przykład? – pyta doktor Hernandez.

– Kiedy przewodził nam Ojciec Patrick, obowiązywał stały plan dnia. Przed śniadaniem modlitwa, potem lekcje do obiadu, po południu praca i obowiązki, a potem kolacja i studiowanie Biblii do dziesiątej wieczorem, kiedy gasły światła. Ten plan prawie się nie zmienił.

– A jednak coś się zmieniło – dopytuje doktor.

Potakuję.

– Odwołano lekcje. Po Czystce pracowaliśmy i rano, i po południu.

– Dlaczego?

– Bo Ojciec John powiedział, że wszystko, czego warto się nauczyć, jest w Biblii.

Doktor Hernandez coś notuje.

– Co jeszcze się zmieniło?

– Zabrali telewizor. A wraz z nim radia i wszystkie książki.

– Nie wolno wam było czytać książek?

Kręcę głową.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że pochodziły z Zewnątrz – odpowiadam. – Tak samo jak programy telewizyjne i piosenki w radiu. Pierwsza Proklamacja zakazała ich wszystkich.

– Wprost?

– Nie. Ale szybko stało się jasne, jak mamy ją interpretować.

– Pierwsza Proklamacja zakazywała też opuszczania kompleksu wszystkim z wyjątkiem Amosa Andrewsa?

Krzywię się. On przecież wie, że nie cierpię tego słowa.

– Tak.

– Położyła też kres naborowi nowych wiernych do Legionu Pana?

– Jak to?

– Wcześniej wyjeżdżałyście z Siostrami do Layfield, żeby rozdawać ulotki – wyjaśnia doktor Hernandez. – Wasi wierni wychodzili z Bazy i wygłaszali kazania, tak jak Horizon w opowieści twojego ojca.

– Tak, to wszystko się skończyło.

– Ale przed Czyszką to było normalne?

Kiwam głową.

– Większość wiernych wychodziła na zewnątrz. Sam Ojciec Patrick to robił, opuszczał Bazę co najmniej kilka razy w roku. Na początku Ojciec John też bardzo często wyjeżdżał głosić Słowo.

– Był w tym dobry?

– Już mówiłam, jakie były jego kazania – odpowiadam. – Nigdy z nim nie wyjeżdżałam, ale na Obcych też chyba działały. W tygodniach po jego powrocie zawsze przybywało do nas więcej ludzi.

– Czy to w ten sposób poznał Jacoba Reynoldsa? – pyta agent Carlyle.
– Przy okazji głoszenia Słowa Pańskiego?

Wzruszam ramionami.

– Może i tak.

– A więc po Czystce nowi członkowie przestali wstępować do Legionu? – pyta doktor Hernandez.

– Wciąż jeszcze przybywali. Ojciec John mówił, że wszystkim, którzy okażą się godni, Pan wskaże Ścieżkę Prawdy, a ta zawiedzie ich do Bazy.

– I tak się działo?

Kiwam głową.

– Ludzie przychodzili drogą pod Bramę Frontową. Tak jak Nate. Robili tak, bo wcześniej z kimś rozmawiali albo coś usłyszeli. Ale nie było ich już tak wielu, a Ojciec John większość odprawiał.

– Powiększyliście też bramę? Mówiłaś, że za czasów Ojca Patricka składała się z kilku pozbijanych na krzyż desek.

– Została rozbudowana po Czystce – odpowiadam. – Ojciec John stwierdził, że jest za słaba. Od razu kazał Centurionom wzmocnić ją żelastwem i drutem kolczastym.

– Czyli nikomu nie wolno było opuścić Bazy i nikogo nie zachęcano do odwiedzin?

Znów potakuję.

– A więc twoi Bracia i Siostry urodzeni po Czystce...

– Nie mają pojęcia o świecie na zewnątrz Bazy – wchodzę mu w słowo. – Nigdy nie widzieli go na własne oczy i znają go tylko z opowieści. Ja go wciąż pamiętam. Luke i kilkoro innych chyba też. Ale młodsze dzieci? Nie.

Mężczyźni wymieniają się spojrzeniami. Widzę, że próbują przetrwać moje słowa, i zastanawiam się, co takiego usłyszał doktor Hernandez, gdy w swoim biurze w odległym Austin odebrał telefon, po którym pofatygował się aż tutaj. Ciekawe, czy zrozumiał, z jak wielką sprawą on i jego koledzy będą musieli się zmierzyć. Tymczasem on pisze długo w jednym z notesów, po czym bierze głęboki wdech.

– Okej – odzywa się wreszcie. – Co jeszcze się zmieniło?

– Zaczęli zamykać drzwi na noc. Ten zwyczaj wprowadził Ojciec John.

– Na mocy jednej z Proklamacji?

Wzruszam ramionami.

– Sam pan to wie. Przecież je pan czytał.

Potakuje głową.

– Czytałem.

– To po co pan pyta o ich treść?

– Bo nie tylko suche fakty mają znaczenie – odpowiada. – Interesują mnie twoje odpowiedzi, chcę wiedzieć, o czym mówisz chętnie, a z jakimi tematami ci niewygodnie. Chcę zobaczyć, gdzie wyznaczasz granice.

„Wyznaczam granice?”

– Czyli pan mnie najzwyczajniej podpuszcza? – pytam.

„Spokojnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie tak ostro”.

Oczy doktora Hernandeza robią się wielkie, a na jego twarz wypełza wyraz co najmniej zaskoczenia. I to bardzo przekonujący.

– Ani trochę – odpowiada. – Błagam cię, nie myśl tak. Wiem, że są rzeczy, o których nie chcesz mówić i szanuję to. Wyznaczanie granic jest dobre. Moim zadaniem jest znaleźć granice, które będziesz w stanie przesunąć po to, żeby powiedzieć prawdę o swoich przeżyciach, nawet o takich, z którymi na razie nie chcesz się konfrontować. Bo to byłby prawdziwy postęp.

Nie wiem, o co mu chodzi. Tak, jakby mówił obcym językiem, którego ni w ząb nie rozumiem.

– A więc jest panu wszystko jedno, czy kłamię czy nie?

– Chciałbym, żebyś mówiła mi tyle prawdy, ile możesz – odpowiada. – To wszystko. Byłem przekonany, że już to sobie wyjaśniliśmy.

Agent Carlyle podnosi rękę, jak dziecko, które zna odpowiedź na pytanie nauczyciela.

– Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, to jestem za tym, żebyś mówiła całą prawdę i tylko prawdę – odzywa się i wyszczerza w uśmiechu. – Cholernie ułatwiłoby mi to pracę.

Doktor Hernandez spogląda na niego surowo, ale sam nie jest w stanie

powstrzymać uśmiechu, a ja tylko potrząsam głową z dezaprobatą, a przynajmniej mam nadzieję, że tak to wygląda.

– Wróćmy do przepytывania – mówię. – Chyba że macie jeszcze jakieś żarty w zanadru?

Doktor Hernandez kręci głową, ale cień uśmiechu wciąż błąka się na jego twarzy.

– Dobrze – mówi w końcu. – A więc wszystkich zamykano na noc w pokojach? O ile pamiętam, żadna z Proklamacji nie wymaga tego wprost.

– Nie każdej nocy. Światła nadal gaszono o dziesiątej, chyba że Ojciec John postanowił inaczej. Czasami Centurioni zamykali drzwi, a czasami nie. Ale jeśli już je zamknęli, to otwierali je dopiero rano.

– Czy była jakaś prawidłowość związana z zamykaniem drzwi?

– To znaczy?

– Na przykład czy w jednym tygodniu je zamykano, a w innym nie? Albo czy zamykano je od poniedziałku do piątku, a w weekendy zostawiano otwarte?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– A zatem nikt nie wiedział, czy danej nocy drzwi jego pokoju zostaną zamknięte?

Znów kręcę głową.

– To świetny sposób, by wymusić posłuszeństwo – mruczy agent Carlyle pod nosem. – Bo wtedy pozostawienie otwartych drzwi wygląda na życzliwy gest.

Doktor Hernandez potwierdza skinieniem i pisze coś w notesie.

– Czyli że Centurionów nigdy nie zamykano w pokojach? – pyta.

Uśmiecham się.

– Nie.

– A Ojca Johna?

Powstrzymuję wybuch śmiechu.

– Oczywiście, że nie.

– Ta zasada go nie obowiązywała? – pyta doktor Hernandez.

– Ta i większość innych – wtrąca agent Carlyle.

Wzruszam ramionami.

– Chyba nie.

– Czy zasady były jakoś spisane? – pyta doktor Hernandez. – I czy członkowie Legionu mogli je gdzieś przeczytać?

– Proklamacje były spisane.

– A pomniejsze zasady? Dotyczące życia codziennego?

– Nie trzeba było ich spisywać – odpowiadam. – Wszyscy znali je na pamięć.

– A jak wprowadzano nowe zasady?

– Ojciec John je ogłaszał.

– W niedzielne poranki? W czasie kazania?

– Nie zawsze. Czasami po prostu zwoływał wszystkich.

– I ogłaszał, że wprowadza nową zasadę?

– Tak.

– Bo tak nakazał mu Pan?

– Tak.

– Wierzyłaś w to?

Przeszywam go wzrokiem. Sekundy ciągną się jak długie, beczynne godziny.

„Powiedz mu prawdę – szepcze głos z tyłu głowy. – Bądź odważna”.

Doktor Hernandez patrzy na mnie.

– Moonbeam?

– Wierzyłam.

– A teraz?

– Co: teraz?

Przez głowę przebiega mi ciąg obrazów...

...moja mama z zakrwawioną twarzą w salonie Wielkiego Domu...

...Honey w cieniu szopy na narzędzia, z oczami pełnymi przerażenia...

...Nate w moim zaciemnionym pokoju, z rękami pełnymi zakazanych przedmiotów...

„Odwagi” – ponagła głos z tyłu głowy.

Nie umiem.

Nie jestem odważna.

Od samego początku wiedziałam, że kiedyś w końcu poruszymy temat mojej wiary w Ojca Johna, w Legion i we wszystko inne. Ale w tej chwili, w tym pokoju i przed nimi dwoma nie jestem w stanie o tym mówić. Równie dobrze mogłabym rozkroić się nożem i pokazać im, jak bije moje serce.

– Na dziś mam już dosyć rozmów – ucinam.

W oczekiwaniu na siostrę Harrow, która ma przynieść obiad, leżę na łóżku i z całych sił próbuję ogarnąć sytuację, w której się znalazłam.

Odkąd ocknęłam się w szpitalu z ręką w bandażach i panicznym strachem przyprawiającym o zawroty głowy, kieruję się prawie wyłącznie odruchami, starając się przetrwać najbliższe chwile, a emocje płyną przeze mnie bez nadzoru...

...dezorientacja: nie wiem, gdzie jestem...

...strach: boję się, co ze mną będzie...

...paranoja: nie wiem, komu ufać...

...poczucie winy: z powodu tego, co zrobiłam...

„Musisz zachować spokój – mówi głos z tyłu głowy. – Jesteś silniejsza, niż myślisz. Nie poddawaj się”.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wiem, że ten głos ma rację, ale od dawna jadę na adrenalinie, a jej rezerwy prawie zupełnie się wyczerpały.

Długo tak nie pociągnę.

„Myśl. Skup się”.

Nienawidzę, gdy doktor Hernandez próbuje mną manewrować, naprowadzać w jakąś stronę, nie mówiąc mi, dokąd zmierza ani dlaczego, ale – mimo to – wierzę, że naprawdę chce mi pomóc wydostać się stąd i rozpocząć samodzielne życie.

Muszę w to wierzyć. Bo inaczej równie dobrze mogłabym im oznajmić, że nie opowiem już o niczym więcej. Mogłabym zacząć przyzwyczajając się do myśli, że resztę życia spędzę, gapiąc się na te cztery szare ściany.

Nie mam pojęcia, jak wyglądałoby moje życie na zewnątrz, zresztą doktor Hernandez chyba sam tego nie wie. Ale przecież mówi o procesie terapeutycznym i postępach. Nie wiem, czy to jego zasługa czy nie, ale jednak od czasu pożaru pewna ważna rzecz uległa zmianie, której się nie spodziewałam. A mianowicie, inaczej niż przedtem, myśl o tym, że mogłabym znaleźć się sama poza Bazą nie napełnia mnie już przerażeniem, od którego żołądek kurczy się i zmienia w kamień. Tak było, kiedy wygnano moją mamę – miałam wtedy głowę wypełnioną kłamstwami i bezustannie się bałam. Bo świat Na Zewnątrz wydawał mi się prawie tak samo zły jak miejsce, które – z czasem to zrozumiałam – było moją pułapką.

„Nareszcie – szepcze głos z tyłu głowy. – Dobrze! To już coś”.

Gapiąc się w sufit, odpycham od siebie myśl o doktorze Hernandezie i skupiam się na mężczyźnie, który co rano siada na krześle obok niego. Wiem, że mam informacje, które agent Carlyle chce ze mnie wyciągnąć, a teraz już pewnie zorientował się, że jestem jedyną osobą, od której może je uzyskać. Rozmawia ze mną przede wszystkim z tego powodu. Ale nie tylko.

Od niedawna ma też inne powody.

Być może tak mi się tylko wydaje, ale to oko, które do mnie puścił po naszej rozmowie pod nieobecność doktora Hernandeza, albo uśmieški i nieznaczne gesty, które wykonuje, kiedy sądzi, że coś sprawia mi trudność – to wszystko ma mi pokazać, że jest po mojej stronie. W każdym razie chce, żebym tak myślała. Ale nie ma sensu się nad tym

zastanawiać, bo przecież i tak nie mogę go o to spytać. A nawet gdybym mogła, to i tak nie powiedziała by mi prawdy.

Zmieniły się też dwie inne rzeczy. Otóż teraz mogę obu moim „stróżom” powiedzieć, co działo się w Wielkim Domu w czasie pożaru i co wydarzyło się dzień wcześniej.

„Więc może wszystko im opowiesz?” – pyta głos z tyłu głowy.

Obiecałam sobie, że nie będę mówić o Ojcu Johnie. Poinformowałam ich o tym. A jednak o nim mówiłam, i to prawdę. I wciąż tu jestem, oddycham.

„A więc, może...”.

Może doktor Hernandez ma rację? Może dobrze by mi zrobiło, gdybym opowiedziała o wszystkim, wyjawiała tyle prawdy, ile sama zdołam znieść – o Luke’u, Nacie, mojej mamie i wszystkim innym.

„Być może”.

Wiem, że w końcu będę musiała opowiedzieć o pożarze. Wiem, że właśnie to interesuje agenta Carlyle’a i chociaż zaczynam wierzyć – a raczej: mieć nadzieję – że mogę mu zaufać, to jestem pewna, że jego cierpliwość kiedyś się skończy. Ale wciąż czuję żar płomieni i huk wystrzałów, i nie chcę tam wracać. Z całego serca nie chcę. Więc chyba mogę to jeszcze trochę odwlec.

Między prawdą a kłamstwem jest granica. Ojciec John zawsze opisywał ją jako grubą, czarną linię. Miała być wyraźna, ostra i nieprzesuwalna. A jednak zaczynam myśleć, że Ojciec John mylił się w tej kwestii, podobnie jak w wielu innych. Wydaje mi się, że granica jest tak rozmyta, że czasami trudno się połapać, po której stronie się znajdujemy, tak jak wtedy, gdy mówimy prawdę, ale ukrywamy coś istotnego albo gdy nasze kłamstwo ma w sobie część prawdy.

Na przykład: powiedziałam doktorowi i agentowi, że zawsze było czterech Centurionów. I to była prawda. Ale przez jakiś rok przed pożarem tak naprawdę było ich tylko trzech, bo jeden bardzo powoli umierał.

Jutro im o tym opowiem.

PRZEDTEM

STOIMY Z HONEY NA DZIEDZIŃCU, plecami do Wielkiego Domu, wsłuchane w wilgotny charkot nadchodzącej śmierci.

– To już niedługo, prawda? – pyta Honey.

Potrząsam głową.

– Oby.

– To dobrze – mówi. – Nie będzie się więcej męczył.

– Miejmy nadzieję, że nie – mówię i zaskakuje mnie, jak ogromnie mi na tym zależy.

Naprawdę bardzo tego chcę.

Horizon był w Legionie od samego początku, na długo przed przybyciem Ojca Johna, przed Czystką i wszystkim, co nastąpiło potem. Znałam go prawie całe moje życie, zawsze wydawał mi się olbrzymem o wielkim ciele i umyśle: był wysoki, potężny i barczysty. Bywało, że jego długie brązowe włosy sięgały aż do pasa. Jego śmiech, dobywający się z okolonych gęstą brodą ust, był tak głośny i zaraźliwy jak żaden inny. Wszystko w nim wydawało się monumentalne, jak gdyby sam Horizon nie był człowiekiem z krwi i kości, tylko bohaterem jakiejś baśni, pełnym ciepła, mądrości i niewyczerpanej dobroci.

Dorastające w Legionie dzieci ubóstwiały go. Nie byłam wyjątkiem. W dzieciństwie, wraz z innymi Braciszkami i Siostrzyczkami, godzinami snuliśmy się za nim po całej Bazie, jak rzepy psiego ogona uczepieni długasných nogawek jego spodni, i zamęczaliśmy go, by nosił nas wszystkich razem, bo przecież jest bardzo silny i bez problemu sobie poradzi.

Spełniał ten kaprys bez słowa sprzeciwu, ponieważ był skromny i pełen dobroci. Był naprawdę dobrym człowiekiem. Był też jednym z pierwszych Centurionów powołanych przez Ojca Patricka, jednym z tych, którzy zamknęli Shantiego na dziesięć dni w karcerze, ale zrobił to tylko dlatego, że taki był jego obowiązek. Wiem, że nie sprawiło mu to przyjemności. Po tym jak Lena odrzuciła łaskę wcześniejszego uwolnienia jej męża zaoferowaną przez Ojca Johna, Alice mówiła mi, że widziała, jak zalany łzami Horizon modli się samotnie w Kaplicy. Julia i Becky pielęgnowały potem Shantiego, aż wyzdrowiał, ale to Horizon siedział przy jego łóżku częściej niż ktokolwiek inny. Karmił go zupą i czytał mu Biblię.

A półtora roku temu zaczął kaszleć.

Z początku to bagatelizował. Na pytanie, czy na pewno dobrze się czuje, odpowiadał, że to tylko kaszel. Przejdzie.

Ale to nie był tylko kaszel. I nie przeszedł.

Horizon miał się coraz gorzej, wkrótce jego potępieńcze rżenia odbijające się od kwater Centurionów w zachodnim narożniku Dziedzińca budziły już pół Bazy, a co rano z jego pokoju wynoszono worek na śmieci pełen chusteczek przesiąkniętych krwią.

Za czasów Ojca Patricka nasi chorzy jeździli do przychodni w Layton, jeśli z ich przypadłościami nie mogły poradzić sobie Julia i Becky. Tam właśnie nastawiono i włożono w gips moją złamaną rękę. Ale to była jedna z wielu rzeczy, które zmieniły się po Czystce. Powiedziano wtedy jednoznacznie, że wszyscy lekarze są Sługami Węża, a wszystkie lekarstwa wydawane na receptę to broń, której Rząd używa do niszczenia umysłów Oddanych Wiernych. Mimo to Bracia i Siostry błagali Ojca Johna, by pozwolił zabrać Horizona do lekarza, a Prorok – po dwóch dobach modlitwy – w końcu się zgodził. Amos wyjechał z Horizonem przez Bramę Frontową czerwonym pick-upem i wrócił po czterdziestu ośmiu godzinach, bo odesłano go aż do szpitala w Midland, z wiadomością, której treść złamała nam wszystkim serca.

Czwarte stadium raka płuc.

Intensywne leczenie daje perspektywę co najwyżej dwóch lat. Bez leczenia Horizon pociągnie rok. I to jeśli będzie miał dużo szczęścia.

Bracia i Siostry modlili się, płakali, bili w piersi, znów modlili i znów błagali Ojca Johna, żeby coś zrobił, żeby jakoś mu pomógł, ale Horizon uśmiechnął się tylko, podziękował im za troskę i oznajmił, że jest gotów stawić się na wezwanie, kiedy tylko Pan wezwie go do Domu. Stwierdził, że niczego nie żałuje, bo zdążył na czas odnaleźć Ścieżkę Prawdy, żył tak, że może być z siebie dumny, a kiedy przyjdzie czas, wtedy Wniebowstąpi z uśmiechem.

I, na jakiś czas, wszystko wróciło na normalne tory.

Donośny kaszel Horizona stał się jednym z codziennych odgłosów życia w Bazie, pojawiających się z taką regularnością jak warkot generatorów elektrycznych, aż w końcu wcale już nie ustawał i wtopił się w dźwiękowe tło tak, że aby go usłyszeć, trzeba było przerwać wykonywaną akurat czynność i nasłuchiwać. Skóra Horizona zrobiła się blada jak u zjawy, nawet kiedy spędzał czas na słońcu, i wydaje mi się, że jego ruchy stały się nieco powolniejsze, choć wciąż promieniał entuzjazmem, a jego szeroki uśmiech zarażał ciepłem.

A jednak Horizon umierał. Wszyscy to wiedzieli.

Na jego własną prośbę Ojciec John zakazał rozmów o chorobie w takiej odległości od Centuriona, z której ten mógłby je usłyszeć. Nakazał również, by wszyscy traktowali chorego Brata tak jak zawsze. Ale rak zawisł nad wszystkim jak czarna chmura. Po miesiącu, gdy wielkie ciało Horizona zdawało się kurczyć w oczach, część Braci i Sióstr zaczęła go unikać. Mówili, że ten widok, to jego odchodzenie na raty jest dla nich zbyt bolesne.

W całej tej okropnej sprawie właśnie to było dla mnie najgorsze. Horizon nigdy nie narzekał, nie poskarżył się nikomu ani słowem, ale oczy miał pełne bólu – można go było dostrzec, jeśli miało się dość odwagi, by w nie spojrzeć. To był ten ból, którzy zadają bliscy, odwracając się od nas, nawet jeśli tłumaczą się tym, że kochają nas za bardzo, by znieść widok naszego cierpienia. I pewnie są przekonani, że to

jest w porządku.

Z budynków koszarowych dobiega gęsty, lepki charkot głębokiego kaszlu. Gdy ustaje, w całej Bazie zalega cisza.

– Czy to już? – pyta Honey. – Umarł?

Nie odpowiadam. W Bazie nigdy nie ma absolutnej ciszy, nawet w środku nocy, ale teraz przez długie sekundy słychać tylko brzęczenie cykad i szelest wiatru w koronach drzew. Aż w końcu znowu odzywa się bełkotliwy kaszel, który brzmi jak uruchamianie zajeżdżonego silnika.

Honey bierze mnie za rękę.

– Chodź, idziemy.

– Dokąd?

Wzrusza ramionami.

– Oby dalej stąd.

Uśmiecham się do niej tak szczerze, jak umiem, i pozwalam jej zaciągnąć się w stronę ogrodów. Słońce praży niemiłosiernie, skóra swędzi, a głowa nabrzmiewa pytaniem, które zadał mi Ojciec John w swoim gabinecie: kto obejmie funkcję Centuriona, kiedy już Horizon Wniebowstąpi?

Z tego co słyszałam, według większości naszych wiernych jest trzech prawdopodobnych kandydatów. Skoro Ojciec John pytał mnie o Nate'a, to być może on jest czwartym. Ale nie wiem, czy Prorok poważnie rozważał tę możliwość, czy tylko chciał się przekonać, jak zareaguję na ten pomysł.

Pierwszym z trzech kandydatów, o których bezustannie się mówi, jest Joe Nelson. Przed przystaniem do Legionu Pana był mormonem, ale my nigdy nie ocenialiśmy ludzi po tym, jak żyli, zanim weszli na Ścieżkę Prawdy i zostali Powołani. Joe miał kiedyś małą farmę w stanie Utah i, odkąd pamiętam, w Bazie zajmuje się uprawami i ziemią. Zaczął to robić wkrótce po swoim przyjeździe. W ciągu roku zmienił nędzny, zachwaszczony i kamienisty warzywnik w rozległy zespół sześciu tętniących życiem ogrodów, odratował prawie wymarły sad, wznosił cztery kurniki, gdzie pod jego okiem liczny drób ma prawdziwy raj,

a z marnej zbieraniny zabiedzonych krów wyczarował dorodne, mleczne stado.

Joe jest niesamowicie pracowity, nigdy nie narzeka i zyskał sobie reputację człowieka pełnego pomysłów i energii, który naprawdę robi wszystko z myślą o dobru swoich Braci i Sióstr. Przez większość roku jego domek przy szopach z narzędziami nie jest zamykany po dziesiątej wieczorem. To zwykle on wstaje pierwszy w całej Bazie, wychodzi długo przed świtem i często wraca długo po zmierzchu. Z tych powodów zawsze cieszył się wielką sympatią.

Powyższego nie da się powiedzieć o Jacobie Reynoldsie. A jednak większość wiernych – a w każdym razie ci, którzy zdecydowali się głośno o tym mówić – to jego uważa za najbardziej oczywistego następcę Horizona. Nawet wierni, których uradowało przejście władzy przez Ojca Johna, zawsze uważali przybycie Jacoba do Bazy w przeddzień Czystki za okoliczność podejrzanie korzystną. Zawsze czuliśmy, że jest Obcy i nie zasługuje na taką zażyłość z Prorokiem, jaką się teraz cieszy, ale właśnie ze względu na tę zażyłość nikt nie śmie powiedzieć tego głośno.

Jacob jest zwalistym grubasem. Łatwiej go przeskoczyć, niż obejść. Ma rzednące włosy, twarz pałającą czerwienią, nie umie trzymać nerwów na wodzy i nie toleruje członków Legionu, których uważa za Frywolnych. Sam wymawia to słowo tak, jakby było pisane wielką literą. Mieszka sam w walącym się domku na zachodnim skraju Bazy, bo już dalej od wszystkich nas mieszkać się nie da. Trudno byłoby znaleźć choć jednego wiernego, który miałby go za przyjaciela. A jednak Jacob jest Oddanym wiernym. Zaciekłym, fanatycznym wyznawcą Proroka.

To on spisał Proklamacje Ojca Johna, dniami i nocami siedząc u boku Proroka, gdy jego ustami przemawiał Pan, i to Jacob przygotowuje Kaplicę do niedzielnych kazań. Słyszałam nawet o kilku przypadkach, w których Ojciec John był tak zajęty, że wiernych, którzy przyszli po poradę w sprawie duchowej, odesłał do Jacoba – już samo to sprawia, że Jacob jest poważnym kandydatem na Centuriona. A zadaniem Centuriona jest utrzymywanie standardów wymaganych od wszystkich członków

Legionu Pana.

No więc tak.

Joe Nelson i Jacob Reynolds.

Pozostał jeszcze jeden kandydat, ten, o którym wspomniałam, gdy Ojciec John zadał mi swoje pytanie.

POTEM

– CZY LUKE DAŁ JASNO DO ZROZUMIENIA, że chce zostać Centurionem?

– pyta agent Carlyle.

Potakuję.

– W jaki sposób?

Wzruszam ramionami, drapiąc się w prawą dłoń przez świeże bandażę. Siostra Harrow zmieniła mi opatrunek, gdy przyszła zabrać tacę po śniadaniu. Uśmiechnęła się, pokiwała głową i powiedziała, że wszystko wygląda znacznie lepiej, ale muszę jej uwierzyć na słowo. Nie chciałam na to patrzeć.

– To było oczywiste – odpowiadam. – Ale nie mógł wyjść na środek i powiedzieć tego wprost, bo... sami wiecie dlaczego.

– Dlatego że Centurionów wybierał sam Bóg – kończy doktor Hernandez. – A więc zgłaszanie się na ochotnika byłoby Herezją.

– Właśnie – potwierdzam. – A Luke nie jest głupi, więc się nie zgłosił. Ale zamiast tego mówił wciąż o odpowiedzialności, o tym, że już czas, by dopuścić do głosu nowe pokolenie Legionu Pana, i o tym, że on sam jest awangardą nowego pokolenia. Wszyscy wiedzieli, o co tak naprawdę mu chodzi.

Agent Carlyle się uśmiecha.

– Sam tak powiedział czy to twój dobór słów?

– Tak powiedział. I to niejeden raz.

– „Awangarda nowego pokolenia” – powtarza agent Carlyle. – Całkiem kwieciście jak na damskiego boksera, który lubi wyzywać dziewczęta od

kurew. Dlaczego chciał zostać Centurionem?

– To nie fair.

Ściąga brwi.

– Niby co?

– Że wykorzystuje pan to, co się działo na sesji grupowej. Ja i Honey wiemy, że się nam przyglądacie i słuchacie. Ale większość pozostałych o tym nie wie. Oni myślą, że są sami i ta świadomość jest dla nich ważna.

Doktor Hernandez spogląda na mężczyznę siedzącego obok.

– Masz rację – mówi agent Carlyle. – To nie było fair, przepraszam. Ale i tak odpowiedz na pytanie.

– Które?

– Dlaczego Luke chciał zostać Centurionem? – powtarza Carlyle.

„Żeby móc rozkazywać innym. Żeby ich karać, kiedy go nie posłuchają. Żeby się nad nimi znęcać”.

– Przez ambicję – odpowiadam.

– Legion Pana istniał po to, by służyć Panu – mówi doktor Hernandez – a nie dla zaspokajania osobistych ambicji, mam rację?

– Tak – odpowiadam. – Ale ludzie są tylko ludźmi. Niektórzy chcą, żeby wszystko kręciło się wokół nich.

– Czy Luke był jednym z nich?

– Widział go pan na sesji grupowej – mówię. – Jak się panu wydaje?

– Sądzę, że to młody człowiek z poważnymi problemami – odpowiada doktor Hernandez. – Myślę, że wolałby nie przeżyć pożaru.

W pokoju zapada krępująca cisza. Agent Carlyle patrzy na doktora Hernandeza kątem oka, jak gdyby nie spodziewał się, że doktor odpowie na moje pytanie. Ja też się tego nie spodziewałam i część mnie zastanawia się, czy faktycznie taki miał zamiar, bo na jego policzki wypełzły rumieńce.

– Pomagacie mu? – pytam.

Doktor Hernandez kiwa głową.

– Robimy co w naszej mocy.

– Dlaczego od kilku dni nie przychodzi na sesję?

Doktor waha się przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy mi powiedzieć czy nie.

– Po waszej rozmowie o Wniebowstąpieniu był niezwykle pobudzony. Musieliśmy dać mu coś na uspokojenie, co, jak sobie pewnie wyobrażasz, wpisuje się idealnie w pełne grozy opowieści Ojca Johna o świecie poza Bazą. Dotarcie do niego po tym epizodzie było... wyzwaniem.

– Ale czy on wydobrzeje? – pytam.

– Mamy nadzieję, że rezultat jego terapii będzie pozytywny.

Ściągam brwi.

– Już wcześniej pan to mówił.

– Wiem – odpowiada. – Bo mam taką nadzieję. Zamierzamy dopuścić go do dzisiejszej sesji grupowej.

– Ale nie może pan powiedzieć, że na pewno mu się poprawi?

Doktor Hernandez kręci głową przecząco.

– Nie. Nie mogę.

Moje myśli wypełnia wspomnienie Luke'a wierzgającego i wrzeszczącego na ludzi Rządu wynoszących go z płonącej Bazy. Wzdrygam się.

– Dziękuję, że pan to powiedział – mówię.

– Prawdopodobnie nie powinienem był – odpowiada doktor. – Jest bardzo ważne, żebyś nie rozmawiała o tym z innymi, a zwłaszcza z Lukiem. Przykro mi, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale tego wymaga dobro wszystkich.

„A więc teraz oprócz własnych sekretów muszę strzec i twoich? Świetnie. Naprawdę, wielkie dzięki”.

– Nic im nie powiem.

Kiwa głową i zmusza się do bladego uśmiechu.

– Dziękuję.

– Po co okłamujesz Luke’a, kiedy pyta o nasze rozmowy? – pyta agent Carlyle. – Dlaczego nie mówisz mu prawdy?

– Bo to nie jego sprawa.

– Czy ty się go boisz? – pyta Carlyle.

„Tak”.

– Już nie – mówię. – Jeśli już, to mi go żal. Ale kiedyś tak. Długo się go bałam.

– Dlaczego? – pyta agent Carlyle.

– Bo bałam się, że zrobi komuś krzywdę.

– Był agresywny?

„Tak”.

– Czasami.

– Wobec ciebie?

Kiwam głową.

– A wobec Braci i Sióstr? – pyta doktor Hernandez. – Czy ich też tyranizował?

– Tak.

– Ale przecież nie był Centurionem – mówi agent Carlyle.

– Nie.

– A więc nie miał władzy nad innymi.

– Nie.

– Czy John Parson karał go za tę agresję?

– Czasami.

– Ale nie zawsze?

– Nie.

W czasie mojego dialogu z agentem doktor Hernandez zapisał pół strony w notesie. Teraz odkłada długopis i patrzy na mnie.

– A czy cieszył się estymą wśród młodszych członków Legionu?

– Chodzi o Luke’a? – pytam.

– Tak, o niego.

– Co to znaczy „cieszył się estymą”?

– Czy cieszył się popularnością? – pyta doktor. – Czy go lubili? A może oni też się go bali?

– W różnych momentach bywało różnie – mówię. – Czasem się go lubiło, a innym razem nie można było go znieść, tak jak każdego. Ludzie są tylko ludźmi.

– Ludzie są tylko ludźmi – powtarza agent Carlyle.

– Właśnie.

– A ty? – pyta doktor Hernandez.

– Co ja?

– Lubiałaś Luke’a?

– Już mówiłam, że co najwyżej jest mi go żal.

– Ale nie teraz – mówi doktor. – Chodzi mi o okres przed pożarem, gdy byliście w Legionie.

Wzruszam ramionami.

– Był moim Bratem. Kochałam go.

Doktor Hernandez się uśmiecha.

– Ale go nie lubiałaś?

„Nie znosiłam go. Przerazał mnie. Z całego serca go nienawidziłam”.

– Nie. Nie lubiłam.

„TY Zdradziecka SZMATO! – W mojej głowie zniecka rozlega się ogłuszający ryk Ojca Johna. – Heretyczko! Nigdy nie kochałaś swoich Braci ani Sióstr! Zawsze byłaś Fałszywa! Twoja wiara była tylko na pokaz!”.

Kulę się, bo dawno już nie słyszałam potwornego, dudniącego głosu Proroka. A przecież malutka, pełna rozpaczliwej nadziei część mnie zaczęła się już zastanawiać, czy może ucichł na zawsze.

– Nie lubiałaś go?

– Nie. I może mi pan wierzyć, że było to uczucie odwzajemnione. –

Przerywam na chwilę. – Szczerze mówiąc, stwierdzenie, że mnie „nie lubił”, jest niedopowiedzeniem. Wiele razy miałam absolutną pewność, że mnie nienawidzi.

– A ty jego?

– Nie – kłamię.

– Jak myślisz, dlaczego cię nienawidził? – pyta doktor Hernandez.

Wzruszam ramionami.

– A dlaczego jedni ludzie nienawidzą innych?

– Mogą mieć mnóstwo powodów – mówi. – Czasami przyczyna bywa zupełnie realna, na przykład kiedy ktoś skrzywdzi nas albo naszych bliskich. A czasem nienawidzimy z przyczyn irracjonalnych, takich jak kolor skóry albo orientacja seksualna. Ale bywa też nienawiść bez jednoznacznej przyczyny.

– Myślę, że to była mieszanka wszystkich trzech powodów.

– Dlaczego?

Waham się z odpowiedzią, bo ten temat może nas doprowadzić do spraw, których chyba nie chcę roztrząsać. Ale głos z tyłu głowy natychmiast przypomina mi o tym, co powiedziałam sobie wczoraj wieczorem, leżąc na łóżku i gapiąc się w sufit.

„Może dobrze by mi zrobiło, gdybym wyjawiała tyle prawdy, ile sama zdołam znieść?”

Doktor Hernandez marszczy czoło.

– Wszystko w porządku, Moonbeam?

– Luke był pierwszym dzieckiem urodzonym w Bazie – mówię, ignorując pytanie. – Przyszedł na świat zaledwie rok po założeniu Legionu przez Ojca Patricka, jeszcze zanim wylano fundamenty Kaplicy. Musicie wiedzieć, że przed wprowadzeniem Trzeciej Proklamacji wszystko było zupełnie inaczej. Ludzie...

Milknę. Nie mam bladego pojęcia, jak rozmawiać na ten temat z nimi dwoma.

– Panowała większa swoboda seksualna? – podsuwa doktor Hernandez.
Kiwam głową, pełna wdzięczności.

– Dziękuję za pomoc. Właśnie tak. Panowała większa swoboda i nie mam pojęcia, czy ktokolwiek wiedział, kto jest ojcem Luke’a. To nie było jasne nawet wtedy. Wielu naszych wiernych z pewnością wiedziało, która z Sióstr jest jego matką, bo przecież urodziła go w Bazie, ale nikt nigdy nie pisał słowa na temat, nawet ona sama.

– To znaczy, że po porodzie go porzuciła? – pyta agent Carlyle.

– Tego nie wiem. Ale nigdy się do niego nie przyznała. Luke wypytywał o nią, i o ojca również, nawet kiedy już zakazano rozmów o tym, co było przed Czystką, ale niczego się nie dowiedział.

– Co mu odpowiadano, kiedy o to pytał?

– Że jest dzieckiem Pana. Że wychowują go Bracia i Siostry i że to oni są jego Rodziną. Ale przez całe lata chodziły różne plotki. Chyba wszyscy je słyszeli. Padały imiona i nazwiska tych, którzy Odeszli, ale i tych, którzy pozostali, tych, z którymi Luke najczęściej rozmawiał.

– Jak myślisz, dlaczego nikt nie chciał wyjawić mu prawdy? – pyta doktor Hernandez. – Przecież sama mówisz, że na pewno niejedyn wierny potrafił wskazać jego matkę.

Wzruszam ramionami.

– Może ich prosiła, żeby tego nie robili.

– Wyobrażacie sobie, jakie to uczucie codziennie przyglądać się cierpieniu własnego syna? – mówi agent Carlyle. – Przyglądać się, doskonale wiedząc, że możemy mu pomóc, a jednak nic nie robić, nawet się do niego nie przyznać. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby tak postępować?

– Proszę jej nie osądzać, niezależnie od tego, kim była – oponuje doktor Hernandez. – Nie wiemy, co przeszła, ani z jak wielkim trudem przyszło jej podjąć taką decyzję.

Agent Carlyle krzywi się, ale nic nie mówi.

– Jak myślisz, dlaczego wychowanie Luke’a wpłynęło negatywnie na

jego stosunek do ciebie? – pyta doktor Hernandez.

– Nie wiem, czy wpłynęło – mówię. – Po prostu głośno myślę. Ale przecież już wiecie, że ja nie urodziłam się w Bazie, więc od samego początku on i ja byliśmy inni.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz mówić o twojej mamie.

Wzruszam ramionami.

– Mogę. – Mówiąc to, czuję lekkie zaskoczenie, że, przynajmniej w tej chwili, naprawdę mogę o niej mówić. – Opowiadała mi o ich życiu przed przeprowadzką do Bazy. Zanim się urodziłam, była nauczycielką, a ojciec pracował w organizacji dobroczynnej pomagającej dzieciom. Pewnie by go pan polubił.

Doktor Hernandez się uśmiecha.

– Gdy się urodziłam, byli małżeństwem od ośmiu lat. Mama nazywała mnie swoim małym cudem, bo lekarze zaczęli już myśleć, że nie może mieć dzieci.

Jego uśmiech blednie. Przypominam sobie, co mówił mi o swojej żonie, i czuję w sercu skurcz współczucia. Żal mi ich obojga.

– Czy myślisz, że to dlatego twój ojciec dał się przekonać kazaniom Horizona w Santa Cruz? – pyta agent Carlyle. – Że on i twoja mama uwierzyli, że jesteś darem od Boga?

– Nie wiem. Nie miałam okazji go o to spytać.

Agent Carlyle znów się krzywi i kiwa głową.

– Chyba nie sięgasz pamięcią tak daleko wstecz? – pyta doktor Hernandez. – Pamiętasz okres, kiedy przeprowadziliście się do Bazy?

Zaprzeczam ruchem głowy, mimo że dzień, kiedy tam przyjechaliśmy, pamiętam tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Widzę szkielet Kaplicy wznoszący się na tle błękitu nieba, uśmiechnięte twarze nieznanomych, którzy witają mamę i tatę, zawisają nade mną, gaworzą, klaskają i delikatnie ściskają mnie za małe rączki. Czuję upał i suchość świata, który jest zupełnie obcy. To wszystko wydaje się wspomnieniem, ale nie może nim być, bo przecież miałam wtedy tylko półtora roku. A jednak

w tym obrazie zachował się mój tata i szczęście, więc go pielęgnuję.

– Czyli Luke był pierwszy – odzywa się agent Carlyle. – A ty byłaś druga.

– Kiedy zakładano Legion, były tam już dzieci pierwszych członków Legionu – mówię. – Ale my byliśmy pierwszymi, które pojawiły się po jego założeniu, kiedy już naprawdę istniał.

– Pierwszymi z wielu?

– Bardzo wielu. W pierwszych latach nowi ludzie przybywali co miesiąc. Nie wszyscy zostawali, ale wydawało się, że wszędzie pełno jest nowych twarzy. Pamiętacie, jak opowiadałam o mojej przyjaciółce Lizzie, której mama pracowała w Layfield?

– Wyjechały po Czystce – mówi doktor Hernandez.

Kiwam głową.

– Zgadza się. Gdy przybyły do Bazy, Lizzie miała pewnie z pięć albo sześć lat. Honey trzy, Alice siedem, a Isaac prawie czternaście. Były też inne dzieci, starsze i młodsze. Ale tak – Luke był pierwszy, a ja druga.

– No i ty miałaś rodziców, a on nie – mówi doktor Hernandez.

Kiwam potakująco głową.

– Czy pozostali członkowie Legionu traktowali waszą dwójkę inaczej?

Wracam pamięcią do czasów, kiedy Luke i ja byliśmy mali, a Ojciec Patrick przewodził Legionowi Pana, który był wtedy inny. Lekki. Miał więcej serca. Był lepszy.

„Czy aby na pewno? – szepcze głos z tyłu głowy. – To, że chcesz w coś wierzyć, nie sprawia, że to coś staje się prawdą. Przecież dobrze wiesz”.

– Chyba tak – odpowiadam, starając się ignorować głos. – Ale inaczej, niż się panu wydaje. Nie było tak, że mnie traktowano dobrze, a jego źle. Luke’a wychowywał cały Legion, troszczył się i dbał o niego. Ze mną było podobnie, ale ja wiedziałam, że zawsze mogę pójść do mamy. To musiało być dla Luke’a trudne, zwłaszcza gdy podrósł na tyle, że już to rozumiał i mógł zadawać pytania. Codziennie łamał sobie głowę, czy jego rodzice tam są, ale nie chcą się do niego przyznać, tylko...

– Bezustannie go odrzucają? – kończy doktor Hernandez.

Próbuję sobie wyobrazić, jak musiał się czuć. Tę frustrację, niemoc i niekończące się rozczarowanie. W takiej sytuacji łatwo uznać, że rodzice nie chcą cię z jakiegoś konkretnego powodu, że to twoja wina. Z czasem te uczucia po prostu muszą zmienić się w gniew.

– Chyba tak – odpowiadam. – Gdy byłam mała, po prostu myślałam, że jest złośliwy, że czepia się mnie z jakiegoś powodu. Ale teraz widzę, że mi zazdrościł, i innym dzieciom też, i że musiał być strasznie samotny. Myślę, że powinnam była okazywać mu więcej przyjaźni. Powinnam była być lepszą Siostrą.

– Przecież byłeś tylko dzieckiem – mówi doktor Hernandez. – Nie ponosisz winy za wychowanie Luke’a.

Wzruszam ramionami.

– No, chyba nie.

– Powiedziałaś, że czasami byłeś pewna, że cię nienawidzi – odzywa się agent Carlyle. – Czy to dlatego, że zmieniał swoje ogólne nastawienie do ciebie czy masz na myśli jakieś konkretne zachowania?

Wspomnienie rozbłyskuje we mnie ostrym, zimnym światłem.

– Zdarzył się pewien... wypadek – mówię.

– Chcesz nam o nim opowiedzieć? – pyta doktor Hernandez.

To dobre pytanie. Bardzo dobre. Czy chcę im opowiedzieć o tym jednym jedynym razie – w każdym razie przed Czystką – kiedy naprawdę byłam pewna, że umrę?

„Powiedz im – szepcze głos z tyłu głowy. – Bądź odważna”.

– Nie. Nie chcę. Ale opowiem.

Doktor kiwa głową.

– W porządku. Nie śpiesz się i pamiętaj o swoich uczuciach. Przerwiemy, kiedy będziesz tego potrzebować.

Robię głęboki wdech i wydech. I znów nabieram powietrza.

Oczy doktora Hernandeza się zwężają.

– Wszystko w porządku, Moonbeam?

Potwierdzam kiwnięciem głowy.

– To była niedziela...

PRZEDTEM

KAZANIE OJCA JOHNA – o złu uzależnień i o tym, jak Rząd wykorzystuje alkohol i narkotyki, by odsunąć ludzi od Ścieżki Prawdy – wciąż dzwoni mi między uszami, gdy idę za Nate’em do ogrodów.

Wiem, wiem. Często za nim chodzę. Na tyle często, że niektóre Siostry chichoczą i komentują, zasłaniając usta dłońmi.

Ale nie obchodzi mnie to, bo Nate jest dla mnie tylko przyjacielem, jest ode mnie znacznie starszy i wiem, że nigdy nie spojrzy na mnie tak, jak ja bym tego chciała, więc w naszej znajomości nie ma nic zdrożnego i Siostry mogą sobie chichotać, ile chcą. Joe Nelson daje nam torbę nasion sałaty. Zabieram się do ich wysiewania razem z Nate’em, ale on wydaje się dzisiaj w kiepskim humorze, i po piętnastu minutach mojego zagadywania prosi, żebym dała już spokój, choćby na chwilę. Mówiąc to, czuje się winny. Widać, że jest zmęczony i choć czerwienię się zawstydzona, i serce mi pęka, jest mi go żal. Udaje mi się wydusić słaby uśmiech, mówię, że nie ma sprawy, wychodzę z ogrodów i zostawiam za sobą dziedziniec.

Słońce stoi wysoko na niebie i praży niemiłosiernie. Idąc po gorącym asfalcie, czuję na plecach strużkę potu i dociera do mnie, że nie mam pojęcia, co mam teraz ze sobą zrobić. W Legionie Pana nie ma czasu wolnego – kiedy skończy się jedną pracę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się cała lista nowych. Wiem, że powinnam znaleźć jednego z Centurionów i poprosić o nowe zadania, ale w tej chwili dziedziniec jest pusty i cichy, żar leje się z nieba i mam wrażenie, że cała Baza jest pogrążona we śnie.

Mijam Kaplicę, wschodni rząd budynków koszarowych i wychodzę na pustynię, której ziemia jest ciemnopomarańczowa i pozbawiona życia. Nie ma tu nic poza pyłem, piachem i martwymi liśćmi. W oddali widzę ogrodzenie falujące w rozgrzanym powietrzu jak fatamorgana. Biegnie na północ i południe, u szczytu zwieńczone nierównym zwojem drutu kolczastego. W nieregularnych odstępach wiszą na nim tabliczki z napisem „TEREN PRYWATNY”. Od ogrodzenia dzieli mnie rząd domków i szop skleconych byle jak z desek, gdzie trzymamy większość narzędzi rolniczych i ogrodniczych do obrabiania pól i ogrodów Joego Nelsona. Są tam kosiarki, piły, kosy, motyki, łopaty, siekiery i mnóstwo innych narzędzi. Właśnie tam idę. Przed oczami mam wciąż minę Nate’a, gdy powiedział, żebym dała mu spokój.

Mam swój rozum. Nie jestem głupią podfruwajką, która wierzy w bajki o miłości ani w żadne „żyli długo i szczęśliwie”. Wiem – zawsze to wiedziałam, odkąd Nate się tu pojawił – że widzi we mnie tylko młodszą siostrę, która nie umie ukryć, że się w nim podkochuje, i wiem, że nigdy, przenigdy do niczego między nami nie dojdzie.

Głos z tyłu głowy nigdy nie przepuści okazji, by mi przypomnieć, że Nate nie darzy mnie takim uczuciem, a nawet jeśli się mylę – nie mylę się, ale gdyby tak było – to i tak Trzecia Proklamacja absolutnie zakazywałaby mu działać w porywie emocji. A nawet gdyby był skłonny złamać tę fundamentalną zasadę, gdyby kochał tak szalenie, żeby zaniechać wszelkiej ostrożności, to łamiąc Proklamację z mojego powodu, ryzykowałby znacznie więcej niż z jakąkolwiek inną dziewczyną z Legionu, bo – jak sam mi codziennie przypomina – gdy miałam dziesięć lat, zostałam wybrana na Przyszłą Żonę Proroka.

Jest nas pięć: Zara, Lily, Hanna, Hummingbird i ja. Ja jestem najstarsza, a Lily najmłodsza. Ma teraz dziesięć lat, ale Pan wybrał ją dla Ojca Johna cztery lata wcześniej. To wielki zaszczyt być Przyszłą Żoną. Ustępuje tylko należnemu Centurionom, choć ta funkcja niczego nie zmienia. Do Wielkiego Domu przeprowadzamy się dopiero po ślubie, a ten następuje, gdy skończymy osiemnaście lat. Ta przyszłość jest mi znana, ale nigdy nie

wiedziałam, co mam o niej myśleć.

Dobrze pamiętam, jak mama w kółko powtarzała Prorokowi, że będę dla niego dobrą żoną. Nate też wiecznie o tym klepie w rozmowach z naszymi wiernymi, nawet jeśli rozmowa jest na całkiem innym temacie. To tak, jakby wciąż musiał się upewniać, że nikt nigdy nie zapomni o mojej wyjątkowej pozycji.

Ale ja sama? Rozumiem, że tego chce dla mnie Pan, ale i tak nie czuję, że to jest przyszłość, która ma naprawdę nastąpić. Głównie dlatego, że osiemnaście lat skończę dopiero za trzy lata, a absolutnie wszyscy Bracia i Siostry, nawet sam Ojciec John, są przekonani, że Ostateczna Bitwa z Wężem nastąpi znacznie wcześniej.

„A jeśli nie? – szepcze głos z tyłu głowy. – Co, jeśli będziesz musiała go poślubić, wprowadzić się do Wielkiego Domu, do jego sypialni, do jego łóżka, a tam...”

Z całych sił odpycham od siebie ten głos i nie przerywam marszu, bo w tej chwili nie chcę myśleć o tych sprawach. Jestem już prawie przy pierwszej szopie, którą stanowi arkusz pordzewiałej blachy wsparty na ramie z gałęzi, kiedy zza rzędu baraków dobiega mnie jakiś odgłos. Mamy w Bazie grzechotniki diamentowe. Są ich dziesiątki. Człowiek szybko się uczy, że na dźwięk grzechotki trzeba się natychmiast wycofać, nawet jeśli nie widać węża.

Ale to nie jest grzechot. Brzmi bardziej jak chrząknięcie, jakby ktoś nagle wypuścił całe powietrze z płuc. Stoję bez ruchu, słucham i czekam.

Po kilku sekundach odgłos się powtarza.

Tym razem jest potężniejszy i na pewno dobiega zza dużej szopy po lewej stronie. Powoli, ostrożnie ruszam naprzód, tak, żeby nie złamać stopą suchej gałązki ani nie zaszeleścić martwymi liśćmi. Posuwam się przyklejona do ściany rozklekotanej szopy i wreszcie wyglądam zza węgła.

Wtedy fala zawstydzenia uderza mnie w policzki, bo oto w cieniu dużej szopy stoi Luke: ma rozpięte spodnie, a w rękę trzyma członka. Czoło ma zmarszczone, jakby strasznie się koncentrował i widzę, że bardzo szybko

przesuwa ręką do przodu i do tyłu, wydając chrząknięcia, które słyszałam wcześniej.

Wcale mnie to nie bawi. Ani trochę. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że jeśli Luke przyłapie mnie na podglądaniu, to się wścieknie. Ale mimo tej wiedzy muszę się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo w tym swoim nadęciu i powadze Luke wygląda naprawdę idiotycznie. I chociaż wiem, że to, co robi, jest jego prywatną sprawą, to po prostu nie mogę przestać patrzeć. Nie umiem.

Nagle po drugiej stronie szopy dostrzegam jakiś ruch i całe rozbawienie, któremu o mało nie dałam upustu, znika, bo z cienia wychodzi Honey. Wygląda na zmieszaną, a wyraz jej twarzy wskazuje jasno, że nie chce tu być.

– Dotknij go – mówi Luke.

Honey patrzy na Luke'a wielkimi oczami, ale stoi bez ruchu.

– No, już! – syczy Luke. – Ruszaj się. To twój obowiązek.

Honey gapi się na Luke'a przez długą chwilę, po czym wbija wzrok w ziemię. Gdy wreszcie wyciąga drżącą rękę, jakiś nieświadomy impuls wypycha mnie zza szopy.

– Wracaj na dziedziniec, Honey – mówię i wyłaniam się z cienia.

Wydając odgłos przypominający zaskoczone skamlenie, Luke gwałtownie odwraca się plecami do mnie i szarpie się z rozporkiem.

– Wynoś się stąd! – krzyczy. – Nie robimy nic złego!

Honey patrzy na mnie z wyraźną ulgą, jakby nie mogła uwierzyć, że tu jestem, że naprawdę przed nią stoję.

– Idź – mówię. – Wszystko w porządku, nie zrobiłaś nic złego.

Nie daję sobie dwa razy powtarzać. Ucieka w stronę dziedzińca, a jej głośny tupot wypełnia przestrzeń między budynkami. Gdy Luke obraca się w moją stronę, orientuję się, ale o sekundę za późno, że ja też powinnam była uciec. W jego twarzy nie widzę gniewu ani zawstydzienia, których oczekiwałam.

Jest w niej żądza mordy.

Rzuca się na mnie, chwyta za ramiona i przygniata plecami do szopy. Szoruję piętami po ziemi, walę głową w blachę i widzę gwiazdy, całe galaktyki gwiazd, a wtedy Luke wymierza mi potężny cios pięścią. Trafia pod same oko, ale eksplozja bólu przywraca mi klarowny ogląd sytuacji. Czuję smak krwi i próbuję krzyczeć, ale Luke zatyka mi usta dłonią i miażdży mnie swoim ciałem. Jego oczy płoną nienawiścią.

– Wydaje ci się, że kim jesteś? – charczy. – Myślisz, że możesz szpiegować innych. Mieszać się w nie swoje sprawy?

W jego oczach próbuję znaleźć coś, co dałoby mi chociaż cień nadziei, że wyjdę z tego cało, że on chce mnie tylko nastraszyć. Ale niczego tam nie znajduję.

Absolutnie niczego.

– Trzecia... Proklamacja – sapię, dusząc się w jego ciasnym uścisku.

Parska śmiechem i nieznacznie rozluźnia chwyt.

– Ty chcesz uczyć mnie Proklamacji? Dobrze rozumiem? Znam je lepiej niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem samego Proroka.

– I dlatego chciałeś złamać jedną z nich? – Wszystko jedno, co odpowie, ale zyskam na czasie, napełnię płuca powietrzem i może zdołam coś wymyślić, żeby się uratować.

– Niczego nie łamałem – prostuje. – Ona ma robić to, co jej każe. Rozumiesz? Ma spełniać moje zachcianki, to jej psi obowiązek. I twój też.

Czuję, jak jego druga ręka sunie w górę mojego uda. Znów próbuję krzyknąć, ale on to zauważa i zatyka mi usta jeszcze mocniej niż poprzednio.

– Wiem, że obiecano cię Ojcu Johnowi – szepcze, a jego oczy płoną nienawiścią. – Wiem, że do tego czasu masz zachować czystość. Ale gdy Prorok zrobi z tobą co swoje, wtedy odwiedzę cię nocą i się zabawimy. To będzie prawdziwa balanga. Zrobię ci...

Nagle ręka zatykająca moje usta i ta pełznąca po udzie znikają, a Luke leci do tyłu z wytrzeszczonymi oczami. Potyka się i upada, a ja osuwam się po ścianie, bo nogi nie wytrzymują mojego ciężaru. Wycieram

napływający do oczu potok łez i widzę, jak Nate robi krok naprzód i czubkiem buta kopie Luke'a w żebra z odgłosem przypominającym wbijanie tasaka w świńską tuszę. Luke wyje i próbuje się odczołgać, ale Nate kopie go po raz drugi i następny, i kolejny, aż wreszcie Luke zupełnie nieruchomieje i leży z oczami pełnymi bólu i potwornego zaskoczenia. Nate unosi nogę, żeby kopnąć ponownie, ale wtedy nareszcie odzyskuje głos.

– Nie! – krzyczę. – Nate, przestań!

But Nate'a zawisa w powietrzu, a spojrzenie, które na mnie kieruje, przepełnione jest taką furią, że zastygam w bezruchu. Wtedy jego twarz się rozluźnia i Nate powoli stawia nogę na ziemi.

– Nic ci nie jest, Moonbeam? – pyta. – Nie zrobił ci krzywdy?

Kręcę przecząco głową, a rozciągnięty na ziemi Luke wydaje z siebie chrapliwe westchnięcie.

– Na pewno?

– Nic mi nie jest – mówię, choć to dalekie od prawdy. – Obiecuję, Nate.

– To dobrze – odpowiada. – Wróć na dziedziniec.

– Co chcesz zrobić?

Nate spogląda na Luke'a, który wybałuszył oczy w przerażeniu, a czerwień na jego twarzy ściemniała prawie do purpury.

– Rozwiążę ten problem – mówi Nate. – Idź. Nie rozmawiaj z nikim do mojego powrotu. Znajdę cię.

Wstaję i na pół biegnąc, na pół zataczając się, znikam za węglem szopy. Udaje mi się dotrzeć aż na skraj dziedzińca, kiedy moje nogi ustępują wreszcie pod ciężarem ciała. Osuwam się kolanami na asfalt i szlocham do utraty tchu.

POTEM

– JEZU – DYSZY AGENT CARLYLE. – Jezu, kurwa, Chryste.

Gdy opowiadałam, coraz bardziej wytrzeszczał oczy, i teraz gapi się na mnie z takim współczuciem, że boję się na niego spojrzeć, bo mogłabym się popłakać.

– Ile lat miała Honey? – cicho pyta doktor Hernandez.

– Wtedy?

Kiwa głową.

– Jedenaście.

Zapada długie milczenie. Moja opowieść kłębi się w powietrzu między nami jak kwaśny, trujący gaz. Wreszcie agent Carlyle odzyskuje rezon.

– Co się stało z Lukiem? – pyta.

– Nic. Nie wiem, co mu powiedział ani co zrobił mu Nate po tym, jak uciekłam, ale Luke nigdy potem o tym nie wspominał. Honey też nie.

– Czy to ona zawołała Nate’a? To dzięki niej przyszedł ci z pomocą?

Kiwam głową.

Agent uśmiecha się nieznacznie.

– Dzielna mała.

„Nie macie pojęcia jak bardzo”.

– To prawda – mówię.

Doktor Hernandez przeciera oczy i bierze głęboki wdech. Jest jeszcze bledszy niż zwykle, jego twarz jest pomarszczona i wykrzywia ją taki grymas, jakby moja opowieść sprawiła mu prawdziwy, fizyczny ból. Na sekundę lub dwie zamyka oczy, a potem wyjmuję ze swojej torby teczkę

i kładzie ją otwartą na stole.

– Mam tu egzemplarz Trzeciej Proklamacji – odzywa się. – Jak rozumiem, została spisana przez Jacoba Reynoldsa?

Kiwam głową na potwierdzenie. Wyraźnie pamiętam tę długą, gorączkową letnią noc, kiedy to Ojciec John otrzymał wiadomość, która stała się Trzecią Proklamacją Pana. Prorok wywraçał oczami, jego ręce i nogi drgały w konwulsjach, a z ust, jak psu z pyska, toczyła się piana. Jacob Reynolds siedział przy nim bez przerwy z długopisem i kartką w gotowości.

– „Wszystko mi objawiono – czyta doktor Hernandez. – Pan jest Przyszłością, Przyszłość jest we mnie, a wszystko stało się jaśniejsze niż dotąd. Odtąd ani kropla nasienia nie pójdzie na zmarnowanie, a żadne łono nie pozostanie bezczynne, albowiem jest nas zbyt mało, a wrogów zbyt wielu. Potrzebne jest nowe pokolenie Legionistów, Wiernych Wojowników, od urodzenia krocących Ścieżką Prawdy. Tylko Prawdziwie Oddanym wolno będzie pójść w ten zapomniany świat, tylko tym, którzy niosą Światło Pana, tym, którzy otrzymali je przeze mnie, Jego najwierniejszego posłańca. Wszystko poza tym jest Herezją”.

Mam ciarki na plecach. Po tej nocnej rozmowie Ojca Johna z Panem o wschodzie słońca przed Wielkim Domem zebrał się w milczeniu cały Legion, a stojący na werandzie Prorok po raz pierwszy odczytał te słowa na głos. Wyglądał na wyczerpanego, jak ktoś, kto od lat nie śpi, ale jego donośny głos był jak zawsze przesycony żelazną pewnością.

– Czym była dla ciebie ta Proklamacja? – pyta doktor Hernandez.

– To znaczy?

– Jak ją rozumiałaś?

Wzruszam ramionami.

– No chyba wszystko jest w niej jasne – odpowiadam. – Że każdy mężczyzna w Bazie, z wyjątkiem Ojca Johna, musi złożyć ślub czystości. Poza tym Proklamacja mówi, że Legion potrzebuje nowego pokolenia Braci i Sióstr, którzy będą tylko jego dziećmi.

– A inne małżeństwa? – pyta doktor. – Pary, które już były w monogamicznych związkach?

– Ich to również dotyczyło – odpowiadam.

– Bo tak powiedział John Parson? – pyta agent Carlyle.

„Ja niosę słowo Wszechmogącego do uszu śmiertelników – rozlega się w mojej głowie ogłuszający ryk Ojca Johna. – Przynoszę mądrość tym, których oddanie pozwala ją usłyszeć. Wskazałem ich duszom drogę, która oddali ich od węża”.

Ignoruję go i kiwam głową.

„Oczywiście, że tak. Gdy Prorok mówił, wszyscy byli posłuszni”.

– A więc wszystkim mężczyznom w Legionie nakazał celibat – mówi doktor Hernandez. – A co z kobietami?

– Rozkazano nam odrzucać zaloty wszystkich mężczyzn poza samym Ojcem Johnem – odpowiadam.

– A jeśli to on się zalecał?

– Miałyśmy bezzwłocznie go przyjąć. Dla dobra Legionu.

Agent Carlyle zaciska pięści i odwraca wzrok. Gdy wreszcie znów patrzy na mnie, widzę, że jeszcze nie całkiem się opanował, a furia, która wciąż płonie w jego oczach, aż mnie odrzuca.

– Przykro mi – mówię. – Przyrzekam, że mówię prawdę.

Obdarza mnie ledwie widocznym uśmiechem.

– Wiem. I świetnie ci idzie. Jestem z ciebie dumny.

Wbijam w niego wzrok. Nie wiem, jak mu podziękować, nie wypowiadając słów podziękowania, a nie mogę ich wypowiedzieć, bo w gardle mam kluchę, której nie mogę się pozbyć.

– Jak Legioniści odebrali Trzecią Proklamację? – pyta doktor Hernandez.

Spuszczam wzrok z agenta Carlyle’a i usiłuję przełknąć ślinę. Nie udaje mi się, więc próbuję znowu i jeszcze raz, aż wreszcie oczyszczam gardło i odzyskuję głos.

– Niektórzy byli niezadowoleni – mówię. – Zwłaszcza że na początku istnienia Legionu było inaczej.

– Jak rozumiem, to wtedy ludzie zaczęli wyjeżdżać. Mam rację? – pyta doktor Hernandez.

Kiwam głową.

– Zgadza się.

– Ile osób wyjechało? – pyta agent Carlyle.

Sięgam pamięcią do dnia, kiedy ogłoszono Trzecią Proklamację. Mężczyźni z twarzami pociemniałymi od gniewu załadowali dobytek do samochodów, zabrali żony i ruszyli w stronę Bramy Frontowej.

– Trzydzieści? – zgaduję. – Może trzydzieści pięć?

– A John Parson ot tak pozwolił im wyjechać? – pyta agent Carlyle.

– Ojciec John powiedział, że Pan poddaje nas próbie – wyjaśniam. – Że Trzecia Proklamacja zdemaskowała tych spośród nas, którzy byli Fałszywi, bo ich Wiara była tylko na pokaz. Powiedział, że Legion będzie silniejszy bez nich.

Twarz Agenta Carlyle’a się wykrzywia.

– No, jasne. Jeśli mówiąc „silniejszy”, miał na myśli „bardziej posłuszny”.

– Jak myślisz, Moonbeam, czy właśnie to miał na myśli? – pyta doktor Hernandez. – Mówiłaś, że Ojciec John nie sprzeciwił się wyjazdom ludzi po Czystce, bo wiedział, że dzięki niej umocnił swój autorytet, że „zwyciężył”, to twoje słowa. Czy to była taka sama sytuacja?

– Nie wiem. Raczej nie chciał, żeby Legion tracił ludzi, ale chyba ważniejsze było, żeby zostali ci, których lojalności był pewien.

– Wobec Proroka czy wobec Boga? – pyta agent Carlyle.

Wzruszam ramionami.

– To bez różnicy.

– Naprawdę tak myślisz?

„Nie. Tak”.

– Nie jest ważne, co ja o tym myślałam – przerywam. – Nie wiem, co myślał Ojciec John. I nie wiem, czy cieszył się dlatego, że ludzie wyjeżdżają, bo to był dowód, że ich Wiara nie była dostatecznie silna, czy dlatego, że chciał się pozbyć tych, którzy nie byliby mu posłuszni, czy może z obu tych powodów. Nie wiem, czy ich odejście sprawiło mu radość, smutek czy może go rozwścieczyło. Wiem tylko tyle, że nas opuścili. Przecież nie byli więźniami.

– Jasne – mówi agent Carlyle. – Pomijając fakt, że jedyną osobą, której pozwalano opuszczać kompleks, był Amos, nikt nie mógł korzystać z telefonu, oglądać telewizji i że czterech uzbrojonych kapo odpowiadało bezpośrednio człowiekowi, który uważał, że rozmawia z Bogiem, a po wymierzanych przez nich karach konieczna była wielomiesięczna rekonwalescencja.

– Nie znoszę, kiedy nazywacie Bazę „kompleksem” – mówię.

Agent Carlyle kiwa głową.

– Wiem o tym.

– Część ludzi odeszła. Ojciec John nigdy ich nie zatrzymywał. Ja też mogłam odejść.

– Naprawdę w to wierzysz? – pyta doktor Hernandez.

Zwlekam z odpowiedzią. Nie dlatego, że nie chcę jej udzielić, ale ponieważ w tej chwili naprawdę nie wiem, jak było.

„Śmiało – mówi głos z tyłu głowy. – Bądź szczerą, przynajmniej wobec samej siebie. Miej siłę stawić czoło rzeczywistości, a nie kłamstwu, którymi cię karmiono”.

Za namową tego głosu sięgam pamięcią wstecz i staram się być silna, a przynajmniej tak mi się zdaje. To boli, bo przecież długo, a nawet bardzo długo wierzyłam każdemu słowu Ojca Johna. Zanim wygnano moją mamę, całym sercem wierzyłam w niego i w Legion, a część mnie wciąż tęskni – i zawsze będzie tęsknić – za pewnością, którą ta wiara dawała, za siłą i dumą, którą się ma, kiedy jest się częścią czegoś, co jest słuszne i Prawdziwe.

Ale wtedy wraca do mnie myśl o mamie, Nacie, skrzyniach i zamkniętych drzwiach w piwnicy Wielkiego Domu. O moich Siostrach, które biegną naprzeciw agentom Rządu, o pięciu wystrzałach, o tym, co odkryłam, i o tym, co zrobiłam sama.

Na myśl o krwi i płomieniach wywraca mi się żołądek.

– Nie wiem – mówię w końcu. – Nigdy nie próbowałam odejść, więc chyba nigdy się nie dowiem.

Doktor Hernandez pisze długo w jednym z notesów, co – chyba po raz pierwszy – wcale mnie nie złości. Zamiast tego czuję dziwną ulgę, bo przez tę opowieść o Luke’u, Honey, Nacie i Trzeciej Proklamacji wydaje mi się, że wszystko jest niepewne, a podłoga pływa pod moimi nogami, a do tych jego notatek na mój temat, spisanych w mojej obecności, już przywykłam. Oswoiłam ten zwyczaj i wydaje mi się, że go rozumiem.

– Co się działo, gdy niezadowoleni odeszli? – pyta agent Carlyle

– Urządzono święto – odpowiadam.

– Jakie?

– Ślub. Tego wieczoru Ojciec John wziął sobie trzecią i czwartą żonę.

– Tego samego dnia, w którym ogłosił Trzecią Proklamację? – pyta agent Carlyle.

Kiwam potakująco głową.

– Kim były szczęśliwe wybranki?

– Bella i Agavé.

– Czy któraś z nich była już zamężna?

– Obie.

– A czy ich mężowie zostali w Bazie?

Znów kiwam głową.

– Co zrobili, kiedy Ojciec John je poślubił? – pyta doktor Hernandez. – Jak zareagowali?

„A jak ci się wydaje?”

– Świętowali z pozostałymi – odpowiadam. – Ojciec John prowadził

Bellę i Agavé z Kaplicy do Wielkiego Domu, a wszyscy inni szli za nimi, niosąc świece.

– Jak sądzisz, co myśleli wtedy ich mężowie? – pyta doktor.

– Doskonale wiem, co myśleli – mówię, bo nie mam cienia wątpliwości. – Modlili się, żeby ich żony dobrze służyły Ojcu Johnowi.

W czasie gdy do moich słuchaczy powoli dociera obraz rzeczywistości, w jakiej żyłam, w pokoju panuje długa cisza. Wreszcie, jak zwykle pierwszy, odzyskuje głos agent Carlyle.

– Potrzebuję chwili, żeby to wszystko ogarnąć – mówi. – Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym wrócić do Luke’a. Możemy?

Kiwam głową.

– Powiedziałaś, że za incydent z tobą, Honey i Nate’em nie spotkały go żadne konsekwencje.

– Zgadza się.

– Trochę trudno mi w to uwierzyć, Moonbeam.

Ściągam brwi.

– Nie kłamię.

Carlyle unosi ręce w geście „tylko spokojnie”, przez który przepelnia mnie nagła ochota, żeby chwycić jeden z długopisów doktora Hernandeza i wbić go agentowi w oko.

– Nie twierdzę, że kłamiesz. O nic cię nie oskarżam. Zastanawiam się tylko, czy może jednak coś więcej się wydarzyło? Może coś pominęłaś?

– O ile wiem, Nate nigdy nikomu o tym nie mówił – odzywam się. – Luke ani Honey też nie. Centurioni nigdy się nie dowiedzieli i nie było żadnych oficjalnych konsekwencji.

Agent Carlyle kiwa głową.

– W to nie wątpię – mówi. – Czy Nate też nic potem nie zrobił?

– Nie.

– A ty?

Waham się.

Oczy agenta się zwężają.

– Moonbeam, czy ty coś zrobiłaś?

„Powiedz im – szepcze głos z tyłu głowy. – Bądź dzielna, powiedz, co zrobiłaś...”.

PRZEDTEM

CZEKAM OKOŁO TYGODNIA.

Nie jestem głupia. Luke nigdy nie zapomni, co się stało. Na pewno nie całkowicie. I jestem pewna, że nigdy mi tego nie wybaczy, ale okoliczności zmuszają mnie do działania, więc muszę mieć nadzieję, że przez ten czas ochłonął i zająście za szopą już go nie zaprząta.

Że wreszcie przestał mieć się na baczności.

Kiedy mój tata umarł, mieszkaliśmy w Bazie dopiero półtora roku. Przewrócił się, naprawiając północno-zachodni narożnik ogrodzenia. Zabrali go czym prędzej do przychodni w Layfield, ale zmarł w drodze. Zbadawszy ciało, lekarze powiedzieli mamie i Ojcu Patrickowi, że tata miał coś nie tak z sercem, jakąś chorobę, której nie sposób było zdiagnozować. Powiedzieli też, że umarł szybko, pewnie nawet nie był świadomy, co się dzieje.

Mam nadzieję, że to prawda.

Kiedy podrosłam, miałam może sześć albo siedem lat, mama dała mi pudełko z jego rzeczami. Sądziła, że chciałabym je mieć. Zanim mi je wręczyła, kazała obiecać, że nikomu nie powiem o ich istnieniu. Obiecałam, mimo że nie rozumiałam, dlaczego to konieczne.

W pudełku były dwa noże, muszla z plaży w Santa Cruz, pozornie przypadkowa kartka wyrwana z pamiętnika taty, czarno-białe zdjęcie jego rodziców i zegarek, który tata zatrzymał dokładnie w dniu i o godzinie, kiedy się urodziłam. Setki razy czytałam tę stronę z pamiętnika i często patrzę na zdjęcie, chociaż nigdy nie poznałam żadnego z dziadków. Nie wiem nawet, czy żyją.

Noże mają składane ostrza i płaskie drewniane trzonki, na których tata wyrzeźbił i pomalował dwa pomarańczowo-fioletowe zachodzące słońca. To małe nożyki, o niezbyt długich i tępawych ostrzach, ale uwielbiam trzymać je w dłoni. Tata na pewno dotykał ich przez wiele godzin, rzeźbiąc dłutem, a potem malując ich trzonki, więc zawsze, kiedy je trzymam, wydaje mi się, że jestem blisko niego.

Wkładam noże do kieszeni džinsów i wykradam się z pokoju na korytarzyk pośrodku Budynku Dziewiątego, starając się oczyścić głowę z niepotrzebnych myśli. Nie ma tu niczego poza sześcioma prostymi drzwiami z drewna prowadzącymi do sześciu identycznych pokoiów i fosforyzującym krzyżem z plastiku zawieszonym na ścianie w końcu korytarza. Moja mama też tutaj mieszkała, w pokoju obok. Kierując się do drzwi wejściowych w końcu korytarza, czuję jej nieobecność – ma swój ciężar i głębię, jest prawie namacalna. Nie powinnam myśleć o mamie, bo to by była Herezja, ale przecież Centurioni nie widzą, co dzieje się w mojej głowie. Ojciec John też tego nie widzi. To dobrze, bo gdyby mógł tam zajrzeć, nie spodobałoby mu się to, co by zobaczył. Wiem, że Centurioni nie zamknęli dziś naszych kwater, bo przez trzy godziny po zgaszeniu świateł leżałam, nie śpiąc, i usłyszałabym trzask zamykanej kłódki. Przed jakąś godziną ktoś przyszedł odwiedzić Alice, więc zakryłam głowę poduszką, czekając, aż skończą. Czasami starają się być cicho, a innym razem nie.

Klamka obraca się pod naciskiem mojej dłoni i ostrożnie wychodzę na pustynię. Nie ma dziś księżycy, a na pustyni bezksiężycowe noce są naprawdę ciemne. Jest tak ciemno, że ledwo odróżniam wzrokiem kwadratowy obrys dziedzińca. Jak większość Braci i Sióstr noszę przy pasku małą latarkę, ale gdy stoję w ciemnościach przy Budynku Pierwszym i drzę od lodowatego powietrza, postanawiam jej nie włączać. Ze światłem byłoby mi oczywiście łatwiej, ale też ogromnie wzrosłoby ryzyko, że ktoś mnie zobaczy.

A ja nie chcę, żeby ktoś mnie widział.

Kieruję się w stronę południowo-zachodniego rogu dziedzińca – drogę

wskazuje mi błąd poświata gwiazd i mój wewnętrzny kompas. Poruszam się bardzo, bardzo powoli. Budynek, który mnie interesuje, jest jednym z czterech identycznych domków stojących w rzędzie. Jeśli znajdę się w niewłaściwym, to czeka mnie spotkanie z Centurionami. Wtedy cały ranek będą mnie wypytywać o moją eskapadę, a resztę dnia spędzę w karcerze.

Skradam się wokół dziedzińca, nie wchodząc na asfalt, i wracam myślą do tego, co Ojciec John wciąż powtarza nam o Ostatecznej Bitwie: „Zachowaj Spokój, Ostrożność i ufaj Panu, a Zatrzymasz!”.

Spokój. Ostrożność. Tryumf.

Udzielając nam tej porady, Ojciec John miał na myśli zupełnie inne działanie niż to, które mam w planach, ale w tym momencie łapię się wszystkiego, co powstrzyma moje galopujące serce przed wyskoczeniem z piersi.

„Tyl-ko-spo-koj-nie”.

Wreszcie docieram przed fronton Budynku – mam nadzieję – Dwunastego i staję w smolistych ciemnościach przy drzwiach. Daję sobie chwilę lub dwie na ochłonięcie, choć wiem, że być może tracę czas, bo jeśli nie trafiłam tu, gdzie trzeba, o czym przekonam się za kilka sekund, to mój spokój nie będzie miał najmniejszego znaczenia.

Biorę głęboki wdech, na chwilę zatrzymuję, a potem wypuszczam powietrze. Wyjmuję noże taty z kieszeni, rozkładam oba ostrza i powoli – bardzo powoli – obracam klamkę. Po części spodziewam się, że drzwi będą zamknięte na zamek albo że metaliczny zgrzyt obudzi całą Bazę, ale one otwierają się płynnie i cichuteńko, jakby ktoś przed chwilą nasmarował zawiasy. Na ułamek sekundy zamykam oczy, a potem robię krok w ciemność.

Budynki od Jedenastego do Czternastego to kwatery mieszkalne. Są długie, mają w środku tylko jedno pomieszczenie, w którym mieszkają trzej Bracia i ani z zewnątrz, ani w środku niczym się nie różnią, więc mimo że widzę ciemne kształty łóżek ustawionych wzdłuż długiej, tylnej ściany, nie jestem pewna, czy dobrze trafiłam. Wpatruję się w wąskie

prycze, usiłuję oddychać bezgłośnie i czekam, aż mój wzrok przywyknie do zupełnej ciemności. Nareszcie, po chwili, która wydaje się wiecznością, dostrzegam to, czego szukałam.

Jedno z trzech łóżek jest puste.

Leo, dziesięciolatek, który powinien w nim spać, dostał wczoraj gorączki i przeniesiono go do domku Julii i Becky obok Kaplicy, żeby mogły mieć na niego oko. W chwili powołania na Ścieżkę Prawdy Julia była już lekarką, a Becky studiowała medycynę. Odkąd przystały do Legionu Pana, minęło dziesięć lat i w tym czasie uratowały życie kilkunastu naszym wiernym.

A więc łóżko małego Leo jest puste – tak jak oczekiwałam.

Mogę działać.

Posuwam się na palcach wzdłuż ściany i staję przy łóżku znajdującym się najdalej od drzwi. Widzę głowę Luke'a na poduszce i słyszę cichy pomruk jego chrapania. Wbijam w niego wzrok, przygotowując się do tego, co zaraz nastąpi. Wreszcie kucam i przyciskam ostrze noża, który trzymam w lewej ręce, do gardła Luke'a.

Mruga powiekami, a potem wolno otwiera oczy. Nagle wytrzeszcza je i rozdziawia usta, ale nie wydaje żadnego odgłosu, bo w uchu słyszy mój szept.

– Milcz i ani drgnij albo poderżnę ci gardło.

Wpatruje się we mnie ogłupiały, a mnie uderza myśl, że może wydaje mu się, że to tylko sen, bo przecież żadna z dziewcząt nie śmiałyby zakradać się nocą do jego kwatery i grozić mu nożem. Takim jak on podobne rzeczy po prostu się nie zdarzają.

– Zgnijesz za to w karczerze, suko – szepcze. – Zdechniesz...

Drugi nóż wsuwam pod koc i przystawiam go Luke'owi do krocza. Wytrzeszcza oczy i zamiera w absolutnej ciszy.

– Tylko jeśli ktoś się dowie – szepczę. – Ale przecież tak się nie stanie, prawda?

Gapi się na mnie, zeszywniały jak stalowa bryła.

– Prawda?

– Tak – chrypi ledwie słyszalnie. – Nikomu nie powiem. Tylko... proszę cię...

– Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do Honey – ciągnę szeptem – jeśli choć spojrzysz na nią albo na inną Siostrę w sposób, który mi się nie spodoba, to znów cię odwiedzę. Ale wtedy zostawię cię w kałuży krwi, jak wykastrowanego byka. Rozumiesz? Czy wyrażam się jasno?

Do kącików oczu napływają mu łzy. Gdy powoli i bardzo ostrożnie kiwa głową na potwierdzenie, skóra na jego szyi skrobie o ostrze noża mojego taty.

– To dobrze – szepczę. – Słodkich snów, Luke. Pan jest Dobry.

Wycofuję jednocześnie oba noże i kiedy Luke orientuje się, że je zabrałam, jestem już w połowie drogi do drzwi. Dobiega mnie odgłos przypominający jednocześnie wymioty i szloch, ale jestem już na zewnątrz i kieruję się drogą wokół dziedzińca, tam, skąd przyszłam. Z trudem powstrzymuję działanie fali adrenaliny płynącej przez moje ciało, bo muszę poruszać się jak najciszej, żeby nie zepsuć dobrej roboty, którą przed chwilą wykonałam.

POTEM

– LUKE DOTRZYMAŁ SŁOWA – mówię. – Nikomu nic nie powiedział ani więcej nie zbliżył się do Honey.

– Nie bałaś się, że cię dopadnie? – pyta agent Carlyle. Wpatruje się we mnie, promieniejąc tak dziką dumą, że nie umiem powstrzymać uśmiechu.

– Że będzie szukać zemsty za to, co zrobiłaś?

Wzruszam ramionami.

– Myślałam o tym. Po tej eskapadzie nie wychodziłam nigdzie bez jednego z noży w kieszeni. Kto się przygotowuje, później nie żałuje.

– Zgadza się – mówi agent Carlyle. – Masz cholerną rację.

– Co zrobiliby Centurioni, gdyby Luke im powiedział? – pyta doktor Hernandez.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Wiem, że oboje mielibyśmy kłopoty, on za próbę złamania Trzeciej Proklamacji, a ja za zagrożenie jednemu z Braci. Ale nie wiem, jak surowo by nas potraktowano i które z nas oberwałoby gorzej.

– Czy na to właśnie liczyłaś? – pyta agent Carlyle. – Że Luke będzie za bardzo obawiać się konsekwencji za swój czyn, by donieść na ciebie?

Kiwam głową twierdząco.

– Wiedziałałam, że nic nikomu nie powie.

– Tych, co straszą, łatwo jest zastraszyć – mówi agent. – Czyżbyś o tym wiedziała?

Znów kiwam głową.

– Skąd?

– Od Nate’a.

Doktor Hernandez lekko mruży oczy.

– Myślę, że najlepiej unikać generalizacji – mówi. – Skupmy się na tym, co można powiedzieć z większą dozą pewności, dobrze?

– Pan tu jest ekspertem – mówi agent Carlyle, ale jednocześnie znów mruga do mnie porozumiewawczo, przez co z trudem utrzymuję powściągliwy uśmiech.

– A więc zabezpieczyłaś się na wypadek, gdyby Luke szukał odwetu – wraca do tematu doktor Hernandez. – Próbował później coś zrobić?

Kręcę głową przecząco.

– Jak ci się wydaje, dlaczego?

– Bo był wrednym, sadystycznym gnojem i poszczał się w gacie, kiedy wreszcie ktoś mu się postawił – przerywa agent Carlyle.

Twarz doktora Hernandeza się wykrzywia.

– Błagam pana. To w niczym nie pomaga.

– Wybaczcie – mówi Carlyle, ale oczywiście wcale nie jest mu przykro. Zdradza to wyraz jego twarzy.

Doktor Hernandez patrzy na zegarek.

– Przeciągnęliśmy dzisiejsze spotkanie. Nie powinniśmy robić z tego reguły, ale uważam, że było bardzo owocne. Mam nadzieję, że ty też tak to widzisz, Moonbeam.

Ściągam brwi i patrzę na zegar nad drzwiami.

11:47.

Gadałam blisko dwie godziny.

„A niech to szlag”.

– Przepraszam, zapomniałam się.

– Nie przepraszaj – mówi doktor Hernandez. – Zrobiliśmy dziś znaczące postępy. Poruszyłaś sprawy, do których chciałbym jeszcze wrócić, ale one mogą poczekać do jutra. Teraz zjedz obiad i spróbuj odpocząć przed sesją grupową.

– Postaram się.

Stawiając na stole tacę z talerzami pełnymi lazanii i frytek, siostra Harrow uśmiecha się do mnie i pyta, jak się ma moja ręka. Mówię, że okej, a ona kiwa głową, po czym wychodzi i zamyka drzwi na klucz.

Jedząc przy biurku, zachodzę w głowę, czy faktycznie dlatego mam się lepiej (a na dodatek jest mi lżej), że opowiedziałam to wszystko na porannej sesji, czy może umysł płata mi figle, jak wtedy, kiedy ktoś bardzo chce coś usłyszeć, więc mu to mówimy, choć to nieprawda. Gdy wraca siostra Harrow, żeby zabrać mnie na sesję grupową, wciąż jeszcze się nad tym zastanawiam.

Idąc korytarzem, staram się wymyślić, co powiem i zrobię, jeżeli Luke'a tam nie będzie, a co, jeśli jednak będzie. Powiedziałam doktorowi i agentowi prawdę – jest mi go szczerze żal, bo życie, które zgotowano mu w Legionie, było okropne. Ale to nie znaczy, że mu ufam albo że będę na tyle głupia, żeby odwrócić się do niego plecami.

Nie zrobię tego nawet na sekundę.

Siostra Harrow przytrzymuje otwarte drzwi Sali Terapii Grupowych, a ja wchodzę do środka. Natychmiast dostrzegam Luke'a. Stoi samotnie pod ścianą w głębi. Zaskoczona głośno łapię powietrze i zaraz tłumię ten odruch, bo Luke wcale nie przypomina siebie samego. Wygląda jak trup, który stoi tylko dlatego, że go podparto.

Jego skóra ma szary kolor, a zapadnięte oczy wpatrują się w przestrzeń. Chociaż stoję po przeciwnej stronie pomieszczenia, widzę, że ręce mu się trzęsą. Gdy wchodzę, nie patrzy na mnie, a w jego pustych oczach nie ma śladu życia.

– Żyje, żyje – mówi Honey, jakby czytała mi w myślach. – Sprawdzałam. Tylko wygląda na trupa.

Wykrzywiam się.

– To nie jest śmieszne.

Raczy mnie spojrzeniem, pod którym kurczę się do rozmiarów skrzata.

– Wiem o tym – mówi. – W całej tej sytuacji nie ma nic śmiesznego. Wiesz, co się z nim dzieje?

– Nie – odpowiadam, choć nie cierpię jej okłamywać, ale myślę, że doktor Hernandez ma rację – nikt z moich Braci i Sióstr nie poczuje się lepiej, jeśli będą myśleć, że mnie mówi się tutaj więcej niż innym.

– Niezależnie od przyczyny, dobrze to nie wygląda – mówi Honey. – Co u ciebie?

– Trzymam się. A ty?

– Ja też. Chociaż mam wrażenie, że doktor Kelly przestaje się mną interesować, bo nie mam już nic nowego do powiedzenia. Chyba jest rozczarowana, że moja trauma jest taka płytka.

– Serio tak myślisz?

Uśmiecha się.

– Nie. Ale ciągle wzdycha, kiedy odpowiadam na jej pytania. Chyba ją nudzę.

– I dobrze – mówię. – Jeśli dojdzie do wniosku, że z tobą wszystko w porządku, to może szybciej stąd wyjdiesz.

Honey wzrusza ramionami.

– No, może i tak.

– Myślisz o tym czasami?

– O wyjściu na zewnątrz?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Tak – mówi. – Nie wiem, jak tam będzie i czasem mnie to przeraża. Ale na pewno lepiej niż tutaj. I znacznie lepiej niż tam, skąd przyszliśmy.

Znów kiwam głową.

Mnie też to przeraża.

Siedzimy na podłodze oparte o ścianę i rozglądamy się po sali. Większość Braci i Sióstr siedzi w małych grupkach. Bawią się, chichoczą i cicho rozmawiają. Nikt nie zwraca uwagi na Luke'a.

Jeremiah i Rainbow, na czworakach, ścigają się po całej podłodze samochodzikami. Inni budują z klocków Lego, kolorują, rysują i stukają zaciekle w elektroniczne ekraniki, które świecą i wydają różne dźwięki. Honey powiedziała mi, że w czasie pierwszych paru sesji, kiedy byłam jeszcze w szpitalu, nikt nawet nie zbliżył się do gier i zabawek, bo Luke przestrzegał, żeby nie dotykać niczego, co pochodzi ze świata Na Zewnątrz. Wydaje mi się, że dzieciaki zrobiły prawdziwy postęp.

Jeremiah ma zieloną osobówkę, a Rainbow jasnoczerwony wóz strażacki. Naśladują odgłosy silników, zakreślają wielkie ósemki i co chwila zderzają się samochodzikami, po czym przewracają się na podłogę i wybuchają śmiechem. Od tego dźwięku robi mi się ciepło na sercu.

Aurora zamyka kolorowanekę i podchodzi do nich.

– Mogę się z wami pobawić? – pyta.

Jeremiah i Rainbow kiwają potakująco. Aurora uśmiecha się, po czym sięga do jednego z plastikowych pojemników, wybiera czerwono-białą karetkę i siada obok nich. Teraz w gonitwie w tę i z powrotem biorą udział trzy pojazdy, ich kółka piszczą po podłodze, a udawane odgłosy silników przypominają głośne brzęczenie pszczoł. Siedzę obok Honey, przyglądając się dzieciom w milczeniu, i nie umiem powstrzymać uśmiechu.

Jeremiah wyjeżdża samochodzikiem na środek koła utworzonego przez Braci i Siostry, między innymi Lucy i Winter, które cichutko, miękkiemi, melodyjnymi głosami zaczynają śpiewać hymn *Wszystko, co jasne i piękne*. Jeremiah odwraca się do nich i słucha. Aurora szerokim łukiem podjeżdża swoją karetką, po czym wjeżdża nią w zielony samochodzik, który odbija się, skacze po podłodze i uderza w ścianę.

Jeremiah odwraca się do Aurory z czerwieniejącą twarzą.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta.

Aurora kuli się, szeroko otwierając oczy.

– Bawimy się. Przepraszam.

Jeremiah zrywa się na równe nogi.

– Masz mi go przynieść!

Aurora blednie jak ściana. Wygląda, jakby zaraz miała się rozpląkać, ale powoli wstaje z podłogi.

Honey pochyła się w ich stronę, marszcząc brwi.

– Jeremiaś – mówi – przecież cię przeprosiła. Uspokój się.

– Zrobiła to specjalnie! – mówi Jeremiaś, płonąc czerwienią. – Więc teraz musi go przynieść!

Dostrzegam, jak po przeciwległej stronie sali Luke obraca głowę w stronę rozgrywającego się na podłodze dramatu.

– Uspokój się – powtarza Honey. – Przyniesie go. Nie musisz na nią krzyczeć.

– Ma to zrobić natychmiast! – mówi Jeremiaś.

Przepełniona nieszczęściem Aurora patrzy na nas bezradnie. Chcę wstać i rozbroić sytuację, ale Honey kładzie mi rękę na ramieniu i sama się podnosi.

– Siedź. Zajmę się tym – mówi.

– Nie – dobiega nas cichy, chrapliwy głos Luke'a. – Auroro, zrób, co każe Jeremiaś.

Honey wbija w niego wzrok.

– Niby dlaczego miałyby to robić? I czemu sądzisz, że to twoja sprawa?

Luke obraca się w jej stronę. Wygląda tak, jakby mocniejszy podmuch mógł go przewrócić, ale w jego spojrzeniu znów widzę poblask, który od dawna mnie przerażał. W pomieszczeniu zapada cisza, a twarze większości Braci i Sióstr spinają się nerwowo.

– Wyrządziła szkodę – mówi Luke – i musi ją naprawić.

– „Wyrządziła szkodę?” – powtarza Honey. – Bawili się. To błahostka.

– Nic nie jest błahostką – szepcze Luke. – Posłuszeństwo i dyscyplina są koniecznością. Niech wie, gdzie jest jej miejsce.

Oczy Honey zwięzają się.

– A mianowicie gdzie?

Luke marszczy czoło.

– Jest dziewczyną – mówi. A potem, jakby to była oczywistość, dodaje:
– Musi robić, co jej każą.

– Bo ty tak mówisz?

Luke powoli kręci głową.

– Nie. Bo tak powiedział Ojciec John.

– Ojciec John nie żyje – odcina się Honey.

– Bacz na słowa – mówi Luke. Stopniowo podnosi głos i zaczyna brzmieć tak jak zawsze. – Uważaj, co mówisz. Prorok Wniebowstąpił, tak jak sam zapowiadał.

Honey przewraca oczami.

– Jesteś idiotą, Luke. Twoja głupota przesłania ci prawdę, którą masz przed oczami. Nie rozumiesz, że cię okłamano.

Luke odpycha się od ściany i staje prosto, kołysząc się lekko na boki.

– W takim razie kim ty jesteś? – charkocze. – Służebnicą Węża? Czy tylko heretycką kurwą, której trzeba dać lekcję zamykania pyska?

– Luke – przerywam. – Proszę cię...

Wbija we mnie spojrzenie tak przesycone nienawiścią, że słowa więzną mi w gardle.

– Sam mi powiedz, kim jestem, Luke. – Głos Honey jest spokojny, niemal przyjazny, jak gdyby właśnie ucinali sobie miłą pogawędkę. – A może powiesz wszystkim, co się stało, kiedy chciałeś mnie zmusić, żebym cię dotykała?

Kolor, który lekko zabarwił twarz Luke'a, znów odpływa.

– Zamknij się.

– Powiedz wszystkim, jak to było, kiedy Moonbeam przyłapała cię na próbie łamania Trzeciej Proklamacji z jedenastolatką – mówi Honey. – I o tym, jak Nate Childress spuścił ci łomot i zostawił szlochającego na pustyni.

– Zamilcz! – wrzeszczy Luke. – Stul ten plugawy PYSK!

Rzuca się do przodu z zaciśniętymi pięściami. Zrywam się z podłogi, chwytam go w pasie i odpycham na bok, a Honey, skulona, przywiera plecami do ściany. Luke upada na wznak i przetacza się w bok – traci nagle całą furję, która przed chwilą kazała mu zaatakować. Gapi się w sufit z wyrazem potwornego, niepojętego cierpienia i zaczyna płakać. Brzmi to okropnie – ciężki, dławiony szloch zdaje się wydobywać z samego środka jego duszy. Gdy zakrywa twarz roztrzęsionymi dłońmi, drzwi otwierają się i do sali wchodzi dwaj pielęgniarze.

Klękają przy Luke’u, a ja wstrzymuję oddech, gotując się na kolejny wybuch, który jednak nie następuje. Zamiast tego pielęgniarze delikatnie pomagają Luke’owi wstać i prowadzą go w stronę drzwi. Luke nie odrywa rąk od twarzy ani nie przestaje szlochać, kiedy powoli znikają na korytarzu.

„Złamali go” – szepcze głos z tyłu głowy.

Nikt nic nie mówi.

Patrzę na Honey, ale ona nie odwzajemnia mojego spojrzenia.

Wreszcie w drzwiach, które pozostały otwarte, pojawia się doktor Hernandez z podkładką do notatek w ręku i rozgląda się wśród obecnych na sali.

– Przerwywamy sesję – odzywa się. – Jeżeli macie potrzebę porozmawiać o tym, co właśnie zaszło, to ja i moi koledzy jesteśmy do waszej dyspozycji, do końca dnia. Za kilka minut pielęgniarki odprowadzą was do pokojów.

Kładę się na łóżku i gapię w sufit.

Głos z tyłu głowy mówi, że mam nie płakać, bo szkoda ronić łzy z powodu Luke’a, ale w gardle mam wielką kluchę, a słona woda sama napływa mi do oczu i nie wiem, czy zdołam usłuchać tego zakazu.

Bardzo długo, przez znaczącą większość życia, moją reakcją na taką okropność, jaka właśnie się przydarzyła, byłaby modlitwa. Prosiłabym Pana, by zatroszczył się o Luke’a i pomógł mu przetrwać trudny czas.

Część mnie nadal chce uklęknąć, spleść dłonie i zamknąć oczy, bo wyraźnie pamiętam, jak bardzo poprawiało mi to samopoczucie.

Ale ten czas minął.

Wiem, że modlitwa nie pomoże ani Luke'owi, ani mnie, ani nikomu innemu.

Modlitwa gównu zmieni.

POTEM

– ZAJMUJEMY SIĘ NIM – mówi doktor Hernandez. Twarz ma bladą, a oczy zaczerwienione, jakby nie spał w nocy. – Robimy, co możemy.

Potrząsam głową.

– Nic się nie da zrobić.

– Nie uważam tak, Moonbeam – odpowiada. – Każdemu można pomóc.

– Ale nie Luke’owi. To nie jego wina, ale taka jest prawda.

– A czyja to wina?

– Ojca Johna – wypluwam słowa. – To on sączył Luke’owi truciznę do ucha, napełniał go nienawiścią, strachem i ciemnością. Luke nie miał szans.

„MÓGŁ WNIEBOWSTĄPIĆ. Stać się prawą ręką Pana! – wrzeszczy Ojciec John. – Miał szansę...”.

Z całych sił uciszam ten nienawistny bełkot, a gdy mi się to udaje, zalewa mnie fala przepelnionej goryczą przyjemności.

– Ciebie uczono tych samych rzeczy – mówi doktor Hernandez. – I Honey również, podobnie jak wszystkie inne dzieci w Legionie.

– Wiem, czego nas uczono, przecież tam byłam.

– Nie zaprzeczam, że życie Luke’a było pełne chaosu – mówi doktor Hernandez. – Ani że jego osobiste problemy zostały wzmocnione przez okoliczności i ludzi. Ale wierzę, że można mu pomóc uporać się z nimi. Muszę w to wierzyć.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli. Naprawdę.

– Ale myślisz, że jest inaczej?

– Tak. Myślę, że nie da się go naprawić.

Doktor przygląda mi się przez długą chwilę, a ja odwzajemniam jego spojrzenie. Tym razem nie ustąpię, bo mam rację. Wolałabym się mylić, ale tak nie jest.

Wiem, że mam rację.

Agent Carlyle spogląda to na mnie, to na doktora Hernandeza.

– No dobrze – mówi wreszcie. – Doktor robi, co w jego mocy, Moonbeam wątpi, że to pomoże, a wszyscy mają nadzieję, że Luke’owi się poprawi. Skoro już mamy tę jasność, to może zmienimy temat?

– Nie ma sprawy – mówię.

– Dobry pomysł. – Doktor Hernandez kiwa potakująco głową. – Pod koniec wczorajszej sesji powiedziałaś, że Luke nigdy nie próbował się mścić za to, co mu zrobiłaś.

Kiwam głową.

– Czy to na pewno prawda?

Waham się z odpowiedzią, bo już zdecydowałam, o czym dzisiaj chcę mówić. Powinnam, a nawet muszę opowiedzieć im tę historię, chociaż na samą myśl o niej robię się nerwowa.

„Bądź dzielna” – szepcze głos z tyłu głowy.

– Moonbeam? – odzywa się doktor Hernandez. – Czy Luke próbował coś zrobić?

Kręcę głową.

– Nie miał okazji, bo potem wypadki nabrały tempa.

PRZEDTEM

KIEDY JESZCZE WOLNO NAM BYŁO OGLĄDAĆ TELEWIZJĘ, widziałam w niej programy o pogrzebach. Bracia i Siostry, którzy w nich uczestniczyli, zanim zostali Powołani na Ścieżkę Prawdy, też mi o nich opowiadali. Przez te czarne ubrania, łzy i rozmowy szeptem wydają się strasznie smutne.

Pogrzeby w Legionie Pana są zupełnie inne.

Pamiętam ich może z sześć. To niewiele, biorąc pod uwagę to, jak długo mieszkam w Bazie i jak wielu ludzi w tym czasie do nas przybyło i odeszło, ale też nie powinno to nikogo dziwić, bo większość odnajdujących Ścieżkę Prawdy to ludzie młodzi i zdrowi. Ojciec John mówi zawsze, że Pan wzywa tylko użytecznych – mężczyzn i kobiety, którzy są silni i gotowi do ciężkiej pracy dla Jego Chwały.

Kiedy byłam młodsza, pochowaliśmy Marcela, najstarszego z pierwszych członków Legionu. Po tym wydarzeniu zadręczałam Amosa pytaniami o pogrzeby. Powiedział, że u Obcych to smutne ceremonie, bo Obcy są samolubni. Wiedzą, że nigdy już nie zobaczą zmarłego – no, chyba że wylądują w tym samym kotle ze smołą – więc zawodzą i ronią łzy, bo nie umieją odpędzić myśli o własnym marnym końcu, czyli tak naprawdę płaczą sami nad sobą.

Wątpię, czy mama przyznałaby mu rację, chociaż nigdy nie będę miała pewności, bo nie spytałam jej o to, kiedy jeszcze mogłam.

Ale do rzeczy.

W Legionie radośnie świętujemy odejście śmiertelnego ciała, bo wiemy, co tak naprawdę się stało. Otóż nasz Brat lub Siostra

Wniebowstąpili, by już zawsze cieszyć się obecnością Pana. Jeśli się w to wierzy, tak prawdziwie, tak jak ja sama kiedyś wierzyłam, jak można się smucić? Jak się nie cieszyć, kiedy ktoś, kogo kochamy, przenosi się do krainy wiecznego szczęścia?

Dzień pogrzebu Horizonta jest piękny. Wieje ciepły, lekki wietrzyk, a niebo jaśniej i skrzy się błękitem, jak gdyby sam Pan chciał uczcić przybycie wiernego sługi, dekorując świat tych, którzy wciąż czekają.

Poprzedniego wieczoru Centurioni zamknęli drzwi kwater na klucz. Kiedy dobiega mnie odgłos kroków za drzwiami, jestem już umyta, ubrana i gotowa. Słyszę metaliczny szcęk, drzwi otwierają się i do środka zagląda Bear. Jego zniszczoną twarz ociepla światło wczesnego poranka.

– Brat Horizon odszedł – mówi. – Wiesz już o tym?

W Budynku Dziewiątym mieszka nas sześć. W nocy długo nie możemy zasnąć, bo wsłuchujemy się w coraz słabszy kaszel i charczenie Horizonta. Żadna z nas nie ma wątpliwości, że jest bliski końca swej drogi, więc gdy niedługo przed świtem w Bazie zapada głęboka cisza, od razu wiemy, co się stało.

– Słyszałam, jak odchodził – mówię. – Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarza Bear. – Chodź, trzeba się pożegnać.

Wychodzimy na zewnątrz. W Legionie nie zwlekamy z pogrzebami, bo i po co? Osoba, którą kochaliśmy, odeszła, zabierając duszę, pamięć i wszystko, czym była. Pozostały tylko fizyczne szczątki, ciało, które zamieszkiwała.

Bracia i Siostry schodzą się z zewsząd na dziedziniec i gromadzą się przed Kaplicą, gdzie u podnóża schodów stoi zwykły drewniany stół.

Na jego blacie, z rękami skrzyżowanymi na piersi, leży Horizon.

Ma zamknięte oczy, a jego szara skóra przypomina wosk, ale emanuje takim spokojem, że na myśl o tak długo wyczekiwanym końcu jego cierpienia serce wzbiera mi szczęściem.

W drzwiach Wielkiego Domu pojawia się Ojciec John i rusza w naszą stronę. Każdego dnia pierwszemu pojawieniu się Proroka zwykle

towarzyszą nerwy, bo od jego nastroju zależy cały dzień. Jeżeli nocą Pan przekazał mu złe wieści, to wiadomo, że czeka nas dodatkowa praca i tylko najprostsze posiłki. Jeśli zaś Pan dał Ojcu powód do zadowolenia, to mamy w perspektywie dzień jasny i pełen radości. Ale dzisiaj nie ma niepewności ani nerwów, bo wszyscy, nawet sam Ojciec John, przyszli po to, by pożegnać przyjaciela.

Bear, Angel i Lonestar – trzech pozostałych Centurioni – stoją w rzędzie za stołem. Horizon był jednym z nich przez ponad dziesięć lat. Ich twarze znaczą teraz wyraźny, głęboki ból. Wprawdzie wiedzą, że ich Brat Wniebowstąpił, i są absolutnie pewni, że znów go zobaczą, gdy nadejdzie Kres Dni, ale przecież nie można tak po prostu postanowić, że się nie będzie cierpiało i nie cierpieć. Nawet jeśli Amos twierdzi inaczej. Ból pojawia się bez pozwolenia, mimowolnie, i rośnie w miejscu, którym nie włada rozum.

Ojciec John kładzie kolejno dłoń na ramionach Centurionów, po czym staje przed nimi i przesuwa wzrokiem po cichym tłumie wiernych Legionu Pana.

– Bracia i Siostry – odzywa się cichym, wibrującym pewnością głosem.
– Moja Rodzino, którą kocham najbardziej na ziemi. Zebraliśmy się w ten piękny ranek pod życzliwym spojrzeniem Wszechmogącego, by uczcić Wniebowstąpienie naszego Brata, Horizonta. W naszych sercach czai się ból, bo jesteśmy tylko ludźmi, a ludzie są niedoskonalimi, ale to nie jest czas na smutek. Zamiast rozpaczać, radujmy się Chwałą żywota, który upłynął na Ścieżce Prawdy, i pokornie dziękujmy Panu za to, że wezwał swego Wiernego sługę do Domu. Nasz Brat Wniebowstąpił, więc nie zazna już cierpienia. Czekają go wieczne, bezwarunkowe szczęście. Pan jest Dobry.

Tłum powtarza ostatnie słowa jednym głosem. Rozglądam się i widzę oczy błyszczące od łez. Widzę Braci i Siostry splatających dłonie, w objęciach.

– Horizon odszedł z tego świata – ciągnie Ojciec John – ale my wiemy, że w swoim czasie Pan wezwie każdego z nas tam, gdzie znów się zobaczymy, do owego miejsca, gdzie wszyscy Bracia i Siostry, którzy

Wniebowstąpili, czekają, by powitać nas w Chwale. Pan ukrywa przed każdym jego dzień i godzinę, ale ja całym sercem wierzę, że ta wkrótce nadejdzie dla nas wszystkich. I modłę się o to. Jednakże dopóki czekamy na chwalebny Kres Dni, gdy przyjdzie nam zgładzić Węza i wszystkie jego Sługi, dopóty będziemy brać przykład z naszego Brata Horizonta. Nie zboczymy ze Ścieżki Prawdy, ale będziemy napełniać serca Światłem Pana i służyć Mu w całej Jego Chwale. Bracia i Siostry, módlmy się.

Ojciec John opuszcza głowę i zamyka oczy. Wszyscy zgromadzeni natychmiast idą za jego przykładem. Ja też opuszczam głowę, ale tylko z obawy, że ktoś mógłby dostrzec, że tego nie robię. Zewsząd słyszę cichy pomruk modlitwy, który kiedyś niósł mi otuchę, łączył mnie z Braćmi i Siostrami i dowodził, że nie jestem sama.

Ale teraz już nie jest pociechą. Odkąd wygnano mamę, budzi we mnie gniew.

Po prostu przestałam wierzyć, że wszyscy otaczający mnie mężczyźni i kobiety modlą się, dlatego że naprawdę chcą rozmawiać z Bogiem. Niektórzy tak, ale nie wszyscy. Teraz wierzę, a raczej mam całkowitą pewność, zyskałam ją z czasem, że wielu modli się tylko dlatego, że tak kazał Prorok, a na myśl, że mieliby okazać mu nieposłuszeństwo, drżą z przerażenia.

– Pan jest Dobry – mówi Ojciec John, a tłum powtarza echem te słowa, które szczerze znienawidziłam, i podnosi głowy. – Jest jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa – kontynuuje Prorok, omiatając zebranych spojrzeniem. – A mianowicie: kto obejmie po naszym Bracie funkcję Centuriona i przyjmie na siebie wielką odpowiedzialność krzewienia Woli Pana na Ziemi. Tak, jak na pewno sami to czyniliście, długo i gorliwie modliłem się o wskazówki, i otrzymałem je dziś rano, dokładnie w chwili odejścia Horizonta. To dowód, choć przecież żadnych więcej dowodów nam nie trzeba, że Pan wszystko widzi, wszystko słyszy i nigdy nie daje nam więcej, niż możemy udźwignąć. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – wtóruje tłum.

Nie otwieram ust.

– Nigdy nie twierdziłem, że znam myśli Wszechmogącego Pana. – Żarliwy głos Ojca Johna przypomina odległy grzmot. – Zawsze służyłem mu najlepiej, jak umiałem, i nie kwestionując jego prośb, spełniałem je bez wahania. Jego mądrość jest nieskończona, a jego wola – niepodważalna. Pan jest nieomylny.

Przerwa, którą robi, buduje napięcie. Mój żołądek skręca się wielokrotnie, gdy słyszę szept z tyłu głowy.

„Wiesz, kto to będzie. Dobrze wiesz”.

Ale głos się myli. Nie wiem, kto zostanie nowym Centurionem. Wiem, kto moim zdaniem nie powinien nim zostać.

– Pan jest nieomylny – powtarza Ojciec John. – A mnie przykazano ogłosić, że, z wyboru Pana, od dziś po dzień Wniebowstąpienia służbę Centuriona w Legionie pełnić będzie Nate Childress. Pokaż się, Nate.

Lodowata fala rozchodzi się po moich kościach.

„Powiedział ci – szepcze głos z tyłu głowy. – Dał jasno do zrozumienia, że rozważa kandydaturę Nate’a. A ty mu nie uwierzyłaś”.

Kręcę głowę, bo przecież Nate nie może zostać Centurionem. Po prostu nie! Ma serce, jest dobry i łagodny, jest moim przyjacielem, a to wszystko jest nie fair, cholernie nie fair.

„Horizon też był dobry i łagodny. Wolałabyś, żeby nowy Centurion był gruboskórnym sadystą?”

Te słowa, ostre jak nóż, pozostawiają we mnie ziejącą ranę. Wiem, że głos ma rację, że Nate będzie dobrym Centurionem, jeśli dobry Centurion to nie oksymoron, ale wszystko mi jedno. Mam to gdzieś. Bo teraz wszystko się zmieni i chociaż Honey, Alice, Rainbow i inni pozostaną przy mnie, to on już nie będzie mój.

„Nie będzie? Nigdy nie był”.

– Nate? Pokaż się, Bracie – powtarza Ojciec John.

Oddycham gwałtownie, przepełniona paniką na myśl, że Ojciec John jeszcze głębiej zatopi w nim swoje szpony i zawlecze w najczarniejsze rewiry Legionu. Wyobrażam sobie, jak Nate wrzuca ludzi do karceru,

katuje ich brzozowymi różgami, morzy głodem i zbiera mi się na wymioty.

Chce mi się krzyknąć: „Uciekaj, Nate!”, zanim będzie za późno, ale nie krzyczę. Oczywiście, że nie. Bo jestem tchórzem.

We wschodniej części dziedzińca robi się poruszenie. To tłum rozstępuje się przed Nate'em, który stoi spokojnie na asfalcie. Wysunięta do przodu żuchwa nadaje jego twarzy wyraz zdecydowania, a ciemnozielone oczy utkwione są w Proroka.

– Bracie Nate – mówi Ojciec John – podejdź i stań z innymi Centurionami. Nie bój się.

Nate ani drgnie. Gdy odwracam od niego wzrok, udaje mi się dostrzec pierwszą zmarszczkę niezadowolenia na czole Proroka.

– Nie słyszałeś, Bracie? – pyta Ojciec John. – Pan błogosławi cię wielkim zaszczytem. Chyba nie chcesz Mu odmówić?

– Wybacz, Ojciec – mówi Nate – ale tak właśnie muszę zrobić.

Fala oburzonych głosów przelewa się przez tłum. Widzę wytrzeszczone oczy i ręce, które wędrują ku otwartym w szoku ustom.

Ojciec John coraz bardziej ściąga brwi.

– Obawiam się, że nie rozumiem – mówi. – Czyżbyś nie był Wiernym Bratem Legionu Pana? Czy nie krocysz Ścieżką Prawdy?

– Jestem Wierny, Ojciec. I nie zbaczam ze Ścieżki – odpowiada Nate. – Ale są inni, godniejsi funkcji Centuriona. Inni, którzy...

– NIE TY o tym DECYDUJESZ! – Głos Ojca Johna rozlega się grzmotem, a jego oczy rozbłyskują nagłą furją. Tłum zamiera w grobowym milczeniu. – Taka jest wola Wszechmogącego Pana! Takie jest jego żądanie. Nie masz wyboru, musisz je spełnić. Padnij na kolana i dziękuj Mu, sław jego wieczną Chwałę!

Nate nie odpowiada. Milczy i wpatruje się w Proroka.

– A może brak ci Oddania? – pyta Ojciec John. W jego głosie nie ma śladu po wściekłym wybuchu sprzed chwili. – Być może jesteś Heretykiem przysłanym przez Węża, by siać zamęt wśród wiernych? Czy

taka jest prawda? Jeśli tak, natychmiast wyznaj swoją zradę, bo nie wiem, z jakiej innej przyczyny ważyłbyś się obrazić Pana tak dotkliwie. Wiesz, że obecni tu mężczyźni i kobiety służą Mu całym swoim życiem.

– Nie jestem Heretykiem, Ojcze – mówi Nate – a moja Wiara jest równie silna jak u każdego z Braci i Sióstr. I właśnie dlatego proszę, bym mógł pomodlić się w tej intencji. Pan wskaże mi drogę, tak jak zawsze to robił.

– Przecież powiedziałem, czego żąda Pan. – Zimny głos Ojca Johna nabrzmiewa groźbą. – Czyżbym bełkotał? A może wątpisz w prawdę, którą przynoszę?

– Nie, Ojcze. Ale wolałbym usłyszeć ją od Niego.

Z tłumu dobiega czyjś chichot.

Czuję poruszenie, bo wszyscy odwracają się, by zobaczyć, kto się śmiał, ale sama stoję bez ruchu, ponieważ całą swoją uwagę skupiłam na Ojcu Johnie. Niezliczoną ilość razy byłam świadkiem gniewu Proroka, ale nigdy, przenigdy nie widziałam w jego oczach tego, co pobłyskuje w nich teraz, kiedy przewierca spojrzeniem Nate'a.

Jest w nich wątpliwość.

I strach.

W tej chwili coś, czego długo nie mogłam zrozumieć, staje się absolutnie jasne.

Ojciec John jest przerażająco skutecznym mówcą o monstualnej, niemal hipnotyzującej charyzmie. W jednym oddechu umie przejść od niezwyklej łagodności do straszliwej furii, a Pismo zna lepiej niż ktokolwiek inny. Centurioni są mu bezwzględnie oddani, jego władza jest absolutna, a moi Bracia i Siostry boją się go niemal tak samo, jak go kochają.

Ale są mu posłuszni i bez szemrania wykonują jego rozkazy z zupełnie innej przyczyny.

Otóż autorytet Ojca Johna, władza, którą dzierży w dłoni, ma swoje źródło w leżącym w samym sercu Legionu przekonaniu, że jego głos jest

tożsamy z głosem Pana.

Bez owego przekonania nie byłoby powodu, by poddawać się woli Ojca Johna.

Bez tej wiary wszystko by się zawaliło.

A Nate właśnie ją przy wszystkich zakwestionował.

– Daję ci dzień i noc na modlitwę w tej intencji – mówi Ojciec John. W jego oczach dostrzegam, że zdaje sobie sprawę z przewrotu, jaki się właśnie dokonał. Wie, że jest zagrożony. – Bez wątpienia dojdiesz do tej samej prawdy, którą ci przekazałem. Obaj wiemy, że Pan jest nieomylny. Wiedzą o tym wszyscy zgromadzeni. I ta prawda będzie znów potwierdzona. Nie zamierzam ingerować w relację między Bratem a Stwórcą, ani też nie wyrzucę go z Bazy, Obcym na pożarcie. Skoro trzeba ci czasu i spokoju, by dojść do zrozumienia, to jest to twój problem, niczyj inny. Jutro o świcie udzielisz odpowiedzi. Jednakże już dziś wiemy, jaka ona będzie. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – potwierdza tłum.

Ojciec John kiwa głową.

– A zatem, do jutra.

Prorok podchodzi do stołu, kładzie dłoń na piersi Horizonta i zamyka oczy. Porusza ustami w krótkiej, bezgłośnej modlitwie, po czym odwraca się bez słowa i oddala wielkimi krokami do Wielkiego Domu.

Przez długą chwilę nikt się nie porusza. Dziedziniac wypełnia dziwaczne napięcie, jakby wszyscy naraz wstrzymali oddech. Trzej pozostali Centurioni patrzą po sobie wzajemnie i najwyraźniej nie wiedzą, co mają zrobić. W końcu ciszę przerywa Amos.

– No, wystarczy! – krzyczy. – Dosyć się nastaliśmy jak na jeden poranek. Pogrzeb Horizonta odbędzie się przed obiadem. Jeśli ktoś chce pożegnać się z nim osobiście, będą na to dwie godziny, ale tymczasem idźcie na śniadanie, a potem – do pracy.

Tłum zaczyna rzednąć, a zgromadzeni rozchodzą się we wszystkich kierunkach. Kątem oka widzę, jak Bracia i Siostry znikają z dziedzińca,

ale skupiam się na kimś innym.

Nate stoi wciąż jak wmurowany w narożniku dziedzińca. Twarz ma bladą, a oczy wbija w asfalt. Kilka osób mówi coś do niego, mijając go w drodze do Sali Legionisty, ale on wydaje się ich nie słyszeć. Wygląda na zatopionego w myślach, a może w modlitwie i kiedy do niego podchodzę, nie patrzy na mnie nawet przez chwilę.

– Nate?

Żadnej reakcji.

– Nate? – powtarzam, chwytając go za ramię.

Wyrywa je gwałtownie, wytrzeszczając nieprzytomne oczy, ale zaraz mnie rozpoznaje i uśmiecha się blado.

– Moonbeam? Idź na śniadanie – mówi. – Lepiej, żeby teraz nie widzieli nas razem.

– Co ty wyprawiasz, Nate? – pytam jak najciszej. – Dlaczego powiedziałeś te wszystkie rzeczy?

Kręci głową.

– Nie musisz wiedzieć. Zaufaj mi, jeśli możesz. Wszystko będzie dobrze.

– Kiedy będzie dobrze? – pytam. – Na razie nic nie jest dobrze. Zupełnie nic.

– Tak. – Na jego twarzy maluje się takie cierpienie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. – Wiem o tym i jest mi przykro. Idź, zjedz, a jeśli ktoś się uprze, żeby z tobą rozmawiać na mój temat, to powiedz, że jestem Heretykiem albo i samym Wężem wcielonym. Mów, co chcesz, tylko mnie nie broń. Błagam cię.

Mrugam gwałtownie, żeby powstrzymać napływające łzy.

– Co ty wygadujesz? Po prostu powiedz, co się dzieje.

– Znajdę cię później – mówi na granicy szeptu. – Jeśli będę mógł. A ty, dla naszego wspólnego dobra, przestań o tym myśleć.

– Niby jak mam to zrobić?

– Wysił się i spróbuj – szepcze. – A jeśli ci się nie uda, kłam. Tylko błagam, nie rób żadnych głupstw, dobrze? Proszę cię, Moonbeam.

Już otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim udaje mi się złożyć choćby jedną sylabę, Nate odwraca się i odchodzi zamaszystym krokiem w stronę Budynku Siódmego, gdzie mieszka. Zostaję sama na skraju opustoszałego dziedzińca i patrząc, jak odchodzi, próbuję zignorować głos z tyłu głowy.

„Nigdy więcej go nie zobaczysz”.

POTEM

– PRZYKRO MI – mówi doktor Hernandez.

Ściągam brwi.

– Z powodu?

– Z powodu Horizonta.

– Dlaczego? – pytam. – Przecież go pan nie znał.

– Zgadza się, ale ty go znałaś, Moonbeam. Przykro mi, że straciłaś bliską osobę.

– Aha. – Czuję delikatne ciepło napływające do twarzy. – Dziękuję.

– Bardzo proszę. Gdy opowiedziałaś nam wczoraj o chorobie Horizonta, miałem zamiar o coś spytać. Kto zapłacił za jego pobyt w szpitalu?

– Nie rozumiem?

– Wizyta u lekarza nie jest darmowa – wyjaśnia. – A badania diagnostyczne pod kątem raka też swoje kosztują.

– Nie wiem. Ojciec John musiał dać Amosowi jakieś pieniądze przed wyjazdem.

– Czy kiedykolwiek widziałaś pieniądze w Bazie? Na przykład w Wielkim Domu?

Kręcę głową przecząco.

– A czy Amos zabierał je do Layfield na piątkowe zakupy?

– Na pewno.

– Ale nigdy ich nie widziałaś?

– Nie.

Doktor Hernandez kiwa głową.

– Okej. Idźmy dalej. Muszę poruszyć temat, który może cię zdenerwować. Zgadzasz się?

„A kogo obchodzi moja zgoda?”

– Zależy, co to za temat.

Znów kiwa głową.

– Mówiłaś wczoraj, że Horizon był dobrym człowiekiem. A nawet upierałaś się przy tym. Według ciebie był serdeczny i łagodny.

Ściągam brwi.

– I co z tego?

– Zastanawiam się, dlaczego Horizon został w Bazie, kiedy Ojciec John przejął władzę nad Legionem, skoro był taki dobry – mówi doktor.

– Uwielbiał Legion – argumentuję. – Kochał swoich Braci i Siostry, a oni kochali jego.

Doktor kiwa głową. Nie odzywa się. Ma nadzieję, że cisza skłoni mnie do mówienia. Podpuszcza mnie, chce podejść tą trywialną sztuczką. Buntuję się, ale z obawy przed wybuchem wzbierającego we mnie gniewu chyba nie zdołam powstrzymać słów.

– Co niby mam powiedzieć? – pytam. – Że skoro został po Czystce, to był zły? Że to czyni z niego potwora? Nie powiem tak, bo nie był zły. I do końca pozostał dobry.

– I ten dobry człowiek twierdził, że dziecku, które na chwilę opuściło posterunek, należą się trzy dni głodówki? – pyta doktor.

– To był jego obowiązek.

– Czy doprowadzenie Shantiego na skraj śmierci z wycieńczenia w karczerze też było jego obowiązkiem?

– Tak.

– Rozumiem.

Gniew, który we mnie nabrzmiewał, zmienił się w okropną, bezsilną frustrację i nagle jestem bliska płaczu. Horizon nie był ideałem, miał

wady, ale miał też serce. Bawił się z nami, nigdy nie narzekał i wszyscy go kochali. Ja też naprawdę go kochałam.

– Po co pan to robi? – pytam. – Dlaczego chce pan go oczernić?

Doktor Hernandez krzywi się.

– Wcale nie mam takiego zamiaru. Próbuję tylko rzucić inne światło na to, co przyjmujesz za pewnik, przedstawić ci inny punkt widzenia. Nie wątpię w twoje uczucia wobec Horizona, ani nie chcę ich dyskredytować. Chcę tylko dać ci inną perspektywę.

– Uwielbiałam go.

– Rozumiem.

Potrząsam głową.

– Wątpię. Gdyby pan to rozumiał, to nie próbowałby pan zatruwać moich wspomnień o nim. Pan chce wiedzieć, czy Horizon w głębi serca naprawdę był dobrym człowiekiem? Nie wiem. Teraz to już nie ma znaczenia. Przecież nie żyje. Co komu szkodzi, że będę go pamiętać, tak jak chcę? Niech pan mi tego nie odbiera.

Agent Carlyle pochyla się do przodu i patrzy na mężczyznę siedzącego obok. Doktor wpatruje się we mnie przez długą chwilę, a potem spuszcza wzrok.

– Masz rację. Przepraszam – mówi.

„Jest za co”.

Biorę głęboki wdech.

– Okej.

Teraz on kręci głową.

– Nie, nie jest okej. Nie mogę narzucać ci opinii na temat Legionu Pana i jego członków. Postaram się więcej tego nie robić.

„Trzymam za słowo”.

– Okej – powtarzam. – Możemy porozmawiać o czymś innym?

– Dobry pomysł – mówi agent Carlyle. – Na przykład o tym, co dostrzegłaś w twarzy Johna Parsona, kiedy Nate Childress mu odmówił.

– Dobrze.

– Opowiedziałaś nam o wiernych, którzy opuszczali Legion Pana – ciągnie agent. – Na przykład po ogłoszeniu Trzeciej Proklamacji.

– Tak.

– Parson ich nie zatrzymywał?

Kiwam głową twierdząco.

– Jak myślisz, dlaczego w tym przypadku było inaczej? – pyta. – Jeżeli ktoś nie chciał postępować według zasad Proroka i opuszczał Bazę, to po prostu odrzucał jego autorytet, tak można to było interpretować. Więc dlaczego Ojciec John przestraszył się, kiedy Nate odmówił przyjęcia funkcji Centuriona?

Daję sobie długą chwilę na zastanowienie.

– To nie to samo – mówię w końcu. – Kiedy ludzie odchodzili, Ojciec John mógł zwyczajnie powiedzieć pozostałym, że przyczyną Odejścia była słaba Wiara, że ci, którzy Odeszli, nie byli Oddanymi wiernymi i nie zasługiwali na miejsce w Legionie. Dzięki temu ci, którzy pozostali, czuli się wyjątkowo, wydawało im się, że są mocniejsi od tych, którzy Odeszli.

– Więc czemu z Nate'em było inaczej?

– Bo przez niego Ojciec John zaczął się wydawać... – przerywam w poszukiwaniu właściwego słowa – ...słaby. Nie, nie słaby. Omylny. Tak właśnie. Omylny.

– Ale dlaczego? – pyta agent Carlyle.

– Większość członków Legionu wierzyła, że Ojciec John jest prawdziwym Prorokiem. Byli święcie przekonani, że jest w bezpośrednim kontakcie z Bogiem, że on i Bóg mówią jednym głosem. Więc kiedy Ojciec ogłosił wybór Nate'a na nowego Centuriona, a Nate odmówił, to były tylko dwie możliwości. Albo pomylił się Bóg...

– Albo Ojciec John – kończy doktor Hernandez.

Gdy kiwam głową na potwierdzenie, agent Carlyle uśmiecha się do mnie.

– Tacy jak Amos, Jacob, Luke i pewnie jeszcze kilku innych

uwierzyliby raczej, że to Bóg popełnił błąd. Ale znacząca większość sądziła inaczej.

– A więc Prorok przestraszył się, że odtąd będzie można kwestionować jego zdanie? – pyta doktor Hernandez.

– Tak mi się wydaje – mówię. – Chyba zdał sobie sprawę, że Nate stanowi problem.

– To znaczy? – pyta agent Carlyle.

– Bo gdyby nazajutrz o świcie Nate nie stanął przed wszystkimi, żeby ogłosić, że zmienił zdanie, że Ojciec John miał rację, i że z dumą przyjmie zaszczytną funkcję Centuriona, toby naprawdę kiepsko wyglądało.

– Absolutnie się zgadzam – przyznaje agent Carlyle. – A więc, jak było?

PRZEDTEM

ŚNIĘ O WODZIE – BŁĘKITNEJ, CIEPŁEJ I ZAPRASZAJĄCEJ, gdy nagle coś potrząsa mną, wyrywa ze snu, który rozpada się i odpływa. Wciąż leżę na łóżku. Kiedy otwieram oczy, widzę, że ktoś pochyla się nade mną w ciemności i trzyma mnie za ramię.

– Mama? – pytam, bo wciąż jeszcze błędzę myślami w zamglonej przestrzeni między jawą a snem.

– Nie – dobiega mnie szept. – Nate. Nie krzycz.

– Nate? – odpowiadam szeptem. – Co ty tutaj robisz?

– Nie ma czasu – słyszę. – Wkrótce po mnie przyjdą. Muszę zniknąć, żeby mnie nie dopadli.

Automatycznie siadam na łóżku, a mój umysł rozjaśnia się tak nagle, jakby ktoś oblał mnie wiadrzem zimnej wody. W ciemności ledwo dostrzegam zarys sylwetki Nate'a, który przysiadł na skraju mojego łóżka.

– Zniknąć? – pytam. – Gdzie? Co ty wygadujesz?

Nate kręci głową.

– Nieważne. Będą gadać na mój temat, Moonbeam. O tym, co niby zrobiłem. Ale nie wierz w ani jedno słowo, okej? Zrobisz to dla mnie?

Czuję gęsią skórę na rękach.

– A co zrobiłeś? – Od tej rozpaczliwej prośby przewraca mi się w żołądku. – O co chodzi, Nate? Co się dzieje?

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz – mówi Nate. Jego głos jest cichy i stłumiony, jakby słowa sprawiały mu ból. – Ale nigdy nie kłamałem więcej, niż to było konieczne. Pamiętaj o tym, dobrze? Obiecuj,

że będziesz pamiętać.

Kręcę głową przecząco.

– Nie rozumiem... Nie wiem...

Kładzie mi ręce na ramionach.

– Posłuchaj – mówi szeptem. – Jesteś wyjątkową dziewczyną, Moonbeam. Silną, bystrą i odważną. Jestem dumny, że mogłem się z tobą przyjaźnić. Ale teraz nie będę mógł cię dłużej chronić, więc trzymaj się blisko Ojca Johna. Niech nie zapomina, że jesteś mu obiecana. Nikomu nie pozwól o tym zapomnieć. I trzymaj się z dala od Luke’a. Jest niebezpieczny.

Wbijam oczy w ciemność. Jak to „nie będzie mógł mnie dłużej chronić”? Nie prosiłam go nigdy o żadną ochronę.

– Przerażasz mnie, Nate.

– Wiem. I przykro mi. Ale teraz musisz mnie wysłuchać. Jest mało czasu.

Serce łomocze mi w piersi, ale staram się je spowolnić, nie dać się wzbierającej we mnie panice.

– Słucham.

– Dobrze. – Mówiąc to, wciska mi do ręki dwa przedmioty. – Weź to i ukryj, tak żeby nikt ich nie znalazł.

Sięgam po latarkę leżącą na szafce nocnej, ale Nate łapie moją rękę i mocno ją przytrzymuje.

– Nie zapalaj – syczy. – Chyba jeszcze nie wiedzą, że opuściłem swój pokój, ale mogę się mylić.

Gdy puszcza moją rękę, przesuвам palcami po przedmiotach, które przyniósł. Jeden jest mały, gładki i prostokątny. Drugi to plastikowy woreczek z czymś ostrym w środku.

– Co to jest? – pytam.

– W torebce jest klucz uniwersalny – mówi Nate. – Otwiera wszystkie zamki w całej Bazie. Absolutnie wszystkie. Rozumiesz, co to znaczy,

Moonbeam?

Przed oczami stają mi metalowe drzwi w piwnicy Wielkiego Domu, gdzie trzymana jest broń.

– Rozumiem.

– To drugie to telefon komórkowy.

Zaskoczona, wciągam powietrze tak głośno, że echo rozchodzi się w ciemności i Nate musi mnie uciszyć. Naprawdę jestem w szoku, bo telefony są całkowicie zakazane. Jeden jedyny telefon w całej Bazie – przynajmniej o ile mi wiadomo – leży zamknięty w skrzyni w Wielkim Domu i był użyty tylko dwukrotnie: raz, kiedy Amber została ukąszona przez grzechotnika, a drugi, kiedy wzywaliśmy pogotowie energetyczne, bo jakiś złośliwy Sługus Węża pozbawił nas zasilania, odcinając biegnący przy szosie kabel.

– Nate, po co ci...

– Słuchaj – przerywa. – Telefon jest wyłączony. Nie włączaj go, chyba że sytuacja będzie naprawdę bardzo zła. Tylko wtedy możesz go użyć. Naciśnij zielony przycisk, żeby się włączył, a potem przytrzymaj jedynekę, ma przypisany numer.

– Czyj numer?

Nate kręci głową.

– Nie używaj go, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Na zewnątrz toczą się sprawy, których toku nie chcę zakłócić, ale nie zostawię cię samej bez możliwości wezwania pomocy. Nie mógłbym.

– Ale Nate...

– Muszę iść – mówi i nagle czuję jego ręce na twarzy. W normalnych okolicznościach znieruchomiłabym jak posąg albo rozpląnęła się jak budyń, ale to nie są normalne okoliczności. Dlatego trzęsę się w narastającej panice, fala pytań zalewa mój umysł, a wewnątrz czaszki tłucze się jedna desperacka myśl:

„Proszę cię, nie odchodź. Tylko nie ty. Błagam”.

– Wiem, że masz wątpliwości – szepcze Nate. – Dobrze je ukrywasz,

ale wiem, że je masz. Posłuchaj tego głosu, Moonbeam. Uwierz sobie, uwierz w to, co widzisz, i w to, co ci mówi rozum. Nikomu nie ufaj.

– Nate...

Przyciąga mnie w ciasnym uścisku.

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Opieram głowę na jego piersi, ale cała jestem sztywna, a ręce wiszą mi bezwładnie wzdłuż boków. Chcę mu powiedzieć milion rzeczy, ale w tej chwili, w tym koszmarze, z którego na pewno nie zdołam się obudzić, umiem wydusić z siebie tylko stłumiony szept:

– Nie odchodź.

Przyciska mnie mocno, a jego usta ocierają się o moje czoło. Potem uwalnia mnie z uścisku i moja głowa nagle zawisa w pustce. Słyszę cichutkie skrzypnięcie drzwi. Otwierają się i zamykają. Dobia do mnie jeszcze cichy metaliczny trzask zamykanej kłódki i zostaję w ciemności.

Znów sama.

POTEM

– RANO JUŻ GO NIE BYŁO? – pyta agent Carlyle.

– Tak. – Kiwam twierdząco głową. – Centurioni obudzili wszystkich o świcie i kazali zebrać się na dziedzińcu. Gdy tam przyszedliśmy, Ojciec John stał już na schodach Kaplicy. Kipiał wściekłością.

– Co powiedział?

– Że Nate był szpiegiem z Zewnątrz. Że odkąd się pojawił, działał na niekorzyść Legionu. Powiedział, że wszyscy jesteśmy idiotami, skoro śmialiśmy się i żartowaliśmy ze Sługą Węża, który planował wymordować nas wszystkich we własnych łóżkach, gdy tylko zmorzy nas sen. Powiedział też, że on, Prorok, od razu przejrzał Nate'a i tylko czekał, aż wszyscy pozostali też go zdemaskują, ale nikt z nas nie miał dość Wiary ani rozumu, by dostrzec prawdę, więc w końcu on sam musiał zacząć działać, bo wszyscy pozostali byli na to zbyt słabi, ślepi i głupi. Powiedział też, że zawiedliśmy Legion i samego Pana, że każdy z nas przyprawia go o wstręt i rozczarowanie.

„Właśnie tak! Oto słowa prawdy...”.

Stanowczo odpycham od siebie ten głos i Ojciec John milknie. W głowie pojawia się odległa myśl, że uciszenie jego głosu przychodzi mi teraz znacznie łatwiej.

– Uwierzyłaś mu? – pyta doktor Hernandez.

– Nie wiem. Prorok na pewno zaczął coś podejrzewać, kiedy Nate odmówił przyjęcia funkcji Centuriona, ale czy przedtem miał podejrzenia? Trudno powiedzieć. No bo po co miałby wybierać Nate'a na Centuriona, jeśli wątpił w jego prawdziwe Oddanie?

– Może chciał poddać Nate’a próbie? – mówi doktor Hernandez. – Zyskać absolutną pewność, czy może mu ufać czy nie.

– Może i tak – odpowiadam. – Ale źle na tym wyszedł, bo Nate publicznie odmówił wypełnienia woli Proroka. Nie wiem, czy sprawdzenie jego lojalności było warte takiej ceny.

– A więc jaka była prawda? – pyta agent Carlyle. – Jak sądzisz, dlaczego Nate tak postąpił?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Myślałam o tym całym dniami po jego zniknięciu. Przez chwilę sądziłam, że przestraszył się funkcji Centuriona i związanej z nią odpowiedzialności. Ale potem przypomniałam sobie, że tej nocy, gdy do mnie przyszedł, mówił o jakichś działaniach na zewnątrz Bazy, których nie chce popsuć. Pomyślałam też o telefonie i kluczu, i doszłam do wniosku, że może jednak Ojciec John miał rację. Kiedy Nate odszedł, Prorok po prostu musiał przedstawić go jako Fałszywego zdrajcę i wroga, i choć nawet przez sekundę nie przeszłoby mi przez myśl, że Nate chciał kogokolwiek skrzywdzić, to wcale nie znaczy, że nie mógł być szpiegiem. Ale jeśli nim był, to tym chętniej powinien objąć funkcję Centuriona. Wtedy byłby bliżej Proroka niż zwykli wierni.

– Może się obawiał, że przez tę bliskość łatwiej będzie go zdemaskować? – mówi agent Carlyle. – Albo nie chciał się pogodzić z tym, co będzie musiał robić, jeśli powie „tak”. Może nie lubił wymierzać kar, krzywdzić i zamykać ludzi w karczerze. Może go to przerastało?

– Wie pan, kim Nate był naprawdę? – pytam.

Carlyle uśmiecha się do mnie i kręci głową przecząco.

– Przykro mi – mówi. – Na jego temat nie wiem nic.

– Bo inaczej by mi pan powiedział? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Nie. Chyba, że miałbym pozwolenie.

– Dziękuję za szczerą – mówię. – To znaczy, że jednak wie pan coś o mojej mamie, tylko mnie zbywa?

Uśmiech agenta Carlyle’a słabnie.

– Miałem na myśli...

– W porządku – przerywam. – Darujmy sobie.

Doktor Hernandez spogląda to na mnie, to na agenta, i marszczy czoło z przejęciem. Carlyle patrzy na mnie przez długą chwilę, po czym kiwa głową. Nie wiem, co ma oznaczać to skinienie. Że słusznie wątpię w to, co mi mówią? Czy że się mylę i jednak mogę mu zaufać?

– A więc rano po Nacie nie było już śladu? – pyta agent Carlyle.

Kiwam głową.

– Przy południowo-zachodnim narożniku ogrodzenia znaleziono nożyce do prętów. Siatka była przecięta, a Nate zniknął. Amos wyjechał pick-upem, żeby go szukać, w razie gdyby Nate zamierzał złapać okazję na szosie, ale kiedy wrócił z wiadomością, że go nie znalazł, nikt nie był zaskoczony. Na pustyni łatwo jest się ukryć.

Agent Carlyle kiwa głową twierdząco.

– I owszem.

– I tak to było – ciągnę. – Cały Legion wezwano do Kaplicy. Tam Ojciec John wrzeszczał na nas godzinami, że straciliśmy z oczu Ścieżkę Prawdy, że nasza Wiara jest gówniana, że jesteśmy słabi i głupi, i że nikt z nas nie zasłużył na Wniebowstąpienie. Kiedy skończył, wielu Braci i Sióstr płakało.

– Ale nie ty.

Uśmiecham się.

– Nie. – Myślałam o tym, co powiedział Nate i o tym, co usłyszałam od mamy, kiedy skazali ją na Wygnanie. W tej tyradzie i wrzasku, w pianie na ustach, zobaczyłam prawdziwe oblicze Ojca Johna. Dostrzegłam, kim zawsze był.

– A mianowicie? – pyta doktor Hernandez.

– Człowiekiem. Trochę sprytniejszym od większości i obdarzonym darem wymowy. Ale nie był wcieleniem Pana ani nawet Jego Posłańcem. Był tylko człowiekiem, tak samo próżnym, chciwym i gniewnym jak wszyscy inni.

Doktor uśmiecha się do mnie.

– Nigdy wcześniej tak o nim nie mówiłaś.

– To trudne – mówię. – Nawet teraz czuję, że nie wolno mi tak mówić. Długo byłam pewna, że jeśli choć źle o nim pomyślę, to spędzę całą wieczność w Piekło.

– Ale teraz już tak nie myślisz?

Kręcę głową.

– Już tak nie myślę.

„No i widzisz? – odzywa się głos z tyłu głowy. – Dobra robota. Powiedz prawdę, niech diabeł się wstydzi”.

Prawdę?

Dziwnie się czułam, mówiąc na głos te wszystkie rzeczy o Ojcu Johnie, ale taka była prawda.

Właśnie taka.

I ot tak, po prostu, zrobiło mi się lżej. Jakby ktoś zdjął z moich barków ciężar, jakby oczyścił przynajmniej część mojej krwi z trucizny sączonej przez Ojca Johna, i teraz czuję się lepiej niż kiedykolwiek.

– Czy przestałaś wierzyć, kiedy odszedł Nate? – pyta doktor Hernandez.

Kręcę głową.

– To była kropla, która przepełniła czarę goryczy, ale wiarę zaczęłam tracić znacznie wcześniej.

– Masz na myśli to, co się stało z twoją mamą? – pyta doktor. – Wybacz. Wiem, że nie chcesz o niej...

– Nie szkodzi – ucinam. – Długo nie wolno mi było o niej mówić. Teraz już mogę. I... tak. To, co się z nią stało, nie jest bez znaczenia. A nawet jest bardzo ważne. Chociaż wszystkie te przyczyny mieszają się, bo przecież nie straciłam wiary w Ojca Johna kiedy wygnali moją mamę, a w każdym razie nie od razu. Wiem, że to zabrzmiało źle, ale przestałam wierzyć... w nią. Zrozumiałam, że po prostu nie można zaufać słowom ani

czynom, wszystko jedno, kto je wypowiada i jak bardzo jest dla nas ważny. Zorientowałam się, że każdy może oszukiwać, nawet tych, których, jak twierdzi, kocha. Zrozumiałam, że wszyscy kłamią.

– Gorzka lekcja – mówi agent Carlyle. – Odkryć, że nasi rodzice nie są idealni, że mają wady jak wszyscy inni.

– Zgadza się – potwierdza doktor Hernandez. – To nigdy nie jest łatwe.

Kiwam głową.

– Ale, powiedzmy sobie szczerze, nie wszyscy dowiadują się o tym tak jak ty – mówi Carlyle. – Zwykle matka dostaje wyrok za jazdę po pijaku albo okazuje się, że tatuś ma romans z sekretarką.

Ściągam brwi.

– Romans jest wtedy, kiedy uprawia się seks z osobą, z którą nie powinno się tego robić?

Twarz agenta Carlyle'a różowieje, a ja orientuję się, że rozmowa na ten temat ze mną sprawia mu dyskomfort.

– Przepraszam, nie chciałam pana zawstydzić.

– Nie szkodzi.

– Ten temat jest jak najbardziej w porządku – wtrąca się doktor Hernandez. – Ale myślę, że na tym etapie nie jest jeszcze odpowiedni.

– Chyba się nie zgodzę – mówi agent Carlyle. – Pytanie ma sens, a Moonbeam musi zacząć się orientować, jak działa prawdziwy świat. Inaczej jak sobie poradzi, kiedy stąd wyjdzie?

– To jest cały proces...

Jak na zawołanie agent Carlyle i ja wydajemy z siebie jęk zniecierpliwienia. Przez ułamek sekundy doktor Hernandez wygląda na poważnie wściekłego, ale ten grymas szybko znika, ustępując uśmiechowi.

– W porządku – mówi. – Może pan jej odpowiedzieć. Tylko proszę o rozwagę.

„Znów mówi o mnie tak, jakby mnie tu nie było. Myślałam, że mamy to

za sobą”.

– Nie jestem lalką z porcelany. Nie potłukę się.

– Dobrze – mów agent Carlyle. – Seks z osobą, z którą nie jesteśmy związani, to niewierność, chociaż większość nazywa go zdradą. Romans to co innego. To też zdrada, ale taka, w której nawiązuje się dłuższą relację z inną osobą niż ta, z którą jesteśmy związani, i utrzymuje tę relację w tajemnicy.

– Romans jest gorszy od zdrady? – pytam.

– Większość ludzi tak uważa – pada odpowiedź. – Często wybacza się partnerowi seks z inną osobą, ale nie znam nikogo, kto wybaczyłby romans.

– A pan miał kiedyś romans?

Oczy agenta Carlyle’a robią się wielkie, a róż na jego policzkach zmienia się w purpurę.

– To pytanie jest już zdecydowanie nie na miejscu.

– Naprawdę? – pyta doktor Hernandez z figlarnym uśmiechem. – Co za ulga! Bo już zaczynaliśmy mieć wątpliwość, gdzie przebiega ta granica. Ja i Moonbeam jesteśmy dozgonnie wdzięczni.

Agent potrząsa głową, ale na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Wróćmy do głównego tematu, dobrze?

Teraz już wszyscy się uśmiechamy. Ja również.

– Nie ma sprawy.

– Co działo się po zniknięciu Nate’a Childressa i tyradzie Ojca Johna w Kaplicy? – pyta Carlyle.

– Wszyscy wrócili do obowiązków. Ojciec John dwukrotnie wydłużył czas pracy i przez tydzień wydzielano tylko karne racje żywnościowe.

– Co to znaczy „karne racje”?

– Dwie kromki chleba.

– Do każdego posiłku?

Kręcę głową.

– Na dzień.

– Dwie kromki chleba na cały dzień?

Kiwam głową.

Agent wpatruje się we mnie zza zwężonych powiek, jakby chciał ocenić, czy mówię serio.

– Czy Ojciec John sobie też zmniejszył racje?

„A jak pan myśli? Czy po tym wszystkim, co już o nim opowiedziałam, naprawdę potrzebuje pan o to pytać?”

– Kara nie objęła Ojca Johna – odpowiadam. – Centurionów też nie.

– A jego żony?

Potakuję ruchem głowy.

– A dzieci? Jego dzieci?

Znów kiwam głową. Agent Carlyle bierze głęboki wdech.

– Przepraszam. Nie drocę się. Po prostu odpowiadam na pytania.

Kręci głową.

– Nie wściekam się na ciebie, Moonbeam. Po prostu... Jak by to... Chryste... Dobrze, mniejsza o to. Co zrobiłaś z przedmiotami, które dał ci Nate?

– Ukryłam je.

– Gdzie?

– W podłodze pod moim łóżkiem była obłuzowana deska. Schowałam telefon i klucz pod nią.

– Czy ktoś je znalazł?

– Nie.

– A czy kiedyś ich użyłaś?

„Ostrożnie” – szepcze głos z tyłu głowy.

– Tak. Jeden raz.

– Opowiesz nam o tym? – pyta doktor Hernandez.

Kręcę głową przecząco.

– Może innym razem, dobrze?

– W porządku – mówi doktor. – Wszystkim przyda się trochę czasu, żeby przetrwać wydarzenia ostatnich dni. Uznaliśmy, że najlepiej będzie odwołać popołudniową sesję grupową. Zjedz obiad i odpocznij.

– Nie spałam za dobrze tej nocy. Może po południu bardziej mi się poszczęści.

Doktor Hernandez znów się uśmiecha.

– Trzymam kciuki.

Siostra Harrow jak zwykle uśmiecha się do mnie, po czym zamyka drzwi i obraca klucz w zamku.

Przez okno wpada do pokoju promień słońca. Jest późny poranek. Okno jest za małe i osadzone zbyt wysoko, by promień mógł dotknąć podłogi, ale jeśli stanę przy drzwiach, wespnę się na palce i odchyłę głowę, to słońce ogrzeje mi twarz. Zastygam w tej pozycji na jakiś czas, dopóki plama światła nie przesunie się wyżej. Mogłabym jej jeszcze dosięgnąć, stając na krześle, ale ten manewr wydaje mi się trochę wariacki.

Zamiast tego siadam przy biurku, wyciągam kartkę z ryzy i biorę do ręki grubą niebieską kredkę.

Druga Proklamacja Świętego Kościoła Legionu Pana,
wiernie spisana przez najpokorniejszego Sługę
Pańskiego,
Ojca Johna Parsona

Oto nadejdzie Kres Dni, gdy Pan wezwie Swych Wiernych do Domu i rozgorzeje Bitwa, jakiej królestwo ludzkie dotąd nie widziało. Słudzy Węża zrzucą maski, a Wierni mężczyźni i kobiety, którzy idą Ścieżką Prawdy, będą wezwani do służby ku Chwale Pana.

ODDANI, KTÓRZY W IMIĘ PAŃSKIE POWSTANĄ
W OBLICZU ZŁA I WZNIOSĄ PRZECIW NIEMU PIĘŚCI,
WNIEBOWSTĄPIĄ, BY NA WIEKI ZASIADAĆ PO
PRAWICY PANA, przemierzać niebiosa płomiennym śladem
komet, po wieczność skąpani we wspaniałym Dobru Pana.

ZAŚ FAŁSZYWI, KTÓRYCH WIARA JEST KŁAMSTWEM,
ZOSTANĄ STRĄCENI W PIEKIELNE CZELUŚCI, GDZIE PO
WIEKI WIEKÓW BĘDĄ WIĆ SIĘ W PŁOMIENIACH,
albowiem okazali się Heretykami, niegodnymi Łaski Pańskiej. Nie
poświęcimy im już ani słowa, a myśl o nich nie zaświta w naszych
głowach. Odejdą na zawsze i nie będą opłakiwani.

GDY PRZYJDZIE CHWALEBNY DZIEŃ OSTATNI, CAŁA
PRAWDA ZOSTANIE OBJAWIONA, A WIARA
WSZYSTKICH MĘŻCZYZN I KOBIET ZOSTANIE
ZMIERZONA. W Chwalebnym Dniu Ostatnim ci, którzy dowiodą
swego Oddania, opuszczą to mroczne królestwo i Wzniosą się ku
Światłu. W Chwalebnym Dniu Ostatnim idący Ścieżką Prawdy
zaznają radości.

Pan jest Dobry.

POTEM

SIOSTRA HARROW POJAWIA SIĘ Z MOIM ŚNIADANIEM punktualnie o dziewiątej, niosąc owsiankę z syropem klonowym i bananami, i jasnoróżowy sok z grapefruitów, i mówi, że moja sesja z doktorem Hernandezem się opóźni. Pytam dlaczego. Odpowiada, że nie wie. Pytam o ile. Tego też nie wie, ale mówi, że przyjdzie po mnie, kiedy nadejdzie czas.

Tym razem wychodzi bez uśmiechu. A przecież zawsze się uśmiecha.

Jem śniadanie wolniej niż zwykle, a potem jakiś czas chodzę po pokoju, bo nie wiem, co mam robić. Doktor Hernandez przykładła wielką wagę do regularności, więc za tą zmianą planu dnia musi kryć się coś poważnego.

„A może inne sesje toczą się całkiem normalnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Może przesunął tylko twoją”.

Czuję napływającą do piersi panikę. Robię, co mogę, by ją od siebie odsunąć. Cokolwiek się tam dzieje, nie musi mieć absolutnie nic wspólnego ze mną.

„Ale może. Czemu nie”.

Krzywię się i kontynuuję marsz. Od drzwi, wokół biurka, do zasłonki wiszącej przy toalecie, wzdłuż krótkiej ściany pod oknem, mijam łóżko i znów jestem przy drzwiach. Idąc, liczę w myślach. Obejście pokoju zajmuje dwanaście sekund.

Patrzę na zegar nad drzwiami.

9:48.

Siadam przy biurku i próbuję rysować, ale mi nie wychodzi. Nawet ten rysunek, który zwykle po prostu ze mnie wypływa, nie chce się pojawić.

Pokrywam dwie kartki płataniną grubych, kolorowych linii przypominających dziecięce gryzmoły, a potem wstaję i wznawiam obchód pokoju. Próbując zatracić się w kolejnych okrążeniach, przestaję je liczyć. Po – wydawałoby się – wielogodzinnym marszu znów patrzę na zegar.

10:03.

Przed kilkoma dniami – nie przypominam sobie kiedy dokładnie – spytałam siostrę Harrow, czy mogą mi przynieść do pokoju telewizor. Wypełniły mi beczynne godziny ciągnące się w nieskończoność po popołudniowych sesjach grupowych. Powiedziała, że zapyta o zgodę, ale od tej pory nie wróciła do tematu, więc chyba nic z tego. Gdy mówię, że chcę wyjść na zewnątrz, zazwyczaj prowadzi mnie na mały, wyasfaltowany dziedziniec, gdzie pod jej okiem mogę chodzić w kółko. Szczyt muru nie jest zwieńczony drutem kolczastym, bo chyba nie chcą, żeby to miejsce przypominało więzienie, ale mur jest naprawdę wysoki i gładki, a na dziedzińcu nie ma absolutnie nic, z wyjątkiem przycupniętej z boku ławeczki. Czasami tam wychodzę, ale najczęściej całymi dniami siedzę w pokoju. Rysuję i piszę. Chodzę i myślę.

Ale teraz jest inaczej. W tym czasie powinnam robić co innego, ale zamiast tego siedzę beczynnie. To zupełnie bez sensu, jakby ciężar tej złożonej konstrukcji dnia przesunął się na jedną stronę, burząc równowagę.

Kładę się na łóżku i próbuję zasnąć. Jestem bezustannie zmęczona, kości mi ciężą, a mózg pracuje wolno jak pompa tłocząca gęstą maź, ale zamykając oczy, nie odnajduję spokoju, bo pojawiają się obrazy, których wcale nie chcę oglądać.

Jacob Reynolds na kolanach z mokrą plamą na spodniach.

Luke z piłą w ręku i fanatycznym płomieniem w oczach.

Nate, moja mama i Ojciec John.

Otwieram oczy i sprawdzam godzinę.

10:11.

Znów patrzę.

10:11.

I jeszcze raz.

10:12.

Gapię się na zegar od osiemdziesięciu siedmiu minut, gdy wreszcie słyszę zgrzyt klucza w zamku. Gdy siadam na łóżku, w drzwiach staje siostra Harrow.

Teraz też się nie uśmiecha.

– Czekaają na ciebie, Moonbeam. Chcesz pójść?

Zrywam się z łóżka.

– Jasne. Chodźmy.

Idziemy znanymi korytarzami do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Zwykle siostra po prostu wpuszcza mnie do środka i tam czekam na doktora Hernandeza i agenta Carlyle'a, ale dziś, zanim otworzy drzwi – puka. Marszczę czoło. Kiedy siostra odsuwa się, widzę, że obaj siedzą już na swoich zwykłych miejscach za biurkiem.

Zwracają się twarzami ku mnie. Wchodząc, od razu widzę, że coś jest nie tak. Carlyle uśmiecha się całkiem szczerze, ale oczy doktora są czerwone i zapadnięte, jakby nie spał w nocy, a twarz ma bladoszara.

– Co się dzieje? – pytam? – Czy coś się stało?

– Wejdz, Moonbeam – odzywa się agent Carlyle. – Dziękujemy, siostró.

Drzwi za moimi plecami zamykają się z hukiem, ale nie odrywam wzroku od twarzy dwóch mężczyzn siedzących przede mną.

– Usiądź, Moonbeam – mówi doktor Hernandez.

Stoję bez ruchu.

– Siadaj – powtarza, a ja czuję w sercu drżazgę strachu, bo wydaje mi się, że doktor jest bliski łez.

Bardzo wolno przechodzę od drzwi i siadam skulona w moim rogu

czerwonej sofie między oparciem a podłokietnikiem.

– Co się dzieje? – pytam.

Mężczyźni spoglądają po sobie, a mój żołądek zaciska się w supeł.

– Powiedzcie. – Głos wyraźnie mi się trzęsie. – Proszę.

„Tylko nie ona. Błagam, nie mówcie, że coś jej się stało”.

Doktor kiwa głową.

– Posłuchaj, bo to ważne, Moonbeam. Nie będzie ci z tym łatwo, więc...

– Czy chodzi o moją mamę?

– Nie, nie o nią. Nie wiemy nic nowego na jej temat, naprawdę.

Skurcz żołądka nieznacznie ustępuje. Przewiercam ich wzrokiem.

– A więc o kogo?

– Ta informacja cię wzburzy – powtarza doktor Hernandez. – Rozmawialiśmy o tym z kolegami i sądzę, to znaczy my sądzimy, że jesteś wystarczająco silna, żeby sobie z nią poradzić. Chcesz ją usłyszeć?

Milczę. Skąd mam wiedzieć?

– Rozumiem, że się zgadzasz – kontynuuje doktor. – Dobrze, Moonbeam. Weź głęboki wdech i posłuchaj uważnie...

– Luke nie żyje – wchodzi mu w słowo agent Carlyle, patrząc na mnie badawczo. – Zmarł w nocy. Przykro mi.

Doktor Hernandez piorunuje go wzrokiem, ale Carlyle wydaje się to ignorować. Wpatruje się we mnie z pokerową twarzą, a ja skupiam się na niej, usiłując znaleźć w sobie jakąś racjonalną myśl.

– Nie rozumiem... – dukam. – Jak...? Jak to się stało?

– Odebrał sobie życie – odpowiada łagodnie doktor Hernandez. – W swoim pokoju.

– Jak? – Głos mi się trzęsie.

– Co do szczegółów...

– Powiedzcie mi, jak to zrobił – nalegam.

– Przegryzł sobie żyły na nadgarstkach. – Agent Carlyle cedzi słowa. Robi to celowo. – Zabrano go do ambulatorium, ale stracił zbyt dużo krwi.

Nie zdołali go uratować.

Gapię się na agenta Carlyle'a. W głowie mi się kręci, czuję skurcz żołądka, a moja skóra płonie i kłuje.

„O Jezu”.

Przypominam sobie, jak wczoraj mówiłam, że Luke'owi nie można już pomóc. Miałam nadzieję, że się mylę. Naprawdę ją miałam.

Ale wiedziałam też, że mam rację.

„Pękł – szepcze głos. – Sama mówiłaś, że jest złamany”.

Czuję rosnącą kluchę w gardle. Bardzo długo bałam się Luke'a i go nienawidziłam, ale nigdy, przenigdy nie życzyłam mu śmierci. Ani takiej, ani żadnej innej. Mój mózg zaczyna wyświetlać szaleńczy kalejdoskop obrazów. Widzę Luke'a w jego pokoju. Łzy płyną mu po ubabranej krwią twarzy, a zęby wgryzają się w nadgarstki.

– Mogę prosić o wodę? – pytam.

Agent Carlyle pochyla się, nalewa wodę ze stojącego na stole dzbanka do plastikowego kubka i podaje mi go. Wypijam wodę jednym haustem.

– Wiem, że to dla ciebie niezwykle trudne, Moonbeam – odzywa się doktor Hernandez – ale musisz... Moonbeam? Co się stało?

Nie patrzę już na doktora, tylko na agenta Carlyle'a, bo wyraz jego twarzy uległ zmianie. Kąciki ust mu opadły, a w oczach pojawił się ciemny poblask.

– Ukrywacie coś przede mną – mówię. – Tylko co?

Doktor Hernandez potrząsa głową przecząco.

– Nie wydaje mi się...

– Niech pan powie. Muszę się dowiedzieć – nalegam.

– To raczej nie jest odpowiedni moment...

– Zanim Luke stracił przytomność, napisał coś na podłodze – odzywa się agent Carlyle. – Własną krwią.

Czuję zawrót głowy.

– Co napisał?

Carlyle krzywi się.

– „Wniebowstąpiłem”. To wszystko.

W pokoju zalega cisza. Obaj mężczyźni wpatrują się we mnie z oczywistym niepokojem, ale ja nie odwzajemniam ich spojrzeń, bo myślami jestem zupełnie gdzie indziej.

Czuję zapach soli, świeżej farby i ściętej trawy. Moją twarz pieści ciepły powiew. Słyszę też jej głos – wzywa mnie po imieniu.

„Zostań ze mną – szepcze głos z tyłu głowy. – Zostań tu, gdzie jesteś. Dasz radę”.

Zmuszam się, by znów spojrzeć doktorowi prosto w oczy.

– Poinformowaliście Braci i Siostry?

– Tak. Musieliśmy przełożyć wiele sesji, ale wszyscy wiedzą, co się stało. Przykro mi, że tobie...

– Jak zareagowali?

Doktor milczy przez chwilę.

– Reakcje były bardzo różne.

– To znaczy?

– Szok. Niepokój. Smutek. Rezygnacja.

– Radość? – pytam.

Doktor ściąga brwi.

– W jednym lub dwóch przypadkach tak. Nie jesteś zaskoczona?

Potrząsam głową przecząco.

– Dlaczego?

– Bo wielu z nich go nienawidziło. Albo się go bali. Albo jedno i drugie. Albo dlatego, że...

Oczy doktora Hernandeza zwężają się.

– Dlatego że co?

– Że jest wolny.

– Raczej martwy – wcina się agent Carlyle.

Kręcę głową.

– Przecież Wniebowstąpił. Spójrzcie na to ich oczami. Stało się wszystko, co przewidział Ojciec John. Nastąpił Kres Dni, Ostateczna Bitwa z Rządem. Był ogień, była krew i śmierć. Wszystko się wypełniło. A teraz ci, którzy przeżyli, są więźniami wroga, przed którym wielokrotnie ich ostrzegano. Luke też był w tej niewoli, ale się z niej wyrwał. Niektórzy uznają go za bohatera.

Teraz agent Carlyle kręci głową.

– Bzdura.

„Chciałabym, ale tak nie jest”.

Wzruszam ramionami.

– Jak pan nie chce, niech pan nie wierzy.

– Inni nie znają okoliczności śmierci Luke’a – mówi doktor Hernandez.

– Uznaliśmy, że mogliby sobie nie poradzić z tymi informacjami. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że ty również.

– A ja nie – mówi agent Carlyle. – Wiedziałem, że to ogarniesz.

Doktor Hernandez rzuca mu ostre spojrzenie i zwraca się do mnie.

– Proszę, miej to na uwadze i pilnuj się, rozmawiając z innymi. W takiej sytuacji wskazana jest wielka ostrożność.

„Święte słowa”.

– Czy dzisiejszą sesję grupową też odwołacie? – pytam.

– Taki jest plan.

– Nie odwołujcie.

– Myślisz, że powinna się odbyć?

– Tak. Jeśli zamkniecie ich w pokojach i nie pozwolicie rozmawiać o tym, co się stało z Lukiem, to utwierdzi ich w przekonaniu, że nie mogą ufać nikomu z Zewnątrz. Odwalilibyście wtedy robotę za Ojca Johna.

– Mamy to na uwadze. Dlatego chciałem o tym z tobą porozmawiać – mówi doktor Hernandez. – I między innymi dlatego byłaś ostatnią osobą, którą powiadomiliśmy o śmierci Luke’a.

Ściągam brwi.

– Mhm...

– Jesteś teraz najstarsza spośród członków Legionu Pana, którzy pozostali przy życiu – ciągnie doktor. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale twoi Bracia i Siostry biorą z ciebie przykład. Ufają ci.

– Oni tak powiedzieli?

– Jesteś zaskoczona?

– Tak. Pod koniec wielu dorosłych trzymało mnie na dystans. Nie spodziewam się, żeby dzieci słyszały od nich coś dobrego na mój temat.

– Dlatego, że przyjaźniłaś się z Nate'em? – pyta agent Carlyle.

Kiwam głową twierdząco.

– I przez to, co spotkało mamę. Nie byłam w Bazie zbyt popularna.

– Z pewnością było ci ciężko – mówi doktor Hernandez – ale też na pewno ma to bezpośredni związek z tym, o czym mówimy. Myślę, że poczucie izolacji, które towarzyszyło ci w ostatnich miesiącach przed pożarem, poczucie osamotnienia wynikające z nieufności ze strony wiernych i braku sprzymierzeńca pozwoliło ci spojrzeć na wydarzenia w Bazie z obiektywizmem, którego twoi Bracia i Siostry, zwłaszcza ci młodszy, nigdy nie mieli.

– Sugeruje pan, że rozumiałam więcej niż inni?

– W pewnym sensie tak.

– Ale pożaru nie przewidziałam.

– Może samego pożaru nie – odpiiera doktor Hernandez – ale zaczęłaś dopuszczać możliwość życia poza Bazą, z dala od Legionu. Rozwinęłaś się tak bardzo, że byłaś gotowa zakwestionować nie tylko słowa Ojca Johna, ale w ogóle całą jego wiarygodność. Byłaś też inteligentna, bo zachowałaś to dla siebie. Powiem więcej. Sądzę, że on to wiedział.

– Co?

– Myślę, że widział w tobie zagrożenie. Sama mówiłaś, że wygnanie twojej mamy i przyjaźń z Nate'em sprawiły, że znalazłaś się na

celownika, a ustawienie cię w parze z Lucy na treningu walki było próbą. To był test twojej lojalności. Podobnie jak propozycja objęcia funkcji Centuriona, którą otrzymał Nate.

– Ojciec John nigdy mnie nie skrzywdził – odpowiadam. – Jeśli byłam dla niego zagrożeniem, to dlaczego nic z tym nie zrobił?

– Być może planował, ale już nie zdążył.

– Bo wybuchł pożar?

Doktor kiwa głową.

– Ale przecież byłam tylko szeregowym członkiem Legionu. Byłam nikim. Nie ma we mnie nic wyjątkowego.

Uśmiecha się.

– Mam inne zdanie. To znaczy zupełnie się nie zgadzam. Przeżyłaś piekło, z którego niewielu wyszłoby obronną ręką. Stoczyłaś prawdziwą batalię. Właściwie nadal ją toczysz. Dowiodłaś niezwykłej odporności i odwagi. Uwierz mi, twoi Bracia i Siostry wierzą, że mogą na tobie polegać i że się o nich zatroszczysz. Rainbow powiedziała jednemu z psychologów, że nie pozwolisz jej skrzywdzić.

Serce pęcznieje mi z dumy, a do oczu gwałtownie cisną się łzy. Mrugam, by je powstrzymać.

– Tak powiedziała? – pytam.

– Owszem – odzywa się agent Carlyle. – Widziałem nagranie z tej sesji.

Próbuję się uśmiechnąć, ale wnętrzości mi się wywracają i wciśnięta w róg czerwonej sofy robię, co mogę, żeby się nie rozkleić, więc wychodzi mi tylko krzywy grymas. Dobrze, że go nie widzę.

– Cieszę się – udaje mi się wykrztusić. – Nie wiedziałam... Ale to bardzo dobrze.

– Oni to wiedzieli – mówi doktor Hernandez.

– Zawsze starałam się...

– Wiedzieli – zapewnia doktor. – Uwierz mi.

Nie wiem, co powiedzieć. Zawsze starałam się dbać o młodszych Braci

i Siostry, okazywałam im ciepło i miłość, której nie było w zasadach ustanawianych przez Ojca Johna, ale, mówiąc szczerze, nie wiedziałam, czy dzieci to dostrzegają.

Dostrzegały. Bardzo się z tego cieszę.

– Chciałbym cię prosić o pomoc, Moonbeam – mówi doktor. – Ale musisz mieć zupełną jasność, o co chodzi, bo nie chcę w żaden sposób manipulować tobą ani pozostałymi członkami Legionu. Nie zamierzamy też nikomu sugerować, co ma czuć ani myśleć.

– Tego lekarstwa nałykali się już dość – odzywa się agent Carlyle.

Kiwam głową.

– Na czym ma polegać ta pomoc?

– Zaopiekuj się Braćmi i Siostrami – odpowiada doktor. – Bądź sobą, taką, jaką znają i jakiej ufają. Pomóż im przez to przejść. Pomóż im przetrwać. Możesz to zrobić?

„Tak – szepcze głos z tyłu głowy. – Możesz. I musisz. Luke’a już nie uratujesz, ale jesteś to winna pozostałym”.

– Spróbuję.

– Dzięki – mówi doktor. – W normalnych okolicznościach nie prosiłbym nikogo na tym etapie terapii o wzięcie na siebie tak dużej odpowiedzialności, ale śmierć Luke’a dowodzi, że sytuacja jest nadal skrajnie niestabilna. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z pozostałych Braci i Sióstr był tak bardzo zagrożony jak Luke, ale...

– Ostrożności nigdy za wiele – kończę.

Doktor kiwa głową.

– A więc co teraz? – pytam. – Mam wrócić do pokoju i czekać na sesję grupową?

– To zależy od ciebie – mówi doktor. – Chcesz porozmawiać? Rozumiem, jeśli nie masz na to ochoty. Ale jeśli chcesz o czymś opowiedzieć, to bardzo chętnie posłuchamy.

Zastanawiam się. Kiedy tu przybyłam, nie mogłam doczekać się powrotu do pokoju, bo tam nie musiałam mówić o sobie, o Legionie ani

o niczym innym. Ale teraz już chyba widzę to inaczej.

Nie doznałam żadnego wielkiego olśnienia, a w każdym razie nie zauważyłam niczego podobnego. Nie było też tak, że do pewnego momentu wszystkie lęki i obawy wisiały mi kamieniem u szyi, napęliając przerażeniem, a potem nagle zniknęły i odtąd wszystko stało się lekkie, łatwe i przyjemne. Ten ciężar mnie nie opuścił, wciąż jest przy mnie. Ale gdyby ktoś mnie spytał, gdyby zmusił mnie, bym powiedziała prawdę, to musiałabym przyznać, że dzięki rozmowom z doktorem i agentem o moim życiu przed pożarem naprawdę czuję się lepiej. Może tylko odrobinę lepiej, a bywają dni, że jeszcze mniej niż odrobinę, ale jednak lepiej. A to już coś.

Naprawdę, to już coś.

– O czym rozmawialiśmy wczoraj? – pytam. – Nie mogę sobie przypomnieć.

– O Nacie – śpieszy z odpowiedzią agent Carlyle. – I jego odejściu.

Krzywię się.

– A, no tak. Drugim „bohaterem” tej historii jest Luke.

– Rozumiem – przerywa doktor Hernandez. – Nie musisz o nim...

– Ale mogę. To będzie ostatnia historia z jego udziałem, którą wam opowiem. Zresztą pasuje do okoliczności...

„No, raczej przedostatnia. Ale jeszcze nie zdecydowałam, czy ostatnia jest dla waszych uszu”.

– Jesteś pewna? W razie czego jak zawsze możemy przerwać w dowolnym momencie.

– Nie jestem pewna. Ale postaram się ją opowiedzieć.

PRZEDTEM

NATE ZNIKNAŁ JUŻ PRZED DWOMA DNIAМИ, ale niedzielne kazanie Ojca Johna i tak jest przepełnione wściekłością.

Wszystkie jego kazania dotyczą Kresu Dni i Ostatecznej Bitwy, poświęceń i trudów, które przyjdzie nam przetrwać, by odnieść zwycięstwo nad Sługami Węża, ale to dzisiejsze naprawdę ocieka krwią. Ojciec mówi o szatańskich metodach, z użyciem których Rząd sprawuje władzę, o tym, jak jego ludzie pożerają nienarodzone dzieci wydarte z brzuchów naszych kobiet, jak wykorzystują alkohol i narkotyki, by odwieść wiernych od Ścieżki Prawdy, a potem zamykają ich w podziemnych celach, gdzie rozrywają im żołądki, pompując do nich benzynę. Opowiada, że takie i inne, znacznie, znacznie gorsze okropności spotykają absolutnie każdego z nas, jeśli przestaniemy bać się sprawiedliwego gniewu Pana, i nie poświęcimy się bez reszty służbie ku Jego Chwale.

Gdy wreszcie milknie, większość Braci i Sióstr wpatruje się w niego z bladymi jak ściana twarzami, a dzieci płaczą cicho. Na koniec dodaje, że Pan przekazał mu radosną nowinę. Oto Nate Childress, Heretyk i Obcy Szpieg, najpodlejszy spośród Sług Węża – nie żyje. W Kaplicy rozlegają się zaskoczony westchnienia, ale też rozproszone oklaski i kilka okrzyków wdzięczności. Ojciec John uśmiecha się dobrotliwie zza mównicy na podwyższeniu.

Właśnie tak. Uśmiecha się.

I – mogę przysiąc – patrzy prosto na mnie.

Stoję bez ruchu. Wpatruję się w oczy, w które kiedyś bałam się

spojrzeć, wierząc, że widzą Ścieżkę Prawdy w całej jej jaskrawości.

Teraz już w to nie wierzę.

Ani w to, że Nate nie żyje. Nie wierzyłam w to nawet przez sekundę. Za to wierzę – wiem! – że uciekł, wy dostał się Bazy i zniknął Na Zewnątrz. Ale tego Ojciec John nigdy, przenigdy nie przyzna.

– Teraz, kiedy nasze szeregi zostały już oczyszczone i z całą pewnością wróciliśmy na Ścieżkę Prawdy – ciągnie Prorok – mogę ogłosić, że Pan uznał za stosowne wyjawić prawdziwą tożsamość nowego Centuriona Jego Legionu, człowieka, którego Wiara i poświęcenie nie ulegają wątpliwości, a jego służba będzie czystym Oddaniem i Lojalnością. Mam wielką przyjemność oznajmić, że Czwartym Centurionem Świątego Kościoła Legionu Pana został Jacob Reynolds. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – dudni Kaplica w odpowiedzi, a Bracia i Siostry zrywają się z ławek, wiwatują i klaszczą, wznosząc okrzyki radości. Jacob też wstaje. Po jego wiecznie czerwonych policzkach płyną łzy. Skłania głowę w stronę mównicy, a stojący za nią Ojciec John odwzajemnia ten gest.

– Dziękuję, Ojcze – słysząc łamiący się głos Jacoba. – Będę służył Legionowi do ostatniego tchu.

– Nie mnie powinieneś dziękować – odpowiada Prorok. – Bądź wdzięczny Wszechmogącemu Panu, albowiem to On wezwał cię na służbę. Pan jest nieomylny.

Jacob gwałtownie splata dłonie jak do modlitwy i zaciska powieki, a fala Braci i Sióstr zaczyna płynąć w jego stronę między ławkami. Ściskają go, gratulują i klepią po plecach.

Przyglądam się i nic nie czuję.

Absolutnie nic.

Po południu pracuję w ogrodach. W wyschłej na wiór ziemi kopię płytkie bruzdy, w których Joe Nelson coś później zasieje. Niedzielne popołudnia są zwykle czasem odpoczynku, ale Legion wciąż jeszcze odbywa karę za

to, że nie przejrzelśmy zdrady Nate'a i daliśmy mu uciec.

Po drugiej stronie pola Alice podlewa obsianą poprzedniego dnia grządkę. Co kilka minut patrzy na mnie z wyrazem twarzy, który chciałabym brać za troskę, ale równie dobrze może to być wyrzut. Tak czy inaczej, nie patrzę jej w oczy.

Słońce zalewa nas żarem, a godziny mijają jak zwykle. Wypijam butelkę wody, napełniam ją ponownie z kranu za Wielkim Domem, i znów wypijam. Chcę się ochłodzić, ale też napełnić burczący z głodu żołądek. Pierwszą z dwóch kromek mojej racji zjadłam na śniadanie, a drugą trzymam na kolację, ale jej perspektywa wydaje się równie odległa jak przyszły tydzień.

Zatapiam się w monotonii zadania, w cyklicznych uderzeniach ostrza motyki o spieczoną na kość glebę. W końcu mój mózg daje za wygraną i po raz pierwszy od wielu dni nie myślę o Nacie, mamie, Luke'u ani o Ojcu Johnie.

Po raz pierwszy od dawna nie myślę o niczym.

Gdy wreszcie z Kaplicy rozlega się dzwon kończący pracę, idę z motyką do kranu i czyszczę jej ostrze do połysku. Za odkładanie brudnych narzędzi grozi kara, a przez zatrutą atmosferę, która obecnie panuje w Bazie, czekałaby mnie za to noc albo dwie w karczerze.

Przecinam dziedziniec i kieruję się do ostatniej szopy narzędziowej w szeregu, gdzie znajduje się specjalny hak do powieszenia mojej motyki. Za mną, niosąc wypełniony w połowie worek nasion, idzie Alice. Nie przyśpiesza i nie zrównuje się ze mną. Chciałabym uwierzyć, że jest na to zbyt zmęczona albo zatopiona w myślach, ale nie udaje mi się to. Wiem, że mnie unika. Właściwie to wszyscy mnie unikają, bo byłam blisko z Nate'em, a on okazał się Heretykiem, tak jak moja mama. Jakaś część mnie chciałaby odwrócić się do niej i wykrzyknąć, że to niesprawiedliwe winić mnie za to, co zrobił ktoś inny, niesprawiedliwe i już, choćby obwiniął mnie sam Ojciec John. Ale się nie odwracam.

Oczywiście, że nie.

Nagle przede mną rozlega się głucho uderzenie. Jest tak głośne i potężne, że wprawia w drżenie ściany i dachy rozklekotanych szop. Po nim dociera do mnie wysoki, zduszony krzyk, który cichnie tak nagle, jakby wydającej go osobie ktoś uciął język. Alice, ja i wszyscy idący w stronę szop zrywamy się do biegu, wznosząc chmurę pyłu, i dopadamy dużej szopy na traktor w środku linii zabudowań, po czym stajemy jak wryci.

Na środku klepiska klęczy Jacob Reynolds. W jego oczach pełga strach, a w kroczu rośnie mokra plama. Za nim, z piłą przyciśniętą do jego tłustego podgardla stoi Luke. Ledwie go rozpoznaję: twarz ma ciemnopurpurową, a jego usta poruszają się bezgłośnie, jakby mówił coś do siebie samego, modlił się albo jedno i drugie. Jego oczy są szeroko otwarte i płonie w nich ogień. Na nasz widok mocniej przyciska piłę do gardła Jacoba i robi krok w tył. Reynolds wydaje z siebie dychawiczny szloch, przypominający ostatni oddech tonącego.

– Nie zbliżać się! – ryczy Luke ze wzrokiem rozbieganym jak u osaczonego zwierzęcia. – Poderżnę mu gardło, przysięgam!

– Luke – głos Alice jest cichy i kojący – już dobrze. Wszystko w porządku. Odłóż tę piłę.

Omam nie parskam śmiechem, bo jedno spojrzenie na twarz Luke'a daje mi absolutną pewność, że odwoływanie się do jego rozsądku jest zupełnie bez sensu. Przynajmniej w tej chwili – widzę to wyraźnie – Luke zupełnie postradał rozum.

– Stul mordę – warczy jak pies. – Zamknij ten głupi, SZPETNY RYJ! To niesprawiedliwe. NIESPRAWIEDLIWE, słyszysz!?

– Już dobrze, Luke – kontynuuje Alice, wyciągając puste dłonie w jego stronę. – Porozmawiajmy. Co jest niesprawiedliwe? Chyba możesz mi powiedzieć?

Jego twarz marszczy się rozpaczliwie, a z oczu wypływa potok łez.

– To ja powinienem być Czwartym Centurionem – teraz już tylko szepcze chrapliwie. – Właśnie ja. Nikt nie jest oddany Legionowi bardziej ode mnie, Pan nie ma bardziej szczerego wyznawcy. Ale czy Prorok to

widzi? Nie. Patrzy na mnie i nie widzi nic. Zamiast mnie wybiera tego zasranego, tłustego gnoja.

Jacobowi wyrywa się szloch. W myśli zaklinam go, by siedział cicho. Bo gdy przyglądam się Luke'owi w poszukiwaniu jakiegoś znaku, że to tylko takie przedstawienie, blef, za którym nie stoi gotowość do prawdziwej przemocy, w jego oczach dostrzegam buzujące jaskrawym płomieniem zdecydowanie.

To ogień jego Wiary.

– Ojciec John nie wybrał Jacoba – mówi Alice. – To Pan wezwał go do służby. A może w to wątpisz?

– Nie bierz mnie pod włos! – warczy Luke. – Ani się waż! Dobrze wiesz, o czym mówię!

– Ja nie wiem, o czym mówisz, Luke. – Głos Ojca Johna dudni jak trzęsienie ziemi, wprawia w drganie wątle ściany szopy i ucisza zebrany tłumek. – Może mi wytłumaczysz? Podważasz Wolę Pana czy to, że jestem Jego Pośłańcem? Mów.

Luke blednie, ale nie odsuwa piły nawet o centymetr.

– Ojczy – mówi głosem nabrzmiałym od cierpienia. – Dlaczego? Jak mogłeś o mnie zapomnieć?

Ojciec John wysuwa się powoli przed zebranych. Jego włosy poruszają się na wieczornym wietrze, ale spojrzenie ma nieruchome jak kamień.

– Wina jest w tobie, Luke. Przedkładasz własną ambicję nad wolę Pana, który dowodzi swojej mądrości, nie wybierając cię na Centuriona swojego Legionu. Rozczarowanie, mój bracie, jest ludzką słabością. Tak samo jak zazdrość. Ty, ja i wszyscy inni jesteśmy ludźmi, niczym więcej i niczym mniej. Twoje uczucia można zrozumieć i można je wybaczyć, ale to nie jest właściwa droga. Nie tak działa Sprawiedliwość Pańska i nie tędy prowadzi Ścieżka. Zajrzyj do swego serca, zrób to szczerze, a pojmiesz, że mówię Prawdę.

Luke wpatruje się w Ojca Johna oczami pełnymi łez, a po chwili wyrywa się z niego szloch tak żalony i potężny, że wstrząsa całym jego

ciałem. Odsuwa piłę od gardła Jacoba, robi chwiejny, niepewny krok do tyłu, opada na kolana i zwiesza głowę. Jacob pełnie niezdarnie na czworakach do stóp Proroka.

– Dziękuję, Ojczy – dyszy. – Dziękuję! Pan jest Dobry.

Ojciec John patrzy na Jacoba z góry. W jego twarzy dostrzegam błysk odraży.

– W porządku, Bracie. Wszystko będzie dobrze.

– Do karceru z nim – wyrzuca z siebie Jacob, czerwieniejąc. – Chcę, żeby tam gnił, aż zapomni, jak wygląda światło dnia.

Ojciec John zastyga.

– Ty chcesz? – syczy. – Centurion Legionu Pana, który właśnie poszczał się w gacie na klęczkach, śmie mówić, czego chce? Zejdź mi z oczu i módl się do Pana, by okazał ci Łaskę. Przyłóż się do tej modlitwy bardziej niż kiedykolwiek, bo nie wiem, czy Pan wybaczy ci ten haniebnny upadek.

Zszokowany Jacob wpatruje się w Proroka oczami wielkimi jak spodki.

– Ojczy, ja...

– WON! – ryczy Ojciec John. – NATYCHMIAST, PÓKI MOŻESZ IŚĆ O WŁASNYCH SIŁACH!

Jacob wstaje niezdarnie, rozpycha zebranych i wytacza się z szopy. Niektórzy Bracia i Siostry patrzą za nim, ale ja nie odrywam oczu od Ojca Johna. Jego twarz przypomina burzową chmurę, jest ciemna, zacięta i nabrzmiała groźbą.

– Luke, wstań i spójrz mi w oczy.

Luke podnosi się z kolan. Jego brudną twarz znaczą ślady łez i spienione glutu. Upuszcza piłę na klepisko i wbija wzrok w ziemię.

– Pan jest Dobry – mówi Ojciec John. – Doprowadź się do porządku i czekaj na mnie w Kaplicy. Wieczorem omówimy to, co zaszło.

Luke podnosi głowę. Uwielbienie pomieszane z wdzięcznością malujące się na jego twarzy przyprawia mnie o mdłości.

– Dziękuję, Ojczy – mówi szeptem. – Pan jest Dobry.

POTEM

AGENT CARLYLE I DOKTOR HERNANDEZ wpatrują się we mnie bez słowa.

– Luke nie opuszczał Kaplicy przez dwa dni. Przez większość czasu towarzyszył mu Ojciec John. Kiedy w końcu z niej wyszli, wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Ale nie wróciło. Zresztą ten pozór nie utrzymał się zbyt długo.

– Biedne chłopaczysko – wzdycha doktor Hernandez.

Kiwam głową.

– Jak zachowywał się później Jacob Reynolds? – pyta agent Carlyle.

– Próbował udawać, że nic się nie stało. Rozsmakowywał się w roli Centuriona, przemierzał Bazę napuszony, rozkazywał i wymierzał kary, ale wszyscy wiedzieli, co mu zrobił Luke. Nikt o tym nie zapominał.

– Myślisz, że z tego powodu na ostatnim treningu walki urządził demonstrację z tobą w roli głównej? – pyta doktor. – Chciał odzyskać utracony szacunek?

Wzruszam ramionami.

– Być może. Ale przed incydem z Lukiem Jacob był taki sam.

– Czyli jaki?

– Gnębił innych. Był wrednym gnojem.

Doktor marszczy brwi, a na twarzy Carlyle'a zakwita szeroki uśmiech. Sama czerwienię się natychmiast, bo zwykle o nikim tak się nie wyrażam. No, w każdym razie nie głośno.

– Otóż to. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu – mówi agent Carlyle.

Odpowiadam mu uśmiechem i skinieniem głowy.

– A więc Ojciec John stanął po stronie Luke’a – wnioskuje doktor Hernandez, rzucając krótkie spojrzenie siedzącemu obok mężczyźnie. – Upokorzył Jacoba, ale pozwolił mu pełnić funkcję Centuriona. Jak ci się wydaje, dlaczego tak zrobił?

Wzruszam ramionami.

– Najpierw wybrał Nate’a, ale wszyscy byli świadkami, że mu to nie wyszło. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną porażkę, więc musiał pozostać przy Jacobie, chociaż jestem pewna, że od razu pożałował tego wyboru.

– Mówisz, że to Ojciec John go wybrał? – pyta doktor. – On, a nie Bóg?

– Wybrał go Ojciec John.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową.

– Jestem.

Uśmiecha się do mnie i szybko zapisuje coś w notesie.

– Mówisz, że potem wszystko wróciło do normy? – pyta agent Carlyle.

– Powiedziałam, że tak się wydawało. Ale tak naprawdę nie wróciło. Już nie było tak samo.

– A co się zmieniło?

– Było czuć napięcie. Ludzie zrobili się nerwowi. Nikt nie mówił głośno, co myśli, bo w Legionie nie było takiego zwyczaju, ale wcześniej wystarczyło przejść się po Bazie i od razu było wiadomo, co w trawie piszczy. Teraz wydawało się, że wszyscy bezustannie oglądają się przez ramię, jakby się bali.

– Bali się? Czego?

Ponownie wzruszam ramionami.

– Wszystkiego. Przez kolejny miesiąc musieliśmy pracować dwa razy dłużej i zadowolić się karnymi racjami, mimo że Legion podobno wrócił na Ścieżkę Prawdy. Centurioni wykopali topór wojenny przeciw wiernym

Legionu. Karali za lekkie wykroczenia, które przed ucieczką Nate'a i hecą z Lukiem i Jacobem najpewniej uszłyby płazem. Kary zrobiły się cięższe. Znacznie cięższe. Prawie nie było dnia bez przykładowej chłosty czy pobicia na dziedzińcu za jakąś błahostkę.

– Co robił w tym czasie John Parson? – pyta agent Carlyle.

– Siedział na werandzie Wielkiego Domu. Przyglądał się. I nikt nie śmiało spojrzeć mu w oczy, nawet Amos.

– A Luke?

– Spędzał większość czasu w Kaplicy.

– Czyli inaczej niż zwykle?

– Ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Nie rozmawiał z nikim poza Ojcem Johnem. Zagadnięty patrzył tylko w przestrzeń, jakby nie widział rozmówcy. Mimo że wszyscy pracowali dwa razy dłużej i otrzymywali karne racje, przestał pracować. Ale nikt o tym nie mówił, a Centurioni zdawali się tego nie zauważać.

– Myślisz, że się go bali? Po tym, co przydarzyło się Jacobowi?

– Niewykluczone. A może nie wiedzieli, jak zareaguje Ojciec John, gdyby spróbowali ukarać Luke'a. Tak czy inaczej zamknął się w Kaplicy i modlił całymi godzinami, więc po dniu albo dwóch wszyscy zostawili go w spokoju.

– Czy myślisz, że uważał się za następcę Ojca Johna? I dlatego tak zachowywał się na sesjach grupowych? – pyta doktor Hernandez.

– Czuł się zraniony tym, że nie wybrano go na Centuriona. Naprawdę go to bolało. Był bardzo oddany Legionowi i kochał Ojca Johna. Ale nie wiem, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie doszło do pożaru. Nie wiem, jak Luke wyobrażał sobie swoją przyszłość.

– A myślisz, że...

– Musimy przerwać – odzywa się agent Carlyle, stukając w zegarek. – To znaczy, jeśli Moonbeam ma zjeść obiad przed sesją grupową. Jeżeli zdecydował pan, że grupa jednak ma się odbyć.

Patrzę na zegar nad drzwiami. Wskazuje 12:56.

- Oczywiście – mówi doktor Hernandez. – Moonbeam, jak się...
- W porządku – odpowiadam, wyprzedając jego pytanie. – Poradzę sobie.

Zjadłam obiad w pośpiechu i teraz doskwiera mi tępy ból brzucha, ale na sesję grupową docieram ostatnia z innego powodu.

Gdy jesteśmy już przed drzwiami Sali Terapii Grupowych, proszę siostrę Harrow, żebyśmy postąły chwilę na korytarzu. Ściągając brwi, pyta, czy nic mi nie jest. Odpowiadam, że nie, że to nic takiego, bo nie chcę jej okłamywać, a kiedy pyta, czy coś mi przynieść – zaprzeczam, kręcąc głową. Potrzebuję tylko kilku sekund, żeby zebrać myśli, zastanowić się nad sytuacją, która uległa zmianie, i moją w niej rolę.

Wiem, co mnie czeka za drzwiami Sali Terapii Grupowych. Wiem, o czym Jeremiaś, Rainbow i inni będą chcieli rozmawiać. Dlatego zanim wejdę do środka, zanim powiem to, co mam powiedzieć i zanim zrobię to, o co prosili mnie doktor Hernandez i agent Carlyle, potrzebuję chwili, żeby pomyśleć o Luke’u. Ale to nie czas, żeby go opłakiwać, nie teraz, bo muszę zachować siły na zadanie, które mam do wykonania. Tak czy inaczej to, co mu się przytrafiło, nie było fair. Nie zasłużył na taki los.

Miał tylko siedemnaście lat i już nie żyje.

„Tak jak Alice – szepcze głos z tyłu głowy. – I Agavé. I Joe Nelson. I inni. Wszyscy zginęli”.

Siostra Harrow znów ściąga brwi, a ja kręcę głową.

„Ale ja wciąż żyję – odpowiadam głosowi. – Honey, Lucy, Rainbow i tylu innych pozostało przy życiu. A ja muszę zrobić co w mojej mocy, by to się nie zmieniło”.

Wiem, że prosząc mnie o pomoc, agent Carlyle i doktor Hernandez okazują mi ogrom zaufania. Wiem też, że dobrze rozważyli tę prośbę. Jestem im za nią wdzięczna, bo skoro zwracają się z nią do mnie, to zapewne uważają, że dzięki terapii doktora Hernandesa robię znaczne postępy. Bo doktor często mnie chwali i, kiedy chce zachęcić mnie do

mówienia, twierdzi, że dobrze mi idzie, ale sama nie wiem, czy mam mu wierzyć.

A jednak ta prośba to prawdziwy, namacalny dowód.

Ale też napędziła mi stracha.

Dano mi możliwość odpokutowania za grzechy. Bo to moja wina, że moi młodszy Bracia i Siostry czekają na mnie w Sali Terapii Grupowych, zamiast być w Bazie, przy swoich rodzinach. Dlatego zrobię co trzeba, żeby im pomóc. Cokolwiek będzie konieczne. Tego się nie boję. Natomiast przeraża mnie myśl, że być może nic nie będę mogła zrobić, że nikt nic nie może zrobić. Że przeze mnie dzieciom nie można już pomóc.

Wreszcie daję siostrze Harrow znak głową. Odpowiada oszczędniejszą, nieco bardziej smutną wersją zwykłego uśmiechu i otwiera drzwi. Gdy wchodzę do środka, zwraca się ku mnie siedemnaście par oczu.

– Cześć – mówię z nadzieją, że wezmą mój udawany spokój za dobrą monetę. – Jak się macie?

– Luke Wniebowstał – odzywa się Jeremiaś. Oczy ma jasne, a na jego twarzy widnieje szeroki uśmiech. – Prorok wezwał go przed oblicze Pana. Wkrótce przyjdzie kolej na nas.

Żołądek wywraca mi się na drugą stronę.

– Tak, słyszałam. Chcecie o tym porozmawiać?

Jeremiaś kiwa głową z entuzjazmem, a wraz z nim większość naszych Braci i Sióstr. Pod ścianą w głębi sali widzę Honey, Rainbow i jeszcze kilkoro innych. Stoją bez ruchu, zdeglustowani.

– Luke był najlepszy z nas wszystkich – mówi Jeremiaś. – Był najbardziej Oddany i dlatego poszedł pierwszy.

Siadam po turecku na podłodze w środku sali i gestem zapraszam pozostałych, by zrobili tak samo. Wszyscy chętnie siadają, nawet Honey i Rainbow. Po chwili otacza mnie krąg wpatrzonych we mnie oczu. Kilka osób automatycznie chwyta za rękę siedzącego obok Brata lub Siostrę.

– Myślicie, że właśnie tak się stało? – pytam.

Większość kiwa potakująco. Na ich twarzach maluje się powaga

i skupienie. Sześcioro kręci głowami, a kilkoro nie odpowiada wcale. Spośród tych, którzy się nie zgadzają, tylko Aurora ma odwagę, by się odezwać.

– Myślę, że Luke nie był najlepszy z nas. – W jej głosie czuć skrywane drżenie. – Według mnie był wredny i sądzę, że nie Wniebowstąpił. Wydaje mi się, że poszedł do Piekła.

Mam ciarki na plecach. Twarz Aurory jest blada, ale jej oczy są pełne determinacji. Na ten widok moje serce przyśpiesza.

– Co ty tam wiesz, głupia dziewucho – wcina się Jeremiaś, stopniowo podnosząc głos. – Najlepiej się zamknij.

– Dosyć – przerywam mu. – Każdy ma prawo do własnej opinii.

– To nie jest żadna opinia – odcina się Jeremiaś. Ma wysoki, drżący głos. – To jest Herezja. Luke był naszym bratem i Ojciec John wezwał go do Domu. Ona nie będzie tu wygadywać, że poszedł do Piekła. Nie wolno jej.

„Złamali go” – szepcze głos z tyłu głowy.

Ale ignoruję ten szept i skupiam całą uwagę na Jeremiaś. Urodził się w Bazie. Jego rodzice i starszy, rodzony brat zginęli w czasie pożaru. Przypominam sobie, że przecież dla niego to czas żałoby. Że jest tylko małym chłopcem, którego świat legł w gruzach. Dlatego muszę okazać mu cierpliwość.

Nie może mi jej zabraknąć dla żadnego z nich.

– A więc dla ciebie to ważne, że Luke Wniebowstąpił?

Jeremiaś marszczy czoło, jakbym właśnie zadała mu najgłupsze pytanie w historii świata.

– Oczywiście, że ważne – odpowiada.

– Dlaczego?

– Bo odszedł, by zasiąść u prawicy Pana. Tak jak obiecał Ojciec John.

„Skoro wierzysz, że właśnie to stało się z Lukiem, jesteś przekonany, że podobny los spotkał twoich rodziców i brata”.

- A jak myślisz, co tam robi? – pytam.
- W tej chwili przygląda nam się z góry. I wszyscy inni również.
- Czy chciałbyś, żeby zobaczyli coś konkretnego?
- No, to, że chcemy tam być z nimi. – Do kącików jego oczu napływają łzy. – Że nie chcemy, żeby nas tu zostawili całkiem samych. Że my też chcemy odejść.
- Luke donikąd nie odszedł – odzywa się Honey cicho. – Ojciec John ani inni też nie. Oni po prostu umarli.
- Jeremiah odwraca głowę w jej stronę. Jego twarz, teraz ciemnoróżowa, pała wściekłością.
- Kłamiesz! Odszczekaj to!
- Honey kręci głową.
- Nie.
- Jeremiah zrywa się na równe nogi, zaciskając pięści.
- Zmuszę cię, żebyś to odszczekała. Już ja ci pokażę...
- Nikogo nie będziesz do niczego zmuszał. Uspokój się – przerywam mu.
- Wlepia we mnie wielkie z oburzenia oczy.
- Nie słyszałaś, co powiedziała? Nie wolno tak mówić o Proroku.
- Tak, słyszałam. Rozumiem, że jesteś zdenerwowany, masz do tego prawo. Ale przemoc nie jest rozwiązaniem.
- Gdyby Centurioni tu byli...
- To co? – pytam.
- Stłukliby ją – odpowiada Jeremiah z błyskiem w oku, który przyprawia mnie o kolejny skurcz żołądka. – Trzymaliby ją w karcerze tak długo, że odszczekałaby wszystkie bluźnierstwa!
- I myślisz, że to by było w porządku?
- Kiwa głową.
- Jak najbardziej.
- Dlaczego?

– Bo tak chce Pan.

– Skąd wiesz, czego chce Pan? – Honey wyjmuję mi z ust pytanie, które właśnie miałam zadać.

Jeremiah kręci głową.

– Bo tak powiedział Ojcu Johnowi. – Cedzi słowa tak wolno, jakby tłumaczył oczywisty fakt idiotce. – A Ojciec John przekazał to nam.

– A skąd wiesz, że Pan kiedykolwiek rozmawiał z Ojcem Johnem? – pyta Honey.

– Bo...

– Bo on nam to powiedział – odpowiada Honey sama sobie. – No właśnie. A jeśli kłamał, Jeremiah? Co wtedy?

– Po co Ojciec John miałby kłamać? – Pełna niewinności wiara malująca się na twarzy Jeremiah sprawia, że mam ochotę cofnąć się w czasie do pożaru i jeszcze raz zrobić to wszystko, co zrobiłam wtedy w Wielkim Domu. – Jesteśmy jego Rodziną. Dlaczego miałby nas okłamywać?

– Bo ludzie kłamią, Jeremiah. – Honey mówi znacznie ciszej niż przed chwilą. – Przepraszam, nie chciałam cię rozgniewać. Ale ludzie kłamią. Taka jest prawda.

Zapada brzemienna cisza. Nie wiem, czy Jeremiah rzuci się na Honey z pięściami czy wybuchnie płaczem. Pozostali Bracia i Siostry wpatrują się we mnie, jakby oczekiwali, że coś zrobię. Chcę im powiedzieć, że nic się nie da zrobić, że musimy prowadzić takie rozmowy, jeśli choć jedno z nas ma zrobić jakiegokolwiek postępy, ale nie wiem, jak im to powiedzieć, więc milczę.

– Ja nie kłamię – przerywa ciszę Rainbow. Widać zastanowiła się nad tematem. – To niemiłe.

Nie umiem powstrzymać śmiechu, a przez to parsknięcie czuję gorącą falę zawstydzienia napływającą do twarzy. Rainbow rozbroiła mnie całkiem swoją powagą i jedyną reakcją, na którą w tej napiętej chwili mogło sobie pozwolić moje ciało, był wybuch śmiechu.

Marszcząc czoło, Rainbow patrzy na mnie z wyrzutem, jaki można dostrzec na twarzy dziecka, które myśli, że nie traktujemy go poważnie. Wyciągam rękę w jej stronę i macham na znak, że nie śmiałam się z jej powodu. Naprawdę. Ale wtedy Honey i Winter również zaczynają chichotać, więc i ja znów parskam śmiechem i czuję, że coś we mnie odpuszcza. No bo co jeszcze można zrobić, kiedy świat spłonął na popiół, ale sami przeżyliśmy, wciąż oddychamy, a przed nami majaczy perspektywa przyszłości, choćby nawet kruchej i niepewnej?

Trzy chichoczące osoby wystarczą, żeby zarazić śmiechem pozostałych, więc po chwili prawie wszyscy rechoczą razem z nami. Niektórzy trzymają się pod boki i zakrywają usta. Policzki im czerwienieją, a oczy wypełniają się radością, która jeszcze przed kilkoma sekundami była nie do wyobrażenia. Rainbow jest wciąż nachmurzona, jakby była absolutnie pewna, że wszyscy śmieją się właśnie z niej, ale Jeremiah zdobywa się na bladziutki uśmiech, chociaż nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wywołały go przeprosiny Honey, a nie przyływ prawdziwej wesołości.

Ale w porządku.

To już coś.

I wtedy przez ułamek sekundy, po raz pierwszy od pożaru, w głowie świta mi myśl, że choć ta możliwość jest wątpliwa i migoce niepewnie, to może jednak będzie dobrze. Może przynajmniej kilkoro z nich wyjdzie z tego cało.

Kto wie.

POTEM

BŁĘKITNY DOMEK. DYM Z KOMINA. Zieleń trawy. Nadmorski klif, ogrom wody. I dwie sylwetki.

Rysuję, odkładam kartkę, wyciągam nową i znów rysuję to samo. Nie muszę poświęcać uwagi tej czynności. To dobrze, bo w głowie mam natłok myśli o Luke'u.

Myślę o wszystkich okropnościach, do których doszło z winy Ojca Johna. To cała lista przerażających zdarzeń, a – akurat w tej chwili – śmierć Luke'a wydaje się z nich najgorsza. Moi dorośli Bracia i Siostry posłuchali Proroka z własnej woli. Sami postanowili uwierzyć w niego, zaufać i poświęcić mu życie. Każdy miał własne powody: szczerą Wiarę albo desperację, a może tylko potrzebę przynależności. Może chcieli mieć podstawę, by uwierzyć, że sens życia wykracza poza to, co można zobaczyć i dotknąć.

Ale Luke?

On nigdy nie miał wyboru. Ktoś inny zdecydował za niego, zanim jeszcze Luke się urodził.

Przychodzi do mnie wspomnienie. Dziesięcio-, może jedenastoletni Luke, niezgrabny, fajtłapowaty patyczak, jakieś półtora roku po przybyciu Ojca Johna do Bazy. Luke siedzi w południowo-wschodnim rogu dziedzińca i pisze na asfalcie liczby kawałkiem kredy. Rysunek przypomina pole do gry w klasy. Idę właśnie przez dziedziniec. Zatrzymuję się za plecami Luke'a i czytam liczby nad jego ramieniem.

21:1

19:11

21:8

12:9

20:10

1:5

Luke ogląda się na mnie, uśmiecha, po czym wraca do pisania. Przyglądam się liczbom długą chwilę i wreszcie dociera do mnie, co oznaczają.

To numery wersetów biblijnych.

Z Księgi Objawienia.

Sięgam po nową kartkę, a do oczu napływają mi łzy. Nie powstrzymuję ich mruganiem ani nie ścieram z twarzy. Niech płyną, bo Luke na nie zasłużył. Oni wszyscy również.

Czy miał jakiegokolwiek szansę? Bez rodziców, którzy zadbaliby o niego? Z Prorokiem – zastępczym ojcem sączącym mu do ucha opowieści o Końcu Świata?

Horizon powiedział mi kiedyś, że pies, którego bito od urodzenia, będzie skamlał, chował się zalękniony i ciągle okazywał strach. Ale w końcu – nigdy nie wiadomo, kiedy ta chwila nastąpi – zahukany pies ugryzie. Zrobi tak, bo nigdy nie dano mu powodu, dla którego miałby nie gryźć.

Odsuwam na bok kolejną kartkę. Rysunek jest coraz bardziej schematyczny: dom to prostokąt z iksem w środku i trójkątem na górze. Nad nim trawa – zielone dziabnięcia kredką i woda – niebieskie zygzaki.

Myślę o Luke’u, Honey, Rainbow i pozostałych wiernych, o doktorze Hernandezie i agencji Carlyle’u, i wmawiam sobie, że chcę pomóc. Że chcę sprawić, żeby było lepiej.

„Kłamiesz” – szepcze głos z tyłu głowy, ale nie ma w nim szorstkości. Jest łagodny.

Opuszczam głowę, a po policzku spływa nowa łza, bo wiem, że głos ma rację. Okłamuję samą siebie. Gdybym naprawdę chciała pomóc, to opowiedziałabym wszystko doktorowi Hernandezowi już podczas naszej

pierwszej rozmowy. Miałabym gdzieś konsekwencje. Ale tego nie zrobiłam. Do tej pory nie powiedziałam mu wszystkiego, bo nie wiem, co się ze mną stanie, jeśli to zrobię i boję się tego dowiedzieć.

Ale...

Co, jeśli jakaś informacja, której im nie wyjawiałam, mogła ocalić Luke'a? Może jakiś drobny szczegół mógł skłonić doktora Hernandeza i jego kolegów do baczniejszego obserwowania chłopaka albo do umieszczenia go w pokoju, gdzie nie mógłby zrobić sobie krzywdy?

„Nie. Nie, nie, nie, nie”.

Nie mogę myśleć w ten sposób. Po prostu nie.

Nikt nigdy nie dowie się na pewno, dlaczego Luke to zrobił, bo nikt już nie będzie mógł go o to spytać, no chyba że jednak się okaże, że Ojciec John od początku miał rację.

Przechodzi mnie dreszcz, bo myśli o takiej perspektywie nie mogę znieść nawet przez sekundę.

Znów zaczynam rysować. Staram się to robić wolniej i dokładniej, żeby rysunek przypominał prawdziwy pejzaż, i jeszcze raz wracam myślą do prośby doktora i agenta.

Jestem im wdzięczna.

Naprawdę.

Podobnie jak z wszystkim innym, co zaszło, odkąd obudziłam się po raz pierwszy wśród tych szarych ścian, muszę założyć, że dzieje się tu więcej, niż na to wygląda na pierwszy rzut oka. Być może ich prośba jest wyrachowaną zagrywką? Może wiedzą, jak działa mój mózg, umieją przewidzieć moje reakcje i karmią mnie pozorami wolnej woli?

Nie, nie wydaje mi się.

Gdy doktor Hernandez tłumaczył, co i dlaczego chcą, żebym zrobiła, jego oczy były pełne troski, czyli albo był naprawdę poruszony śmiercią Luke'a i tym, co może ona znaczyć dla pozostałych ocalonych, albo jest przerażająco dobrym aktorem.

Nie dowiem się, która możliwość jest prawdziwa, ale to i tak bez

znaczenia. To nieważne, bo teraz już nie chodzi tylko o mnie. Nie chodzi o to, co wiem, co zrobiłam i co się ze mną stanie, kiedy ktoś się dowie.

Teraz ważni są moi Bracia i Siostry.

To oni się liczą.

POTEM

GDY PRZYTACZAM SŁOWA RAINBOW, obaj się uśmiechają, choć wiem, że co najmniej jeden z nich był świadkiem tej sytuacji.

– Bardzo dobrze zrobiłaś – odzywa się doktor Hernandez. – Zachowałaś spokój, zachęciłaś ich do dyskusji i pozwoliłaś Jeremiah dać upust emocjom. Mieliśmy nadzieję, że właśnie tak postąpisz.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony. Ale nie robię tego ani dla pana, ani dla siebie. Robię to dla nich.

Agent Carlyle uśmiecha się do mnie.

– Oczywiście – mówi doktor Hernandez. – A wyjaśnisz dlaczego?

– Bo kiedyś przyjdzie dzień, w którym opuszczą to miejsce. I wtedy zobaczą, przekonają się na własnej skórze, że to, co wiedzą o świecie, jest bzdurą, że wszystko, czego ich uczono, było kłamstwem. A ci, którzy urodzili się po Czystce, wiedzą o świecie tylko tyle, ile mówiono im w Bazie.

– Zadbamy o nich – mówi doktor. – Nie zostawimy na pastwę losu. Mogą liczyć na naszą pomoc na każdym etapie rehabilitacji.

– Wierzę panu – mówię zgodnie z prawdą. – Ale kiedy nieznajomi zaczną podważać to, co od zawsze przedstawiano im jako prawdę, to Obcy wydadzą im się dokładnie tacy, jak opisywał ich Ojciec John.

– Mam rozumieć, że to powinno wyjść od ciebie?

Kręcę głową przecząco.

– Tego nie mówię. Widzę, jakie zrobili postępy, i wiem, że niektórzy zaczynają ufać panu i pana kolegom. Czy według mnie pomoże, jeśli

usłyszą te same rzeczy ode mnie i Honey? Myślę, że tak. Ale, mówiąc szczerze, nie wiem, czy ostatecznie to wyjdzie na dobre, bo ich rany są naprawdę głębokie.

– Starasz się – mówi doktor. – Nie możesz zrobić nic więcej.

„On ma rację – szepcze głos z tyłu głowy. – I to się liczy. To nie jest bez znaczenia”.

Kiwam głową.

– Czy to los dzieci sprawił, że zaczęłaś wątpić w Legion? – odzywa się agent Carlyle. – Incydent z Lukiem i Honey? To, jak Jacob Reynolds obszedł się z Lucy?

Wzruszam ramionami.

– Incydent z Honey zdecydowanie miał z tym coś wspólnego. Ale trening, na którym Jacob pobił Lucy, odbył się tylko dzień czy dwa przez pożarem. Straciłam Wiarę dużo wcześniej.

– Pamiętasz, co zasiało w tobie pierwsze zwątpienie? – pyta Carlyle. – Może wygnanie twojej mamy?

Kiwam głową.

– A może ten temat jest dla ciebie zbyt trudny? – dopytuje doktor Hernandez.

– Tak.

– Ale chcesz opowiedzieć?

– Tak.

Doktor się uśmiecha.

– Dlaczego?

– Po prostu muszę to zrobić.

PRZEDTEM

POD NISKIM, SZARYM NIEBEM Centurioni prowadzą mnie do Wielkiego Domu.

Gdy wchodzę po schodach na werandę, trzęsą mi się nogi. Bear puka do drzwi i staje obok. Z drugiej strony pilnuje mnie Horizon. I tak stoimy, czekając, aż ktoś otworzy. Odkąd mnie zatrzymali, minął kwadrans, a ja już chyba po raz piętnasty pytam, o co chodzi, ale żaden z nich nie odpowiada ani na mnie nie patrzy.

– Proszę was. Powiedzcie, co się dzieje. No, błagam.

Cisza.

– Musisz pójść z nami. – To wszystko, co powiedział Bear.

Pracowałam właśnie w ogrodzie, no może nie tyle pracowałam, co oddawałam się rozmyślaniom, i wydawało mi się, że podchodzą do mnie właśnie dlatego, że to spostrzegli.

– Twoja matka została wezwana do Ojca Johna. Odpowie za grzechy.

W odpowiedzi ściągam brwi.

– O czym ty mówisz? Za jakie grzechy?

– Za Herezję – wyjaśnia Bear, a ja czuję, że żołądek rozlewa mi się na boki.

Drzwi wejściowe otwiera Bella. Gdy wchodzę do Wielkiego Domu, wydaje mi się, że nogi mam zrobione z galarety. Na środku salonu stoi moja mama. Wołam ją głośno, bo naprawdę jestem przerażona, a nikt nie chce mi powiedzieć, co się dzieje. Na dźwięk mojego głosu obraca się i patrzy na mnie w sposób, który dobrze znam. Tak samo jak wtedy, gdy

spadłam z samochodu i złamałam rękę. To spojrzenie ma mi dodać odwagi. W wybuchu paniki rzucam się przed siebie w rozpaczliwej nadziei, że pozwolą mi się do niej przytulić, ale Horizon dopada mnie jednym susem i bez trudu unosi w powietrze. Wierzgam, rzucam się i krzyczę, ale on przyciska moje ramiona do tułowia i unieruchamia mnie.

– Nie pogarszaj sprawy – szepcze. – Pan jest Dobry.

– Nie martw się, Promyczku! – słyszę krzyk mamy. – Będzie dobrze. Nie płacz.

Horizon opuszcza mnie na podłogę. Teraz już mnie nie ściska, choć wciąż czuję jego ręce na ramionach, ale i tak chyba nie zdołam się ruszyć. Stoję jak wmurowana, bo nie znam mamy od tej strony. Jej twarz jest wcieloną furią, policzki buzują czerwienią, a oczy wbite w Ojca Johna płoną. Prorok siedzi w wielkim fotelu pod oknem w asyście Angela i Lonestara stojących w milczeniu po bokach. Bella, Star i Agavé przycupnęły na schodach skulone i blade.

Wszyscy z wyjątkiem mnie są po stronie Ojca Johna. Nikt z obecnych nie ujmie się za moją mamą. Będę jedynym świadkiem tego, co się zaraz stanie.

Mama się nie boi. Jej zaciśnięte usta są wąską kreską, a śmiałe spojrzenie wytrzymuje wzrok Ojca Johna. Serce mi łomocze, wnętrzności kurczą się do rozmiaru orzecha, a strach wprawia mnie w dygot, bo nic a nic z tego nie rozumiem. Obudziłam się rano, zjadłam śniadanie i poszłam do ogrodów. Zapowiadał się najzwyczajniejszy dzień, a teraz wszystko stanęło na głowie.

– Czy przyznajesz się do zarzutów, które wobec ciebie wysunięto? – Głos Ojca Johna jest cichy, głęboki i przepelniony groźbą.

Mama nie odpowiada. Ani drgnie. Tylko się w niego wpatruje.

Przez długą chwilę mierzą się wzrokiem, aż wreszcie na twarz Proroka wypływa szeroki uśmiech.

– Pozwól, że ci przypomnę. Chcemy mieć całkowitą jasność, a sprawiedliwości Pańskiej musi stać się zadość. Pierwszy zarzut to

Apostazja. Czy przyznajesz się do winy?

„Wina? Zarzut? Czy to jest proces?”

– Nie. – Głos mamy przypomina trzask pękającego lodu.

– Znaleźliśmy twój dziennik. – Ojciec John odwraca się do Lonestara trzymającego oprawiony w skórę notes, którego nigdy wcześniej nie widziałam. – Należy do ciebie, prawda?

Mama potwierdza ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Świetnie. Otóż jest w nim szczegółowy opis twojego odstępstwa od Ścieżki Prawdy. Nie odczytam go na głos, bo właśnie tego życzyłby sobie Wąż, ale groteskowa treść dziennika stanowi zdradę wobec Wszchemogącego Pana. Twoje własne pismo jest niewątpliwym dowodem, który zupełnie cię pograża, dlatego jeszcze raz dam ci szansę, byś przyznała się do winy. Co odpowiesz?

Oczy mamy zwięzają się.

– To nieporozumienie. Nie jestem winna Apostazji, bo nie można porzucić Wiary, której się nigdy nie miało.

Zszokowana Bella gwałtownie łapie powietrze, a Agavé w uspokajającym geście kładzie dłoń na jej kolanie.

– A więc przyznajesz, że jesteś Fałszywa? – pyta Ojciec John.

– Nigdy nie wierzyłam w ciebie. Nawet przez chwilę. To chętnie przyznam.

Prorok znów się uśmiecha.

– A więc nareszcie odkryliśmy prawdę. Być może...

– Ojciec Patrick był niegroźnym głupcem – słyszę warknięcie mamy. – Marzycielem, który starał się służyć Panu najlepiej jak umiał. Ale ty? Wciskasz ludziom kit. Jesteś sępem żerującym na słabości i rozpaczy innych. Jesteś zerem.

Gwałtownie łapie powietrze, bo ten śmiały atak zapiera mi dech. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił do Ojca Johna, nawet Heretycy, których wygnano podczas Czystki.

Uśmiech Proroka rozwiewa się.

– Centurionie?

Angel marszczy brwi i spogląda na mnie.

– Być może Moonbeam powinna...

– Rób, co każę, Centurionie.

– Tak, Ojczy.

Angel wysuwa się do przodu i wymierza mamie cios w twarz. Dzięki Bogu uderza otwartą dłonią, a nie pięścią, ale i tak mama przewraca się na plecy. Jej głowa odbija się od podłogi. Słyszę własny krzyk i próbuję do niej podbiec, ale palce Horizonta wbijają się boleśnie w moje ramię. Spotykam wzrok mamy i dostrzegam w nim tę samą prośbę, którą słyszałam wypowiedzianą szeptem do ucha.

„Nie pogarszaj sprawy”.

– Podnieś ją – mówi Ojciec John.

Angel wykonuje rozkaz. Jeden policzek mamy jest jaskrawobiały, a w kąciku ust widać rozmazaną krew. Napętnia mnie gwałtowna fala nienawiści, jakiej nigdy wcześniej nie czułam. Zarazem pali mnie i mrozi, i jest tak ostra, że mogłabym poderżnąć nią gardło Angela, a wyszczerzoną w uśmiechu mordę Proroka zmielić na krwawe strzępy. Dosłownie trzęsę się od niej, mimo że w głowie nabrzmiewa mi słowo „Herezja”!

– Uznaję cię winną Apostazji – mówi Ojciec John. – Rozważmy drugi zarzut. Próba sprowadzenia Oddanego członka Legionu Pana na złą drogę. Czy przyznajesz się do winy?

Mama wypluwa gęstą krew na podłogę i nie odpowiada ani słowem. Gapię się na nią i czuję, jak mój gwałtowny przypływ nienawiści ustępuje strachowi tak oczywistemu, że prawie mnie oślepia.

Nie miałam pojęcia, że mama pisze dziennik, a już na pewno nie wypełniony Herezją i Apostazją, i nie mogę uwierzyć, że powiedziała Ojcu Johnowi to, co właśnie usłyszałam. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Wielu Legionistów odeszło od Ścieżki Prawdy – to zawsze boli,

bo wiemy, że gdy tylko miną Bramę Frontową i wyjdą Na Zewnątrz, ich dusze zostaną zapomniane.

Ale moja mama? To po prostu niedorzeczne. To bzdura!

Należy do Legionu Pana od trzynastu lat. Nie opuściła go po śmierci taty, kiedy podstawy jej Wiary zostały naruszone i nikt nie mógłby mieć jej tego za złe. Została. I nie tylko wychowywała mnie, prowadząc Ścieżkę Prawdy, ale też sama zachęcała Ojca Johna, by wybrał mnie na jedną z Przyszłych Żon, spajając nas obie z Legionem tak ściśle, jak to możliwe. A teraz mówi nie tylko, że nie wierzy, ale że nigdy nie wierzyła?

To nie ma sensu.

Najmniejszego.

– Przyjrzyjmy się dowodom na poparcie tego zarzutu – odzywa się Ojciec John. – Nie dopuszczę, by ktokolwiek twierdził, że Sprawiedliwość Pańska jest nierzetelna, ani też, że Pan nie traktuje wszystkich jednakowo. Ten dziennik, twój dziennik, opisuje powtarzające się próby przekonania Shantiego, znanego nam Sługi Węża, by zabrał ciebie i twoją córkę ze sobą, gdy sam porzucał Ścieżkę Prawdy i Legion Pana. Opisuje również, jak badałaś możliwości włamania się do Wielkiego Domu, by wykraść telefon, skontaktować się z Rządem i przedstawić mu zmyślane kłamstwa na temat naszej Rodziny, by nakłonić go do przeprowadzenia ataku na naszą Bazę. Opisuje wreszcie twoje rozważania nad tym, jak napaść Brata Amosa przed jego cotygodniową wyprawą po zaopatrzenie i uciec należącym do zgromadzenia pojazdem, najpewniej porywając przeciwną temu czynowi Moonbeam. Dlatego pytam ponownie: czy przyznajesz się do zarzutu próby sprowadzenia Oddanego członka Legionu Pana na złą drogę?

Patrzę na mamę i kręci mi się w głowie.

A więc chciała odejść? Chciała, żebyśmy obie stąd odeszły? Dlaczego?

Mama znów wypluwa krew.

– Idź do diabła.

Ojciec John ponownie się uśmiecha.

– To ty go poznasz, nie ja. Z przykrością uznaję cię winną drugiego zarzutu. Ciężar twoich zbrodni i ogromna skala twojej zdrady wobec Pana nie pozwala mi postąpić inaczej. Pozostaje mi Wygnać cię na wieki ze Świętego Kościoła Legionu Pana. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarzają Centurioni i żony Proroka.

Moja mama nie odzywa się słowem. Ja też – po raz pierwszy w życiu – nie wtóruję Ojcu Johnowi.

– Masz trzydzieści minut na zebranie rzeczy osobistych – kontynuuje Prorok. – Po upływie tego czasu Amos odwiezie cię do miasta, uwalniając nas od twojej Herezji. Przed wyjazdem nie będziesz rozmawiać ani w żaden inny sposób komunikować się z twoimi byłymi Braćmi i Siostrami. Czy to jasne? Nie jesteś tu już mile widziana.

– Jeżeli sądzisz, że wyjadę stąd bez córki, to jesteś jeszcze bardziej popieprzony, niż myślałam.

„Co takiego?”

Bella jeszcze raz gwałtownie łapie powietrze.

– Ojciec – odzywam się drżącym głosem. – Dlaczego...

Prorok znów się uśmiecha.

– Bracie Horizon, wyprowadź Moonbeam na zewnątrz i tam z nią poczekaj. Reszta Centurionów zostanie tutaj. Wszyscy pozostali niech idą na górę.

Bella, Agavé i Star czmychają po schodach, nie oglądając się wstecz. Odnajduję oczy mamy. Jest w nich wściekłość, ale też coś, co przyprawia mnie o zawrót głowy i kolejny skurcz żołądka.

To niepewność. I strach.

Widzę, jak potężnieją na jej umazanej krwią twarzy i nagle coś do mnie dociera.

„Ona była na to gotowa. Wiedziała, że tak się stanie. Ale coś poszło nie po jej myśli”.

– Chodźmy – mówi Horizon, odwracając się w stronę wyjścia.

Stawiam mu opór, ale równie dobrze mogłabym próbować zatrzymać ruch wirowy Ziemi. Gdy mnie wyprowadza, mama odwraca się i patrzy mi w oczy, a ja zaczynam płakać. Jestem wściekła na własną bezsilność, ale nie mogę jej przewyciężyć. Nie umiem.

– Mamo! Powiedz mu, że tego nie zrobiłaś! Musisz mu to powiedzieć!

Jej twarz marszczy się i odwraca ode mnie.

– Mamo! – wrzeszczę, gdy Horizon otwiera drzwi i wypycha mnie na zewnątrz. – Ojczy, błagam cię! Nie rób tego! Mamo!

Drzwi zatrząskują się. Szamocę się, ale Horizon wlecze mnie do jednej z ławek stojących pod ścianą w tylnej części werandy. Drę się, płaczę, macham rękami i wierzgam, usiłując go kopnąć, ale wydaje się, że wcale tego nie zauważa. Obejmuje mnie tylko w stalowym uścisku i szepcze mi do ucha:

– No, już. Cicho, mała. Nic się nie da zrobić. Pan nie popełnia błędów. Wiesz, że taka jest prawda. Pan jest Dobry.

Odpywam od siebie samej. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale tylko tak umiem to opisać. Nadal siedzę na ławce w uścisku potężnych ramion Horizona, ale też jednocześnie jestem gdzie indziej. Biegnę przez pustynię przy granicy Bazy, wiatr rozwiewa mi włosy za plecami, wzlatuję w idealnie błękitne niebo, wszystko nieruchomieje i cichnie, a potem leżę w łóżku w moim pokoju bezpieczna, otoczona mrokiem i wiem, że nic złego się nie stanie. Nigdy.

Gdy drzwi Wielkiego Domu się otwierają, łązy już dawno mi wyschły, a Horizon rozluźnił uścisk. Wychodzi Angel, prowadząc moją mamę pod ramię. Już mam ją zawołać, ale gdy spotykam jej wzrok, krzyk więźnie mi w gardle.

Nie wygląda jak kobieta, która niedawno postawiła się Ojcu Johnowi, przyznała do Herezji i wyrzekła Wiary. Mam wrażenie, że się skurczyła, cofnęła do własnego wnętrza. Oczy ma zapadnięte i pełne łez, i nie umie spojrzeć mi w twarz. Ramiona jej zwisły i wydaje się, że stoi prosto tylko

dlatego, że Angel ją podtrzymuje.

– Mamo? – Mój głos przypomina skrzypnięcie. – Powiedz mi, co się dzieje.

Jej twarz wykrzywia się okropnie. Wydaje mi się, że mama zamierza coś powiedzieć, chociaż część mnie nie chce tego słyszeć. Ale wtedy Angel popycha ją ku schodom prowadzącym z werandy i wlecze przez dziedziniec do Budynku Dziewiątego. Nie czuję nic poza chłodem, jakby mój kręgosłup zamienił się w słup z kostek lodu.

„Co tam się stało? Co oni jej zrobili?”

– Przyrowadź Moonbeam! – dobiega mnie krzyk Ojca Johna z wnętrza domu. – Chcę z nią pomówić.

– Zdołasz iść o własnych siłach? – pyta Horizon cicho. – Czy chcesz, żebym cię zaniósł? To żaden problem.

Wstaję, bo nie chcę, by mi pomagał ani mnie dotykał, ale nogi uginają się pode mną i Horizon łapie mnie, nie pozwalając upaść. Obejmuje mnie ramieniem i delikatnie prowadzi z powrotem do wnętrza Wielkiego Domu. Ojciec John wciąż siedzi w fotelu, z Bearem i Lonestarem u boku, a Bella, Agavé i Star stoją razem, nieopodal schodów. Musiał wezwać je z powrotem, bo przecież nie śmiałyby wrócić na dół bez jego pozwolenia. Gdy Horizon wprowadza mnie do salonu, Prorok uśmiecha się do mnie.

– Przykro mi, że musiałaś oglądać tę scenę, Moonbeam. Uwierz mi. Zawsze jest mi bardzo trudno, gdy ktoś zejdzie ze Ścieżki Prawdy. Nam wszystkim jest trudno. To znaczy, że zawiedliśmy, ja również. Gdyby twoja matka przyszła do mnie, jak tylko poczuła jad Węża rozlewający się w jej krwi – całym sercem żałuję, że tego nie zrobiła – poruszyłbym niebo i ziemię, by jej pomóc. Wypędziłbym Węża i walczył do ostatniego tchu o jej nieśmiertelną duszę, tak jak walczyłbym o każdego z moich Braci i Sióstr, i wiem, że oni biliby się o mnie. Ale – serce mi pęka, gdy to mówię – ten czas minął. Wszyscy wiemy, że Heretyków tolerować nie można, a już na pewno nie wtedy, kiedy zaczęli działać na rzecz Węża. Wiem, że to rozumiesz, Moonbeam, bo bystra z ciebie dziewczyna. I dobra.

Stoję na środku salonu z Horizonem za plecami. Jest na tyle blisko, że może mnie złapać, gdybym miała upaść, ale ledwie wyczuwam jego obecność, bo stoję oko w oko z Ojcem Johnem i kręci mi się w głowie. Wszystko, co mówi Prorok, ma sens, każde jego słowo jest Prawdą, ale przecież nie mówi o Ojcu Patricku ani o żadnym innym Heretyku.

Mówi o mojej mamie.

Ojciec John mruży oczy.

– Bo przecież jesteś dobra, prawda?

„Chyba tak”.

Kiwam głową.

– Więc powiedz, że rozumiesz, dlaczego musiało się tak stać.

– Rozumiem – mówię na granicy szeptu.

Ojciec John znów się uśmiecha.

– Nigdy w to nie wątpiłem. Nawet przez chwilę. Heretycy to upadłe, zdradzieckie bestie siejące zwątpienie i chaos. Jest na nich tylko jeden sposób: trzeba się ich pozbyć, zanim wyrządzą nieodwracalne szkody. Heretycy nie są godni Łaski Pańskiej. Nie zasługują na miłość.

Wpatruję się w jego oczy. Chyba chce, żebym coś powiedziała, ale nie wiem co, a nawet gdybym wiedziała, to nie wiem, czy umiałabym złożyć to w słowa.

– Zgadzasz się ze mną, prawda? – pyta.

Kiwam głową.

– No, oczywiście. Skoro się zgadzasz, powiedz to.

Łzy napływają mi do oczu.

– Co mam powiedzieć, Ojczy? – pytam szeptem.

– Powiedz, że nie kochasz swojej matki – mówi Prorok. – Zrób to teraz, niech Pan będzie ci świadkiem. Pokaż, że twoja Wiara jest Prawdziwa.

„Nie. Błagam, nie”.

Łzy spływają mi po policzkach. Oglądam się na Horizon z nadzieją, że zobaczę coś, co oddali ten nakaz, coś, dzięki czemu zrozumie, że nie

jestem tak samotna, jak się właśnie czuję, ale gdy nasze oczy się spotykają, w jego twarzy dostrzegam wyłącznie poczucie obowiązku.

– Moonbeam. – Głos Ojca Johna znów jest ostry. – Patrz na mnie.

Odklejam wzrok od pustej twarzy Horizonta i patrzę na Proroka.

– To trudne. Rozumiem cię i współczuję. Ale jeśli nie wyrzekniesz się Herezji tu i teraz, Pan z pewnością będzie chciał wiedzieć dlaczego.

– Wyrzekam się Herezji – szepczę.

– Dobrze – odpowiada Prorok. – A co z twoją matką?

– Proszę cię, Ojczy. – Mój głos jest ledwie słyszalnym skrzypnięciem. – Nie zmuszaj mnie do tego, błagam.

Jego oczy się zwężają.

– Powiedz to.

– Proszę...

– W tej chwili, Moonbeam.

– Ojczy...

Prorok zrywa się na równe nogi.

– POWIEDZ TO! – ryczy, a jego twarz napętnia się purpurową furią. – MÓW NATYCHMIAST ALBO RESZTĘ ŻYCIA SPĘDZISZ W KARCERZE! MASZ TO POWIEDZIEĆ! ALE JUŻ!

W głowie mi się kręci, a na skraju pola widzenia migoczą szare plamy i chyba zaraz zwymiotuję. Horizon staje bliżej i wyciąga ręce, by mnie złapać, gdybym miała upaść. Skupiam się na twarzy Ojca Johna, na nienawiści i okrucieństwie, które w niej widzę, a potem zamykam oczy.

– Nie kocham jej – mówię szeptem.

– Kogo? – pyta Ojciec. – Kogo nie kochasz?

– Mamy – wyrywa się ze mnie szloch. – Nie kocham mojej mamy.

Horizon ściska mnie za ramię. Zwieszam głowę i zaczynam płakać. Moja pierś wznosi się i opada szaleńczo, zaciskam oczy. Potem czyjeś ręce dotykają mojej twarzy i obejmują w pasie. Słyszę głos Belli, szepczący mi do ucha:

– Nie płacz, Moonbeam. Już w porządku. Tak będzie najlepiej. Pan jest Dobry.

Otwieram oczy. Zatroskane Bella i Agavé klęczą przy mnie. Patrę na nie i czuję, że wcale ich nie znam. Nigdy nie znałam. Jakby były zupełnie obce.

– Jeśli chce, niech płacze – odzywa się Ojciec John. Znów siedzi w fotelu pod oknem z łagodnym uśmiechem. Gniew, który nim owładnął, zniknął tak szybko, jak się pojawił. – Jej matka okazała się Fałszywa, taka wiadomość wstrząsnęłaby każdym dzieckiem, choćby było silnej Wiary. Pozwalam ci się smucić, Moonbeam. Daję ci jeden dzień i jedną noc na opłakiwanie Herezji twojej matki.

Opuszczam głowę.

– Dziękuję, Ojczy. – Te słowa palą moje usta żrącym kwasem.

Prorok uśmiecha się szerzej.

– Potem już nigdy o niej nie wspomnisz ani nie będziesz o niej myśleć. Czy to jasne?

To tylko słowa, ale odbieram je jak cios w brzuch. Mój żołądek kurczy się i skręca, ale powstrzymuję falę nudności i zdobywam się na potakujące skinienie.

– Tak, Ojczy – odpowiadam szeptem. – Rozumiem.

Kiwa głową.

– Nigdy w to nie wątpił. Do chwili wydalenia Heretyczki zostaniesz tutaj. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – odpowiadam, ale głos z tyłu głowy mówi mi coś zupełnie innego.

Siedzę sama na podłodze w Wielkim Domu, a pół godziny, które dano mamie na spakowanie dobytku całego życia, mija w mgnieniu oka.

Ojciec John wyniósł się do swojego gabinetu, twierdząc, że musi poprosić Pana o siłę potrzebną, by przetrwać ten trudny czas, ale trzech Centurioni, Bella, Agavé i Star zostali ze mną w salonie na dole. Nikt nic

nie mówi i wszyscy starają się na mnie nie gapić, ale i tak czuję, że mają mnie na oku. Horizon zajął miejsce przy drzwiach, chyba po to, żebym nie wybiegła na zewnątrz i nie zaczęła błagać mamy, żeby zabrała mnie ze sobą – ale nawet gdybym to zrobiła, to i tak nic by się nie zmieniło, bo przecież nie pozwoliliby mi wsiąść do pick-upa, którym Amos ma ją wywieźć. Mogłabym stać na środku dziedzińca, krzyczeć wniebogłosy i błagać o pomoc, ale nikt by mi jej nie udzielił.

Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

No więc siedzę na podłodze i staram się nie myśleć o tym, co się właśnie dzieje. Wiem, że to tchórzostwo, bo członkowie Legionu Pana powinni dumnie i z Oddaniem stawiać czoła przeciwnościom, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Zupełnie.

Nie umiem sobie wyobrazić nieobecności mamy. To całkiem bez sensu, wydaje mi się, że tak naprawdę nie może jej zabraknąć, a już na pewno nie tak nagle, z minuty na minutę. Nie mogę znieść myśli, że ma się znaleźć Na Zewnątrz, między Heretykami, Rządowymi i Sługami Węża. Nie chcę, żeby odeszła i nie potrafię oswoić się z myślą, że ma mnie tu zostawić, a jednocześnie mam tak ogromne poczucie winy, że większego nie miałam przez całe życie, bo... nie chcę z nią jechać. Nie chcę opuszczać domu i Rodziny po to, żeby się błąkać w ciemnościach.

„Chcę, żeby została. Chcę, żeby wszystko było jak dotąd”.

Chcę, żeby Ojciec John zmienił zdanie. Chcę, żeby dał jej jeszcze jedną szansę, choćby i ostatnią, nawet jeśli mieliby ją zamknąć na miesiąc w karczerze, by odpokutowała za swoją Herezję.

Ale wiem, że Prorok nie zmieni zdania.

Bo Pan nie popełnia błędów.

Emocje kłębią się we mnie chaotycznie, jak pył w huraganowym wietrze. Nie panuję nad nimi. Wbijam wzrok w podłogę, nie patrzę na Horizon, Bellę ani żadną z obecnych osób i nie umiem powstrzymać łez. W każdym razie nie całkiem. Ale wyciska je nie tylko smutek. To, co zrobiła mama, jest dla mnie szokiem, ale do furii doprowadza mnie fakt, że była na tyle głupia, żeby dać się złapać.

Żaden członek Legionu Pana nie przyznałby się do tego, ale jestem pewna, że wszyscy – być może z wyjątkiem Ojca Johna – mają chwile słabości i zwątpienia, kiedy ich własne myśli ich zdradzają, a utrzymanie się na Ścieżce Prawdy jest ciężką walką. Wiem, że tak jest, bo wszyscy są niedoskonalimi, właśnie tego uczy nas Ojciec John. Ale zapisywanie tych myśli, planowanie czynów łamiących nasze prawa i notowanie Herezji w prawdziwym dzienniku – nadawanie im fizycznej formy – to już samobójstwo. Kiedy odkryto jej dziennik, mama nie błagała nawet o przebaczenie. Przyznała się do swoich zbrodni, jakby była z nich dumna, a potem wyzywała Ojca Johna i odtrąciła Wiarę.

„Dlaczego? Po co to powiedziała? Nawet jeśli taka była prawda, czy musiała to mówić?”

Głowa mi pęka.

Mój mózg chyba nie działa tak jak trzeba.

„Dlaczego nie powiedziała mi, co czuje? Może wątpiła, czy dochowam tajemnicy. Albo nie kochała mnie dość mocno, żeby chcieć wyznać mi prawdę”.

Wypełnia mnie pulsujące poczucie winy, bo może założyła, że jeśli podzieli się ze mną tym, co myśli, od razu wypaplam wszystko pierwszemu napotkanemu Centurionowi. W końcu tego mnie uczono. Czy sama jestem pewna, że bym tego nie zrobiła?

Czy mogę przysiąc, że bym jej nie wydała?

Mam tyle pytań. Jest ich aż za wiele. Większość chciałabym zadać mamie, ale powoli i mgliście zaczynam rozumieć, że nigdy już nie będzie mi to dane. Nie wiem, jak będę żyć, kiedy Odejdzie, nie wiem, co mam myśleć i nie wiem, jak kiedykolwiek miałabym się z tym pogodzić. Łzy spływają mi po policzkach, więc odwracam się plecami do wszystkich i siedzę, wbijając wzrok w podłogę, aż wreszcie otwierają się frontowe drzwi, wchodzi Angel i mówi, że to już czas.

U szczytu schodów pojawia się Ojciec John.

– Bardzo dobrze. Stawiała opór?

Angel kręci głową.

– Była cicha jak mysz, Ojczy.

– Czy powiadomiłeś Rodzinę o wyroku? I o zasądzonej karze?

– Tak, Ojczy – odpowiada Angel. – Oczekują cię na dziedzińcu.

Ojciec John kiwa głową, po czym schodzi po schodach, przecina salon i staje przy mnie.

– Weź mnie za rękę, Moonbeam – mówi, wyciągając dłoń.

Chwytam ją i pozwalam, by pomógł mi wstać. Od jego dotyku cierpnie mi skóra. Prowadzi mnie w stronę drzwi, a Centurioni, Bella, Agavé i pozostałe żony Proroka idą cicho za nami.

Cały Legion zebrał się na dziedzińcu przed Kaplicą.

Pośrodku tłumu stoi mama przy czerwonym pick-upie. Silnik już pracuje, a za kierownicą siedzi Amos. Na jego pociętej liniami zmarszczek twarzy maluje się powaga. Nikt nic nie mówi, a wszyscy patrzą gdzie bądź, byle nie na moją mamę. Kiedy na werandzie Wielkiego Domu rozlega się dudnienie kroków Ojca Johna, wszystkie oczy zwracają się na niego.

I na mnie.

Ojciec prowadzi mnie w dół po schodach, na asfalt, ale równie dobrze mógłby tak iść z kimś zupełnie innym, bo nie jestem w stanie myśleć ani oddychać. Mogę tylko patrzeć na mamę.

Kurczowo ściska czarny worek na śmieci. W tym worku znajduje się wszystko, co posiada. Odnajduje moje oczy i posyła mi rozrzedzoną wersję pokrzepiającego spojrzenia, którą dostrzegłam, wchodząc do Wielkiego Domu eskortowana przez Beara i Horizonta – teraz wydaje mi się, że to było milion lat temu.

„Nie płacz. Bądź dzielna”.

Tłum rozstępuje się, by przepuścić mnie i Ojca Johna w drodze do pick-upa, po czym zwiera się za nami, zamykając nas w środku. Prorok puszcza moją rękę i staje twarzą w twarz z Legionem.

– Pan jest surowy – jego krzyk dudni nad dziedzińcem i odbija się

echem od ścian budynków – ale zawsze sprawiedliwy! Zawsze gra fair. Nie daje drugiej szansy i nie popełnia błędów. Osądza dobro i zło i zna prawdę. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarza tłum.

Milczę. Cała się trzęsę, skóra mi płonie i boję się, że zwymiotuję, ale nie mogę oderwać oczu od mamy. Zmieniła się nie do poznania, ale nie wygląda już na tak załamana jak w chwili, gdy Angel wyprowadzał ją z Wielkiego Domu – do jej oczu wróciła odrobina życia, a na twarzy pojawił się cień koloru.

Ojciec John kieruje na nią spojrzenie.

– Czy chcesz coś powiedzieć przed wykonaniem wyroku?

Mama patrzy mu w oczy.

– Mogę uściskać córkę? – Jej głos nie drży. – Proszę.

Oczy Proroka się zwięzają.

– Tylko szybko. Sprawiedliwość Pańska na nikogo nie czeka.

Mama upuszcza worek na ziemię i wolno podchodzi do mnie. Gapię się na nią. Mam pustkę w głowie, a nogi wrosły mi w ziemię. Tak wiele chciałabym jej powiedzieć, wiem, że później, kiedy już Odejdzie, kiedy okoliczności wreszcie do mnie dotrą, będę żałować, że tego wszystkiego nie powiedziałam, ale kiedy jej cień pada już na mnie, nie mogę znaleźć choćby słowa.

Przyciąga mnie delikatnie, jakby się bała, że mogę pęknąć. Przez kilka długich sekund wiszę zeszywniała w jej ramionach, jakby moje ciało było zrobione z metalowych prętów. Kiedy wreszcie łzy zaczynają płynąć mi z oczu, obejmuję ją, przytulam twarz do jej ramienia i ściskam jak najmocniej, żeby nie mogła odejść.

Nigdy mnie nie opuści.

– Nie bój się, moja mała Moon – mówi cichym, zdławionym głosem. – Wszystko będzie dobrze. I ty też bądź dobra, okej? Bądź dobra.

Obejmuje mnie jeszcze ciaśniej i na ułamek sekundy zbliża usta do mojego ucha, wypowiadając szeptem trzy słowa, które tylko ja mogę

usłyszeć.

– Pod twoją poduszką.

Ściągam brwi i odrywam głowę od jej ramienia, ale nie udaje mi się spytać, o co jej chodzi, bo mama wypuszcza mnie z objęć i prostuje się. Nie mówiąc już nic więcej, podnosi worek i wchodzi na skrzynię pick-upa, zostawiając mnie całkiem samą wśród tłumu ludzi, poza którymi nie znam nikogo na świecie.

Ojciec John opuszcza głowę, zamyka oczy i porusza ustami w cichej, krótkiej modlitwie. Wreszcie podnosi wzrok i daje Amosowi znak.

Bulgot silnika potężnieje, gdy pick-up cofa się w stronę ściany Kaplicy. Owładnięta bezsilnością przyglądam się, jak Amos włącza bieg, a pick-up rusza do przodu, zjeżdżając z chrzęstem z gładkiego asfaltu na pustynny szuter i przyśpiesza, oddalając się w stronę Bramy Frontowej.

Mama patrzy na nas z malejącego pick-upa. Na wszystkich mężczyzn i kobiety, których przez ponad dziesięć lat nazywała Rodziną. Gdy pick-up dojeżdża do bramy, jej oczy na chwilę odnajdują moje spojrzenie.

Pick-up wyjeżdża na pustynną drogę, pokonuje pierwszy zakręt i znika za wzniesieniem.

POTEM

– CO TAKIEGO BYŁO POD TWOJĄ PODUSZKĄ? – pyta doktor Hernandez

– Nic.

Obaj pobledli i wlepiają we mnie wzrok. Tak bardzo przywykłam już do ich zszokowanych min, że opowiadając, ledwo je zauważam.

– Nie wyobrażam sobie nawet, jak musiałaś się czuć – mówi doktor Hernandez. – Bardzo mi przykro, że cię to spotkało.

– Dziękuję.

– I nikt jej nie bronił? – pyta agent Carlyle. – Nikt nie stanął po jej stronie?

Kręcę głową.

– Ojciec John powiedział, że jest Heretyczką. Nikt nie śmiał zakwestionować jego słów. Nie mam im za złe, bo sama też nic nie zrobiłam. Przyglądałam się tylko beczynnemu.

– Ty byłaś dzieckiem – mówi doktor Hernandez. – Nic nie mogłaś zrobić.

Wzruszam ramionami.

„Może i nie. A może tak”.

– Myślisz, że twoja mama była heretyczką? – pyta agent Carlyle.

Zastanawiam się nad jego pytaniem.

– Zależy, co rozumiemy przez Herezję – mówię w końcu. – Zgodnie z prawami Legionu, które według Ojca Johna pochodziły od samego Boga, prawdopodobnie nią była. Nigdy nie widziałam jej dziennika, ale mama nie zaprzeczyła, że należał do niej, ani nie wyparła się jego treści.

Musicie zrozumieć, że wiernych Legionu uczono nie myśleć o sobie samych, nawet jeszcze przed Czystką. Obowiązywała jasna hierarchia: Pan, Legion, a potem wszystko inne. Osobiste potrzeby się nie liczą, to, czego nam się zachciewa, jest nieważne. Dlatego nie zastanawiałam się, czy to, co się stało, było fair, mimo że gdy ją wywozili, pękało mi serce i nie umiałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie bez niej. Fakt, że była moją mamą, nie umniejszał jej Herezji. Nie mogłam udawać, że nie ma to znaczenia tylko dlatego, że ją kocham. Czy to, co mówię, ma sens?

Doktor Hernandez kiwa głową.

– Jak najbardziej go ma. Niestety. Widziałem to dziesiątki razy, ale rzadko w tak ekstremalnych okolicznościach. To dość standardowa metoda kontroli.

Ściągam brwi.

– Co to znaczy?

Doktor Hernandez przesuwa się do przodu na krześle.

– To celowe wytworzenie sytuacji, w której ludzie przypisują większą wartość czemuś innemu niż sobie samym. Pozwolą się skrzywdzić albo nawet celowo wyrządzą sobie krzywdę, ponieważ uwarunkowano ich do myślenia, że jest coś innego, ważniejszego od ich własnego zdrowia i bezpieczeństwa. Jeśli ma się kontrolę nad tą inną rzeczą, w tym przypadku nad słowem Bożym, to ma się również kontrolę nad wiernymi. Ojciec John rządził Legionem jak dyktator, szafując aprobatą i dezaprobatą, a cała reszta była tak zaprogramowana, żeby mu się nie sprzeciwiać ani nie stawiać żadnego oporu.

– A nawet gdyby ktoś to zrobił – mówi cicho agent Carlyle – to Centurioni mieli broń, a wiadomo, wobec kogo byli lojalni.

Próbuję sobie wmówić, że nie rozpoznaję świata, który opisują, ale głos z tyłu głowy odzywa się natychmiast, ostro i wyraźnie:

„Przestań. Nie okłamuj się, przecież zrobiłaś już wielkie postępy. Wiem, że trudno się tego słucha. Wiem, że w tym świetle wyglądasz na

głupią i czujesz się zażenowana, że tak długo byłaś częścią tego układu. Ale przecież wiesz, że doktor mówi prawdę. Musisz się z tym pogodzić”.

– Twoja mama powiedziała Ojcu Johnowi, że nie była winna apostazji, bo wcale nie wierzyła – odzywa się doktor Hernandez. – Czy to stwierdzenie pasuje do kobiety, z którą się wychowałaś?

Kręcę głową, by zaprzeczyć, ale też, żeby odzyskać jasność myślenia.

– Nigdy w nią nie wątpiłam. Nigdy nie była fanatyczką jak Jacob albo Amos czy Luke, ale zawsze uważałam, że jest Oddana Wierze. Wspominałam, że wydawała mi się niezbyt szczęśliwa, ale zawsze myślałam, że to z powodu śmierci taty albo że po prostu taki miała charakter. Ale naprawdę nigdy nie wątpiłam w jej Wiarę ani lojalność wobec Legionu. Sama przekonała Ojca Johna, by wybrał mnie na Przyszłą Żonę, więc nigdy nie przyszło mi do głowy, że w tajemnicy próbuje odejść.

– Może właśnie dlatego to zrobiła – mówi agent Carlyle.

Marszczę czoło.

– Nie rozumiem.

– Być może myślała, że proponując Johnowi Parsonowi małżeństwo z własną córką, da niepodważalny dowód swojej lojalności. Może wydawało się jej, że w ten sposób odsunie od siebie wszelkie podejrzenia.

– I co niby planowała zrobić, kiedy skończę osiemnaście lat? Przecież miałam wtedy zostać żoną Proroka.

– Może liczyła na to, że wtedy już jej tam nie będzie – mówi doktor Hernandez. – To znaczy, że obie uciekniecie. Nie zaprzeczyła, że szuka sposobu, by uwolnić was obie.

– Dużo ryzykowała.

Doktor potwierdza skinieniem głowy.

– Owszem.

– Myślicie, że cały czas chciała odejść? Odkąd się tam sprowadziliśmy?

– A ty jak myślisz? – odpowiada pytaniem doktor.

– Może nie od samego początku. – Od jej wygnania dużo o tym myślałam. – Ale i tak od bardzo dawna. Myślę, że chciała odejść, chciała, żebyśmy wyjechały razem, ale wtedy po prostu tego nie dostrzegałam.

– Byłaś dzieckiem – mówi doktor. – Żyłyście w wyjątkowo ściśle strzeżonych warunkach, gdzie nikt nie mógł bez obaw mówić, co naprawdę myśli albo czuje. Nie mogłaś tego dostrzec.

– Ale ona mogła mi powiedzieć.

– Nie – odzywa się agent Carlyle. – Nie mogła. A gdybyś pobiegła z tym do Centuriona?

„Właśnie tak byś zrobiła – szepcze głos z tyłu głowy. – Wiesz, że tak by było”.

– Nie upieramy się, że na pewno tak to wyglądało – mówi doktor Hernandez. – Nie znamy całej prawdy i staramy się nie stwarzać takich pozorów, ale chciałbym, żebyś coś rozważyła.

– Co? – pytam.

– Nie wątpię, że smutek po stracie twojego ojca w znacznej mierze przyczynił się do tego, że mama wydawała ci się odległa i że często czułaś, że jest nieszczęśliwa – mówi doktor. – Bez wątplenia również widziałaś ją przez pryzmat rozczarowania rodzicami, które towarzyszy wiekowi dojrzewania, ale zapewniam cię, że to nie jest krytyka. W żadnym razie. Ale co jeśli – właśnie nad tym się zastanów – co, jeśli wydawała się nieszczęśliwa między innymi dlatego, że nigdy nie chciała jechać do Teksasu ani przyłączać się do Legionu? Pamiętasz? Gdy o tym rozmawialiście, nie powiedziała nic w stylu: „Przyjechaliśmy tam tylko na długi weekend, ale w Bazie doświadczyłam głębokiego objawienia, które natchnęło mnie prawdziwą Wiarą”. Nie. Powiedziała, że zostali, bo twój ojciec potrafił być bardzo przekonujący. Spróbuj sobie wyobrazić, zupełnie teoretycznie, że sama jesteś w tej sytuacji. Zmuszono cię, byś postawiła na głowie całe dotychczasowe życie, pojechała do miejsca, w którym nie chcesz być, i przyłączyła się do grupy, do której nie chcesz należeć. I wtedy osoba, dla której to wszystko zrobiłaś, umiera i zostawia cię jak w więzieniu, z córką, w okolicznościach, w których nigdy nie

chciałaś się znaleźć. Jak byś się czuła?

- Chyba byłabym zła – opisuję emocję, która zaczyna we mnie świtać.
- Więcej. Wściekłabym się.

Doktor Hernandez kiwa głową.

- Mówiłaś, że przed Czystką wydawała się szczęśliwsza?

– Tak to widziałam.

– Więc może była. Może, kiedy Ojciec Patrick był u steru, uważała, że Baza Legionu była dla was obu całkiem niezłym domem. Być może po Czystce to się zmieniło. Odrzucając zarzut apostazji, dała Ojcu Johnowi do zrozumienia, że nie wierzy w niego. Nie w Boga ani w Legion, ale w Proroka.

Potwierdzam skinieniem. Słyszę, jak wypowiada te słowa głosem bulgocącym od jadu.

– Ale może wtedy było już za późno – mówi doktor. – Sama powiedziałaś, że po Czystce wzmożono środki bezpieczeństwa, że zamykano pokoje na noc, a Centurioni zaczęli nosić broń. Może zdała sobie sprawę, że za późno opuszcza Legion i właśnie to ją unieszczęśliwiało.

– Więc dlaczego nie odeszła ze mną wcześniej, zanim Ojciec John przejął władzę?

Doktor kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Może obawiała się powrotu do świata. Albo bała się zostać z tobą zupełnie sama.

Wbijam w niego wzrok.

– Poddaję tę myśl pod twoją rozważę. To tylko hipoteza.

„On ma rację – szepcze głos. – Wiesz o tym. Nigdy nie próbowałaś spojrzeć na waszą sytuację jej oczami. Dla ciebie liczyło się tylko to, jak jej zachowanie wpływa na ciebie i jak się przez nie czujesz”.

– To nie fair – mówię szeptem.

Doktor ściąga brwi.

– Moonbeam?

Słyszę go, ale nie odpowiadam, bo myślami jestem już zupełnie gdzie indziej. Próbuję sobie wyobrazić – zakładając, że to, co mówi doktor, jest prawdą – jak musiała się czuć mama, kiedy Ojciec John zajął miejsce Ojca Patricka. Była w potrzasku, całkowicie bezradna. I tak miała żyć jeszcze tygodniami i miesiącami. Całymi latami. Spędziła tyle czasu w więzieniu, ale zorientowała się, że jest uwięziona, dopiero kiedy było już za późno na ucieczkę.

– Wszystko w porządku? – pyta doktor. – Chcesz przerwać sesję?
„Tak”.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Czyli to był właśnie ten moment? Właśnie wtedy zaczęła opuszczać cię wiara? – odzywa się agent Carlyle.

– Chyba tak. Ale to się nie stało w jednej chwili, żadna lampka ostrzegawcza nie zapaliła mi się w głowie, nic podobnego. Dopiero znacznie później zorientowałam się, że coś uległo zmianie. Ale dziś myślę, że to była właśnie tamta chwila. Właśnie wtedy zaczęłam myśleć inaczej o różnych rzeczach.

– I wtedy dostrzegłaś, że sprawy przybrały zły obrót?

Znów kręcę głową.

– Wiedziałam, że po Wygnaniu mamy będzie mi gorzej. Ale dopiero później okazało się, że pogorszy ono sytuację nas wszystkich.

– Później, czyli kiedy?

– Kiedy odszedł Nate – odpowiadam. – Kiedy Luke’a nie wybrano na Centuriona. I...

„Kiedy wydano broń, a Ojciec John wybrał sobie ostatnią żonę”.

– Moonbeam? – pyta Carlyle.

Uchodzą ze mnie resztki sił. Ręka pulsuje i boli bardziej niż w poprzednie dni, a w głowie zaczyna mi się kręcić.

– Możemy już przerwać? Proszę.

Agent Carlyle nieznacznie mruży oczy.

– Wiem, że jest ci ciężko. Naprawdę. I nie chcę cię naciskać, ale są rzeczy...

– Są rzeczy, których musi się pan dowiedzieć. Wiem. Naprawdę staram się nie utrudniać. Szczerze. Ale dziś nie mam już siły opowiadać. Zrozumcie mnie, dobrze?

Agent Carlyle uśmiecha się do mnie oszczędnie i zerka na doktora, który kiwa głową.

– Oczywiście – mówi. – Nie ma sprawy. Jutro wrócimy do tematu.

Siostra Harrow zamyka drzwi mojego pokoju. Czekam na znajomy dźwięk klucza obracającego się w zamku i siadam na brzegu łóżka.

Nogi mi się trzęsą, a serce wali jak oszalałe. Wracając znanym, szarym korytarzem, zużyłam całą rezerwę siły woli, żeby powstrzymać płacz i nie złapać siostry Harrow za ramię, gdy czułam, że zaraz upadnę.

Zwieszam głowę między kolana i biorę głęboki wdech. Potem następny i jeszcze jeden. W głowie mi się kręci, ale ignoruję to. Skupiam się na oddychaniu – wdech... wydech... wdech... wydech – i czuję, że ucisk w piersi zaczyna słabnąć. Po chwili otwieram oczy i siadam prosto.

Powoli wstaję, chwiejnie przechodzę przez pokój, siadam przy biurku i zaczynam rysować. Na kartce pojawiają się fale biało-niebieskiej wody, a ja usiłuję odgonić wszelkie myśli, tak żeby mój umysł mógł odpłynąć, gdzie tylko potrzebuje, choć jestem prawie pewna, że miejsce, do którego zmierza, nie spodoba mi się.

I wtedy pojawia się obraz mojej mamy. Kąciki ust opadają jej w niezmiennym wyrazie rozczarowania, który z czasem znienawidziłam i przez który wiecznie zachodziłam w głowę, dlaczego – wydawało mi się to ewidentne – nie wystarczam jej do szczęścia i dlaczego żyjąca córka nie jest dość dobra, żeby zrównoważyć wspomnienie o zmarłym mężu.

„O, Boże!”

Dociera do mnie – tak późno, za późno – jak wyraźnie mama musiała

widzieć całą sytuację.

Żołądek musiał wywracać się jej na drugą stronę, gdy w niedzielne poranki patrzyła, jak idę przez dziedziniec Kaplicy i śpiewam hymny, trzymając się za ręce z Braćmi i Siostrami. I gdy widziała, z jak ślepym i niepodważalnym oddaniem jestem wpatrzona w Proroka.

Jak bardzo musiała cierpieć, nie mogąc zaryzykować i powiedzieć mi prawdy, bo gdybym stanęła przeciwko niej, po stronie Rodziny, albo wypaplała coś niewłaściwej osobie, wszystko mogłoby się rozsypać w drobny mak.

„O, Boże!”

Cały czas byłam przekonana, że nalega, by Ojciec John przyjął mnie jako Przyszłą Żonę, bo chce jak najszybciej przerzucić odpowiedzialność za opiekę nade mną i obowiązek kochania mnie na kogoś innego.

„O Boże!”

Ale jeżeli pchała mnie w ramiona Proroka tylko po to, by odsunąć od siebie podejrzania i zyskać czas na zorganizowanie naszej ucieczki, to mogę śmiało przyjąć, że perspektywa mojego małżeństwa z Prorokiem przerażała ją tak bardzo jak mnie samą. Inaczej aż tak rozpaczliwie nie szukałaby sposobu, żeby uciec, zanim dojdzie do ślubu.

„O, Boże!”

Ale skąd mogłam to wiedzieć? Byłam małą, a ona nie zdradzała mi swoich planów, sama dźwigała swój ciężar i nikomu ani słowem o nim nie wspomniała. Knując w tajemnicy, udawała obowiązkową, lojalną i Oddaną, a wszyscy przez większość czasu wierzyli, że jest taka, jaka się wydaje.

Ja też w to wierzyłam.

„Bo jesteś głupia – mówi głos z tyłu głowy bez krzty uprzejmości. Nie jest łagodny ani współczujący. Brzmi wściekle i ostro. – Jesteś głupia, słaba i niewdzięczna, i zawsze myślisz tylko o sobie”.

– Zamknij się – odpowiadam mu szeptem.

„Była twoją matką, próbowała ocalić was obie, a ty miałaś dla niej

tylko gorycz”.

– Zamilcz. – Ołówek wściekle skacze w tę i z powrotem, ryjąc w papierze głębokie, czarne linie klifów.

„Mama wiedziała, jaki naprawdę jest Legion Pana, ale ty wierzyłaś we wszystko, co ci mówiono, i byłaś ślepa na to, co chciała ci pokazać. Gdyby nie to, wyjawiałaby ci prawdę, zanim było za późno”.

Ołówek przebija kartkę i rozdziera ją na pół.

„To przez ciebie została zupełnie sama. Obie jesteście samotne z twojej winy”.

– ZAMKNIJ SIĘ! – wybucham. Wściekłym zamachem zrzucam z blatu ołówki, kredki i papier i walę w stół pięściami. Eksplozja bólu poparzonej ręki rozchodzi się w górę, ku barkowi. Pali jasnym, okropnym płomieniem, ale ten ból mnie cieszy, bo na niego zasłużyłam – zamknij się, ZAMKNIJ SIĘ, ZAMKNIJ! ZA-MKNIJ-SIĘ!!!

Słyszę obrót klucza w zamku, ale nie widzę otwierających się drzwi, bo pod zaciśniętymi powiekami wszystko zieleje czernią i płonie czerwienią. Pospiesznie zbliżają się do mnie czyjeś kroki, obejmują mnie czyjeś ramiona i wtedy głos siostry Harrow mówi, że już w porządku, spokojnie, „wszystko będzie dobrze”. Pozwalam, żeby przytuliła mnie do piersi, a fala gniewu i frustracji – mam wrażenie, że narastała całymi latami, uśpiona głębiej, niż mi się wydawało – kipi i ulatnia się ze mnie. Wyczerpana zwisam bezwładnie w ramionach siostry, która kołysze mną i ucisza jak niemowlaka. Łzy płyną mi po policzkach, i wtedy – łagodniej niż poprzednio – odzywa się głos z tyłu głowy.

„Jutro – szepcze. – Jutro wszystko im powiesz”.

„Tak, jak obiecałaś”.

„Już dość tajemnic”.

PRZEDTEM

– TRZYMAJ – MÓWI AMOS. – Tylko stopy sobie nie odstrzel.

Mam chęć przewrócić oczami, ale się powstrzymuję i biorę od niego karabin. AR-15 jest czarny, prawie w całości plastikowy i zaskakująco lekki jak na tak potężną broń. Gdy Amos przechodzi dalej wzdłuż szeregu moich Braci i Sióstr, wyrasta przede mną Jacob Reynolds. Trzyma w garści puste magazynki i plastikowy worek wypełniony nabojami.

– Załaduj i sprawdź – mówi. – I pilnuj, żeby nie zabrudzić.

Bez słowa biorę amunicję, a on podchodzi do następnej osoby, już na mnie nie patrząc.

Jest wtorkowy ranek. Chwilę przed świtem Centurioni otworzyli drzwi i kazali wszystkim zebrać się przed Kaplicą. Kiedy już się zebraliśmy, z wysokiej, kanciastej bryły jej budynku wyszedł Ojciec John, oznajmiając wiadomość od Pana: zostało mało czasu i nierozsądnie byłoby trzymać broń pod kluczem w piwnicy Wielkiego Domu. Nadszedł czas, żeby się uzbroić i przygotować do odparcia Sług Węża, wkrótce bowiem wystąpią oni przeciwko ludziom kroczącym Ścieżką Prawdy.

Rozkazał wszystkim ustawić się w szeregu na dziedzińcu i zapowiedział, że gdy już będziemy odpowiednio uzbrojeni i gotowi do odparcia wroga, przekaże nam dalsze wieści, po czym odszedł zamaszystym krokiem do Wielkiego Domu, a Bracia i Siostry zaczęli formować szereg.

Patrzę na karabin, który trzymam w rękach, i marszczę brwi. Wokół dolnej części komory zamkowej i okna wyrzutowego łusek widzę rysy i ślady po pilniku, a do tworzywa nad kabłąkiem języka spustowego

przykręcono po obu stronach ordynarne kawałki blachy. Ta broń nie przypomina karabinów, z których korzystamy zwykle podczas treningów strzeleckich. Tych, które Amos wydaje, zbiera i utrzymuje w idealnej czystości. Ten karabin wygląda, jakby złamano go na pół, a potem na powrót sklecono do kupy.

Podnoszę broń do ramienia i patrzę wzdłuż lufy. Nie po raz pierwszy świadomość zabójczej mocy przedmiotu, który trzymam w rękach, przywołuje szalone myśli, jakbym stała na krawędzi urwiska, a część mnie chciała skoczyć w przepaść. Gdybym obróciła się w prawo i zaczęła raz za razem ścisnąć spust, większość moich Braci i Sióstr padłaby na ziemię, wijąc się we krwi, zanim ktokolwiek zdążyłby krzyknąć.

A jednak tego nie robię.

„Mogłabyś – szepcze głos z tyłu głowy. – I chcesz to zrobić”.

Ale nie robię.

I tylko to się liczy.

– Bracia i Siostry!

Gdy dudniący głos Ojca Johna rozchodzi się po dziedzińcu, wszystkie oczy zwracają się ku werandzie Wielkiego Domu, skąd Prorok raczy nas szerokim, dobrotliwym uśmiechem.

– Podejdźcie bliżej, Rodzino moja – mówi, przyzywając nas gestem dłoni. – Zbierzcie się, by usłyszeć dobrą nowinę, którą podzielił się ze mną Pan.

Wraz z zebranymi ruszam w jego stronę, zatrzymuję się w pobliżu werandy i zadzierając głowę ku Prorokowi, mrużę oczy w porannym słońcu. Gdy wszyscy czekają już w całkowitej ciszy, Ojciec John rozkłada ramiona i z góry ogarnia nas spojrzeniem.

– Pan uznał za słuszne obdarzyć mnie mądrością. Przemówił do mnie tego ranka. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – wtórują echem zebrani.

– Czeka nas święto – ciągnie Prorok. – Będziemy radować się wielce i cieszyć, albowiem Pan kocha swoje wierne sługi. Umiłował mężczyzn

i kobiety, którzy idą Ścieżką Prawdy. Oznajmił mi, że nadszedł czas, w którym jego skromny posłaniec weźmie sobie nową żonę, by przedłużyć linię Jego Świętego Legionu. Pan wyjawiał mi jej imię. Ani ja, ani żaden inny śmiertelnik czy śmiertelniczka nie podamy woli Pańskiej w wątpliwość.

Wśród zebranych przetacza się cichy pomruk. Na werandzie, za plecami Proroka, widzę Agavé, Bellę i jego pozostałe żony. Dłonie mają splecione jak do modlitwy, kiwiają głowami i uśmiechają się z wymuszoną radością. Rozglądam się po tłumie i widzę, jak Siostry wymieniają się spojrzeniami, najwyraźniej zachodząc w głowę, która z nich wprowadzi się do Wielkiego Domu.

– Te z was, które mi wcześniej obiecano, zwalniam z obietnicy – kontynuuje Ojciec John, a ja czuję, że serce mi staje. – Wciąż jesteście Oddanymi Siostrami Legionu Pana, nie czujcie się urażone. To nie jest kara. Ale czas ucieka, a Pan uznał za słuszne obdarzyć mnie nowym zrozumieniem. On nie popełnia błędów.

Wpatruję się w Proroka. Pierwszą emocją, która mnie napełnia – choć to zupełnie irracjonalne i niedorzeczne – jest gorzkie, palące poczucie odrzucenia. Zawsze obawiałam się tej coraz bliższej chwili, kiedy naprawdę będę zmuszona go poślubić, ale teraz, gdy nagle zostałam zwolniona z tego obowiązku, moje serce pulsuje dziwnie czymś na kształt smutku.

„Dlaczego już mnie nie chce? Czy nie jestem wystarczająco ładna? Czy nie dałabym mu dostatecznie dobrych dzieci?”

Ale zanim zdążę rozważyć te paniczne, przesiąknięte nienawiścią do siebie samej pytania, dociera do mnie obraz nowej rzeczywistości.

„Nie muszę za niego wychodzić. Naprawdę nie muszę. Już po wszystkim”.

Przelotne poczucie natychmiast ustępuje, zmywa je tsunami absolutnie wspaniałej ulgi. Nie obchodzi mnie, dlaczego Ojciec John zmienił zdanie – nie mam cienia wątpliwości, że to nie Pan, ale właśnie on podjął tę decyzję – i wszystko mi jedno, co teraz będą myśleć o mnie inni.

W głowie pulsuje mi jedna, jedyna myśl.

Jestem wolna.

– Pan dokonał wyboru – kontynuuje Ojciec John – i jednoznacznie oznajmił swoją wolę. On nie znosi sprzeciwu. Mogę ogłosić, że decyzją Pana w Święty Związek Małżeński z Jego pokornym sługą wstąpi... Honey.

Moje radosne uniesienie znika tak szybko i doszczętnie, jakby wcale się nie pojawiło. Czuję, jak żołądek spada mi do butów. Wszyscy odwracają się powoli i wbijają wzrok w Honey, która stoi o krok ode mnie, u boku swojej matki, nieruchomo jak posąg. Szeroko otwarte oczy Astrid promienieją zachwytem, jakby właśnie spełniły się wszystkie jej marzenia. Ale Honey się nie uśmiecha. Wbija wzrok w Ojca Johna, a jej twarz jest tak blada, że niemal przezroczysta.

„Błagam, nie. Nie Honey. Tylko nie ona!”

– Nie będziemy zwlekać – ciągnie Ojciec John. – Pan wyraził się jasno, że to sprawa najwyższej wagi i że nie ma czasu do stracenia. Ślub odbędzie się dziś wieczorem. Pan jest Dobry.

Przez sekundę lub dwie nikt nie odpowiada. Cisza wisi nad tłumem, jak gdyby wszyscy próbowali zrozumieć, co zaszło i dostosować się do kolejnego przesunięcia ziemi pod stopami. A ja przez ułamek sekundy dostrzegam w twarzy Proroka ten sam wyraz, który widziałam, gdy Nate nie przyjął funkcji Centuriona.

Ten sam strach.

I wtedy rozlega się wrzask Jacoba Reynoldsa:

– Pan jest Dobry!

Napięcie pryska. Po chwili wszyscy przyłączają się do niego, wiwatują, klaszczą i tłoczą się wokół Honey. „Spotkało cię ogromne szczęście”. „Ten wybór dowodzi wielkiej mądrości Pana”. „O tak, On jest mądry, przenikliwy i wspaniały”. Tymczasem na werandzie Ojciec John prezentuje uśmiech, a jego żony wiwatują i klaszczą wraz z resztą tłumu. Nie zwracam na nie uwagi, bo patrzę na Honey. Z oczami jak spodki

zbiera gratulacje od Braci i Sióstr. Ma dopiero czternaście lat i jest przerażona. Ojciec John nie brał sobie tak młodych dziewcząt.

Nigdy wcześniej.

– Honey. – Słyszac głos Proroka, tłum natychmiast cichnie. – Czy podejdziesz, by stanac u mego boku?

Zalewa mnie fala wscieklosci. On stwarza pozor, ze to prawdziwe pytanie, a nie rozkaz. Od tej jego iluzji wyboru i wolnej woli dostepnej dla wszystkich, poza nim samym, cierpnie mi skora.

Tlum zwraca sie wyczekujaco ku Honey, a ona wciaz gapi sie na narzeczonego, ktory wlasnie sie jej obwiecil, z tym samym, pustym wyrazem twarzy. Nie drgnal jej nawet miesien. Wreszcie moja mala, dzielna Siostrzyczka, ktora od wczesnego dzieciinstwa byla niezwykle opanowana, wykrzywia sie, opuszcza kaciiki ust i wydaje z siebie przerazliwy, skrzeczacy szloch.

– Nie! Nie zrobię tego! Nie zmuszajcie mnie!

Zaskoczone westchnienia odbijaja sie echem po dziedzińcu. Astrid pada na kolana przed córka i peroruje goraczkowym szeptem, a wiekszosc zebranych kręci głowami i baka o Herezji. Gdy docieraja do mnie strzepki monologu Astrid, ze „to wielki zaszczyt, ze taka jest Wola Boska”, ledwie sie powstrzymuje, zeby do niej nie podejść i nie zacząc tuc jej łbem o asfalt, aż sie zamknie.

– Nie obchodzi mnie to! – Krzyk Honey wyrywa sie między falami jej płaczu. – Nie chcę! Proszę cię.

Spoglądam na Ojca Johna. W jego twarzy chcialabym dostrzec strach, ktory widzialam tam przed kilkoma minutami, ten sam strach, ktory kazal mu odpuscic, kiedy Nate mu sie sprzeciwil, ale znajduję w niej tylko zimna, przerazajaca furię. Oczy ma zwężone, a ja – z zapierajaca dech klarownoscia – pojmuje nagle, jaka mysl łomoce z sila huraganu w jego głowie.

„Drugi raz na to nie pozwolę”.

Przepycham sie do przodu, gotowa chwycić Honey w ramiona i uciekac

z nią jak najdalej, aż padnę z wycieńczenia, ale głos Ojca Johna jak uderzenie pioruna wmurowuje mnie w ziemię, tak jak wszystkich pozostałych.

– CISZA! – ryczy Prorok. – Czy to jest córka, którą wychowałeś, Astrid? Ta Heretyczka, która sprzeciwia się Woli Boga?

Astrid z oczami przepełnionymi paniką gramoli się z kolan, staje przed Prorokiem i wyrzuca z siebie drżącym głosem:

– Wybacz jej, Ojcze. To tylko dziecko. Ona nie wie, co mówi.

– Czy fakt, że jest dzieckiem, usprawiedliwia Herezję? – pyta Ojciec John głosem ciężkim i zabójczym jak błotna lawina. – Czy właśnie to chcesz powiedzieć?

– Ojcze, ja...

– NIC NIE USPRAWIEDLIWIA HEREZJI! – wrzeszczy Prorok. – Wiesz to równie dobrze jak ja, chyba że jesteś jeszcze głupsza, niż wyglądasz! I nic nigdy jej nie usprawiedliwiało, bo nasze prawa ustanowił sam Bóg, a naszych norm nie wolno naginać! A teraz się odsuń i przestań ją zasłaniać!

Astrid wygląda, jakby miała zemdleć z przerażenia, ale udaje jej się odsunąć na bok i odsłonić samotną, poczerwieniałą i zapłakaną Honey. Mam chęć z całych sił wydrzeć się na Astrid, bo nie mogę i nie umiem zrozumieć, jakim cudem widok spanikowanej, szlochającej córki nie wystarcza, żeby matka wreszcie pokazała, że ma jakiś kręgosłup.

– Honey. – Głos Ojca Johna jest już cichszy i łagodniejszy, ale wciąż wyraźnie słyhać kryjący się w nim gniew. – Pan wskazał jednoznacznie, czego sobie życzy, a oboje wiemy, że On się nie myli. Więc zastanów się, dziecko. Pomyśl. Przyłóż się do tego jak nigdy wcześniej.

Honey z drgającą dolną wargą gapi się na niego wielkimi, czerwonymi oczami.

– Sprzeciwisz się Panu? – pyta Ojciec John. – Czy zjednoczysz się ze mną w Świętym Związku Małżeńskim, który On sam każe nam zawrzeć? Jak odpowiesz?

Honey gapi się w przestrzeń, a otaczające ją ze wszystkich stron starsze Siostry wbijają wzrok w ziemię.

„Zróbcie coś! – krzyczę bezgłośnie. – Niech ktoś coś zrobi! Ktokolwiek. Wszystko jedno co! Przerwijcie to”.

– Nie – słyszę szept Honey. Jej utkwione w Astrid oczy są jednym wielkim błaganiem. – Mamo, proszę cię...

W twarzy Astrid pojawia się błysk przerażenia, po czym matka odsuwa się od swojego jedyne dziecko.

– To... godne pożałowania – odzywa się Ojciec John. – Zaprawdę żalosne. Centurioni!

Wszyscy czterej występują z tłumu, a do mnie w jednej chwili dociera, co się teraz stanie. Chcę zmusić gardło do krzyku: „Uciekaj, Honey, i nie oglądaj się za siebie”, ale zupełnie skamieniałam w środku i mogę tylko patrzeć.

– Zamknijcie ją w karczerze – rozkazuje Prorok. – Zostanie tam, dopóki nie nabierze pokory wobec Pana.

Rozlegają się pełne szoku okrzyki i widzę, jak Astrid poniewczasie chwyta córkę pod ramię.

– Proszę cię, Ojcze! – krzyczy. – Błagam, nie!

Honey obejmuje matkę i przywiera do niej jak rzep, a Centurioni przedzierają się przez buzujący w protestach tłum, torując sobie drogę łokciami. Mój paraliż w końcu ustępuje, więc kiedy Lonestar mnie mija, w pędzie rzucam się za nim, chcę chwycić go za ramię, obrócić twarzą do siebie i błagać, żeby odpuścił, ale ledwie muskam palcami jego koszulę i nie udaje mi się go zatrzymać ani nawet spowolnić.

Gdy Jacob doskakuje do Astrid, ta wrzeszczy i odwraca się od niego, próbując osłaniać córkę, ale on rozdziela je i chwyta Honey za nadgarstek. Honey krzyczy, matka znów próbuje ją złapać, a ja wrzeszczę, brnąc przez tłum wśród krzyków. Już prawie przy nich jestem, gdy nagle za plecami Astrid wyrasta Luke i łapie ją, i wlecze do tyłu z obrzydliwym, pustym uśmiechem. Ona okłada go pięściami, a tłum woła w stronę werandy

Wielkiego Domu, żeby Prorok okazał litość, bo Honey jest tylko dzieckiem i nie wie, co czyni, że musi okazać litość, bo dzieci nigdy, przenigdy nie wolno wsadzać do karceru.

Ale Ojciec John nawet nie patrzy w ich stronę. Jego wzrok utkwiony jest w Honey. Jacob właśnie podniósł ją z ziemi i niesie przez dziedziniec, a ona wrzeszczy, wierzga i szlocha. Oddalają się w stronę kontenerów pełniących funkcję karceru. Ich metalowe ściany połyskują w żarze teksańskiego słońca.

POTEM

DZIŚ NA OBIAD SĄ PARÓWKI Z FRYTKAMI, miseczka fasoli o smaku mydła i mleko czekoladowe w przeźroczystym, plastikowym kubku.

Jem szybko, a potem, w oczekiwaniu na siostrę Harrow, która ma przyjść i odprowadzić mnie na sesję grupową, dwukrotnie rysuję domek, klif, wodę i dwie małe postaci. Rysunki są bardzo proste, tylko odrobinę „doroślejsze” od dziecięcych gryzmołów, ale nie szkodzi, bo nie skupiam się na nich. Głowę wypełniają mi myśli o doktorze Hernandezie i agencji Carlyle’u, wciąż widzę miny, z jakimi zostali po mojej opowieści o obwieszczeniu Ojca Johna.

Obaj zbledli jak duchy.

Doktor Hernandez gapił się na mnie i dygotał, jakby zachowanie spokoju wymagało od niego użycia siły, a agent Carlyle dostał krwistoczerwonych plam na bladej skórze wokół oczu. Wyglądało to tak, jakby płakał, ale przecież zauważyłabym łzy. A przynajmniej tak mi się wydaje. Moja opowieść sprawiła chyba, że pomyślał o własnej córce, pewnie wyobrażał sobie, jak by postąpił, gdyby ktoś zrobił jej to, co Ojciec John kazał zrobić Honey.

Myślę o tym wszystkim, czego obaj musieli się naoglądać, wykonując swoją pracę – o okropnościach, których się nasłuchali, o pogruchotanych mężczyznach, kobietach i dzieciach, z którymi mieli do czynienia – i znajduję dziwną pociechę w tym, że najwyraźniej nie nabawili się znieczulicy, że okropności, które słyszą od drugiego człowieka, wciąż potrafią nimi wstrząsnąć i ich zasmucić. Cieszy mnie, że jednak znajdują siłę, by działać, by zwlec się rano z łóżka i robić, co do nich należy. To

przypomnienie, że są tylko ludźmi, daje mi nadzieję, że przede mną może być jakaś przyszłość.

Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądać, ale w tej chwili to raczej nieistotne.

Gdy już wypyтали mnie o karczer, o reakcje żon Proroka i o sprzeciw moich Braci i Sióstr, agent Carlyle stwierdził, że się cieszy, że Ojciec John nie żyje. Według doktora Hernandeza nie była to konstruktywna wypowiedź, bo, jak sędzę, nie chce, abym myślała, że przemocą można rozwiązywać problemy, ale agent Carlyle powiedział, że ma to gdzieś i jeszcze raz powtórzył:

– Dobrze, że zdechł.

Nie zareagowałam. Bo i co mogłam odpowiedzieć?

Gdybym powiedziała, że ja również się cieszę z tego powodu, doktor byłby zawiedziony, ale gdybym wyraziła inne zdanie – też by się zmartwił. A kiedy doktora coś martwi, to chce o tym rozmawiać. No więc nic nie powiedziałam. Pod powieki wśliznęło mi się wspomnienie ciemnoczerwonej kałuży ogromniejącej na podłodze w Wielkim Domu, ale nie zająknęłam się o tym ani słowem.

Czas nam się skończył, więc obiecałam, że podejmę wątek następnego dnia rano. Zrobię to, nawet jeśli będę musiała zdradzić jedną lub dwie rzeczy, o których obiecałam sobie nigdy nikomu nie powiedzieć.

„Bądź dzielna” – szepcze głos z tyłu głowy.

Spróbuję. Z całych sił postaram się być dzielna. Ale jestem przerażona i, choćby nie wiem co mówił głos z tyłu głowy, nie umiem udawać, że jest inaczej.

Wiem, że muszę im powiedzieć, co zrobiłam. Boję się, bo nie wiem, jakie będą tego konsekwencje, ale wiem, że muszę to zrobić, a część mnie – czasami wydaje mi się, że jest ukryta w tym samym miejscu, skąd dochodzi mój „głos” – chciałaby, żeby to się już skończyło.

Ta część mnie chce im wyjawić absolutnie wszystko.

Wiem to, bo kiedy opowiadałam, co Ojciec John zrobił Honey,

o ciepłym dotyku słońca na dziedzińcu i o otaczających mnie głosach tych wszystkich ludzi, których kiedyś nazywałam Braćmi i Siostrami, czułam, jak spoczywające na moich ramionach brzemie, które dźwigam wydawałoby się od zawsze, nieznacznie traci swój ciężar.

Słyszę pukanie do drzwi, które zaraz potem otwierają się, a za nimi pojawia się – jak zawsze dobra i uśmiechnięta – siostra Harrow i mówi, że to już czas. Odpowiadam uśmiechem, po czym wstaję i wychodzę za nią na korytarz.

Tego dnia atmosfera w Sali Terapii Grupowych jest inna niż zwykle.

Nieobecność Luke'a wciąż wisi w powietrzu, a w przyciszonych rozmowach młodszych Braci i Sióstr zajętych kolorowankami i zabawą kilka razy słyszę: „Wniebowstąpił”. A jednak atmosfera wydaje się lżejsza. Nie mam już wrażenia, że wszyscy ciągle oglądają się przez ramię albo ważą każde słowo, żeby nie wpakować się w kłopoty. Jakaś część mnie podszeptuje, że powinni bardziej się smucić, bo kilka dni to za mało, żeby przejść do porządku dziennego nad śmiercią kogoś, kogo znało się przez całe życie, ale nie podnoszę tematu. Honey też do niego nie wraca. Cieszymy się, że dzieciaki dobrze się bawią.

Siadamy przy plastikowym stoliku w kącie sali. Jeremia i Aurora ganiają się w tę i z powrotem, a troje innych odlicza coraz głośniejsze od piętnastu i z całych sił wrzeszczy: „Zero!”. Nie mam pojęcia, o co chodzi w tej zabawie, ale nie szkodzi.

– Niektórzy wyjdą z tego cało – mówi Honey, jakby w mojej twarzy dostrzegła dręczące mnie pytanie. – Nie wszyscy, może nawet mniejszość. Ale niektórzy tak.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Wszyscy znani im ludzie nie żyją.

– Dzieci są nie do zdarcia. To, co się stało, zostanie z nimi na zawsze, ale się wyliżą. Powiem więcej, choć teraz to zabrzmiało niedorzecznie, zdołają o wszystkim zapomnieć, mimo że czasami będzie im się przypominać.

– Głowy mają wciąż pełne nauk Ojca Johna.

Honey wzrusza ramionami.

– Nauczą się nowych rzeczy.

Przenoszę na nią wzrok. Chciałabym w to wierzyć. Gdyby doktor Hernandez i jego koledzy mogli wyrwać jak chwasty wszystkie kłamstwa z ich główek, zastąpić je nową, prawdziwą, budującą wiedzą i załatać pęknięcia, byłoby wspaniale. Ale gdy patrzę na Aurorę, Jeremiaha, Rainbow i wszystkich innych, widzę koszmary, które zawsze będą się za nimi wlekle, i rany, które nigdy całkiem się nie zagoją.

Przed nimi jeszcze długa droga.

– Kiedy przestałaś wierzyć? – pytam Honey. – W Legion i w Ojca Johna? Kiedy przejrzałaś te wszystkie kłamstwa?

Honey marszczy brwi.

– Nigdy nie wierzyłam. Zorientowałam się, że to wszystko ściema, kiedy wyrosłam na tyle, żeby zacząć samodzielnie myśleć. Tak samo jak i ty.

W policzkach czuję gorącą falę wstydu.

– Czyżby nie tak samo?

Kręcę głową.

– Moja wiara zaczęła słabnąć, kiedy Wygnali mamę. Wcześniej szczerze wierzyłam. Myślałam, że o tym wiesz.

– Nie wiedziałam. Zawsze wydawało mi się, że jesteśmy takie same.

– Przykro mi.

Chmura na jej czole ustępuje miejsca szerokiemu uśmiechowi.

– Nie przepraszaaj. Przecież w końcu dostrzegłaś prawdę. Większości się to nie udało.

– Ale ty widziałaś ją od początku. Jak to możliwe?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Zawsze było dla mnie oczywiste, że jedyną osobą, której Legion Pana przynosi korzyści, jest Ojciec John.

Gapię się na nią, a w głowie mam goniącą myśl.

Gdy ujmuje to w ten sposób, sprawa wydaje się prosta i jasna jak słońce. Więc dlaczego sama potrzebowałam tyle czasu, żeby to dostrzec? Dlaczego nie jestem tak przenikliwa jak Honey?

– Co byś zrobiła, gdyby nie doszło do pożaru? – pytam.

– Odeszłabym – nie zwleka z odpowiedzią. – Kiedy tylko podrosłabym na tyle, żeby nie mogli odesłać mnie z powrotem do matki. Nie chciałaś zrobić tak samo?

Kiwam na potwierdzenie.

– Chyba tak. Prawie do samego końca byłam obiecana Ojcu Johnowi. Planowałam uciec, zanim zmuszą mnie do ślubu.

– I chcesz odnaleźć mamę?

– Raczej tak. To znaczy: tak. Jeżeli wciąż żyje.

– Żyje, na pewno – mówi Honey.

– Skąd wiesz?

Uśmiecha się do mnie.

– Bo mam Wiarę.

Odwzajemniam jej uśmiech.

– A twoja mama?

Radość na jej twarzy zastępuje ledwie dostrzegalny smutek.

– Co „moja mama”?

– Nie odeszłaby z tobą, prawda?

– Nigdy w życiu. Była Legionistką do szpiku kości. Nie umiałaby być nikim innym.

– Tęsknisz za nią?

Przez chwilę lub dwie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Tak. I to bardzo. Ale nie sądzę, żeby umiała żyć poza Bazą. Czasem myślę, że to, co się stało, było dla niej aktem dobroci. Wiesz, że chorowała, prawda?

Kiwam na potwierdzenie. Choroba Astrid była wszystkim dobrze

znana, a – zdaniem niezycziwych członków Legionu – jej stan pogarszał się, kiedy tylko proszono ją o zrobienie czegoś, na co nie miała ochoty.

– Uważała, że po śmierci czeka na nią Wniebowstąpienie – mówi Honey. – Wierzyła w to całym sercem, więc chyba w końcu doczekała się tego, czego pragnęła. Gdyby przeżyła pożar i musiała teraz siedzieć w zamknięciu, a agenci Rządu kawałek po kawałku burzyliby wszystko, w co wierzyła, to by ją zniszczyło. Dlatego myślę, że dobrze się stało.

Gapię się na nią i nie wiem, co powiedzieć.

– Zresztą, kto wie – ciągnie Honey ze smutnym uśmiechem. – Może jednak od początku mieli rację i mama jest teraz w Niebie, siedzi u boku Pana.

Kiwam głową.

– Być może.

Dzieciaki bawiące się pośrodku sali w szalone odliczanie jeszcze raz krzyczą: „Zero!”. Jeremiaś wykonuje swój dziwaczny taniec: wymachuje rękami i nogami, jakby kopnął go prąd, po czym rzuca się na podłogę, a Rainbow i Aurora wskazują mu na plecy i teraz już drą się wszyscy razem, wywołując uśmiech Honey.

– Dlaczego odmówiłaś? – pytam. – Dlaczego nie chciałaś za niego wyjść?

Nie odrywa oczu od małych Braci i Sióstr, a ja znów widzę bruzdę powstającą na jej czole.

– A co miałam zrobić?

– Łatwiej byłoby się zgodzić.

– Fakt. Byłoby łatwiej.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, przyglądając się dokazującym dzieciakom.

– Naprawdę myślisz, że wyjdą z tego cało?

– Nie wiem, Moonbeam. Mam nadzieję. Ale jednego jestem pewna. Mimo wszystko, mimo pożaru, utraty bliskich i smutku teraz mają większe szanse niż wcześniej. I to znacznie większe.

Patrzę na szalejące dzieciaki. Bawią się, biegają i drą wniebogłosy. Promienieją, bo z tymi prostymi przyjemnościami jest im dobrze, bo są razem. Czuję się fatalnie, bo to moja wina, że dzieciaki są zamknięte w tych szarych ścianach, bez rodzin, ale słowa Honey i jej wiara w ludzką odporność powinny choć trochę poprawić mi samopoczucie.

Ale nie poprawiają.

Ani trochę.

PRZEDTEM

ZAMASZYSTYM KROKIEM KIERUJĘ SIĘ PRZEZ DZIEDZINIEC do Budynku Dziewiątego. Głowę wypełnia mi wspomnienie zrozpaczonej twarzy Honey w szczelinie zamykających się drzwi karceru.

Chyba nigdy wcześniej – naprawdę nigdy – nie byłam tak wściekła. Kiedy wygnali moją mamę, złamali mi serce, dosłownie czułam, jak pęka mi w piersi, ale teraz to zupełnie co innego. Chce mi się wrzeszczeć i wyć, mam chęć spalić wszystko do gołej ziemi, a potem tańczyć na zgliszczach, żeby to zdeptać, żeby już nigdy nic nie odrosło.

Z cienia rzucanego przez Kaplicę wyłania się Amos. Staje mi na drodze.

– Zasłużyła sobie – mówi. – Chyba to rozumiesz?

Przewiercam go wzrokiem. W głowie szaleje mi płomień, a w żyłach płynie lód, ale każę sobie zachować spokój, ochłonać, bo przecież nie zdołam pomóc Honey, jeśli sama wyląduję w karcerze.

Biorę głęboki wdech i odpowiadam wymuszonym skinieniem głowy.

Oczy Amosa zwężają się.

– Nie słyszałem. Powiedz, że to rozumiesz.

– Rozumiem. – Mój głos brzmi jak warknięcie.

– Mam nadzieję, bo to nie jest czas na głupie numery. Honey przełknie gorzkie lekarstwo i wyjdzie, zanim się obejrzysz. Zmiataj stąd i ochłoń. Pan jest Dobry.

Nie spuszczam z niego oczu. Nie ma mowy, żeby Amos zorientował się, co zamierzam zrobić, ale jest bystrzejszy, niż się wydaje, i to

znacznie, więc muszę być ostrożna.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – pyta.

– Tak.

– No, i...?

– Pan jest Dobry – cedzę.

Jego oczy zwięzają się jeszcze bardziej. Gniew w moim głosie jest oczywisty i nie sposób wziąć go za inną emocję, a jednak nadal wpatruję się w Amosa, oddycham powoli, głęboko i czekam. Wydaje się, że trwa to godziny, choć upływa tylko kilka sekund. Wreszcie Amos odsuwa się na bok, więc omijam go i zdecydowanym krokiem przecinam dziedziniec, nie oglądając się.

Otwieram drzwi mojego pokoju, kładę się na łóżku i znów każę sobie czekać. Jeśli Amos uzna, że będę bruździć, to pójdzie z tym prosto do Ojca Johna i za minutę, góra dwie, przyślą tu Centuriona. A więc – czekam.

„Pięć minut – mówię sobie. – Musisz mieć pewność”.

Wpatruję się w drzwi, za którymi zaraz stanie Jacob Reynolds. Otworzy je i powie, że Ojciec John chce ze mną mówić. Nakazuję sobie zachować spokój, bo potrzebuję racjonalnego, wyważonego myślenia. Muszę być ostrożna. Ale widzę tylko twarz Honey i słyszę głos mojej mamy wyzywającej Ojca Johna od sępów i oszustów.

„Tylko spokojnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Zachowaj spokój”.

Nie umiem. Czuję się tak, jakby ktoś raził moje wnętrze prądem. Wiem, że to w większości gniew, ale jest w nim też buzująca pastylka podniecenia. Kiedy któregoś z moich małych Braci i Sióstr spotyka krzywda lub niesprawiedliwość, zazwyczaj jestem bezsilna. Ale nie dziś.

Nie tym razem.

Nate wyraził się jasno – pozwolił mi użyć telefonu, tylko jeżeli sytuacja stanie się naprawdę fatalna. Wiem, że chodziło mu o moją sytuację, ale myślę, że wybaczy mi to, co zamierzam zrobić. No bo jeśli czternastolatka trafia do metalowego kontenera rozgrzanego w teksańskim słońcu jak

piekarnik, bez jedzenia i picia, to chyba właśnie jest fatalna sytuacja. Nie wyobrażam sobie gorszej.

Patrzę na budzik stojący na szafce nocnej. Leżę już od trzech minut. Z zewnątrz nie dobiegają żadne niezwykle odgłosy, nie słyszę krzyków ani tupotu zbliżających się kroków, ale nakazuję sobie cierpliwość.

Jeszcze dwie minuty. Lepiej dmuchać na zimne.

Na tę myśl prawie wybucham śmiechem. Bo wielka, jaskrawa prawda leżąca w sercu jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałam – wścieka mnie, że jej zrozumienie zajęło mi tak wiele czasu – jest taka, że żaden wierny Legionu nie jest tu bezpieczny, oczywiście z wyjątkiem Ojca Johna i może, ale to też nie jest całkiem pewne, jego czterech Centurionów. W niekończących się kazaniach i kolejnych Proklamacjach powtarzano nam wielokrotnie, że na terenie Bazy jesteśmy bezpieczni, bo wszystkie potwory są na zewnątrz, za jej ogrodzeniem. Ale prawda jest odwrotna: płot oddziela nas od prawdziwego świata, a potwory grasują wewnątrz, pośród nas.

Znów patrzę na budzik.

Cztery minuty.

Patrzę, jak długa wskazówka zakreśla powolne koło i bezgłośnie zaklinam ją, żeby przyśpieszyła. Gdy wreszcie dociera do dwunastki, wstaję i klękam przy łóżku tak, żeby nie przegapić otwierających się drzwi. Końcami palców odnajduję po omacku krawędź luźnej deski w podłodze pod łóżkiem. Podważam ją i ostrożnie odkładam na bok. W płytkiej skrytce trzymam kilka pamiątek po tacie i dwa przedmioty, które dał mi Nate przed swoją ucieczką. Ani pamiątki, ani uniwersalny klucz nie przydadzą mi się teraz. Ale telefon – owszem.

Gdy go wyjmuję, wydaje się wibrować niebezpieczeństwem. Jeżeli ktokolwiek mnie z nim nakryje, to kara, która spotkała Honey, będzie się przy mojej wydawać lekkim klapssem.

Wstaję i oglądam telefon. To czarny prostokątny kawałek plastiku z małym ekranem i piętnastoma owalnymi przyciskami. Ten na górze, po lewej ma zielony symbol. Nabieram powietrza, żeby uspokoić galopujące

serce, i naciskam przycisk kciukiem.

Nic.

Moje serce zapada się w otchłań, jak kamień.

Może bateria jest rozładowana. Albo telefon się zepsuł. A może nigdy nie działał, a Nate zrobił mi tylko okrutny żart i teraz gdzieś tam, Na Zewnątrz, śmieje się w kułak z głupiej dziewczuchy, która uwierzyła, że nigdy by jej nie...

Ekran się rozświecła, a telefon omal nie upada mi na podłogę.

Chwytam go mocniej i wpatruję się w prostokąt światła. Po obu stronach pojawiają się słupki złożone z segmencików, a na górze wyraz „SZUKAM”... Po chwili zastępuje go napis „AT&T”. Obok widzę pięć małych kółeczek. Skrajne lewe jest czarne, a pozostałe są puste.

Ekran świeci naprawdę jasno, znacznie jaśniej, niż się spodziewałam, i nagle dopada mnie okropne przerażenie, że ktoś zobaczy światło przez szpary w ścianie, więc wpycham telefon do kieszeni szortów. Jego prostokątny kształt pod materiałem jest oczywisty. Ktokolwiek go zauważy, na pewno będzie chciał wiedzieć, co tam chowam, ale nigdzie indziej nie mogę go ukryć. Muszę się upewnić, że nikt go nie zobaczy, bo tutaj nie odważę się go użyć. W budynku panuje cisza, ale w każdej chwili ktoś może wejść, a ja mogłabym nie usłyszeć go na czas.

Przecinam pokój i zatrzymuję się przy drzwiach. Na korytarzu panuje cisza, ale uchylam drzwi tylko na tyle, żeby zrobić małą szparę. Wyglądam przez nią.

Nikogo nie ma. Widzę tylko wyblakłe drewniane ściany, fosforyzujący krzyż i pięć drzwi pozostałych pokoi. Chyłkiem podkradam się do drzwi wejściowych. Gdy przykładam do nich ucho, nie słyszę żadnych niepokojących odgłosów, więc pociągam za klamkę. Ani śladu Amosa, Ojca Johna ani żadnego z Centurionów. Widzę tylko ciemną łąkę dziedzińca i majaczące w oddali sylwetki Braci i Sióstr wykonujących zwykłe czynności. Oddycham z ulgą i wychodzę na zewnątrz. Jest dopiero dziesiąta rano, ale panuje taka spiekota, że w człowieku gotują się wnętrzności. Mózg podsuwa mi obraz Honey zamkniętej w karczerze,

którego metalowe ściany nagrzewają się coraz bardziej, ale odsuwam od siebie tę wizję, bo to, co zamierzam zrobić, wymaga jasnego myślenia, a wściekłość tylko mnie otumani.

Obchodzę dziedziniec, ścinając róg rozżarzonego asfaltu, i ruszam na wschód w stronę szop z narzędziami. Gdyby tylko wystarczyło znaleźć jakieś miejsce w Bazie, gdzie nikt nie zdoła mnie podsłuchać, poszłabym do jednego z narożników ogrodzenia i nikt nie usłyszałby ani słowa. Ale wtedy ryzykowałabym, że ktoś zobaczy mnie stojącą w najdalszym zakątku Bazy z podejrzanym przedmiotem przyciśniętym do ucha. Równie dobrze mogłabym wpaść do Wielkiego Domu i uciąć sobie pogawędkę przez telefon, stojąc na środku salonu.

Muszę znaleźć miejsce tak odległe, żeby nikt mnie nie usłyszał i na tyle osłonięte, żeby nikt nie mógł mnie zobaczyć. Najlepszym miejscem, jakie przychodzi mi do głowy, są szopy na narzędzia, gdzie uratowałam Honey przed ohydnyimi zakusami Luke'a i gdzie ten o mało nie zarżnął Jacoba Reynoldsa.

Bracia i Siostry rozpoczęli pracę już jakiś czas temu, więc raczej nie przyjdą do szop po narzędzia i sprzęt. Zaczną je odnosić dopiero na dźwięk dzwonu z Kaplicy wzywającego na obiad, ale on rozlegnie się co najmniej za dwie godziny i to jeżeli obiad nie zostanie odwołany – posiłki są zwykle pierwszym przywilejem, który Ojciec John zawiesza, kiedy nie jest z nas zadowolony, a kiedy wynoszono Honey do karceru, na jego twarzy malowało się coś więcej niż wściekłość. Ale ktoś może się zorientować, że zapomniał jakiegoś niezbędnego narzędzia. Jest też ryzyko, że jeden z Centurionów dostrzeże moją nieobecność i przyjdzie mnie szukać, chociaż to raczej mało prawdopodobne, a zresztą i tak nic na to nie poradzę.

Zabudowania gospodarcze witają mnie ciszą, ale i tak przemykam się od jednego do drugiego zygzakiem, bo chcę mieć pewność, że naprawdę nikogo tam nie ma. Na rzędach haków wiszą kosy, widły i szpadle, a pod nimi stoją worki z ziarnem, nawozem oraz środkami przeciw chwastom i owadom. Pod zaparkowanym w największej szopie traktorem, czyli

przerdzewiałym złomem z resztkami zielonego lakieru, niezmiennie wlekącym za sobą gęstą chmurę czarnego dymu, połyskuje mała, ale wciąż rosnąca kałuża oleju.

Nikogo nie widzę. Nikogo nie słyszę.

Nikogo tu nie ma.

Sprawdzam po raz drugi, bo chcę mieć absolutną pewność, po czym staję w cieniu, pod ścianą, w głębi największej z szop, gdzie nikt mnie nie zobaczy, zanim ja wcześniej go nie usłyszę, i wyjmuję telefon z kieszeni. Przez długą chwilę wążę go tylko w rękę, bo nie mam najbledszego pojęcia, co się stanie. Czuję się tak, jakbym miała zrobić krok w nieznaną. Nate powiedział, że w pamięci telefonu jest zapisany tylko jeden numer, ale nie zdradził czyj. Muszę założyć, że ten, kto odbierze, będzie mógł mi pomóc – tak wnioskuję z instrukcji, której udzielił mi Nate względem użycia telefonu – ale tego też nie wiem na pewno. I wtedy uderza mnie myśl, że przez prawie dziesięć lat nie rozmawiałam z nikim spoza Bazy, bo Pierwsza Proklamacja zakazywała wyjazdów do Miasta wszystkim członkom Legionu z wyjątkiem Amosa.

Spędziłam niemal dziesięć lat z tymi samymi ludźmi. Przeżyłam blisko dekadę uwięziona za tym płotem.

Zamykam oczy, nabieram powietrza i przytrzymuję przycisk z jedyneką. Telefon wybucha ogłuszającym biiiip! Wytrzeszczam oczy i błyskawicznie wyglądam zza rogu szopy, podświadomie spodziewając się, że na pustyni zobaczę pędzącego ku mnie Centuriona, gotowego roztrzaskać telefon o ziemię i wtrącić mnie do karczeru na resztę życia.

A jednak nic się nie dzieje. W Bazie panuje spokój i cisza.

Na ekranie, nad długim numerem, pojawia się napis „ŁĄCZĘ”, który po chwili zamienia się w „POŁĄCZONO” i z głośniczka dobiega mnie cichy głos:

– Biuro Szeryfa Hrabstwa Layton.

Zastygam. Przez kilka sekund wpatruję się w telefon, niezdolna wypowiedzieć choćby słowo.

– Halo? – mówi ten sam głos.

Przywołuję obraz Honey zamkniętej w metalowym piekarniku, jej czerwieniejącej skóry, języka wywalonego jak u psa, oczu wywróconych tak, że widać tylko białka. Po plecach przechodzi mi dreszcz, który wyrywa mnie z odrętwienia. Podnoszę telefon do ucha.

– Halo?

– Biuro Szeryfa, słucham? – powtarza głos. – Chce pani coś zgłosić?

– Nie wiem. – To z pewnością brzmi głupio, ale taka jest prawda. – Chyba... potrzebuję pomocy.

– Rozumiem. – Ten spokojny i miękki kobiecy głos sprawia, że chce mi się płakać. – Proszę się nie denerwować i spokojnie opowiedzieć, co się dzieje.

– Należę do Legionu Pana – mówię drżącym głosem i czuję, jak kurczy mi się żołądek. – Nasza Baza znajduje się przy Drodze Stanowej 158, niedaleko Layfield. Wie pani, gdzie to jest?

– Oczywiście – odpowiada kobieta, ale jej głos nie brzmi już miękko. Słyszę w nim zniecierpliwienie. – Legion Pana. Zapisalam.

– Nazywam się... – Głos więźnie mi w gardle. Nie mogę jej podać mojego imienia, bo jeśli przyślą pomoc, a Ojciec John dowie się, że to ja ich wezwałam, to mnie zabije.

Najnormalniej w świecie mnie zabije.

– No, słucham. Jak się pani nazywa?

– Nie mogę powiedzieć. – Wzbiera we mnie panika, bo nie mam pojęcia, jak należy prowadzić takie rozmowy, i jestem pewna, że idzie mi kiepsko. – Mam ten numer od przyjaciela. Nazywa się Nate Childress. Zna go pani?

– Nie, proszę pani. Nie znam nikogo takiego.

Marszczę czoło.

– Jest pani pewna? – pytam, bo chyba się przesłyszałam.

– Najzupełniej. Powinna pani wiedzieć, że w Teksasie składanie

fałszywych zawiadomień do organów ścigania stanowi przestępstwo, więc jeżeli nie ma pani nic konkretnego do zgłoszenia, jestem zmuszona się rozłączyć.

– Nie! – Desperacja, którą słyszę we własnym głosie, zaskakuje mnie. – Proszę. Ja po prostu... nie wiem, co mam zrobić. Przepraszam panią.

– Na czym polega pani problem? – W głosie kobiety znów pojawia się łagodna nuta. – Czy mam do pani kogoś wysłać?

– Tak. Oni zamknęli Honey w kontenerze, który strasznie się nagrzewa, a ona ma tylko czternaście lat i nic złego nie zrobiła, nie zasłużyła na to...

Głos mi się łamie i zaczynam płakać. Bo to, co zrobili Honey, jest nie w porządku, to niesprawiedliwość, a każdy, kto uważa inaczej, niech idzie do diabła!

– Czy może pani powtórzyć? – odzywa się kobieta. – Dobrze rozumiem, że kogoś zamknięto w kontenerze?

Kiwam głową i dopiero po chwili orientuję się, że to idiotyzm.

– Tak. Moją przyjaciółkę. Ma na imię Honey.

– Kto ją tam zamknął?

– Ojciec John. Powiedział, że musi za niego wyjść, ale ona nie chciała. Ma tylko czternaście lat.

– Rozumiem. – Kobieta mówi spokojnie, ale szybciej, jakby nagle załapała, że naprawdę coś się dzieje. – A co z panią? Czy jest pani w bezpiecznym miejscu?

– Nie. – Łzy spływają mi po twarzy jak deszcz. – Tu nie jest bezpiecznie. Myślałam, że będzie, ale nie jest.

– Proszę jeszcze raz podać adres.

– Święty Kościół Legionu Pana. Przy Drodze 158 niedaleko Layfield. Nie znam dokładnego adresu.

– W porządku – odpowiada. – Proszę się nie rozłączać, zaraz...

Słyszę odległy trzask pękającej gałązki i puszczają mi nerwy.

– Nie mogę – mówię szeptem. – Pomóżcie nam. Przepraszam panią.

Trzęsącą się ręką odsuwam telefon od ucha, wciskam zielony przycisk i trzymam go tak długo, aż zgaśnie. Wpycham telefon z powrotem do kieszeni, przez kilka sekund bezskutecznie próbuję się uspokoić, po czym mijam róg szopy i ruszam w stronę dziedzińca, a serce wali mi młotem, mało nie wyrwie się spod żeber.

Próbuję iść normalnie – nie za wolno, nie nazbyt szybko – i zmuszam się do uśmiechu, który, mam nadzieję, przekona tego, kto na mnie spojrzy, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Że nie mam absolutnie żadnych zmartwień.

POTEM

OPOWIADAJĄC O MOIM WYCYNIE AGENTOWI CARLYLE'OWI i doktorowi Hernandezowi, poryczałam się. Nie chciałam płakać, naprawdę, ale nie umiałam powstrzymać łez.

Ale też nie przestałam mówić. Skoro już zaczęłam, skoro postanowiłam, że powiem im prawdę bez względu na cholerne konsekwencje, to chciałam to mieć za sobą.

Teraz gapię się na nich schnącymi oczami i spodziewam się usłyszeć, że wpakowałam się w niezłe bagno. Czekaając, próbuję odnaleźć w sobie poczucie winy, które towarzyszyło mi ciągle od chwili, gdy za Bramą Frontową pojawił się czołg, ale znajduję tylko wyczerpanie i słodką, mdlącą ulgę.

– Moonbeam – mówi doktor Hernandez cichym, niskim głosem. – Wiem, że było ci bardzo trudno. Dziękuję, że zebrałaś się na odwagę, bo to wymagało wiele siły.

Żeby powstrzymać kolejną falę łez, marszczę brwi, a potem kiwam głową.

– Musimy ci coś powiedzieć – odzywa się agent Carlyle. – Nie przyszło nam do głowy, że możesz o tym nie wiedzieć.

– O czym?

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Wiedzieliśmy, że zadzwoniłaś do Biura Szeryfa w Layton.

Przebijam go wzrokiem.

– Słucham?

– Wiedzieliśmy o tej rozmowie. Słuchaliśmy nagrania.

Nie. To niemożliwe.

Nie wierzę.

Skoro wiedzieli, co zrobiłam, i to od samego początku, to dlaczego byli dla mnie tacy uprzejmi? Dlaczego nie nazwali mnie morderczynią i nie zamknęli w więzieniu, żebym tam zgniła w ciemnościach?

„Ale jeśli nie wiedzieli – szepcze głos z tyłu głowy – to po co mieliby ci wmawiać, że było inaczej? Co mogli zyskać na takim okrucieństwie?”

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – ciągnie agent Carlyle – a wolałbym nie mieć żadnych wątpliwości. Czy myślałaś, że zespół operacyjny składający się z ponad dwustu agentów FBI i ATF, korzystający ze wsparcia oddziałów taktycznych, kilkunastu pojazdów i zdalnego rozpoznania został zmobilizowany i użyty do szturm na kompleks Legionu Pana tylko dlatego, że zadzwoniłaś do Biura Szeryfa w miasteczku na zadupiu?

Kiwam głową.

„Oczywiście!”

– A teraz uważasz, że ten telefon był pomyłką, bo nie zdawałaś sobie sprawy, co się stanie, kiedy pomoc już się zjawi? Bo nie sądziłaś, że Ojciec John naprawdę rozkaże twoim Braciom i Siostram strzelać do funkcjonariuszy?

Znów kiwam głową.

– Czyli, według ciebie, ciąg wydarzeń wyglądał tak: ty zadzwoniłaś, oni przyjechali, rozpętało się piekło.

Patrzę na niego bez słowa.

– A więc sądzisz, że twoi Bracia i Siostry zginęli przez to, co zrobiłaś?

Żołądek mi się kurczy. Milczę.

– I odtąd żyjesz z tym ciężarem? – Głos Carlyle’a drży, jakby agent miał się rozplakać. – Jesteś przekonana, że wszystko, co się zdarzyło w Bazie, jest twoją winą?

– Bo jest. – Mój szept brzmi jak papier ścierny. – To moja wina.

Agent Carlyle obdarza mnie najłagodniejszym uśmiechem, jaki widziałam.

– Nie, Moonbeam. Serio. Nie jesteś niczemu winna. Absolutnie niczemu.

Wpatruję się w niego. Cała zeszywniałam, a ciężką głowę wypełnia mi wata.

„Posłuchaj go – szepcze głos z tyłu głowy. – Dobrze mówi”.

– Jak to? – udaje mi się wykrztusić na granicy słyszalności.

– Od z górą dwóch lat trzy różne agencje federalne prowadzą śledztwa w sprawie Świętego Kościoła Legionu Pana – mówi Carlyle. – Wszczęto je, kiedy pracownik UPS w Lubbock zatrzymał paczkę z zestawami do konwersji broni i spłonkami, która przysłała do skrytki pocztowej w Layfield na nazwisko Jamesa Carmela.

Ściągam brwi.

– Co w niej było?

– Zestaw do konwersji pozwala zmienić broń półautomatyczną w automatyczną. Zgaduję, że wiesz, na czym polega różnica?

„Aż za dobrze”.

Kiwam na potwierdzenie.

– W Teksasie broń automatyczna jest legalna, ale w momencie kupna trzeba ją zarejestrować. Za to broń półautomatyczną można kupić w Walmarcie za okazaniem prawa jazdy. Ale samodzielne przerabianie broni jest nielegalne, bo pozwala zgromadzić arsenał broni automatycznej, o którego istnieniu nikt nie ma pojęcia. Brzmi znajomo?

Głowę wypełnia mi zapach dymu i ogłuszający łoskot wystrzałów. Czuję nudności, ale udaje mi się przytaknąć.

– Tak mi się wydawało. A spłonka to mała porcja materiału wybuchowego. Służy do odpalania większych ładunków.

– Do budowy bomb – kończę za niego.

Carlyle potwierdza skinieniem.

– Ale Legion Pana był pod obserwacją, jeszcze zanim przejęto tę paczkę w Lubbock. Uważano go za potencjalną organizację terrorystyczną. Agencje od dawna zbierały dowody przeciwko Johnowi Parsonowi i jego najbliższemu wspólnikom, a wręczenie nakazu przeszukania Bazy, które przerodziło się w zbrojną konfrontację z wiernymi Legionu, było zaplanowane z ponad miesięcznym wyprzedzeniem. To, że nastąpiło dzień po twoim telefonie, jest zbiegiem okoliczności, nic więcej. Kiedy twoje zgłoszenie zostało wprowadzone do systemu w Biurze Szeryfa w Layton, system FBI natychmiast oznaczył je jako pilne. Interwencję ludzi szeryfa zablokowano, bo utrudniłaby prowadzenie już trwającego śledztwa. A więc absolutnie nic, co miało miejsce następnego dnia, nie zdarzyło się z twojej winy. Czy mnie rozumiesz?

Gapię się na niego bez słowa, bo nie wiem, dlaczego po tak długim czasie mnie okłamuje. A kłamie na pewno, bo skoro wiedział o moim telefonie do szeryfa, skoro obaj o nim wiedzieli, to dlaczego nie powiedzieli mi o tym wcześniej? Dlaczego cały czas pozwalali mi myśleć, że to wszystko moja wina?

„Ponieważ nigdy im nie powiedziałaś, że się o to obwiniasz – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie darzyłaś ich wystarczającym zaufaniem, by im to wyznać”.

– Wiedzieliśmy, że dzwoniłaś do szeryfa – mówi doktor Hernandez. – Woląłem nie ponaglać cię do mówienia o tym, bo wiedziałem, że będzie ci trudno. Chciałem, żebyś sama uznała, że możesz nam zaufać. Ale gdybym wiedział, że obwiniasz się za to, co się stało, to od razu powiedziałbym ci prawdę.

– Wierzę panu – mówię i czuję się trochę zaskoczona, że to prawda.

Naprawdę mu wierzę.

To olśnienie przez chwilę wypełnia mi głowę, ale szybko schodzi na dalszy plan, bo ulga, która mnie nawiedziła, gdy skończyłam opowiadać, rozrosła się teraz w coś ogromnego i wszechogarniającego. Wiem, że nie

powinnam się cieszyć, bo przecież zginęło tak wielu ludzi, ale w tej chwili dociera do mnie tylko jedna myśl: „Nie zginęli przeze mnie, to nie moja wina”, więc trzymam się jej kurczowo, żeby powstrzymać łzy radości.

Agent Carlyle kręci głową.

– Nie mogę uwierzyć, że ciągle się tym zadręczałaś. Powinnaś była nam powiedzieć.

– Chciałam. – Mój wysoki i chwiejny głos może zapowiadać wybuch śmiechu albo płacz. – Często o tym myślałam, ale nie mogłam się zmusić. Nie wiedziałam nawet, czy zdołam dokończyć dzisiejszą opowieść. Zrozumcie, że za każdym razem, gdy szłam na sesję grupową, byłam przekonana, że te wszystkie sieroty straciły rodziców z mojej winy. Przez to, co zrobiłam.

– Bardzo mi przykro – mówi doktor.

Nabieram powietrza.

– Więc to nie była moja wina? – pytam, bo potrzebuję usłyszeć to jeszcze raz. – Naprawdę?

Doktor uśmiecha się i kręci głową.

– Nie, Moonbeam. Naprawdę nie twoja.

Zamykam oczy. Fala ulgi rozchodzi się we mnie po koniuszki palców u rąk i nóg, na chwilę zastyga, a potem wraca i łagodnie ustępuje, a ja stopniowo odzyskuję jasność myślenia i wtedy dociera do mnie coś jeszcze. Otwieram oczy, ściągam brwi i wbijam wzrok w agenta Carlyle'a.

– Jak nas obserwowaliście?

– Słucham?

– Powiedział pan, że Legion był przez długi czas pod obserwacją. Jaką?

– Są różne metody – odpowiada agent. – Przechwytywaliśmy wszelką wchodzącą i wychodzącą korespondencję i czytaliśmy ją, prowadziliśmy zdalny nasłuch kompleksu mikrofonami kierunkowymi, zainstalowaliśmy też kamery.

„Co takiego?!”

Jeszcze bardziej ściągam brwi.

– A więc widzieliście, co Centurioni zrobili z Honey? Przyglądaliście się, jak ten tłusty bydlak, Reynolds, masakruje Lucy? I nic nie zrobiliście?

Agent Carlyle robi głupią minę.

– Nie byłem członkiem zespołu operacyjnego. Przyłączono mnie do innego zespołu, który ustalał przyczyny pożaru. Ale wiem, że kamery i mikrofony nie widziały ani nie słyszały wszystkiego. Bardzo wiele im umknęło.

– A więc tak naprawdę nie wiedzieli, jaka jest sytuacja w Bazie? – pytam, choć już znam odpowiedź. Po prostu chcę, żeby to przyznał. – W jakiś dziwny sposób waszym kamerom i mikrofonom umknęły wszystkie okropności?

– Zrozum, że dochodzenie na taką skalę rządzi się swoimi prawami. Priorytetem było zebranie dowodów na łamanie prawa federalnego dotyczącego broni i działalności spiskowej. Zbierano też materiał konieczny do postawienia zarzutów o bezprawne pozbawienie wolności, napaść i kilkanaście innych przestępstw, ale to za posiadanie nielegalnego składu broni automatycznej i zapalników do bomb John Parson miał spędzić resztę życia w więzieniu.

– A więc w międzyczasie przyglądano się beczynnemu, jak ludziom dzieje się krzywda? I pozwalano na to?

Agent Carlyle nie odwraca wzroku.

– Tak. Wybacz, wiem, że to brzmi brutalnie, ale działania operacyjne wymagają czasu, a śledczy nie mogli ryzykować, że John Parson odkryje, że jest inwigilowany. Dlatego prowadzono obserwację i nasłuch i czekano na właściwy moment, by wkroczyć do akcji.

Nagle w głowie rozbłysła mi okropna myśl.

O, Boże!

– Czyli od początku wiedzieliście to wszystko, co wam opowiadałam?

Doktor Hernandez robi wielkie oczy.

– Absolutnie nie – mówi. – Nie myśl tak nawet przez sekundę.

Wszystkie twoje relacje były niezwykle przydatne.

Wbijam w niego wzrok, ale w jego oczach nie dostrzegam kłamstwa. Jest w nich troska, bo nasza poranna sesja nieopatrznie potoczyła się w niepożądanym kierunku.

– Doktor Hernandez mówi prawdę – odzywa się agent Carlyle. – Włączając się do waszych sesji, miałem za zadanie wydobyć z ciebie informacje, które pogłębiłyby naszą wiedzę na temat życia w Legionie Pana. Tak, miałem potwierdzić nasze podejrzenia, ale też dowiedzieć się o rzeczach, których wcześniej nie byliśmy świadomi. Daję słowo, że to prawda.

Kiwam głową.

– Okej. Wierzę panu.

– Dziękuję.

– A jednak wciąż czegoś nie rozumiem – wchodzę mu w słowo. – Nie pojmuję, jak agenci mogli nie zareagować, skoro wiedzieli, że ludziom dzieje się krzywda.

– Jeśli masz się przez to poczuć lepiej, to zdradzę, że wprowadzili do Bazy swojego człowieka. Miał zainterweniować, gdyby zrobiło się naprawdę...

– Agencie Carlyle! – przerywa doktor Hernandez ostrym tonem.

Nachmurzona jak burza przewiercam obu mężczyzn wzrokiem. I wtedy – jak zapadka wskakująca na swoje miejsce w mechanizmie – pojawia się we mnie myśl, że co jak co, ale w tej jednej, jedynej kwestii Ojciec John miał rację.

– Nate. To o nim pan mówi.

Agent patrzy na mnie długą chwilę, po czym kiwa głową.

PRZEDTEM

IDZIEMY Z NATE'EM WZDŁUŻ WSCHODNIEJ GRANICY BAZY.

Ogrodzenie ma tu prawie trzy metry wysokości. Stanowi je metalowa siatka rozpięta na wbitych w ziemię drewnianych palach i zwieńczona u góry spiralą drutu żyletkowego, którego kanciaste ostrza jeżą się na wszystkie strony. Po Czystce płot został podwyższony i wzmocniony, a jego konserwacja jest jedną z najważniejszych prac w naszym harmonogramie. Dzikie zwierzęta kopią pod nim tunele, a spadające gałęzie wyrywają dziury w siatce, więc ogrodzenie trzeba codziennie uszczelniać i łątać.

Słońce opada szybko ku horyzontowi na zachodzie, napełniając niebo nieziemskim, fioletowo-purpurowym światłem. Całe popołudnie spędziłam w ogrodzie, wyrywając chwasty na czworakach, więc teraz jestem zgrzana i wycieńczona, mam na czole warstewkę pyłu zmieszanego z potem, a włosy lepią mi się do karku. I oczywiście właśnie dziś, po wieczornym dzwonie na koniec pracy Nate postanowił wyciągnąć mnie na spacer. Idealnie.

Wcześniej dość często wybieraliśmy się na spacer, ale ostatnio wszystko zdziwaczało. Od czasu, kiedy Amos został napadnięty w mieście, minął prawie miesiąc, ale mam wrażenie, że wierni są podminowani, jakby obawiali się, że to była zapowiedź następnych, może nawet jeszcze gorszych wypadków. I nawet tutaj, przy płocie, najdalej jak się da od domu stojącego obok Kaplicy, dochodzi mnie kaszel Horizonta.

Wszyscy czekają na jego Wniebowstąpienie, bo nikt już nie wierzy, że mu się polepszy, choćby nie wiem, jak bardzo żarliwie się o to modlili.

I chociaż nikomu nie przysłoby do głowy, żeby powiedzieć to głośno, to jest oczywiste, że wielu Braci i Sióstr odczuje ulgę, kiedy na Horizonta przyjdzie czas.

I chyba to rozumiem. Przysłuchiwanie się odgłosom czyjejś agonii jest bolesne, zwłaszcza jeśli umiera osoba, którą kochamy.

Nate zatrzymuje się i stuka knykciami w drewniany pał ogrodzenia. Wydaje się rozproszony, jakby miał strasznie dużo na głowie.

– Dam grosik za twoje myśli – zagajam.

Uśmiecha się, słysząc nasz stary, prywatny żart.

– Przeplaciłabyś.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Coś taki milczący?

Wzrusza ramionami.

– W porządku. A u ciebie?

– Też.

– Tęsknisz za mamą?

Wbijam w niego wzrok. Czuję, że opada mi szczęka i mgliście zdaję sobie sprawę, że muszę wyglądać głupio, ale nic na to nie poradzę, bo przez jego pytanie – diabelnie niebezpieczne i zupełnie nieoczekiwane – mój umysł rzucił się w pogoń za stosowną odpowiedzią.

Przecież nam nie wolno się nawet zająknąć o byłych, Wygnanych członkach Legionu – to absolutnie zakazane. Mamy zachowywać się tak, jakby nigdy nie istnieli. Gdyby to pytanie zadał nie Nate, ale ktokolwiek inny, musiałabym założyć, że – niezdarnie, ale jednak – zastawia pułapkę po to, by donieść Centurionom, że przyznałam się do głębokiego naruszenia zasad.

Ale Nate by mi tego nie zrobił. Nie on. Dlatego muszę poważnie zastanowić się nad tym pytaniem, czyli pomyśleć o mamie, czego zbyt często nie robię. Nie dlatego, że to zakazane – ostatnio znacznie mniej przejmuję się tym, co wolno, a czego nie wolno – ale ponieważ myśl o niej wciąż jeszcze tak bardzo mnie boli, że właściwie pogodziłam się z tym, że to się nigdy nie zmieni.

- Nie certolisz się z pytaniami – mówię.
- Wybacz. Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj.
- Nie szkodzi. Tak. No, oczywiście, że tęsknię.
- Szkoda, że jej nie poznałem. Myślę, że bym ją polubił.

Uśmiecham się do niego. Wiem, że stara się być miły, więc nie będę się z nim spierać o coś, czego nigdy nie będę pewna, a wcale nie jestem pewna, czy by ją polubił. Nie wszyscy za nią przepadali.

„Na przykład jej córka – szepcze głos z tyłu głowy. – W każdym razie nie zawsze”.

Krzywię się i w myślach każę mu zamilknąć.

- Wygnali ją latem, na rok przed moim przybyciem, tak?

Potakuję skinieniem.

- A więc Odeszła prawie trzy lata temu.

„Dobry Boże, to już tak długo?”

- Coś w ten deseń.

– Kupujesz te wszystkie rewelacje, które krążą na jej temat? Że była Heretyczką?

Zatrzymuję się, bo Herezja to temat zarezerwowany dla Ojca Johna. Jeśli niefortunnie dobierze się słowa, to sama rozmowa o Herezji może być uznana za Herezję. Ale wierzę, że Nate jest naprawdę ciekaw mojej mamy. Sama chętnie o niej porozmawiam, bo od bardzo dawna nie wspominałam o niej słowem.

– Znaleźli jej dziennik – mówię. – Wypisywała w nim Herezje. Nie ma co udawać, że było inaczej.

- I co z tego?

– To, że chyba jednak była Heretyczką. Przynajmniej według definicji Ojca Johna.

- A według twojej?

- Mojej?

- Według twojej definicji Herezji.

– Nie mam własnej definicji – kłamię, bo chociaż mu ufam, to pewne bariery tkwią we mnie tak głęboko, że nie umiem ich obejść.

– Okej – mówi Nate – w porządku. Może porozmawiajmy o czymś innym.

Gdy rusza z miejsca, dostrzegam na jego twarzy rozczarowanie. Nabieram powietrza i stoję tam, gdzie się zatrzymałam. Po kilku krokach Nate odwraca się i marszczy czoło.

– Nie idziesz?

– Spytaj mnie jeszcze raz.

Jego oczy się zwężają.

– O co?

– O to, kim była.

– W porządku. – Wraca i staje przede mną. – Czy uważasz, że twoja mama była Heretyczką?

– Tak – wyrzucam. – Myślę, że straciła wszelką wiarę w Legion Pana na długo, zanim ją Wygnali. Być może stało się to po Czystce albo po śmierci mojego ojca, a może w ogóle nigdy nie wierzyła.

Nate nie odpowiada. Przygląda mi się tylko tymi swoimi jasnozielonymi oczami, więc kontynuuję wywód, bo kiedy już raz otworzy się zakazane drzwi, to trzeba przez nie przejść, i niech szlag trafi konsekwencje.

– Wiem, że nie powinnam o niej myśleć. Może i zasłużyła na Wygnanie, bo złamała zasady, według których wszyscy żyjemy. Ale ja nie widzę nic niewłaściwego w tym, co zrobiła. W każdym razie już nie. Czy to sprawia, że jestem zła, Nate?

I nagle jestem bliska łez. Po pierwsze dlatego, że jeśli Nate nie jest tym, za kogo go biorę, to właśnie dałam mu powód, żeby na mnie doniósł i zaraz wtrącał mnie do karceru, skąd nie wyjdę po Kres Dni. A po drugie – i ważniejsze – dlatego, że czuję niepowstrzymaną falę ulgi. Słowa, które właśnie padły, dusiłam w sobie od tak dawna, że stały się prawdziwym ciężarem, głazem u szyi.

Nate przybliżyła się o krok.

– Nie, nie jesteś zła. Ani trochę. Ale obiecaj, że to, co mi właśnie powiedziałaś, zachowasz tylko dla siebie, dobrze? Poza mną nie możesz ufać nikomu.

– Okej – odpowiadam, choć jego słowa i potworna prawda, którą niosą, ranią mnie jak skalpel. W kącikach oczu czuję łzy, lada chwila gotowe przelać się strumieniem.

Nate też je dostrzega, więc cuci mnie pokrzepiającym uśmiechem.

– Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

– Niby jak? – pytam drżącym głosem. – Jak cokolwiek może się zmienić na lepsze?

– No wiesz, Pan jest Dobry.

– Wątpię.

„Herezja!” – szepcze głos z tyłu głowy, ale wcale nie wydaje się na mnie zły. Mogłabym przysiąc, że słyszę w nim dumę.

Nate wskazuje wieńczącą ogrodzenie spiralę drutu żyłkowego.

– Wiesz, po co to tam jest?

– Żeby wrogowie tu nie weszli – odpowiadam automatycznie.

Nate wyszczerza się jeszcze bardziej.

– Oto odpowiedź prawdziwej Legionistki. A tak poważnie, po co to tam jest?

– Nie wiem – mówię, ale mijam się z prawdą. Chcę, żeby on to powiedział, bo sama się boję.

– Żebyśmy my stąd nie spieprzyli. Ty, ja i wszyscy pozostali.

Potrząsam głową przecząco, bo chociaż – odkąd Wygnali moją mamę – zaczęłam myśleć dokładnie tak samo, to od Czystki tak skutecznie wbijano nam do głowy zupełnie inne wyjaśnienie, że nie umiem ot tak go pominąć.

– Przecież każdy może odejść, kiedy chce. Nikt tu nikogo nie trzyma pod przymusem – ciągnę.

– Ale tylko Amos może jeździć do Layfield. Pozostałym nie wolno wychodzić z Bazy. Pamiętasz, żeby ktoś opuścił Legion z własnej woli? Kiedy to było?

– Po Czystce.

Nate kiwa głową.

– Ci, którzy postawili sprawę jasno, że nie będą posłuszni nowej władzy. Zostając, z pewnością sprawialiby problemy. Gdyby sami nie postanowili odejść, Ojciec John Wygnałby ich w ciągu miesiąca. Gwarantuję ci to.

– Ale mama...

– Twoja mama okazała się Heretyczką. – Krzywi się na dźwięk tego słowa. – Uznano ją za winną Apostazji, mimo że tak naprawdę popełniła inne przestępstwo. Ale przecież sama o tym wiesz, prawda?

Marszczę brwi.

– O czym ty mówisz?

– Wygnanie za Apostazję to kiepski interes, bo dowodzi, że Wiarę można utracić. Gdyby Ojciec John znalazł jakikolwiek sposób, żeby znów zapanować nad twoją mamą, to nie cofnąłby się przed niczym, żeby ją zatrzymać.

– Więc czemu nie próbował tego zrobić? Dlatego, że mu nagadała?

Teraz Nate marszczy brwi.

– Nagadała? Niby co?

Przez dłuższą chwilę wpatruję się w Nate'a, bo nagle dociera do mnie, że nigdy nikomu nie powiedziałam o tym, co stało się w Wielkim Domu w dniu Wygnańa mojej mamy, i że prawdę zna bardzo niewielu: Prorok, Centurioni, Bella, Agavé, Star i ja.

I nikt więcej.

No i, oczywiście, mama. Gdziekolwiek teraz jest...

– Powiedziała Prorokowi, że nigdy w niego nie wierzyła. Nazwała go oszustem i sępem żerującym na słabszych.

Nate potrząsa głową i wydaje z siebie cichy gwizd.

– Nieźle! No to nic dziwnego, że czym prędzej wywalił ją za bramę.

– Angel pilnował jej w czasie pakowania. Żeby na pewno z nikim nie rozmawiała.

Nate krzywi się.

– No, oczywiście. To tylko dowodzi, że miałem rację. Z punktu widzenia Ojca Johna twoja mama była zagrożeniem. Bezpieczniej było ją Wygnać.

– Zagrożeniem? Dlaczego? – pytam. – Przecież nigdy nie sprawiała żadnych problemów.

– Ze względu na ciebie, Moonbeam.

„Na mnie?”

Gapię się na niego.

– Jak to...

– Twoja mama nie tylko szukała sposobu, żeby opuścić Legion Pana – wyjaśnia Nate. – Według Ojca Johna w dzienniku napisała wprost, że chce cię zabrać ze sobą. A przecież jesteś mu obiecana. Sam Pan orzekł, że kiedy przyjdzie czas, zostaniesz żoną Proroka. Wyobrażasz sobie, jak wyglądałby Ojciec, gdyby plany twojej mamy się powiodły? Jak bardzo ucierpiałby jego autorytet wśród Braci i Sióstr, gdyby zdołała mu ciebie odebrać?

– Ale ona chciała, żebym wyszła za Ojca Johna. Wielokrotnie mu to proponowała i cieszyła się, gdy wreszcie ogłosił, że Pan wybrał mnie na Przyszłą Żonę. Po co miała to wszystko robić, jeśli planowała mnie stąd zabrać?

Nate potrząsa głową.

– Nie wiem.

„Bzdura. Wiesz, ale nie chcesz powiedzieć”.

– Nie kituj.

– To prawda, Moonbeam. Jest mnóstwo rzeczy, o których milczę dla

twojego bezpieczeństwa, ale gdybym wiedział cokolwiek na temat twojej mamy, tobym ci powiedział. Przysięgam.

Marszczę brwi.

– Niby o czym „milczysz dla mojego bezpieczeństwa”?

Nie odpowiada. Gapi się tylko na pustynię za siatką.

– Nate? Co ukrywasz?

– Dlaczego Prorok tak bardzo obawia się świata Na Zewnątrz Bazy? – Nate nie odrywa wzroku od dalekiego horyzontu.

– Bo tam jest niebezpiecznie.

– Kto tak powiedział?

– Ojciec John.

Nate parska śmiechem.

– No, oczywiście, że on. Ale dlaczego jest niebezpiecznie?

– Pytasz, jak on to uzasadnia?

– Tak.

– Dlatego, że tam mieszkają nasi wrogowie.

Nate kiwa głową.

– Jasne. Ci, którzy nas porwą, będą torturować i zamordują, gdy tylko nadarzy się okazja. Ale powiedz, czy kiedykolwiek widziałas kogoś za ogrodzeniem? No, może poza studenciakami przełazącymi przez płot dla kawału?

– Nie. Wiem, do czego zmierzasz. Ale to chyba logiczne, że ci, którzy chcą nam zaszkodzić, ukrywają się, żebyśmy ich nie zobaczyli?

– Być może – mówi Nate, potrząsając siatką ogrodzenia. – Ale według Ojca Johna Słudzy Węża mają czołgi, bomby i śmigłowce rozpylające benzynę. Jeżeli faktycznie tak jest, to sądzisz, że powstrzyma ich druciana siatka?

– No, chyba nie.

Nate wzrusza ramionami.

– Czyli co? Twierdzisz, że nasi wrogowie nie istnieją?

Kręci głową.

– Tego nie twierdzę. Nie będę ci wciskał, że nie ma tam ludzi, którzy nas nienawidzą, ani że Na Zewnątrz panuje rajski pokój. Ale Ojciec John przygotowuje Legion do bitwy, którą uważa za nieuniknioną, a taki sposób myślenia działa jak samospełniająca się przepowiednia.

Marszczę czoło.

– Nie rozumiem.

Nate przygląda mi się przez długą, wypełnioną milczeniem chwilę, a potem rozjaśnia twarz w uśmiechu.

– Wybacz, rozgadałem się. Powinniśmy wracać.

– Nie szkodzi. – Nie chcę, żeby zamilkł, i nie mam ochoty wracać do Rodziny. Chcę zostać tutaj, gdzie nie muszę drzeć o każde wypowiedziane słowo i gdzie nikt nie patrzy na mnie jak na córkę Heretyczki.

– Nie szkodzi? – powtarza Nate. – Sam nie wiem, czy nie szkodzi. Serio. Ale skoro już oboje tu jesteśmy, to powiem ci jeszcze jedną rzecz, zanim wrócimy.

– Wal.

– W piwnicy Wielkiego Domu jest pewne pomieszczenie. Jego drzwi są zawsze zamknięte na klucz.

– Wiem. Amos trzyma tam broń, na której ćwiczymy strzelanie.

– Jest tam nie tylko broń, ale mnóstwo innych rzeczy.

– Jakich? No, powiedz.

Kręci głową.

– Chyba już dość rewelacji jak na jeden dzień.

Czuję kielkującą w piersi złość.

– Nie rób tak, Nate. Nie jestem dzieckiem. Nie będziesz za mnie decydował, czy mam dość czy nie.

Jego twarz znów rozświetla się w szczerym, szerokim uśmiechu.

– Nie mówię, że to ty masz już dość. Wracam ścieżką wokół ogrodów, idziesz ze mną?

Zwlekam z odpowiedzią. Chcę się dowiedzieć o zamkniętym pokoju i jeszcze nie wiem, czy mam być zła o ten tekst z „dość rewelacji”, bo z pewnością Nate nie miał na myśli, że to on ma ich dość. Ale z jego twarzy czytam, że nic więcej teraz nie powie, a przecież nie mogę się na niego wściekać, bo być może jest moim jedynym przyjacielem na całym świecie.

– Jasne – odpowiadam w końcu. – Chodźmy.

Nate kiwa głową i rusza na północ, a ja zrównuję się z nim w marszu wzdłuż ogrodzenia.

O tym pomieszczeniu w piwnicy opowie mi później. Na pewno to zrobi. Przecież żadne z nas nigdzie się stąd nie wybiera.

POTEM

– NIE WIEDZIAŁEM, ŻE TO NATE – mówi agent Carlyle. – To znaczy, kiedy wcześniej o niego pytałaś. Naprawdę.

Uśmiecham się do niego.

– I myśli pan, że w to uwierzę, tak?

– Mam nadzieję.

Wzruszam ramionami.

– Więc dla kogo pracował? Dla tych samych ludzi co pan?

Agent Carlyle zaprzecza ruchem głowy.

– W ATF. Słyszałaś o nich, prawda?

Kiwam twierdząco. ATF, czyli Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, figurowało na spisanej przez Ojca Johna liście złych agencji rządowych.

Carlyle potakuje.

– Zgadza się. Przesłali go do Bazy po tym, jak zatrzymano tę przesyłkę w Lubbock. O jego misji wiedziało tylko pięć osób.

– Czy jedną z nich był Ojciec John? – pytam.

– Akta Nate'a są tajne – odpowiada Carlyle – ale rozmawiałem z agentem z jego sekcji. Uważają, że John Parson nie wiedział o Nacie i zaoferował mu pozycję Centuriona w dobrej wierze, a o szpiegowanie oskarżył go, żeby zachować twarz, kiedy Nate tę propozycję odrzucił. Według nich Ojciec John nie dałby mu nocy na rozważenie tej decyzji, gdyby podejrzewał prawdę.

Krzywię się.

– Chyba mają rację.

Carlyle potakuje ruchem głowy.

– A więc tak naprawdę wcale go nie znałam? Nie wiedziałam, kim naprawdę jest. Człowiek, którego miałam za przyjaciela, był jednym wielkim chodzącym kłamstwem.

Carlyle kręci głową.

– To nieprawda. Agentów prowadzących operacje pod przykrywką szkoli się tak, żeby w miarę możliwości pozostali sobą. Są znacznie bardziej przekonujący, jeśli nie muszą udawać kogoś innego. A więc człowiek, którego poznałaś, nie jest zmyślony.

– I naprawdę nazywa się Nate Childress?

– Tak.

– Ale pewnie nie mogę się z nim zobaczyć?

Doktor Hernandez wzdryga się.

– Na tym etapie chyba nie powinniśmy...

– Niech pan sobie daruje – przerywam mu i przenoszę wzrok na agenta Carlyle'a. – Proszę powiedzieć temu koledze, żeby przekazał Nate'owi podziękowania za wszystko, co dla mnie zrobił. I że jestem mu wdzięczna.

– Jasne. Masz to jak w banku.

– Dzięki.

– Jak myślisz, dlaczego Nate rozmawiał z tobą o wrogach Legionu i o zamkniętym pokoju w piwnicy? – pyta doktor Hernandez.

Kręcę głową.

– Nie wiem. Myślałam o tym dużo, zwłaszcza po jego ucieczce. Wydaje mi się, że zżerały go te myśli i nie umiał dłużej zachować ich dla siebie. Chciałabym wierzyć, że byłam jedyną osobą, której ufał na tyle, by się nimi podzielić. Ale sama nie wiem.

– Sporo ryzykował – mówi agent Carlyle.

Wzruszam ramionami.

– Wiedział, że nikomu nie doniosę. Przynajmniej mam nadzieję, że to wiedział. Sama też miałabym kłopoty.

– Tak samo poważne jak on?

– Nie. Ale oboje mielibyśmy przerąbane.

– Myślisz, że ci zaufał, bo dostrzegł twój kryzys wiary? – pyta doktor Hernandez.

– To by miało sens. Ale nie mam pojęcia, co we mnie dostrzegł.

Doktor potakuje i szybko pisze coś w jednym z notesów.

– Chcesz kontynuować? Jeśli nie, możemy przerwać.

Kręcę głową.

– Dokończmy, co zaczęliśmy.

Agent Carlyle uśmiecha się.

– Jak sobie życzysz. Opowiesz nam, co się stało następnego dnia po twoim telefonie do Biura Szeryfa? To było siedemnastego?

„Spokojnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Bez obaw. Poradzisz sobie. Wszystko będzie dobrze”.

– Dzień, w którym wybuchł pożar – mówię.

Obaj kiwają głowami.

„Będzie dobrze”.

Zamykam oczy i przenoszę się myślą do tamtego żaru, odgłosu wystrzałów i zapachu krwi zmieszanej z pyłem.

„Wszystko będzie w porządku”.

Nabieram powietrza. Otwieram oczy.

Zaczynam mówić.

PRZEDTEM

IDĘ PRZEZ DZIEDZINIEC, gdy dobiega mnie jakiś odgłos.

Kiedy Bracia i Siostry kończyli jeść śniadanie w Sali Legionisty, poszłam powiedzieć Honey, że o niej myślę, że pamiętam, ale nie zdążyłam wydusić z siebie nic więcej, bo za moimi plecami pojawił się Amos z twarzą ciemną jak gradowa chmura i odciągnął mnie od kontenera. Zanim poczułam jego ręce na ramionach, z wnętrza karceru dobiegło mnie tylko słabe: „Cześć”, więc przynajmniej zyskałam pewność, że Honey jeszcze żyje, chociaż brzmiała chropawo, jakby jej gardło było wyłożone papierem ściernym.

– Zdurniałaś, dziewczyno? – zapytał Amos. – Chcesz pogorszyć sprawę?

Strząsnęłam jego rękę z mojego ramienia.

– Rozmawiam z Siostrą. To nie jest zakazane.

– Twoja Siostra odbywa karę za Herezję. Porozmawiasz z nią, kiedy pojedna się z Panem. Nie wcześniej.

– I według ciebie to jest w porządku? – spytałam wściekle i gorączkowo. – Nie widzisz problemu?

– Pan jest Dobry – warknął Amos. – A teraz zjeżdżaj i ciesz się, że uznaję tę sprawę za zbyt błahą dla uszu Proroka.

Przez kilka długich sekund przewiercałam go wzrokiem z głową pulsującą od furii, aż wreszcie obróciłam się na pięcie i ruszyłam z powrotem w stronę dziedzińca.

Odgłos nie ustaje, ale wciąż jest cichy i odległy.

Droga gruntowa biegnąca od Bramy Frontowej do szosy ma około trzech kilometrów, ale jeśli wiatr wieje z odpowiedniej strony, w Bazie słychać niekiedy odległe pomruki silników. Samochodów stąd nie widać, bo droga wije się między dwoma wzgórzami, które zasłaniają widok na południe. Lubię zgadywać, co jedzie: czasem wyobrażam sobie wielką ciężarówkę, taką, jakie widywaliśmy, kiedy jeszcze wolno nam było odwiedzać miasto, a czasem żółty autobus pełen dzieciaków albo samochód osobowy czy kamper z rodziną wtórującą ile sił w płucach jakiejś piosence z radia.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że to jeden z tych pojazdów.

Staję na środku dziedzińca i nadstawiając uszu, wpatruję się w dal, za Bramę Frontową. Cichy pomruk faktycznie przypomina odgłos silnika, ale po chwili orientuję się, że jest inny.

Przybiera na sile.

Kilkoro przechodzących nieopodal Braci i Sióstr również przystaje. Nikt nic nie mówi ani nie wydaje się specjalnie zaniepokojony, ale wszyscy nasłuchują. Na werandzie Wielkiego Domu Bella kołysze jedno z dzieci, a stojący pod ścianą Kaplicy Jacob Reynolds patrzy na południe spod przymrużonych powiek.

Warkot stopniowo potężnieje, aż wreszcie czuję pod stopami, że ziemia się trzęsie. Czasami, choć niezwykle rzadko, miejscowi podjeżdżają pod Bramę Frontową, żeby pogapić się na dziwolągi z Legionu Pana, ale tego odgłosu raczej nie wydaje samochód osobowy ani pick-up.

To coś większego.

I to znacznie.

Czuję, jak włoski podnoszą mi się na rękach. Mój żołądek wydaje się pusty, jakbym od wielu dni nie jadła. Wbijam spojrzenie w pierwszy zakręt gruntówki, jakieś sto metrów za bramą.

Jest wczesny ranek. Ciepły i absolutnie bezwietrzny. Mam wrażenie, że wszystko wstrzymało swój bieg, jakby ktoś wysłał cały świat na dziesięciominutową przerwę. I wtedy zza zakrętu wytacza się wielki,

czarny obiekt, a wierni zrywają się do chaotycznego biegu i wrzeszczą jeden przez drugiego.

Pojazd bardzo przypomina czołg. Przed Czystką widywałam podobne w telewizji, kiedy jeszcze mogliśmy ją oglądać. Ma sześć ogromnych kół, a na nich kanciasty, metalowy kadłub z okrągłą wieżyczką i wystającą z przodu długą lufą. Z rykiem silnika, zionąc czarnym dymem, wolno, ale nieuchronnie zbliża się naszą gruntówką.

Jacob lezie ociężale przez dziedziniec, wrzeszcząc na innych, którzy zrywają się i pędzą we wszystkie strony. Drzwi Wielkiego Domu otwierają się z trzaskiem i na werandę wypada Ojciec John. Na jego twarzy widnieje czarna chmura rozdrażnienia. Prorok wytrzeszcza oczy i ponownie znika w środku. Po dziedzińcu przewala się echem jego dudniący rozkaz: „Wszyscy do broni!”.

Dostaję gęsiej skórki.

„Do broni!”

Przypominam sobie o AR-15, który dostałam od Amosa. Leży na mojej szafce nocnej, załadowany i gotowy do użycia.

Czołg staje przed Bramą Frontową, a za nim, zza zakrętu drogi wylania się kolumna innych pojazdów. Widzę czarne furgonetki z literami ATF na drzwiach, czerwono-białe karetki, ciemnozielone jeepy i sześć czarno-białych radiowozów. Jeden z nich skręca i zatrzymuje się, ukazując napis, na którego widok staje mi serce.

„BIURO SZERYFA HRABSTWA LAYTON”.

Nie mogę się ruszyć. Ani oddychać.

Wpatruję się w ten napis i głowę wypełnia mi jedna, jedyna, przerażająca myśl.

„To przeze mnie”.

Wokół trwa chaotyczna gonitwa. Bracia i Siostry nawołują się i krzyczą zdezorientowani. Brzmią jak dzieci, ale kiedy zmuszam się, żeby spojrzeć, kto woła, dostrzegam Luke’a. Wybiega z Budynku Dwunastego uzbrojony w kałasznikowa. Wyraz promiennej radości na jego twarzy jest tak

szokujący, że wytrąca mnie z odrętwienia.

Rzucam się biegiem w jego stronę, krzycząc, żeby rzucił broń i wtedy otwiera się kłapa na wieżyczce czołgu, a spod niej wyrasta ciemna postać Rządowego z megafonem w ręce. Jestem jeszcze daleko od Luke'a, gdy w całej Bazie rozlega się wzmocniony głos:

– Członkowie Świętego Kościoła Legionu Pana! Mamy federalne nakazy aresztowania Johna Parsona oraz przeszukania i rekwizycji. Oba wydane zgodnie z Federalnym Kodeksem Postępowania Karnego i podpisane przez sędziego Warrena Hartforda z sądu okręgowego Hrabstwa Layton. W czasie gdy będziemy je wykonywać, prosimy zebrać się na centralnym placu z rękami w górze.

Pędzę w stronę Luke'a, który zatrzymuje się z poślizgiem na środku dziedzińca i unosi karabin do ramienia. Ktoś krzyczy: „Broń!”, a ja znów wrzeszczę, żeby ją rzucił, bo wiem, co to za ludzie, wiem, dlaczego tu są, i Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałam! Nie tak to miało wyglądać!

Luke naciska spust i z lufy AK-47 wystrzela jęzor ognia. Nieruchome ranne powietrze niesie metaliczny, ogłuszający huk wystrzałów. Z okolicy Bramy Frontowej dobiega mnie jazgot serii z automatu, a kule uderzające w miejsce, gdzie przed chwilą stał Luke, wzbijają pióropusze pyłu. Ale Luke'a już tam nie ma – leci w stronę Kaplicy i znika za jej węglem. Dziedziniec rozbrzmiewa okrzykami bólu i wściekłym skowytym, a ja nie mogę oderwać oczu od rozoranego kulami miejsca, gdzie przed chwilą stał Luke. Wydaje się, że strzały padają ze wszystkich stron naraz, jak gdyby nagle cały świat spłynął ołowianym deszczem.

Rzucam się na ziemię i wtulam głowę w ramiona. Wokół mnie kule chrzęszczą o asfalt, a z oddali, tak dalekiej, że mogłoby to być w innym hrabstwie, a nawet w innym stanie, raz po raz rozlega się wzmocniony przez megafon krzyk Rządu:

– Wstrzymać ogień! – Ale strzelanina nie rzednie ani nie ustaje.

Wstaję niezdarnie i gorączkowo rozglądam się po rozległym terenie Bazy. Część Braci i Sióstr pochowała się za budynkami, drzewami, większym sprzętem. Jedna lub dwie osoby znieruchomiały z zaciśniętymi

powiekami i przerażeniem malującym się na twarzach, ale większość zasypuje gradem ołowiu okolice Bramy Frontowej. Nad ogłuszającą kanonadą wznoszą się krzyki – nie umiem odróżnić wrzasków bólu od skowytów euforii wywołanych Ostateczną Bitwą, która wreszcie nadeszła.

Trzymając się jak najbliżej ziemi, co sił w nogach uciekam z dziedzińca. Rzucam jedno spojrzenie na południe, w stronę narożnika Budynku Ósmego, gdzie Rządowi wleką ciemną, bezwładną sylwetkę przez dziurę w ogrodzeniu, machając szaleńczo na jedną z karetek. Rządowy w wieżyczce czołgu nadal krzyczy przez megafon, żeby wszyscy przerwali ogień, ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Wszyscy drą się i ostrzeliwiają z zajętych pozycji, panuje totalny, ogłuszający chaos. Z wysiłkiem odwracam wzrok i biegnę za Budynek Ósmy. W każdej chwili spodziewam się uderzenia w plecy i fontanny własnej krwi rozbryzgującej się po pustynnej glebie.

Sprintem pokonuję pustą przestrzeń, dopadam Budynku Dziewiątego i otwieram drzwi szarpnięciem. Pędzę korytarzem i wpadam do mojego pokoju, unikając kul dziurawiących ściany wokół mnie. AR-15 leży na szafce nocnej, ale nawet na niego nie patrzę, tylko czołgam się przez pokój i wślizguję pod łóżko. Podważam luźną deskę w podłodze, chwytam foliowy worek z kluczem uniwersalnym i wstaję, wypadam na korytarz, biegnę do wyjścia i otwieram frontowe drzwi w momencie, gdy we framugę obok mnie trafia seria kul, więc, wrzeszcząc, rzucam się w tył i zwijam w kłębek na podłodze.

Gdy ponownie czołgam się do otwartych drzwi, zasypuje mnie fontanna drzazg. Na zewnątrz snuje się dym, a w powietrzu wisi gęsty, gryzący zapach strzelniczego prochu. Kanonada nie ustaje, trwa niekończąca się kakofonia wystrzałów, eksplozji i chrzęszczących uderzeń kul. Podnoszę się na czworaki, nabieram powietrza i wypadam przez otwarte drzwi. Co sił w nogach gnam na północ, w stronę metalowych kontenerów przy płocie.

To wszystko moja wina. To ja sprowadziłam na nas ten koszmar i wiem ponad wszelką wątpliwość, że nijak nie zdołam go powstrzymać.

A jednak jest coś, co mogę zrobić.

Nie pozwolę, żeby Honey zdechła w klatce jak zwierzę.

W ciągłych unikach, biegnąc zygzakiem wzdłuż krawędzi asfaltu, docieram do połowy dziedzińca, gdy nagle otwierają się drzwi Wielkiego Domu i ponownie staje w nich Ojciec John z pałającym na twarzy świętym gniewem i karabinem M4 w rękach.

– CENTURIONI, DO MNIE! – ryczy. – DZIECI, DO AGAVE! Do boju, Bracia i Siostry! Walczyć DO OSTATNIEGO LEGIONISTY! OTO NADESZŁA OSTATECZNA BITWA!

Jak grzmot nad Bazą rozlega się wspólny bojowy okrzyk i strzelanina potężnie tak bardzo, że powietrze wydaje się składać w większości z ołowiu, a ja mam wrażenie, że ktoś ściska mi głowę w imadle. A jednak przez tę piekielną nawałnicę przebija się myśl, która stopniowo wypełnia mnie, gdy biegnę przed siebie. Jest lodowata i pewna jak śnieżna burza.

„Już nie żyjemy”.

„Zabiłaś nas wszystkich”.

POTEM

– SŁUCHAŁEM WSZYSTKICH NAGRAŃ Z TAMTEGO RANKA – mówi agent Carlyle. – Wyraźnie słyhać, jak John Parson rozkazuje wszystkim „walczyć do ostatniego legionisty”.

Gardło mnie już boli, więc tylko kiwam głową i nalewam sobie wody z dzbanka stojącego na biurku.

– Chcesz kontynuować? – pyta doktor Hernandez. – Jeśli potrzebujesz zrobić przerwę, to nie ma sprawy.

Wlewam w siebie całą wodę z plastikowego kubeczka i kręcę głową.

– Nie chcę przerywać. Dokończę.

Przez długą chwilę patrzy na mnie, po czym kiwa głową i mówi:

– W porządku. Nie śpiesz się, bardzo dobrze ci idzie.

PRZEDTEM

PĘDZĘ W STRONĘ OTWARTEJ PRZESTRZENI między dziedzińcem a karcerem, gdy nagle z kłębow dymu wyłania się przede mną Jacob Reynolds. Jest uzbrojony po zęby, a w oczach ma obłąd.

Chrzęszcząc podszwami o glebę, robię unik w prawo. W powietrze wzbijają się tumany pomarańczowego pyłu, a ja gnam w stronę tylnej ściany Kaplicy. Gdy dopadam jej narożnika, kule wybijają dziury w białym tynku. Rzucam się za węgiel i padam jak długa. W zderzeniu z ziemią moje prawe biodro eksploduje falą bólu, który promieniuje w całej nodze, a ta ugina się pode mną, gdy próbuję wstać, więc znów upadam, zwijam się w kłębek i wyję. Boli. Żeby przywrócić czucie, oklepuję prawą nogę obiema rękami i teraz mam wrażenie, że wpadłam po pas w dziurę pełną mrówek ogniowych. Jestem pewna, że zaraz zwymiotuję z bólu. A jednak znowu gramolę się z ziemi i tym razem chwiejnie staję, a noga wytrzymuje mój ciężar.

Kulejąc, przemykam wzdłuż tylnej ściany Kaplicy. Gdy mijam szereg łukowatych okien, jakiś ruch we wnętrzu przyciąga moje spojrzenie, więc przystaję i zaglądam przez szybę. W przejściu między rzędami drewnianych ławek widzę Luke'a. Oblewa podłogę i ławki żółtym płynem pompowanym z czerwonego plastikowego kanistra. Kiedy dociera pod drzwi otwierające się na dziedzińiec, rzuca kanister i wyciąga z kieszeni pudełko zapalek.

I nagle wszystko staje się dla mnie jasne. Walę pięściami w szybę i wołam go po imieniu, ale on pociera zapalną i podpala pudełko. Gdy przenosi wzrok na mnie, czuję, jak wnętrzości mi lodowacieją, bo uśmiech, który maluje się na jego twarzy, jest najpotworniejszym

obrazem, jaki widziałam.

– PAN JEST DOBRY! – ryczy Luke, wpatrując mi się w oczy. Potem rzuca płonące pudełko w przejście między ławkami i wypada przez otwarte drzwi.

Wszystko zalewa migotliwa żółć.

Rozlega się odgłos tysiąca grzmotów. Czuję, że odrywam się od ziemi wraz z deszczem szklanych odłamków i jęzorami ognia, które liżą mnie w potężniejącym bąblu rozrywanych okien Kaplicy. Wszystko niewiarygodnie parzy, więc upadając, wiję się jak szalona, bo z pewnością cała płonę. Na pewno stoję w płomieniach, bo spowija mnie nieznośny żar.

Strzelanina cichnie, a nad nią znów wzbijają się krzyki. Gramolę się na nogi. W uszach mi dzwoni, włoski na ramionach zniknęły spalone. I wtedy dach Kaplicy pęka. Strzelające płomienie tłoczą w niebo spiralę czarnego dymu. Płonące kawałki drewna spadają wokół na płaskie dachy i zanim udaje mi się nabrać powietrza, pół Bazy staje w ogniu.

Kaszląc i bełkocząc, odsuwam się chwiejnie od płonącej Kaplicy. Staram się odzyskać jasność myślenia. Ktoś chwyta mnie za ramiona i odwraca. Jestem pewna, że to Luke, że zaraz pozbawi mnie życia serią z kałacha i nikt się o tym nawet nie dowie, ale to nie on, tylko Star. Wytrzeszcza oczy i ściska M16, który w jej drobnych rękach wydaje się wielki jak armata.

– Dlaczego nie walczysz, Moonbeam?! – krzyczy. – Przecież to Ostateczna Bitwa! Wreszcie nadeszła!

– Gdzie twoje córki? – Mój głos brzmi jak szorstkie skrzypnięcie. – Gdzie one są, Star?

– Agavé zabrała wszystkie dzieci do zachodnich kwater. Będą tam bezpieczne do czasu, aż zwyciężymy. Chodź ze mną, Moonbeam. Będziemy razem walczyć w imię Pana.

Odmawiam ruchem głowy i robię krok wstecz. Star patrzy bez zrozumienia, aż wreszcie unosi karabin i wymierza go w moją pierś.

Świat zamiera.

Żar płonącej Kaplicy zmienia się w chłód, a łoskot strzelaniny cichnie. Nawet dym wydaje się wisieć nieruchomo w powietrzu, a moje serce zastyga, bo patrząc w oczy Star, nie widzę łagodnej kobiety, która zwykle była dla mnie dobra, uwielbiała swoje dzieciaki i darzyła miłością naszych wiernych. W jej oczach czai się bestia, której nie poznaję.

To jakiś obcy człowiek.

– Nie rób tego, Star... Proszę cię...

Wpatruje się we mnie z wycelowaną bronią. Czekam, aż całe życie przeleci mi przed oczami, bo podobno tak właśnie ma się stać chwilę przed śmiercią, ale nic nie widzę, nic się nie dzieje i świat trwa w bezruchu do chwili, gdy Star odsuwa lufę i bez słowa znika w dymie. Stoję jak wmurowana, gdy w mojej głowie pojawia się obraz Honey leżącej bez życia w karczerze. Głos z tyłu głowy wrzeszczy, żebym się ocknęła. Biorę kilka głębokich wdechów i zrywam się biegiem, skręcając na północ w gęstniejącą chmurę dymu.

Noga wciąż piekielnie mnie boli, ale nie ustępuje pod moim ciężarem, i tylko to się liczy. W oddali majaczy rząd kontenerów. Gnam w ich stronę, ale ryzykuję jedno spojrzenie przez ramię.

Przez wirujące chmury dymu trudno cokolwiek dostrzec, a ogień rozlewa się jak woda po wyschniętej na wiór ziemi, zapalając wszystko, z czym się zetknie. Widzę przemykające wzdłuż ogrodzenia czarne sylwetki Rządowych, nie wiem, czy są już wewnątrz Bazy, ale kanonada nie ustaje – od łomotu wystrzałów dzwoni mi w uszach.

Dopadam jedyne zamknięte kontenera, obchodzę go dookoła i staję przy wejściu. Wyciągam z kieszeni foliowy worek, rozrywam go i kurczowo chwytam uniwersalny klucz. Krzyczę do Honey, że „to ja, że wszystko będzie dobrze”, wsuwam klucz do kłódki i obracam go. Przez ułamek sekundy klucz ani drgnie, ale wtedy kłódka otwiera się i spada na ziemię, drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, a ja przez długą chwilę wpatruję się w ciemność, bo nie wiem, co mam zrobić.

Kontener jest pusty.

Odwracam się i próbuję przebić wzrokiem snujące się kłęby dymu. Kaplica płonie piekielnym ogniem. Widzę też rozmazane sylwetki moich Braci i Sióstr. Biegają we wszystkie strony, strzelając do celów, których z tej odległości nie sposób zobaczyć.

Nie widzę Honey.

Nie ma po niej śladu.

Słyszę zbliżające się kroki i nagle zdaję sobie sprawę, że nie licząc dzieci zamkniętych w kwaterach, w promieniu ośmiu kilometrów jestem chyba jedyną nieuzbrojoną osobą. Odwracam się i widzę Bellę wyłaniającą się z chmury dymu z czarnym pistoletem w ręku.

– Co ty wyprawiasz, Moonbeam? Dlaczego nie...

– Gdzie jest Honey? – przerywam jej.

– Nie twoja sprawa! – odkrzykuje z wściekłym błyskiem w oku. – Dlaczego nie walczysz za Rodzinę? Gdzie twoja...

– Powiedz mi, gdzie ona jest! Natychmiast!

Bella otwiera szeroko oczy i unosi broń, ale jestem szybsza od niej. Celowano do mnie przed pięcioma minutami. Na dziś już wystarczy.

Uderzam dłonią w jej nadgarstek. Fala uderzeniowa rozchodzi się aż po mój bark, ale to Bella wydaje okrzyk bólu i upuszcza broń na ziemię. Robię krok do przodu i uderzam ją w mostek. Bella cofa się chwiejnie, ale nogi jej się plączą i upada na wznak, a ja przyskakuję do niej z zaciśniętymi pięściami. Zarazem umieram ze strachu i tętni we mnie wściekłość, jakiej dotąd nie znałam. Mam ochotę ją rozpierdolić! Podnoszę pistolet i wymierzam go w serce Belli.

– Gdzie jest Honey? Trzeci raz nie spytam – warczę.

– Amos ją wypuścił. – Jej szeroko otwarte oczy wypełniają się strachem. – I chyba zamknął z innymi.

– W zachodnich kwaterach?

Bella potakuje skinieniem. Nie ma czasu do stracenia. Zostawiam ją na ziemi i wracam, skąd przybiegłam.

Pędzę przez dziedziniec. Oczy mi łzawią, serce łomocze w piersi.

Huk wystrzałów ogłusza, kule świszczą wokół, a ich cichy skowyt brzmi jak przyśpieszone brzęczenie owadów, ale nie zwalniam, nie zmieniam kierunku. Kaplica płonie, jej dach obejmują ryczące płomienie, z których unosi się wielki pióropusz czarnego dymu, a wzmocniony megafonem głos Rządu dudni wszędzie wokół, bez końca powtarzając te same żądania.

– Rzućcie broń i wyjdźcie powoli z rękami nad głową!

Nikt go nie słucha. Ani Rządowi, ani – tym bardziej – żadne z moich Braci i Sióstr.

W oddali, blisko Bramy Frontowej, terkoceczołg. Miażdży wiotki drucziany płot, żłobiąc pustynię gąsienicami. Gdzieś spoza ryku silników i bezustannego grzechotu wystrzałów dochodzą mnie słabe okrzyki bólu i błagania o pomoc, ale udaję, że ich nie słyszę. Wbijam wzrok w drewniane kwatery na zachodnim skraju Bazy i pędzę naprzód.

Potykam się o coś.

Stopy płaczą mi się i padam jak długa na spękany asfalt dziedzińca. Uderzając o ziemię, czuję, jak wściekły ból przeszywa moje ramię, ale zaciskam zęby, wstaję i oglądam się, by zobaczyć, o co się potknęłam.

Alice leży na plecach. Trzyma się za brzuch.

Bluzkę ma przesiąkniętą czerwienią. Trudno uwierzyć, że tak wielka kałuża krwi wypłynęła z jednego człowieka. Ale Alice żyje. Znajduje mnie półprzytomnym wzrokiem i patrzy z wyrazem, którego nie umiem opisać. W jej bolesnym spojrzeniu jest szok, strach i coś na kształt zdziwienia, jakby nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło.

Patrzę jej w oczy. Chcę z nią zostać, powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że wydobrzeje, ale nic nie jest w porządku. Nie znam się na ranach postrzałowych, ale wątpię, czy Alice się wyliże.

Jestem prawie pewna, że umrze.

Wpatruję się w nią, tracąc cenne sekundy, ale mój umysł resztkami przytomności wrzeszczy: „RUSZAJ!”, więc zrywam się i pędzę do

zachodnich kwater. Oczy Alice rozszerzają się, gdy się odwracam, ale nie ma w nich złości. Chyba rozumie, co muszę zrobić.

Przynajmniej tak sobie mówię.

Z wirującego dymu wyłania się postać. Hamuję, ślizgając się, i podnoszę ręce do góry. Ale to nie jest jeden z Rządowych w czarnym hełmie i goglach. Oczy Amosa są przekrwione i spuchnięte, jedno ramię zwisa bezwładnie, a w zdrowej, rozedrganej ręce widzę pistolet.

– Gdzie Ojciec John? – pyta ochrypłym, rwanym głosem. – Widziałas go?

Potrząsam głową, próbując go obejść, ale chwytą mnie za ramię i przyciąga.

– Gdzie on jest? Gdzie Prorok? – chrypi.

– Nie wiem! – odpowiadam, krzycząc, bo czołg jest już na dziedzińcu, strzelanina sięga zenitu, a ogień skacze z budynku na budynek. Już go nie wyprzedzę.

Odpycham Amosa z całej siły. Zatacza się do tyłu. Wyciąga pistolet w moją stronę, ale ja już pędzę dalej. Słyszę strzały za plecami, ale żaden nie sięgnie celu, nim zapadnę się w dym.

Trudno tu oddychać. Zasłaniam usta i nos dłonią, ale dym jest gęsty, gryzący. Przeciska się między palcami, wywołując kaszel. Biegnę, lawirując i skacząc nad ciemnymi kształtami leżących wokół Braci i Sióstr. Niektórzy poruszają się, wlekąc ciała po ziemi lub wiją się w konwulsjach, jakby w ataku padaczki, ale tylko niektórzy.

Większość się nie rusza.

Wyrastają przede mną zachodnie kwatery. Ich ściany i płaskie dachy spowijają gryzący dym. Strzelanina za plecami nie ustaje. Przy takim roju kul w powietrzu nieuniknione wydaje się kwestią czasu. Ale jeśli tylko zdołam otworzyć kwatery, to nic innego mnie nie obchodzi.

Naprawdę nic.

Wytaczam się z gęstego dymu i pędząc ku najbliższej chacie, nerwowo wyciągam z kieszeni uniwersalny klucz. Chwytam kłódkę na drzwiach.

Słyszę skwierczenie i przez ułamek sekundy nie rozumiem, co się stało, aż moje ciało eksploduje bólem. Odrywam rękę od kłódki – zostaje na niej większość skóry z wnętrza dłoni. Padając na kolana, przyciskam oparzoną dłoń do brzucha, a z ust wyrywa mi się nieludzki wrzask.

Nie zniosę tego!

Boli!

Jakby ktoś wcisnął mi dłoń do słoja z kwasem i trzymał tam siłą. Mózg stara się ogarnąć tę gehennę. Przy niej wszystko inne schodzi na dalszy plan: smród dymu, żar ognia i huk wystrzałów. Szarość wciska się we mnie ze wszech stron, jak gdyby ktoś pokrętem zmniejszał czułość moich zmysłów. Wtedy coś popycha mnie od tyłu, powalając na ziemię, i wszystko gwałtownie wraca.

Nade mną stoi jeden z Rządowych. Jego twarz kryje maska. Celuje we mnie bronią, między oczy.

– Pokaż ręce! – słyszę głos mężczyzny. – Chcę je zobaczyć!

Podnoszę je nad głowę, trzęsą się.

– Proszę – skrzeczę sucho – tam są dzieci. W kwaterach.

– Stul pysk! – wrzeszczy. – Ani słowa!

– Proszę – powtarzam. – W środku. Musisz im pomóc.

Rządowy spogląda na budynki. Mam zawroty głowy, a mój żołądek kurczy się gwałtownie. Rozdzierający ból dłoni zaraz pozbawi mnie przytomności, ale nie pozwalam sobie zamknąć oczu. Zmuszam skołowany mózg, by skupił się na majaczącej nade mną ciemnej postaci.

– Kłódki – szepczę, podając mu klucz. – Błagam...

Opadam z sił. Rządowy patrzy na kwatery. Potem na mnie. I znów na kwatery.

– Szlag! – rzuca, po czym wyrywa klucz z mojej ręki i obraca się ku drzwiom. Patrzę, jak chwyta kłódkę dłonią w rękawiczce, wsuwa klucz i przez jedną potworną chwilę uderza mnie myśl, że to wszystko okaże się stratą czasu, że klucz uniwersalny nie pasuje do tych kłódek. I wtedy zamek się obraca, a kłódka ustępuje. Rządowy otwiera drzwi na oścież,

a z wnętrza, kaszląc, wytacza się tłum moich Braci i Sióstr. Z ich przekrwionych oczu leją się łzy.

– Do Bramy Frontowej – charczę resztką sił. – Idźcie razem, z rękami w górze...

W grupce dostrzegam Honey i coś ściska mnie w piersi tak mocno, że na chwilę zapominam o bólu dłoni. Honey ma przekrwione oczy, spuchnięte powieki i bladą skórę, ale na jej ustach i zaciętej twarzy rysuje się determinacja, którą tak dobrze znam. No i oddycha! To najważniejsze.

Bałam się, że nie będzie oddychać.

Pomaga wyjść z kwatery ostatnim szlochającym, spanikowanym dzieciakom i prowadzi je na południe, ku Bramie Frontowej. Rządowy pędzi do następnych drzwi, wzywając wsparcie przez radio, a we mnie coś odpuszcza. Ulga jest tak potężna, że mogę jej niemal dotknąć. Włacza nowe życie w moje wyczerpane mięśnie, więc dźwigam się i siadam.

Dzieciaki idą przez dziedziniec z rękami w górze. Nagle z dymu wypadają Rządowi, chwytają moich Braciszków i Siostrzyczki i wynoszą ich przez dziury ziejące w płocie. Dzieci płaczą i wołają rodziców. Serce mi pęka, ale mówię sobie, że przecież żyją, ocalały, i tylko to jest ważne. Tylko to się liczy, gdy płonie świat.

Dobiega mnie wrzask. Jest tak potężny i przenikliwy, że przebija się przez strzelaninę i piekielny huk pożaru. Obracam głowę tam, skąd dochodzi. Przy płonących ruinach Kaplicy dwaj Rządowi schwytali Luke'a. Niosą go nad ziemią za ramiona i nogi. Miota się w ich uścisku, wyje i wrzeszczy, żeby go zostawili, żeby pozwolili mu Wniebowstąpić wraz z innymi.

Jego wrzask, żarliwy, pełen furii, desperacji i dzikiej paniki jest ostatnią rzeczą, którą słyszę. Potem zapada ciemność.

POTEM

GDY KOŃCZĘ OPOWIADAĆ, W POKOJU NA DŁUGO ZAPADA CISZA. Jestem wykończona, mam wrażenie, że zużyłam ostatni gram energii, ale to uczucie nie jest nieprzyjemne. Jest, owszem, dziwne i nie wiem, co mam teraz zrobić, ale myślę, że właśnie taki smak ma wolność.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jak to jest przeżyć coś takiego – odzywa się doktor Hernandez. Mówi cicho i wpatruje się we mnie z takim przejęciem, że zaczynam czuć dyskomfort. – Jesteś niezwykłą młodą kobietą, Moonbeam. Zrelacjonowanie tej historii wymagało od ciebie wielkiej odwagi, naprawdę, brak mi słów, aby wyrazić mój podziw.

– Że niby panu brak słów?

Doktor łapie mój żarcik i się uśmiecha.

Ale agent Carlyle jest poważny.

– Twoja odwaga nie ulega kwestii. Ale, mimo że robię to niechętnie, muszę spytać o coś, co wyszło w naszych rozmowach już dawno. Wtedy nie nalegałem, żebyś o tym mówiła, ale teraz muszę. Czy podtrzymujesz wersję, że w czasie pożaru nie weszłaś do Wielkiego Domu?

– To nie żadna „wersja” – kłamię – tylko prawda.

Agent mruży oczy, ale nie widzę w nich złości, tylko rozczarowanie.

– Dobrze. No to się jej przyjrzyjmy. Czy wiedziałaś, że tamtego ranka, siedemnastego, zarejestrowano prawie dwieście godzin nagrań wideo?

– Nie.

– Agenci biorący udział w akcji mieli kamery osobiste, a każdy pojazd był wyposażony w co najmniej jedną. Analizując te nagrania, klatka po

klatce, uzyskaliśmy jednoznaczny wizualny zapis całego wydarzenia i to z kilku różnych ujęć. Dlatego z całą pewnością mogę powiedzieć, że Honey nie wyszła z zachodnich kwater, kiedy agent Jefferies otworzył drzwi twoim kluczem uniwersalnym. Przeszła przez Bramę Frontową z podniesionymi rękami cztery minuty wcześniej, a kiedy uwalnialiście dzieci, była już opatrywana w karetce.

– Widziałam, jak wychodzi z kwatery.

– Nie. Nie było jej tam.

– Ale ja ją widziałam. – Jak dziecko obstaję przy kłamstwie, choć wiem, że je zdemaskowano, ale wydaje mi się, że nie mam innego wyjścia. Choć wcale nie chciałam im nic opowiadać i bałam się to zrobić, to jednak opowiedziałam o wszystkim, z małym wyjątkiem.

Dla siebie zachowałam tylko tę jedną rzecz, której nie mogę im wyjawić.

„Po prostu nie mogę”.

Agent Carlyle wpatruje się we mnie bez słowa.

– Widziałam ją – powtarzam. – Nie chcecie, to nie wierzcie, wszystko mi jedno.

– No dobrze, spróbujmy zachować spokój – odzywa się doktor Hernandez. – Nie musimy walczyć na słowa.

– Jestem spokojna.

– Ja również – mówi agent Carlyle. – Czy wiesz, że jedna z kamer świetnie uchwyciła moment, w którym celowałaś do Belli?

– Przecież o tym mówiłam.

– Owszem. Powiedziałaś, że zostawiłaś ją leżącą na ziemi i poszłaś do zachodnich kwater uwolnić zamknięte dzieci.

Potakuję skinieniem.

– Bo tak było.

Agent kręci głową.

– Nie. Nie było tak. Faktycznie poszłaś do zachodnich kwater, ale nie

wtedy. Gdy zostawiłaś Belle, na nagraniu widać, jak wchodzisz do Wielkiego Domu. Spędziłaś tam ponad sześć minut.

– To nieprawda – mówię coraz głośniej. – Ile razy mam wam powtarzać?

– Moonbeam – przerywa doktor Hernandez. – Wiem, że czujesz potrzebę, żeby się chronić. Naprawdę to rozumiem. Ale miałem nadzieję, że już sobie ufamy.

– Mówię prawdę. – Twarz mi płonie i mam nadzieję, że nie widzą moich rozedrganych rąk. – Ale wielkie dzięki za wpędzanie mnie w poczucie winy. Naprawdę, bardzo dziękuję.

Doktor krzywi się, różowiejąc – jak mi się wydaje – ze wstydu.

– Przyniosę monitor i obejrzymy to nagranie – mówi agent Carlyle. – Myślisz, że odświeży ci pamięć?

Kręcę głową.

– Nie potrzebuję żadnych nagrań.

– Czyli nie zamierzasz nam powiedzieć, co się stało w Wielkim Domu?

„Tylko spokojnie – szepcze głos z tyłu głowy. – Gdyby wiedzieli, co zrobiłaś, toby na ciebie nie naciskali. Powiedzieliby ci wprost”.

Biorę głęboki wdech.

– Nie wiem, co się tam stało, ponieważ tam nie wchodziłam.

– Myślę, że jednak weszłaś – mówi agent. – To znaczy wiem, że tak było. Dlatego jestem ciekaw, co takiego musiałaś zrobić, że teraz nie chcesz o tym opowiedzieć.

Wzruszam ramionami, bo nie znajduję słów.

Doktor Hernandez pochyla się do przodu.

– Myślę, że powinniśmy na dziś przerwać. Wiemy, że opowiadanie o tych wydarzeniach jest dla ciebie trudne, Moonbeam. Nie chcę, żebyś ani przez chwilę myślała, że ktoś tutaj nie docenia twojej szczerości i siły ducha. Prześpijmy się z tym i dajmy sobie czas, żeby pomyśleć. Wszystkim nam się to przyda.

Agent Carlyle potakuje skinieniem.

– Zgadzam się. Ale rano wrócimy do tematu. Może uda nam się spojrzeć z trochę innej perspektywy.

– Dobrze – mówię, chociaż nie widzę sensu, bo zastanawiałam się nad tym tematem już bardzo długo, znacznie dłużej od nich. Kilka godzin nic nie zmieni.

Doktor Hernandez zbiera swoje rzeczy i obaj kierują się w stronę wyjścia. Agent Carlyle spogląda na mnie jeszcze przez ramię, zanim otworzy drzwi, a wyraz jego twarzy uderza mnie prosto w serce. Nie ma w niej złości, ani nawet rozczarowania, tylko współczucie.

„Jest mu mnie żal”.

Drzwi zamykają się, a ja wbijam wzrok w ścianę, próbując uspokoić łomot serca.

„Oni nie wiedzą – mówię sobie. – W porządku. Nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą, no, chyba że sama im powiesz, więc musisz być silna”.

To coś zupełnie innego niż mój telefon do Biura Szeryfa, który – jak niesłusznie sądziłam – miał mnie wpakować w straszne kłopoty. Jeżeli odkryją, co zrobiłam w Wielkim Domu, to już nigdy stąd nie wyjdę.

Przenigdy.

Siedzę przy biurku i skupiam się na tym, żeby spod kredki wyszło coś innego niż klify, woda i błękitny domek. Próbuję narysować Nate'a – takim, jakim go zapamiętałam.

Wydaje mi się, że to zaledwie wczoraj obudził mnie w środku nocy, zostawił telefon, klucz uniwersalny i powiedział, że odchodzi, ale chyba coś dziwnego dzieje się z moją głową, bo nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądał.

Byłam przekonana, że nigdy więcej go nie zobaczę, więc mogłam podświadomie uznać, że nie ma sensu zachowywać go w pamięci, bo to wspomnienie będzie zbyt bolesne. Szorując ołówkiem po kartce, usiłuję wyczarować z powietrza męskie linie jego twarzy, zieleń oczu i szerokie

usta, zwykle ułożone w uśmiechu, który napełniał mój żołądek lawą.

Pierwszy szkic zupełnie go nie przypomina, więc zgniatam kartkę i rzucam na podłogę. Drugi i trzeci nie są lepsze i gdzieś w środku czuję oparzenia pierwszych węgielków frustracji. Ale w czwartym szkicu udaje mi się coś uchwycić.

Niby to tylko kilka kresek na krzyż, ale, jeśli dobrze się przyjrzeć, w środku rysuje się podbródek Nate'a i zdecydowane, kanciaste linie jego szczęki. Przejeżdżam ołówkiem w górę strony, przywołując obraz jego oczu i ciepło, które zawsze w nich widziałam, ale mój własny mózg mnie zdradza. Zaczyna wrzeszczeć, że Nate był kłamcą i to zawodowym, którego nigdy w najmniejszym stopniu nie obchodziłam, i cała prawda, jaką przez chwilę widziałam w rysunku, zamazuje się i znika.

Tę kartkę też zgniatam w kulę i rzucam nią o ścianę. Odbija się i spada na podłogę obok poprzednich, a ja odchylam się na oparcie i próbuję zebrać myśli.

Jakie to uczucie udawać kogoś, kim się nie jest? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby coś takiego robić i to przez długi czas, a w dodatku przekonująco?

„Sama powinnaś to wiedzieć – szepcze głos z tyłu głowy. – Jak długo po Wygnaniu twojej matki udawałaś Oddaną i Wierną Legionistkę? Trzy lata? Do samego końca?”.

Krzywię się i każę mu zamilknąć, bo to dwie zupełnie inne rzeczy. Naprawdę. Może nie powiedziałam Braciom i Siostram, że Wiara zaczyna mnie opuszczać, ale przecież byłam tą samą osobą, którą zawsze znali. Byłam nadal sobą. Za to Nate mieszkał w Bazie przez ponad dwa lata i nigdy nie był tym, za kogo się podawał. Ludzie polubili go, zaufali mu i przyjęli do Rodziny jak swego, a on cały czas patrzył, słuchał, kłamał i knuł.

„Tego nie wiesz. Nie wiesz, czy był taki, jaki ci się wydawał, czy był kimś zupełnie innym. Możesz być pewna tylko jednego: że udawał swoją wiarę w Ojca Johna i w Legion. Tak samo jak ty”.

Znowu odpycham od siebie ten głos, tym razem bardziej stanowczo, bo

chcę być wściekła na Nate'a i wcale nie mam ochoty wysłuchiwać porad na temat tego, jak powinnam się zachowywać albo co myśleć. Nawet jeśli Nate nie udawał, że jest kimś innym, to oszukiwał w kwestii przyczyn, dla których wstąpił do Legionu i kłamał za każdym razem, gdy nazywał się czymś Bratem, bo własnej Rodziny się nie szpieguje. W każdym razie nie jest to normalne.

Czy składał na nas raporty? Chyba musiał, bo jeśli nie miał przekazywać informacji na zewnątrz, to po co miałby go wysyłać do Bazy?

A może o mnie też pisał? O głupiej dziewczynie, która bez przerwy łązi za nim jak szczeniak i darzy go tak żalną wdzięcznością za okazywaną uwagę, że nigdy go nie przejrzała?

Ta myśl dźga mnie w serce jak nóż.

„Daj spokój. Doktor Hernandez powiedział, że Nate nie udawał kogoś innego, niż był w rzeczywistości. Zresztą co by zyskał, oszukując cię? Musisz wierzyć, że był przyjacielem”.

Przywołuję w pamięci cały ten czas spędzony z Nate'em. Ciepłe, radosne chwile wydają się teraz zimne i puste, jak gdyby spowiły je ciemne chmury. Kolory i światło zniknęły, a ich miejsce zajęła jednolita szarość. Po części zadziwia mnie sprawność, z jaką demontuję swoje wspomnienia i błyskawiczne tempo, w jakim zmieniam własną historię. Posługując się prawdą o Nacie jak siekierą, zawzięcie rąbię i siekam to, co kryje się we mnie najgłębiej, tę kruchą i chwiejną kwintesencję mnie samej.

„Muszę wierzyć, że był moim przyjacielem. Po prostu muszę”.

Wstaję od biurka i kładę się na łóżku.

Za kilka minut siostra Harrow przyniesie obiad, a po nim zabierze mnie na sesję grupową, chyba że znów ją odwołają. Potem czeka mnie wieczór – ciągnąca się w nieskończoność męczarnia – aż wreszcie nadejdzie noc, a wraz z nią sen, oby bez koszmarów. Ale nigdy nie wiadomo. Po nocy przyjdzie ranek i sesja w Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Ja skulę się na sofie, a oni wciąż i wciąż od nowa będą męczyć mnie pytaniami, na

których skończyliśmy dzisiaj.

Wiem, że mi nie odpuszczą, bo to, co się stało w Wielkim Domu, jest ostatnią rzeczą, o której ja wiem, a oni nie. I w porządku. Naprawdę nie mam im za złe, że będą o to pytać. Ale nie powiem im, co zrobiłam.

I to nie tylko ze strachu przed tym, co by się ze mną stało, gdybym im powiedziała.

Nie powiem im, bo to jest jedyna rzecz, która jest moja i tylko moja.

POTEM

DOKTOR HERNANDEZ WCHODZI DO POKOJU ROZMÓW INDYWIDUALNYCH NR 1 i zamyka za sobą drzwi.

Drapię się po nowym bandażu – rano przy okazji śniadania siostra Harrow zmieniła mi opatrunek. Skóra pod nim wciąż trochę błyszczący, ale wygląda prawie normalnie, chociaż piekielnie swędzi. Gdy doktor siada i otwiera skórzaną torbę, ściągam brwi.

– A gdzie agent Carlyle? – pytam.

Doktor uśmiecha się, rozkładając notesy i przybory do pisania.

– Musiał wyjechać do Dallas na jeden dzień. Jutro wróci.

„Co za kit”.

– Skoro pan tak twierdzi.

Doktor nieznacznie mruży powieki.

– Mówię prawdę, Moonbeam.

– Wierzę. Tylko się zastanawiam, czy inni mówią prawdę panu.

– Co masz na myśli?

– Agent Carlyle był na wszystkich naszych sesjach, z wyjątkiem kilku pierwszych. Wczoraj zdecydowaliście obaj, że kłamię w sprawie pożaru, a dziś wzywają go do Dallas? Taki nagły zbieg okoliczności?

– Nigdy nie twierdziłem, że wiem wszystko – odpijera doktor. – Nie jestem funkcjonariuszem organów ścigania, więc pewnie ukrywają przede mną bardzo wiele rzeczy. Ale dziś rano agent Carlyle powiedział mi, że jutro wraca i na własne oczy widziałem, jak wsiada do samochodu.

– No to rzeczywiście, nie mógł mu pan nie uwierzyć. A teraz ja muszę

uwierzyć panu.

Doktor ściąga brwi.

– A sądzisz, że nie powinnaś?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Wcześniej myślałam, że nie, a potem zaczęło mi się wydawać, że mogę. Ale teraz nie jestem pewna.

– Pozwól, że będę całkowicie szczery – mówi doktor. – Cieszę się, że Carlyle’a nie ma dziś z nami. W ciągu ostatnich kilku dni nastąpiło wiele znaczących przełomów w twojej terapii, ale śledztwo rządzi się swoimi prawami, więc musieliśmy zareagować na te przełomy nie całkiem tak, jak bym sobie życzył. Dziś chciałbym porozmawiać o tobie i o tym, jak się masz.

– Mam się dobrze.

Kręci głową przecząco.

– To jest odpowiedź na odczepnego.

– Ale prawdziwa.

Doktor kiwa głową i zapisuje coś w jednym z notesów. Gdy czekam, aż skończy, nagle docierają do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, moje przesłuchanie – bo to było przesłuchanie – dobiegło końca i teraz wrócimy do procesu terapeutycznego doktora Hernandeza. Po drugie, wciąż tutaj jestem, chociaż agent Carlyle najwyraźniej doszedł do wniosku, że wydobył ze mnie już wszystkie informacje, a w każdym razie te przydatne.

„A więc nigdy mnie stąd nie wypuszczą”.

– To nieprawda. – Wiem, że powrót do wczorajszego tematu jest z mojej strony głupotą, ale jakaś uparta część mnie każe mi kuć to żelazo, przekonać ich jakoś, żeby zignorowali dowody i uwierzyli w moje kłamstwo. – Mam na myśli to, co mówił wczoraj agent Carlyle, że byłam w Wielkim Domu. Nieprawda.

Doktor Hernandez kończy notować i odkłada długopis.

– Bardzo mnie to ciekawi.

– Dlaczego?

– Oglądałem nagranie, o którym wspomniał Carlyle. I na własne oczy widziałem, jak wchodzisz do Wielkiego Domu i wychodzisz z niego po sześciu minutach. Wiem, że coś przed nami ukrywasz, chociaż nie wiem co dokładnie. Ale to nie szkodzi, Moonbeam. Szczegóły wydarzeń tamtego ranka są niezmiernie ważne dla agenta Carlyle’a, ale ja nie jestem śledczym. Mnie interesuje, dlaczego nie chcesz mówić o tym, cokolwiek się tam wydarzyło.

– Więc pan też twierdzi, że kłamię.

Doktor się uśmiecha.

– Oboje wiemy, że nie mówisz całej prawdy. Sądzę, że myślisz trzeźwo i raczej nie doznałaś amnezji, więc, według mnie, świadomie postanowiłaś coś zataić. Jeśli chcesz porozmawiać o tej decyzji, jestem do twojej dyspozycji. Ale jeżeli wolisz zmienić temat, to też w porządku.

– A więc go zmienimy – mówię.

Siedzimy z Honey przy jednym ze stolików w Sali Terapii Grupowych, przyglądając się w milczeniu zabawom młodszych Braci i Sióstr.

Gdy weszłam do sali, Jeremiaś miał czerwone oczy, ale gdy spytałam, czy płakał, kategorycznie zaprzeczył. Bawią się teraz z Aurorą klockami Lego i wydaje się, że już ma się dobrze, chociaż przecież nie sposób zajrzeć tym dzieciakom do głów i zobaczyć, co naprawdę się w nich dzieje.

– Rainbow śnił się koszmary – mówi Honey cichym głosem. – O pożarze. Mówiła mi.

Krzywię się.

– Nie jestem specjalnie zaskoczona.

– Mówi, że była zamknięta w jej pokoju w Budynku Dwunastym. Pożar coraz bardziej się zbliżał, a ona leżała na łóżku i nie mogła się ruszyć. Wołała o pomoc, ale nikt nie przyszedł.

Przypominam sobie, jak wyglądała ona i pozostałe dzieciaki, gdy szły

z rękami w górze przez dziedziniec w stronę Bramy Frontowej wśród szalejącego wokół pożaru i świszczących zewsząd kul. Wspominam przemykające wśród dymu ciemne sylwetki oraz mężczyzn i kobiety, znanych tym dzieciakom przez całe życie – ich Braci, Sióstr i Rodziców – leżących pokotem na ziemi, krwawiących i umierających. Fakt, że te dzieciaki nie popadły w katatonię, zakrawa na cud. Powiedziałabym tak, gdybym wciąż wierzyła w cuda.

Poczucie winy cięższej mi jak głaz, ilekroć na nich patrzyłam, znika. Jestem za to wdzięczna. Naprawdę. Ale spoglądając na nich teraz, roześmianych, zatopionych w rozmowach i zabawie, wcale nie czuję się lepiej. Jeśli moje samopoczucie w ogóle się zmieniło, to na gorsze, bo teraz zdaję sobie sprawę, że nie mogę zrobić nic, żeby naprawić to, co zostało zburzone.

„Naprawa zniszczeń to nie twoje zadanie – mówi głos. – Sama dobrze o tym wiesz”.

Wiem, że pożar nie wybuchł z mojej winy. Że nie jestem za niego odpowiedzialna. To nie ja zamknęłam tu moich Braci i Siostry bez rodzin i nie ja napełniłam ich serca smutkiem.

Ale...

Część mnie – rosnąca i coraz bardziej przepelniona nadzieją – wierzy, że skoro w jakiś sposób zaufałam doktorowi Hernandezowi i agentowi Carlyle’owi na tyle, by opowiedzieć im o moim telefonie do szeryfa, to gdybym zdołała wyrzucić z siebie sekret, który wciąż noszę, byłabym wreszcie wolna. W końcu udało mi się nie tylko stłumić poczucie winy, ale wręcz zupełnie się go pozbyć.

Ale gdy przyglądam się młodym Braciom i Siostrom, dociera do mnie, że nie jestem wolna.

Nie zbliżyłam się nawet do wolności.

Tak samo jak oni jestem w potrzasku.

POTEM

TO JUŻ CZWARTA PORANNA SESJA bez udziału agenta Carlyle'a.

Doktor Hernandez nie stara się już usprawiedliwiać jego nieobecności. Chyba wie, że to bez sensu, bo już pierwszego ranka, kiedy rzekomo wezwano Carlyle'a do Dallas, zrozumiałam, co się za tym kryje. Wydobył ze mnie wszystko, co się dało, i zwinął kramik.

Najgorsze jest to, że mi go brak.

Teraz, kiedy już przeszła mi złość i rozczarowanie z powodu jego zniknięcia, czuję, że za nim tęsknię.

Lubiłam z nim rozmawiać. W każdym razie pod koniec to polubiłam. Przyzwyczaiałam się też do jego obecności, do puszcanych przez niego oczek i głębokiego śmiechu, i skrywanych, ale widocznych emocji, mogących w każdej chwili wyrwać się spod kontroli. Powiedziałam mu o rzeczach, których miałam nikomu nie zdradzić, i nie żałuję tego.

Rozumiem, że miał tu zadanie do wykonania, zadanie, którego kluczowym elementem byłam ja. Nie, wcale nie roiłam sobie, że połączyła nas przyjaźń i kiedy wszystko się skończy, Carlyle zaadoptuje mnie, zabierze do domu, a jego córka będzie mi jak siostra i odtąd będziemy żyć długo i szczęśliwie. Nie jestem idiotką.

Ale szkoda, że tak jasno dał mi do zrozumienia, jak bardzo jestem zbędna.

„Przecież wiesz, co zrobić, żeby wrócił, szepcze głos w mojej gowie. Mogłabyś obiecać, że opowiesz mu o tym, co go tak ciekawi. Przyleciałby tu w podskokach”.

Tak, wiem. I część mnie domaga się, żebym tak zrobiła. To, co się

wydarzyło w Wielkim Domu, zaczęło mi ciążyć jak kamień ciągnący pod wodę. Część mnie chce się go pozbyć, za wszelką cenę wyjawić prawdę.

„No więc zrób to – szepcze głos. – Raz na zawsze zakończ sprawę”.

„Nie mogę – odpowiadam. – Wiesz o tym. I nie ze względu na agenta Carlyle’a, doktora Hernandeza czy mnie samą. Nie mogę tego zrobić przez wzgląd na moich Braci i Siostry. Na ludzi, których nazywałam Rodziną. Im tej prawdy wyjawić nie mogę”.

„No dobrze – szepcze głos. – A może mogłabyś ją wyjawić... komuś innemu?”.

Serce zamiera mi w piersi.

Powtarzam słowa wypowiedziane przez głos raz i następny, i kolejny, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że tak długo na to nie wpadłam. Bo przecież wiem, o kim mowa. Jest ktoś, komu mogłabym się zwierzyć. Nagle wszystko staje się jasne.

Doskonale wiem, co zrobię.

– Jak się dziś masz, Moonbeam? – pyta doktor Hernandez.

– W porządku. Muszę panu coś powiedzieć.

Odchyła się na oparcie.

– Jasne. Mów.

Biorę głęboki wdech.

– Weszłam do Wielkiego Domu. – Słyszając te słowa wypowiedziane na głos, czuję, jak moja klatka piersiowa się zaciska. – W czasie pożaru. Weszłam tam.

Doktor kiwa głową.

– Okej.

– Przepraszam, że skłamałam. Naprawdę mi przykro. Ja po prostu czułam, że... że to konieczne.

– A możesz mi wyjaśnić, dlaczego tak czułaś?

Potrząsam głową przecząco. Może i umiałabym mu wytłumaczyć, może nawet by zrozumiał, ale zajęłoby to dużo czasu, a myślę, że nie ma to już

żadnego znaczenia.

– Nic nie szkodzi – mówi. – Naprawdę, nic się nie stało. Cokolwiek wydarzyło się wtedy w Wielkim Domu, cokolwiek tam widziałas albo zrobiłaś, obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Nie narobisz sobie żadnych problemów.

I wtedy – pierwszy raz od długiego czasu, wydaje mi się, że minęły lata – w mojej głowie rozlega się głos Ojca Johna:

„BĘDZIESZ SIĘ SMAŻYĆ W PIEKLE! – wyje. – PAN WIE, CO ZROBIŁAŚ, A JEGO SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST SUROWA. CZEKA CIĘ WIECZNOŚĆ W JEZIORZE OGNI! TY HERETYCZKO! TY KURWO! MORDER...”.

Rozdeptuję ten jego jazgot z całą siłą, jak robala. Gdy milknie, słyszę tylko nienawistne echo jego słów.

Możliwe, że ma rację – Pan faktycznie wie, co zrobiłam. Ale nie sądzę, żeby ktoś poza nim to wiedział. Myślę, że agent Carlyle ma podejrzenia, które są bliskie prawdy, ale też jestem pewna, że doktor Hernandez próbuje podnieść mnie na duchu, nic więcej, zresztą robi to często.

– Nie chodzi o to, że boję się konsekwencji. – Mówiąc to, po części mijam się z prawdą. – Problem tkwi w wielu innych rzeczach, które nie mają nic wspólnego z panem ani z agentem Carlyle’em. I właśnie z ich powodu nie mogłam wam tego powiedzieć. I nadal nie mogę.

– W porządku – mówi doktor. – A co to za „inne rzeczy”?

– Ja. Legion Pana. I Ojciec John.

Doktor wbija we mnie wzrok. Wiem, że próbuje zgadnąć, czy mówię prawdę, czy tylko gram na czas, wciskając mu kolejne kłamstwo. Odpowiadam mu spojrzeniem i nie spuszczam oczu.

– No dobrze – mówi w końcu. – Nie możesz wyjawić tajemnicy mnie ani agentowi Carlyle’owi, ale jesteś skłonna powierzyć ją komuś innemu. Czy dobrze rozumiem?

Potwierdzam skinieniem.

– Okej. A powiesz mi, jak to sobie wyobrażasz?

„Dziękuję”.

Znów kiwam głową.

– Sprowadźcie tu Nate’a. Jemu zdradzę, co się stało w Wielkim Domu. A on będzie mógł przekazać panu, agentowi Carlyle’owi i wszystkim innym, którzy potrzebują wiedzieć. Wtedy już naprawdę będzie mi wszystko jedno.

POTEM

MAM MOTYLE W ŻOŁĄDKU, gdy siostra Harrow ciągnie za klamkę i otwiera drzwi Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1.

Przez większą część nocy nie mogłam zasnąć. Leżałam, wyobrażając sobie, co poczuje, kiedy znowu zobaczę Nate'a. Chyba będę na niego zła za to, że nie zaufał mi na tyle, by powiedzieć, kim był naprawdę, choćby nawet przed samą ucieczką, kiedy gęstniała wokół nas ciemność. Ale jeszcze bardziej jestem podekscytowana myślą, że nareszcie będę mogła porozmawiać z kimś, kto naprawdę, naprawdę rozumie okoliczności, w których dorastałam, i życie, którym byłam zmuszona żyć. Z kimś, komu nie będę musiała niczego tłumaczyć.

Siedzę na czerwonej sofie i czekam niecierpliwie. Jakąś minutę później wchodzi doktor Hernandez i – gdy tylko mogę zobaczyć jego twarz – wiem, że Nate'a tu nie ma. Doktor uśmiecha się szeroko, ale tego uśmiechu nie ma w jego oczach.

– Dzień dobry, Moonbeam – zagaja. – Jak tam dzisiaj...

– Nie ma go. Prawda?

Uśmiech doktora znika.

– Obawiam się, że nie. Wczoraj rano przekazałem twoją prośbę szefowi sekcji dochodzeniowej, zaraz po naszej sesji. Powiedzieli, że się odezwą.

– Uwierzył im pan?

– Tak.

Uśmiecham się.

– A ja nie.

POTEM

TO JUŻ CHYBA PIĄTA LEDWIE PRZESPANA NOC. Nie pamiętam, czy mi się coś śniło, ale obudziłam się zrana potem, z walącym sercem, więc chyba jednak tak.

Doktor Hernandez wchodzi do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 punkt dziesiąta, a ja – zanim zdąży zamknąć drzwi – zadaję mu to samo pytanie, którym ostatnio zaczynam nasze spotkania:

– Coś już wiadomo?

Doktor uśmiecha się szeroko i kręci głową.

POTEM

AGENT CARLYLE WRÓCIŁ.

Wchodzi do pokoju za doktorem Hernandezem i wita mnie szerokim uśmiechem. Powinnam być na niego wściekła za to, jak ostentacyjnie mnie porzucił, kiedy nie miałam mu już nic przydatnego do powiedzenia, ale kiedy obaj zajmują swoje zwykłe miejsca za biurkiem, zalewa mnie dziwna fala radości, bo nagle wszystko wróciło do stanu, który zaczęłam uważać za normalny.

Odpowiadam agentowi uśmiechem i zaskakuje mnie radość, którą odczuwam na jego widok. Z rezygnacją przyjąłam już do wiadomości, że doktor Hernandez, siostra Harrow i moi Bracia i Siostry będą jedynymi osobami, z którymi dane mi będzie rozmawiać, dopóki stąd nie wyjdę.

„Jeśli w ogóle stąd wyjdę”.

Honey powiedziała, że muszą mnie wypuścić, kiedy skończę osiemnaście lat. Nie wiem, skąd przyszło jej to do głowy, i nie wiem, czy to prawda, ale nawet jeśli to prawda, to spędzę tu jeszcze wiele miesięcy. Poza tym nie mogę pozbyć się uczucia, że będą mnie trzymać pod kluczem, jak długo im się spodoba, jeżeli doktor Hernandez uzna, że to jest wskazane. No bo przecież nikt się za mną nie wstawi.

Nie wiem, dlaczego Nate nie przyjechał. Może tylko agent Carlyle był zainteresowany tym, co się stało w Wielkim Domu. Może byłam głupia, myśląc, że jest inaczej. A może Nate właśnie szpieguje sobie w najlepsze w innym miejscu i nie mogą go stamtąd odwołać. A może doktor Hernandez jest jedyną osobą poza moimi Braćmi i Siostrami, która o mnie nie zapomniała. Tak właśnie myślałam jeszcze przed pięcioma sekundami.

– Hej, Moonbeam – odzywa się agent Carlyle. – Dawnośmy się nie widzieli.

„Ciekawe z czyjej winy?”

– Ja się stąd nie ruszałam.

Uśmiech na jego twarzy blednie.

– Jasne. Wiem o tym.

– Po co pan wrócił? – pytam.

Carlyle spogląda na doktora, a jego uśmiech całkiem wyparowuje. Czuję znajome ciarki na plecach.

„Co znowu?”

– Obawiam się, Moonbeam, że agent Carlyle ma złe wieści – odzywa się doktor Hernandez, a ja powstrzymuję parsknięcie, bo przecież innych wieści tu się nie usłyszy. – Będziemy o tym rozmawiać tak długo, jak będziesz potrzebowała, ale koniecznie mi powiedz, jeżeli tylko poczujesz, że potrzebna ci przerwa. Okej?

Serce mi zamiera.

– Czy chodzi o mamę?

– Nie – pośpiesznie odpowiada doktor. – Nie chodzi o twoją matkę.

Czuję lekkie rozluźnienie między zębami.

– No dobrze, więc o co chodzi?

Agent Carlyle nabiera powietrza.

– O Nate’a Childressa. Niestety nie żyje. Bardzo mi przykro, Moonbeam.

Gapię się na niego. W pierwszym, desperackim odruchu myślę, że to jakiś test albo dowcip, potworny, wstrętny dowcip, ale w oczach agenta Carlyle’a dostrzegam jedynie ból.

– Jak... – Nagle brakuje mi słów, więc próbuję ponownie. – Nie rozumiem...

Agent Carlyle skraca moje cierpienie.

– Tydzień temu znaleziono jego ciało, zakopane w płytkim grobie.

Niespełna kilometr od bazy Legionu Pana. Podejrzewają morderstwo, trwa dochodzenie. Jeszcze do wczoraj ta informacja była ściśle tajna. Do wiadomości podano tylko wstępne ustalenia, ale stan zwłok wskazuje, że śmierć nastąpiła przed kilkoma miesiącami. Przypuszcza się, że zamordowano go...

– Tej nocy, kiedy uciekł – mówię ledwie słyszalnym szeptem.

Agent Carlyle krzywi się. Jego twarz wyraża troskę. Gdy się tak we mnie wpatruje, doktor prostuje się na krześle.

– Dobrze się czujesz, Moonbeam?

Patrzą na niego. Nie mam pojęcia, co on chce ode mnie usłyszeć.

Na jego czole pojawia się głęboka zmarszczka.

– Moonbeam? Wyrzuć to z siebie.

Mrugam, żeby powstrzymać łzy zbierające się w kąciakach oczu i mimo guli w gardle próbuję wydobyć z siebie słowa.

– Jak to się stało?

– Uduszono go – odpowiada agent Carlyle. – Bardzo mi przyk...

– Ojciec John to zrobił? – cedzę.

– Nie sposób tego stwierdzić z jakąkolwiek pewnością – mówi agent Carlyle. – Ale na pewno nie będziesz zaskoczona, że zespół prowadzący śledztwo wskazuje trzech głównych podejrzanych: Johna Parsona i trzech mężczyzn pełniących wtedy funkcje Centurionów.

„Lonestar. Bear. I Angel. Moi Bracia”.

Moje przedramiona pokrywają się gęsią skórą. Skupiam na niej uwagę, koncentruję się na tysiącach malutkich guzków, które pojawiły się na mojej skórze, bo wszystko poza nimi jest teraz zbyt ogromne i bolesne.

– Niewykluczone, że badania laboratoryjne przyniosą konkretniejsze rezultaty – ciągnie Carlyle. – Ale obawiam się, że prawdopodobieństwo jest niewielkie.

– A więc nie uciekł. – Usiłuję ogarnąć to myślą, jakoś przetworzyć to, co mówi Carlyle, ale mój umysł opanowała drętwa.

Wszystko mi zdrętwiało.

– Zabili go.

Agent kiwa głową.

– Hipoteza robocza jest taka, że złapali go w czasie próby ucieczki.

„Myśl. Uspokój się i przemyśl to”.

– Więc dlaczego następnego ranka Ojciec John był taki wściekły?

– Ty mi to powiedz – mówi agent Carlyle. – Jak zareagowaliby wierni, gdyby Prorok ogłosił, że on i jego Centurioni kogoś zabili?

Zastanawiam się nad odpowiedzią najgłębiej, jak tylko pozwala mi skołowany umysł. Spora część Braci i Sióstr nie widziałyby problemu w morderstwie domniemanego Sługi Węża – według nich w ten sposób wypełniłaby się sprawiedliwość Pana. Ale też jestem prawie pewna, że większości, zwłaszcza tym, którzy wstąpili do Legionu przed Czystką, byłoby bardzo trudno to zaakceptować.

Natomiast z całą pewnością wiem, że taka informacja wywołałaby totalną panikę w Bazie. Wierni spodziewaliby się, że Rząd rozpocznie poszukiwania swojego zaginionego szpiega, a kiedy już Rządowi...

– Dlaczego nikogo nie przysłali? – pytam. – Nate zniknął prawie dwa miesiące przed pożarem. Czy nikt nie zauważył jego zaginięcia?

– Nie musiał się meldować – odpowiada agent Carlyle. – Reżim panujący w Bazie Legionu nie pozwalał na regularny kontakt. Kilkumiesięczne milczenie z jego strony było całkowicie normalne, więc zwierzchnicy zorientowali się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy zamknięto wstępne postępowanie w sprawie pożaru. Agencja ATF spodziewała się, że wyjdzie z Bazy wraz z wiernymi, którzy przeżyli, ale kiedy tak się nie stało, założyli, że znajdują jego zwłoki wśród ofiar.

Chłód obejmujący mój kręgosłup rozchodzi się powoli po całym ciele. Wiem, że to, co słyszę, jest okropne i gdzieś w oddali majaczą mi już konsekwencje tego faktu, ale w tej chwili usiłuję wykrzesać z siebie jakieś uczucie związane z Nate'em, staram się poczuć do niego cokolwiek, ale nie jestem w stanie. Czuję tylko zmęczenie.

Jestem całkiem wyzuta z sił.

– Czy chcesz coś jeszcze wiedzieć? – pyta Carlyle. – Moje informacje na temat Nate’a są ograniczone, ale jeśli będę mógł, to ci powiem.

– Miał rodzinę? – pytam chrapliwie. – Czy na zewnątrz ktoś na niego czekał?

– Miał rodziców i siostrę w Arizonie. Powiadomiono ich. Żony ani dzieci nie miał.

Kiwam tylko głową, bo nie mam bladego pojęcia, co powiedzieć. Kolejny smutek, kolejne cierpienie i złamane życie.

I jeszcze więcej bólu.

– Bardzo mi przykro, Moonbeam. Szczerze. Marzę tylko o tym, żeby móc wejść tu pewnego ranka i przynieść ci wiadomości, które by cię ucieszyły. Zastanawialiśmy się, czy powiedzieć ci o losie Nate’a, i obaj byliśmy zdania, że nie byłoby w porządku, gdybyśmy to przed tobą ukryli. Mam nadzieję, że uznasz to za właściwą decyzję.

„Nie! Tak. Nie wiem...”

– Zakończmy na dziś – odzywa się doktor Hernandez. – Wiele się dziś dowiedzieliśmy. Musisz mieć czas i przestrzeń, żeby to jakoś przyswoić. Ale przez cały dzień będę na miejscu, jak zwykle. Jeśli będziesz mnie potrzebować, powiedz którejś z pielęgniarek. Przyjdę do ciebie najszybciej jak się da.

Zmuszam się do słabego skinienia.

– Dziękuję.

Siadam na łóżku, a siostra Harrow zamyka za sobą drzwi. Gdy tylko rozlega się szcęk zamka, łzy wzbierają we mnie i leją się tak silnym strumieniem, że chyba nigdy nie przestaną płynąć.

Staram się przywołać obraz Nate’a, takiego, jakim go znałam – dobrego, porządnego człowieka, który prawie nigdy nie traktował mnie jak smarkulę, tolerował moje w nim zakochanie i nigdy go nie wykorzystał. Ale jedyny obraz, jaki mój zatruty, zdradziecki mózg jest

w stanie nakreślić, przedstawia Nate'a z zaciśniętymi na szyi bezpieczeństwa dłońmi, twarzą przystojną, ale siną, i oczami, owszem, pięknymi i zielonymi, ale wywalonymi z orbit w pogoni za wyduszonym zeń życiem. Widzę oczekujący na niego grób, a właściwie płytką jamę wygrzebaną na pustyni, a wokół żałobników – kojoty i sępy zastygłe w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę, by rzucić się do walki o jego wnętrzności.

Zrywam się z łóżka. Skurcz żołądka rzuca mnie w stronę umywalki, nad którą zawisam, pewna, że zaraz się porzygam. I rzygam – powietrzem, rycząc przy tym i plując, i znów rycząc. Moim ciałem szarpią niekontrolowane torsje, ale nie udaje mi się nic zwymiotować. Łzy kapią jednostajnym strumieniem do umywalki, czuję ich słony smak, skórę mam rozpaloną i nie chcę patrzeć w wypolerowaną blachę, która pełni rolę lustra, żeby nie zobaczyć tam własnej twarzy.

Żołądek w końcu się uspokaja, więc zataczam się do biurka, siadam i zaczynam rysować. Kredka ryje w papierze głębokie bruzdy czarnych, poszarpanych linii – staram się nadać kształt tej złości i smutkowi, które mnie wypełniają, wywlec je z siebie i uwięzić na kartce.

Byłam przekonana, że Nate uciekł.

Z całego serca w to wierzyłam.

Nawet w te okropne dni pod sam koniec, kiedy wątpiałam we wszystko inne i nie wierzyłam już w nic, zawsze byłam przekonana, że on uciekł, że jest gdzieś tam na zewnątrz, tak samo jak mama. Ale skoro Nate...

„Przestań – szepcze głos z tyłu głowy. – Nie idź tą drogą. Do niczego dobrego nie prowadzi”.

Ale nie umiem o tym nie myśleć.

No bo co tak naprawdę widziałam tego dnia, kiedy Wygnali mamę? Amos wywiózł ją z Bazy w pick-upie i wrócił bez niej. Ojciec John powiedział mi, że odstawią ją do Layfield. A co, jeśli wydał wcześniej inny rozkaz, taki, którego nie słyszałam? Co, jeśli Amos po prostu wywiózł mamę na pustynię i...

„Nie rób sobie tego – błaga głos. – Proszę cię”.

Zaciskam powieki i oddycham: wdech przez nos, wydech przez usta, i następny, i jeszcze raz, aż wreszcie powoli ta myśl zaczyna się ulatniać. Gdy ponownie otwieram oczy, już jej nie ma. Znika jak drzewo po huraganie, zostawiając sękaty, pokręcony korzeń, którego nie wyrwę ani nie obejdę.

Moja mama odeszła.

Nate nie żyje.

Są Bracia i Siostry, agent Carlyle i doktor Hernandez.

Tylko oni zostali mi na tym świecie.

POTEM

SIOSTRA HARROW STAWIA TACĘ z moim śniadaniem na biurku i mówi, że poranna sesja została odwołana, ale jeśli potrzebuję porozmawiać z doktorem Hernandezem, to do mnie przyjdzie.

Wczoraj zwolniono mnie z sesji grupowej. Było mi wszystko jedno. Nie chciałam z nikim gadać, bo i tak nie miałabym zbyt dobrego wpływu na Braciszków i Siostrzyczki. Wypełniłam sobie czas rysowaniem, marszem w tę i z powrotem po pokoju i leżeniem na łóżku, a jakiś czas po tym, jak kwadracik nieba widoczny przez okienko zmienił się w czerni, zasnęłam.

Nie pamiętam snów, jeśli w ogóle cokolwiek mi się śniło. To chyba jakiś akt łaski.

Na śniadanie dostałam jogurt, owoce, bekon, kilka grubych naleśników i sok pomarańczowy w plastikowym kubku. Wszystko wygląda na smaczne, ale wcale nie jestem głodna. Czuję się zupełnie pusta, ale to raczej nie jest odczucie fizyczne.

Wiem, że powinnam coś zjeść, więc wmuszam w siebie dwa naleśniki i kilka kawałków owoców, mimo że przełykanie kieruje myśl ku gardłu, przywołując obraz napuchniętej twarzy uduszonego Nate'a. Staram się go odepchnąć, ale skupiając się na nim, wyostrzam go tylko i dostrzegam więcej szczegółów, a mój umysł fiksuje się na tych absolutnie najgorszych: na popękanych żyłkach w białkach oczu, krwiakach naczynek włosowatych pod skórą, na spienionej ślinie na jego ustach.

Żołądek skręca mi się, więc biegnę do drzwi i wduszam przycisk WEZWANIE przy ościeżnicy. I wtedy natychmiast, jakby za sprawą

czarów, siostra Harrow otwiera drzwi i pyta, czy wszystko w porządku.

– Nie – odpowiadam, bo nie ma sensu jej oszukiwać.

– Jesteś chora? – pyta siostra. – Chcesz, żebym sprowadziła lekarza?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Czy może siostra poprosić agenta Carlyle’a, żeby się ze mną spotkał?

Siostra ściąga brwi.

– Zapytam o zgodę doktora Hernandeza.

– Dobrze. Ale niech doktor tu nie przychodzi. Chcę się spotkać z samym Carlyle’em.

– Okej, Moonbeam. – Jej czoło trochę się wygładza, ale chmura nie znika całkowicie. – Zaraz mu przekażę twoją prośbę.

– Dzięki.

Siostra Harrow obdarza mnie bladym, niezbyt przekonującym uśmiechem, po czym znika w głębi korytarza.

Czekając, aż siostra wróci z odpowiedzią doktora Hernandeza, próbuję rysować, ale wszystko, co pojawia się na kartce, jest brzydkie i dziwaczne, więc zgniatam ją, kładę się na łóżku i leżę aż do chwili, gdy dobiega mnie dobrze znany odgłos klucza obracającego się w zamku. Spuszczam nogi na podłogę i siadam na łóżku, spodziewając się zobaczyć przepęlnioną dobrocią twarz siostry Harrow, ale kiedy drzwi się otwierają, do pokoju wchodzi agent Carlyle.

– A więc to tutaj cię trzymają – odzywa się z uśmiechem. – Mmm, luksusy.

Odpowiadam na jego uśmiech własnym.

– Może pan nie uwierzy, ale jest lepiej niż tam, gdzie mieszkałam wcześniej.

Parska chrapliwym śmiechem.

– O, wierzę.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Nie byłam pewna, czy panu pozwolą. Ani

czy sam pan będzie chciał.

– Doktor Hernandez złapał mnie na parkingu. Powinienem być już w drodze do Odessy.

– Będzie miał pan problemy, jeśli pan tam nie pojedzie?

Wzrusza ramionami i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Będą musieli sobie poradzić beze mnie. – Mówiąc to, przytrzymuje drzwi. – Muszą zostać otwarte. Nie masz nic przeciwko?

– A dlaczego?

– Niemonitorowane spotkania mają swoje zasady. To kwestia bezpieczeństwa.

Uśmiecham się.

– Żebym mogła wezwać pomoc, jeśli nagle postanowi mnie pan zaatakować?

– Otóż to.

Zastanawia mnie słowo „niemonitorowane”.

– Czy to znaczy, że tu naprawdę nie ma kamer?

Carlyle wzrusza ramionami.

– O ile mi wiadomo, nie. A więc do rzeczy. Co mogę dla ciebie zrobić, Moonbeam?

Cofam się na łóżku, opieram plecami o ścianę, podciągam kolana i obejmuję je ramionami.

– Trudno było panu tego słuchać, prawda? – pytam. – Kiedy opowiadałam o Legionie?

Bez ociągania kiwa głową na potwierdzenie.

– Owszem. Przykro mi, jeśli to było aż tak ewidentne, ale... tak. Było mi trudno. Czasami bardzo.

– Dlaczego?

Kiedy zastanawia się nad odpowiedzią, jego oczy robią się nieco szkliste.

– Bo chyba chciałbym wierzyć, że świat jest z natury dobry – mówi po

chwili. – Z pewnością brzmi to naiwnie, zwłaszcza dla ciebie. Taką mam pracę, że na przestrzeni lat widziałem wiele paskudnych wyjątków od tego idealnego założenia, ale lepiej sypiam, kiedy mam pewność, że ludzie dostają to, na co zasłużyli. Znacznie lepiej. Rozumiesz mnie?

Kiwam głową.

– Tak mi się wydaje.

– To dobrze – mówi Carlyle. – No więc tak, nie wątpię nawet przez chwilę, że wielu, a może nawet większość ludzi w Legionie żyła w sposób, którego, jak sądzili, oczekiwali od nich Pan. Wiem o tym, bo mi o nich opowiadałaś. Myślę, że byli porządni i nie wydaje mi się, żeby chcieli czyjejś krzywdy, ale i tak skończyli martwi na pustyni z bronią w ręku, ponieważ John Parson otumaniał ich, przepełnił strachem i kłamstwami. Widziałem ich zdjęcia. Zapłacili życiem, bo uwierzyli niewłaściwemu człowiekowi. Gdy na nich patrzę, nie widzę głupoty, zła ani słabości. Myślę, że zostali oszukani, a to, co ich spotkało, mogło się zdarzyć komukolwiek, gdyby znalazł się w podobnych okolicznościach. Również ludziom, których znam osobiście. Moim bliskim. Próbuję sobie wyobrazić, jak bym się wtedy czuł, ale nie umiem. Nie mam bladego pojęcia, co bym zrobił.

To była chyba najdłuższa przemowa agenta Carlyle'a, jaką kiedykolwiek słyszałam. Jest teraz nieco bledszy, niż kiedy wchodził do pokoju, ale ciągle patrzy mi w oczy.

– Po części chciałabym, żeby Ojciec John miał od początku rację. Bo to by znaczyło, że moi martwi Bracia i Siostry siedzą teraz u boku Pana, tak jak im Prorok obiecał.

– Ale w to nie wierzysz?

Kręcę głową.

– Czy ktoś mu się sprzeciwił? – pyta agent. – Wtedy, kiedy rozkazał wszystkim walczyć do ostatniego wiernego. Czy ktoś odmówił?

Napływają do mnie wspomnienia tego ranka, które nigdy nie kryją się zbyt głęboko pod powierzchnią świadomości. Płomienie, dym i krew.

– Tak. Niektórzy próbowali się ukryć. Ale to ich nie uratowało.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nie.

– Ale to nie o nich pan pyta, czyż nie?

Znów kręci głową.

– Pan wie, prawda?

Carlyle uśmiecha się łagodnie.

– A może po prostu mi opowiesz, co się stało w Wielkim Domu?

Patrzę na niego przeciągle.

„Śmiało – szepcze głos z tyłu głowy. – Powiedz mu. Wyrzuć z siebie to wszystko”.

Biorę głęboki wdech.

PRZEDTEM

BELLA OTWIERA SZEROKO OCZY I UNOSI BROŃ, ale jestem szybsza od niej. Celowano do mnie przed pięcioma minutami. Na dziś już wystarczy.

Uderzam dłonią w jej nadgarstek. Fala uderzeniowa rozchodzi się aż po mój bark, ale to Bella wydaje okrzyk bólu i upuszcza broń na ziemię. Robię krok do przodu i uderzam ją w mostek. Bella cofa się chwiejnie, ale nogi jej się plączą i upada na wznak, a ja przyskakuję do niej z zaciśniętymi pięściami. Zarazem umieram ze strachu i tętni we mnie wściekłość, jakiej dotąd nie znałam. Mam ochotę ją rozpierdolić! Podnoszę pistolet i wymierzam go w serce Belli.

– Gdzie jest Honey? Trzeci raz nie spytam – warczę.

– Nie wiem – odpowiada Bella.

– Nie wierzę ci. – Mówiąc to, unoszę pistolet jeszcze wyżej, tak by trafić ją między oczy. – Gadaj, gdzie jest. Natychmiast.

– Jest bezpieczna – szepcze Bella. – Z Prorokiem.

– Gdzie? W Wielkim Domu?

Potwierdza skinieniem, więc obracam się bez słowa i znów pędzę tam, skąd przybiegłam.

Gdy zbliżam się do Wielkiego Domu, jego dach liżą pomarańczowe jęzory ognia, a kolumna czarnego dymu wznosi się ku niebu.

Powietrze jest gęste i ma gorzki smak, więc kaszlę, zakrywając usta dłonią. Gdy docieram do schodów, oczy mi już łzawią. Z trudem wspinam się na werandę i wtedy we wnętrzu Wielkiego Domu padają cztery strzały, są ogłuszająco głośne i następują prawie jednocześnie. Wybucho we mnie przerażenie i padam płasko.

„Tylko nie Honey. Proszę, tylko nie Honey. Błagam”.

Leżę i słucham, przyciskając twarz do grubych desek, a serce łomocze mi o żebra, ale w Wielkim Domu panuje cisza. Za mną, na dziedzińcu, strzelanina wydaje się tracić na intensywności, ale nie mogę sobie teraz pozwolić na myślenie, co to może znaczyć. Zamiast tego wstaję, otwieram drzwi kopniakiem i wchodzę do wnętrza z pistoletem Belli w drżących rękach.

Pierwszą rzeczą, którą czuję, jest dym po wystrzałach.

Pierwszą rzeczą, którą widzę, jest krew.

Jest wszędzie, pokrywa rozbryzgami ściany, mieniając się, płynie strumyczkami po podłodze. Potworny miedziowy smród przebija się przez żrący dym i przyprawia mnie o odruch wymiotny. Biorę kilka głębokich wdechów, na chwilę zamykam oczy – ach, co za ulga! – po czym zmuszam się, by dokładniej obejrzeć salon, który bardziej przypomina teraz rzeźnię.

Przy kominku widzę cztery ułożone w krąg martwe ciała. Brakuje im tyłów głów, ale wszystkie rozpoznaję.

Bear. Lonestar. Jacob. Angel.

Centurioni Ojca Johna.

W trzech martwych dłoniach widzę trzy pistolety, a czwarty leży na podłodze przy otwartych palcach czwartego z nich. Z otwartych ust leniwie spływa szary dym. Mają zamknięte oczy i zgięte, ściągnięte razem kolana, a ja walczę z falą nudności, która uderza mnie wraz ze zrozumieniem.

„Kłęczeli. Zastrzelili się, kłęcząc”.

Z moich ust wydiera się odgłos, coś pomiędzy szlochaniem a zdziwionym westchnieniem. To jakiś obłęd, totalny...

Nagle z lewej strony dobiega mnie szmer.

Trzymając w drżących rękach pistolet, obracam się na tyle szybko, by pod schodami dostrzec Ojca Johna stojącego w drzwiach do piwnicy. Zatrzymuje się i na mój widok zwięża powieki.

– Moonbeam – odzywa się swoim dudniącym, ognistym głosem. – Dlaczego nie walczysz ramię w ramię z Braćmi i Siostrami? Czy nie słyszałaś mojego rozkazu?

– Słyszałam. – Mówiąc to, słyszę wibrującą w moim własnym głosie wściekłość. Naprawdę ją słyszę. – A dlaczego ty sam nie walczysz, Ojczy? Ukrywasz się tutaj?

– Zważaj na słowa – odpowiada, a jego twarz ciemnieje. – Pan ma swój plan dla każdego z nas. On nie popełnia błędów.

– Nie? A co się stało z Centurionami?

Prorok marszczy brwi, jakbym zadała mu głupie pytanie.

– Wniebowstąpili.

– Bo im rozkazałeś? – pytam, choć i tak już znam odpowiedź. Chcę tylko, żeby sam to powiedział.

– Wyjaśniłem im, czego żąda od nich Pan. Nie włożyłem im broni do rąk. Ja jestem tylko jego Posłańcem.

– Jesteś mordercą – warczę. – Zaufali ci, uwierzyli w ciebie, a teraz leżą martwi, tak jak połowa ludzi na zewnątrz. Nie żyją, bo ich zabiłeś. Właśnie ty.

– Twoi Bracia i Siostry dzielnie walczą ze Sługami Węża. W przeciwieństwie do ciebie, Moonbeam. Oni rozumieją, o co toczy się stawka, i jeśli Pan postanowi Wezwać ich dzisiaj do swojego Domu, to Wniebowstąpią w Chwale.

– Więc dlaczego ty nie Wniebowstąpiłeś razem z Centurionami? – pytam.

– Pan potrzebuje mnie tutaj – mówi Ojciec John. – Ma dla mnie jeszcze jedno zadanie w tym królestwie.

Przewiercam go wzrokiem i wtedy nagle coś do mnie dociera. To okropna myśl, ale od razu wiem, że prawdziwa. Czuję to głęboko w kościach.

– Obiecałeś im, prawda? Obiecałeś, że umrzesz wraz z nimi.

– Skąd mogę wiedzieć, o czym myśleli, odchodząc? Wniebowstąpili

z uśmiechem, z Chwałą Pańską w sercach, więc co za różnica?

Prawie nieświadomie unoszę broń i wymierzam w sam środek piersi Ojca Johna. Prorok zamiera.

– Nie bądź głupia, Moonbeam – mówi. – Oddaj mi pistolet.

Odmawiam, kręcąc głową.

– Gdzie jest Honey?

Marszczy brwi.

– Nie wiem.

„Ona go nic nie obchodzi. Żadne z nas nie jest dla niego ważne”.

– Według Belli jest tutaj.

– Była. Pozwoliłem jej przyłączyć się do pozostałych.

– Ona ma tylko czternaście lat. – Mówiąc to, czuję rozchodzącą się po całym ciele falę zimna, jakbym tonęła w lodowatej wodzie. – A ty ją wysłałeś w środek strzelaniny?

– Sama o to prosiła – mówi Ojciec John. – Chciała walczyć wraz ze swoją Rodziną. Jak mogłem jej odmówić?

– Tak, jak nie mogłeś odmówić Belli? – Coraz bardziej podnoszę głos. – Ani Star? Ani innym kobietom, które nazywały cię swoim mężem? One poszły walczyć z bronią w rękę, a ty chowasz się tutaj z podkulonym ogonem. Jak mogłeś zrobić to ludziom, których podobno kochasz?

– Pan zsyła mądrość na tych, którzy zdołają ją ogarnąć – odpowiada Prorok. – On nie popełnia błędów. A teraz oddaj mi pistolet, Moonbeam. Kolejny raz nie poproszę.

Gdy robi krok w moją stronę, broń zaczyna gwałtownie trząść mi się w rękę.

– Daj mi pistolet – powtarza cicho i łagodnie. – Masz rację. Powinienem był osobiście dowodzić Legionem w bitwie. Powinienem stanąć u boku Braci i Sióstr, ale jestem tylko człowiekiem, Moonbeam. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, a ludzie są niedoskonali, lecz Pan rozumie nasze słabości. Ale przecież możemy razem Wniebowstąpić, ty

i ja. Możemy wyjść mu na spotkanie choćby w tej chwili, żeby zasiąść przy nim na wieczność. Tylko oddaj mi pistolet.

Robię krok do tyłu.

– Nie podchodź bliżej.

Uśmiecha się do mnie.

– Nie strzelisz do mnie, Moonbeam. Jesteś dobrą dziewczyną, która idzie Ścieżką Prawdy. Nie możesz zastrzelić własnego Proroka.

– Nie jesteś moim Prorokiem. – Głos mi drży. – Jesteś oszustem i tchórzem. Moja mama miała co do ciebie rację.

Jego twarz eksploduje furją.

– A ty jesteś tylko Heretycką kurewką. – Wściekle wyszczerza zęby. – Tak samo jak bezbożna suka, z której lędźwi...

Pistolet wypala z ogłuszającym hukiem.

Wszystko zamiera. Na ułamek sekundy w salonie zapada absolutny bezruch i cisza, jak gdyby wszechświat się zatrzymał. Potem Ojciec John robi niepewny krok do tyłu, jego oczy rozszerzają się, a ręce zasłaniają pierś i wtedy wypadki nabierają zawrotnego tempa.

Spomiędzy palców Proroka tryska krew, zalewając jego koszulę purpurą. Z lufy pistoletu w mojej dłoni wydobywa się wirujący kłęb dymu. Ojciec wpatruje się we mnie, a ja widzę, jak życie w jego oczach gaśnie. I wtedy przewraca się i wali plecami o podłogę, bezwładnie rozrzucając nogi i ręce.

Ręka otwiera mi się sama i pistolet upada na deski. Stoję jak wmurowana, aż moje płuca zaczynają krzyczeć o powietrze, ale nie mogę zaczerpnąć oddechu. Wpatruję się tylko w sflaczałą postać rozciągniętą u moich stóp. Wypływa spod niej potężniejące jezioro krwi, a ciało leży zupełnie nieruchomo. Nie muszę sprawdzać pulsu, bo wiem, że nie żyje.

Ojciec John nie żyje.

Bo go zastrzeliłam.

Zabiłam go.

Kiedy z trudnością wciągane powietrze przeciska mi się przez gardło, żołądek protestuje, zginając mnie w pół. Czym prędzej zaciskam powieki w nadziei, że kiedy znów otworzę oczy, nie będzie krwi, żadnych trupów, a ja ocknę się w ciemności własnego pokoju w Budynku Dziewiątym i to wszystko okaże się tylko złym snem. Ale kiedy je otwieram, nic się nie zmienia. Moje nozdrza wypełnia woń krwi, pistolet wciąż leży u moich stóp, a Ojciec John nadal nie żyje.

Głos z tyłu głowy odzywa się ostro i nagłaco. Każe mi się otrząsnąć. Mówi, że nic więcej nie mogę tu zrobić, no, chyba że chcę umrzeć wraz ze wszystkimi, ale chociaż wiem, że ma rację, to nie mogę sprawić, by moje ciało się ruszyło. Przez ten koszmar zmieniałam się w słup soli.

Przez to, co zrobiłam.

„Rusz się! – wrzeszczy głos. – Musisz się ruszyć! Póki jeszcze jest czas!”.

Nareszcie udaje mi się obrócić głowę. Moje oczy spoczywają na drzwiach pod schodami, zza których wyłonił się Ojciec John. W kieszeni wyczuwam ciężar kanciastego klucza uniwersalnego i nagle słyszę głos Nate'a, który mówi, że w piwnicy jest trzymana nie tylko broń.

Robię chwiejny krok w stronę drzwi, potem następny i jeszcze jeden, i kolejny, aż wreszcie czuję w ręku dotyk drewnianej futryny. Spoglądam w dół schodów, którymi wszedł tu Ojciec John – „zanim go zastrzeliłaś” – ledwo przed minutą. Światło w piwnicy jest włączone i widać dolny podest, więc schodzę po schodach, kurczowo trzymając się poręczy, bo nie wiem, czy nogi utrzymają mój ciężar.

Potykam się na pierwszym stopniu i zataczam, ale odzyskuję równowagę i udaje mi się dotrzeć na dół w jednym kawałku. Staję naprzeciwko metalowych drzwi, o których mówił Nate. Ich powierzchnia połyskuje matowo. Wydobywam z kieszeni uniwersalny klucz, wsuwam go w solidny zamek i obracam w lewo. Mechanizm porusza się z łatwością, płynnie i bezgłośnie, a drzwi oddzielają się od ościeżnicy z ciężkim tąpnięciem. Popycham je i wchodzę do jednego z zaledwie kilku pomieszczeń w całej Bazie, w których nigdy wcześniej nie byłam.

Gdy jarzeniówki nad moją głową włączają się z migotaniem, serce skacze mi do gardła, ale za chwilę wszystkie kąty pomieszczenia zalewa oślepiająca biel. Patrzę. Nikogo tu nie ma. Panika, której fala przelała się przeze mnie, ustępuje i teraz mogę rozejrzeć się spokojnie i powoli.

Pod wszystkimi ścianami stoją metalowe regały sięgające prawie do sufitu. Mimo że Bracia i Siostry używają właśnie kilkudziesięciu sztuk broni, to regały są wciąż jej pełne.

Jest tu cały arsenał.

Strzelby, karabiny i pistolety z lufami błyszczącymi od oleju, a pod nimi półki uginające się od wszelkiego rodzaju amunicji. Próbuję ogarnąć ten ogrom i uderza mnie myśl: „Skąd się tu wziął?”. Przecież Amos nie mógł przywieźć tego całego arsenału w czasie swoich piątkowych wypraw do miasta?

Ale potem zdaję sobie sprawę, od jak dawna istnieje Legion Pana, jak wiele razy czerwony pick-up kursował do Layfield i z powrotem, i jak długo Ojciec John głosił nadejście Kresu Dni. Gdy myślę o tym wszystkim, gapiąc się na regały z bronią, nagle dociera do mnie, co próbował mi powiedzieć Nate, gdy spacerowaliśmy pod wschodnim ogrodzeniem – z jaką starannością Ojciec John planował tę nawałnicę, która teraz szaleje na zewnątrz.

Jak bardzo pragnął nadejścia Ostatecznej Bitwy.

„Choć przecież wiedział, że zginą ludzie. Ale to nie miało znaczenia, bo sam nigdy nie planował brać w niej udziału”.

Między żebrami czuję rozbłyskujące płomyki gniewu, ale zamiast je gasić, pozwalam im rozpaść się od środka. Potrzebuję tego gniewu. Oczyszcza moją głowę i odnawia rezerwę sił w skołowanym ciele. Pozwalam mu zadomowić się we mnie i lustruję pozostałą część pomieszczenia. Na dużym, ustawionym centralnie stole leżą w częściach rozmontowane karabiny, a obok nich skrzynki pełne śrub i puste kartony UPS. Pod ścianą na samym środku stoi samotnie szara komoda na akta.

Podchodzę do niej, trzymając klucz uniwersalny w zaciśniętej kurczowo dłoni, ale od razu widzę, że nie będzie potrzebny, bo górna

szuflada jest uchylona. Wysuwam ją całkowicie i zaglądam do środka.

W plastikowych szynach tkwi cała masa teczek z tektury. Nie mają etykiet, ale kiedy wyciągam pierwszą z nich, miejsce gniewu, który bulgotał mi we wnętrznościach, zastępuje znajomy chłód niepewności, bo teczka jest pełna praw jazdy.

Jest ich kilkadziesiąt.

Wyciągam kilka i obok znajomych twarzy dostrzegam imiona i nazwiska, których wcześniej nie słyszałam. Na pierwszym widzę zrobione przed jakimś dwudziestu laty zdjęcie Horizona, już z gęstą brodą, ale bez śladu zmarszczek wokół oczu, a obok dane. Nazwisko: Michael Brantley, miejscowość: Sioux Falls, stan: Dakota Południowa. Na kolejnym widzę twarz, którą ledwie rozpoznaję z dzieciństwa. Może przedstawiać kogoś, kto odszedł po Czystce, a na trzecim jest ktoś, kogo nie poznaję wcale. To dziwne.

Na widok czwartego dokumentu gwałtownie łapię powietrze.

Być może teraz Bella leży już martwa na zewnątrz, ale na wyblakłej plastikowej karcie, którą mam przed oczami, jest niewiele starsza ode mnie. Jej długie blond włosy są uczesane z przedziałkiem pośrodku. Uśmiecha się do aparatu. Teraz wiem, że nazywa się Megan Joiner i pochodzi z Burlington w stanie Vermont.

Przeoglądam pozostałe prawa jazdy. Uśmiechają się do mnie ze zdjęć mężczyźni i kobiety, którymi byli niegdyś moi Bracia i Siostry. Ich twarze zastygły w czasie, a każdy centymetr mojej skóry lodowacieje. Odkładam dokumenty do teczki i wyciągam następną. Pełno tam listów i innych dokumentów, których z braku czasu nie czytam, ale rozpoznaję niektóre nazwy w nagłówkach.

Chase Manhattan. CitiBank. Wells Fargo.

Zamykam górną szufladę i otwieram tę poniżej. Jest w niej tylko jedna teczka, ale wyjmując ją, czuję rosnącą w przełyku gulę. Teczka zawiera gruby plik dokumentów związanych gumką, na pierwszej stronie widzę tytuł. Wiem, co oznacza.

„Ostatnia Wola i Testament”.

Kładę plik dokumentów na górnym blacie komody, zdejmuję gumkę i czytam krótki akapit tekstu na pierwszej stronie.

„Ja, Amos Nathaniel Andrews, będąc zdrowym na ciele i umyśle, niniejszym oświadczam, że w razie mojej śmierci pozostawiam cały mój dobytek Johnowi Parsonowi z Layton County w Teksasie lub jego potomkom. Czynię to z własnej, nieprzymuszonej woli, pod bacznym spojrzeniem Pana”.

Drugi dokument jest niemal identyczny, różni się tylko nazwiskiem.

Tak jak następny.

I następny. I kolejny.

Przerzucam pozostałe kartki, jest ich może pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt, i wszędzie widzę to samo: mężczyźni i kobiety z własnej, nieprzymuszonej woli pozostawiają cały swój dobytek Johnowi Parsonowi.

Czyli Ojcu Johnowi.

„Z własnej, nieprzymuszonej woli – szepcze głos z tyłu głowy. – Jasne”.

I nagle rozumiem kolejną rzecz, o której wspomniał Nate na naszym wieczornym spacerze. Jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że płot nie powstrzyma wrogów z Zewnątrz, ale uniemożliwia ucieczkę z Bazy. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz już tak. To nie płot trzyma tu dorosłych Braci i Siostry – odchodzili tylko pod warunkiem, że tego sobie życzył Ojciec John. W żadnym innym przypadku, bo zadbał o to, żeby odejść nie mogli.

Wydaje mi się, że ludzie z Zewnątrz mogą sobie w razie potrzeby wyrobić nowe prawo jazdy, bo na pewno często się im gubi. Ale jak ma sobie zbudować nowe życie ktoś, komu odebrano konto w banku, oszczędności i kazano podpisać papier, który stwierdza, że cały jego dobytek będzie kiedyś należał do kogoś innego? Ma jak najszybciej wyjechać przez Bramę Frontową i zgłosić się na policję? Wynająć

prawnika? Zawierzyć Rządowi i prosić o pomoc jego ludzi?

Być może.

Ale co, jeśli Ojciec John miał od samego początku rację? Jeżeli ci, którzy idą na policję, kończą przywiązani do stołu w piwnicy, z kanistrem benzyny w żołądku? Masz pewność, że tak nie będzie? Czy jesteś wystarczająco pewien, by zaryzykować?

Paranoja. Strach. Tętnią pod skórą, wracają falami, leżą u podstaw wszystkiego.

Strach i kontrola.

Zamykam teczkę. Od dotyku papieru cierpie mi skóra. Otwieram trzecią, ostatnią szufladę. Nie ma w niej żadnych teczek. Jest za to stos innych przedmiotów, których nie rozpoznaję, ale chyba jakoś instynktownie rozumiem.

Są tu portfele i pęki kluczy. Fotografie uśmiechniętych mężczyzn i kobiet. Srebrne zapalniczki i naszyjniki z kolorowych paciorków. Srebrne i złote obrączki. Zabawkowe samochodziki i karty z zawodnikami baseballu. Oprawne w skórę notesy. I co najmniej dwadzieścia telefonów komórkowych.

Te przedmioty były kiedyś cenne dla moich Braci i Sióstr, miały swoje znaczenie, którego być może nie umieliby w pełni wytłumaczyć. Ale odebrano im je i złożono w komodzie na akta za zamkniętymi drzwiami.

To wspomnienia po ludziach, którymi kiedyś byli.

Pamiętki po utraconym życiu.

Do kącików oczu napływają mi łzy, bo przypominają mi się noże mojego taty, strona z jego pamiętnika i zdjęcie dziadków, i próbuję sobie wyobrazić, jak to było oddać te rzeczy, wiedząc, że nigdy więcej się ich nie zobaczy, ale nie jestem w stanie. I wtedy dostrzegam białą kopertę w głębi szuflady. Wyjmuję ją, obracam w rękach i wtedy wnętrzości kurczą się we mnie gwałtownie i jestem pewna, że zemdleję.

Na kopercie widnieje jedno, jedyne słowo. Osiem liter skreślonych odręcznym pismem, które rozpoznałabym na końcu świata.

To pismo mojej mamy.

A słowo na kopercie to „Moonbeam”.

Nie wiem, jak długo się na nie gapię. Pewnie tylko sekundę lub dwie, ale w głowie mi się kręci, przestałam oddychać i mam wrażenie, że w mgnieniu oka minęły całe godziny, dni, tygodnie i miesiące, ba, całe tysiąclecia. Z zewnątrz dochodzi nieustający klekot strzelaniny, ale już go nie słyszę. Ogromniejący pożar ryczy nade mną, trzaska i pluje ogniem, ale tego też nie słyszę. W pomieszczeniu zaczyna robić się gorąco, ale nic nie czuję.

Niczego nie słyszę ani nie czuję, bo już mnie tam nie ma.

Jestem gdzie indziej.

Stoję na szczycie jasnozielonego urwiska i patrzę na wodę, której błękit aż kłuje w oczy. Nie odwracam się, ale wiem, że za mną jest dom o chabrowych ścianach, z białym płotkiem i dymem unoszącym się spiralą z komina. I wiem, że kroki, które słyszę, należą do mojej mamy, wiem, że się uśmiecha i idzie w moją stronę, że za chwilę położy mi ręce na ramionach i powie, żebym przysłała do domu, bo obiad już...

Nagle piwnicę wypełnia ogłuszające skrzypnięcie, które wyrywa mnie z miejsca, gdzie skrył się mój umysł. Zasłaniam uszy rękami, bo ten dźwięk jest tak przeraźliwie głośny i ostry, że chyba go nie zniosę, i chwiejnym krokiem wracam do metalowych drzwi.

Ledwie sekundę później większość sufitu zapada się i roztrzaskuje stół na kawałki, grzebiąc podłogę pod górą tłącego się drewna i rozbitego szkła. W tej kupie szczątków są krzesła, podłogowe deski i większy przedmiot wyglądający na ramę łóżka. Nade mną otwiera się widok z kłębami wirującego dymu i wąskim paskiem błękitu. Gdy tak stoję, dławiąc się i kaszląc w kłębach pyłu, nagle pojmuję, co się stało.

Dach się zawalił.

Wtedy odzywa się głos z tyłu głowy. Jest stanowczy i nagły.

„Musisz stąd wyjść. I to natychmiast”.

Odwracam się do drzwi, gotowa zrobić, jak każe głos, ale nagle dopada

mnie panika, więc zerkam w dół – jak w zwolnionym tempie – czy list z moim imieniem nie wypadł mi z rąk. Udaje mi się prawie normalnie odetchnąć, a potem wytaczam się przez drzwi i spoglądam w górę schodów. Tu wszystko jeszcze wygląda normalnie, ale to chyba o niczym nie przesądza, bo jeżeli zapadł się cały dach, to drzwi mogą być przywalone i wtedy będę mogła się stąd wydostać tylko po zawalisku, przez dziurę w zapadniętym suficie piwnicy.

Rzucam szybkie spojrzenie przez ramię i widzę, że piwnicę w kilku miejscach też już zajmują płomienie. Przez moment gapię się na nie, ale wtedy przypominam sobie o pudełkach z amunicją przywalonych płonącymi belkami, dywanami i pogruchotanym karton-gipsem, więc, kaszląc i plując śliną, odwracam się i potykając się o co drugi stopień, jak najszybciej wbiegam po schodach. Docieram do drzwi, obracam klamkę i pcham z całych sił.

Drzwi otwierają się na oścież, a ja wypadam do salonu. Zewsząd dobiegają mnie trzaski i zgrzyty, ale sufit, choć nadał się w środku złowieszczą bulwą, jeszcze się trzyma. Przynajmniej w tej chwili.

Wciskam kopertę do kieszeni i ruszam w stronę drzwi wejściowych, mijając ciała Ojca Johna i Centurionów, i kałuże krwi, które złączyły się w jedno błyszczące szkarłatem jezioro. Pełne dymu powietrze dławi w gardle i parzy w oczy, gdy pokonuję tłącą się werandę, łomocę po schodkach i pędzę najszybciej, jak tylko nogi zdołają mnie ponieść, w stronę zachodnich kwater.

POTEM

PRZEZ DŁUGĄ CHWILĘ AGENT CARLYLE patrzy na mnie bez słowa.

– Taka jest prawda – mówię głosem tylko odrobinę potężniejszym od szeptu. – Cała prawda.

Nie odrywa ode mnie oczu. Zbladł, a ja nie umiem odczytać wyrazu jego twarzy.

– Niech pan coś powie. Proszę?

Carlyle wstaje i podchodzi do mnie. Kiedy pochyla się nad łóżkiem, po części oddycham z ulgą, bo to jest z pewnością ta chwila, której nadejścia zawsze oczekiwałam, kiedy kajdanki zacisną mi się na nadgarstkach i usłyszę, że jestem aresztowana za morderstwo, ale tak się nie dzieje. Zamiast tego Carlyle ujmuję mnie za ramiona, delikatnie odciąga od ściany i przytula.

Zaczynam płakać, wielki szloch szarpie mną i wyrywa się z gardła, ale agent obejmuje mnie i mówi, że już dobrze, a ja chcę mu wyjaśnić, że nie płaczę ze smutku ani nawet nad wspomnieniem tego, co zrobiłam, ale nie umiem znaleźć słów.

Płaczę, ponieważ ostatnie drzwi, które dotąd były we mnie zamknięte, stanęły otworem. Płaczę, bo zdążyłam zapomnieć, jakie to uczucie, kiedy serca nie przepełniają tajemnice i kiedy nie trzeba cały czas się bać. Płaczę, dlatego że nie wiem, co będzie dalej i wcale mi to nie przeszkadza. Ani trochę. Z tą niewiedzą czuję się wolna.

– Zginęła masa ludzi – mówi Carlyle cicho, prawie muskając ustami moje ucho. – Zniszczono tak wiele istnień, i po co? Po to, żeby jakiś nikczemnik mógł zostać królem na spłachetku pustyni, wśród tłumu

mężczyzn i kobiet, którzy rozpaczliwie pragnęli w coś wierzyć.

Uwalnia mnie z ramion i robi krok wstecz, a ja cofam się do krawędzi łóżka. Patrzymy na siebie i nie mam pojęcia, co powinnam teraz zrobić.

Nie mam w zanadru już żadnej opowieści. Nie mam mu nic więcej do powiedzenia.

Jestem pusta.

Carlyle opiera się o moje biurko.

– Ale potem już mówiłaś prawdę? – pyta. – Wszystko zdarzyło się tak, jak opowiedziałaś?

Potwierdzam skinieniem.

– Pobiegłam do zachodnich kwater. Sparzyłam rękę o kłódkę, a jeden z agentów uwolnił dzieciaki, używając mojego klucza.

– A Honey?

Kręcę głową.

– Nie było jej tam. Rainbow poprowadziła wszystkich przez dziedziniec, potem agenci nieśli Luke'a w stronę Bramy Frontowej i więcej nic nie pamiętam.

– Mówiła, że cię szukała – odzywa się agent Carlyle. – Mam na myśli Honey. Poszła do bramy dopiero, kiedy zobaczyła, że dach Wielkiego Domu się zawalił.

– Powinna była pójść od razu. Ale wyszła z tego bez szwanku. Chyba tylko to się liczy.

Kiwa głową.

– Widziałaś Amosa Andrewsa?

Potwierdzam skinieniem.

– Widziałam. Chyba do mnie strzelał, ale nie jestem pewna.

– Jak myślisz, dlaczego nie wezwano go do Wielkiego Domu wraz z Centurionami? Przecież był najstarszym towarzyszem Johna Parsona.

– Nie wiem. Chyba pod koniec Prorok nie przywiązywał do tego wagi.

– Chyba nie – mówi Carlyle.

„Spytaj go – odzywa się głos z tyłu głowy. – Po prostu go spytaj. Teraz już możesz”.

Biorę głęboki wdech.

– Czy będę miała kłopoty? Przez to, co zrobiłam?

Agent marszczy brwi.

– Przez to, co zrobiłaś Johnowi Parsonowi?

Potakuję bezgłośnie.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Absolutnie nie. Mówiłem ci wcześniej, że każdy adwokat z łatwością wybroniłby cię z zarzutów, bo działałaś w samoobronie. Ale żadnego procesu nie będzie. Postępowanie karne prowadzone jest wyłącznie przeciw Johnowi Parsonowi i starszym członkom Legionu. Innym osobom nie postawiono zarzutów.

– Ale oni nie wiedzą, co zrobiłam. To znaczy pana koledzy. Gdyby wiedzieli, mogliby zmienić zdanie.

– Nie sądzę. Myślę, że w toku śledztwa ustalą, że Parsona zastrzelił jeden z Centurionów, a potem wszyscy popełnili samobójstwo. Ale mogę powiedzieć im prawdę, jeśli tego chcesz.

– Tak – odpowiadam bez wahania. – Mam dość tajemnic. Kiedy stąd wyjdę, nie chcę nosić ze sobą tego brzemienia.

– Jesteś pewna?

– Jestem.

– Rozumiesz, że nie mogę ręczyć za to, jak zareagują na tę informację moi koledzy? Może byłoby bezpieczniej, gdybym powiedział im, że gdy weszłaś do Wielkiego Domu, Parson już nie żył.

– Z pewnością ma pan rację. Na pewno tak byłoby bezpieczniej. Ale chcę, żeby przekazał im pan prawdę. Mam dosyć kłamstw.

Agent znów kiwa głową.

– Dobrze. Powiem im, co się stało. Ale ostrzegam, że zanim przeanalizują sprawę i wyciągną wnioski, może upłynąć sporo czasu.

– Jakoś to zniosę.

Carlyle uśmiecha się do mnie.

– Myślę, że jest niewiele rzeczy, z którymi byś sobie nie poradziła.

„Chciałabym być tego tak samo pewna jak pan”.

– Dzięki – mówię.

Odpowiada skinieniem i przenosi spojrzenie na ścianę za moimi plecami. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał, więc siedzę w ciszy i pozwalam mu dojść tam, dokąd zmierza myślą. Po minucie lub dwóch wstaje i wyciąga małą pomarańczową okładkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co to takiego? – pytam.

Podaje mi.

– Coś, co należy do ciebie.

Ze ściągniętymi brwiami biorę okładkę i otwieram ją. I wtedy serce mi zamiera, a całe ciało sztywnieje, bo trzymam w ręku kopertę, którą zabrałam z szafki na akta w piwnicy Wielkiego Domu. Jest brudna i pognieciona, i oczywiście już ją otwarto, ale moje imię na froncie jest nadal dobrze widoczne.

– Czytał pan? – pytam, wbijając wzrok w osiem nagryzmołonych liter. Nie chciałam zadać tego pytania, wydobyło się ze mnie samo, gdy tylko otworzyłam usta.

Kiwa głową.

– Czytałem.

– I całkiem przypadkowo miał go pan w kieszeni?

– Wczoraj wieczorem został uwolniony z materiału dowodowego. Doktor Hernandez miał ci go oddać dziś rano, ale sesja została odwołana. Kiedy zażyczyłaś sobie mnie zobaczyć, poprosił, żebym ci go przyniosła.

Przypatruję się kopercie. Część mnie – ta sama, która nigdy nie chciała nikomu nic mówić – pragnie teraz spytać, czy Carlyle oddałby mi ten list, gdybym nie wyjawiała mu tej ostatniej rzeczy, której chciał się dowiedzieć,

ale odpowiedź na to pytanie nie przyniosłaby niczego dobrego. Więc nie pytam. Drżącymi palcami wyciągam z koperty dwie kartki, rozkładam je i zaczynam czytać.

Moja najdroższa Moonbeam,

Zniknął mój dziennik, a to znaczy, że wkrótce zabiorą mnie do Ojca Johna i każą tłumaczyć się z jego treści. Kiedy – to tylko kwestia czasu. Nie wiem, co będzie potem, więc piszę ten list na wypadek, gdyby miało stać się najgorsze. Nie wydaje mi się, żeby Ojciec John zamierzał mnie zabić, choć wolałabym mieć co do tego pewność. Jeśli jednak mnie Wygna, to musisz dowiedzieć się o kilku rzeczach, bo wiem, że nie pozwoli mi Ciebie zabrać. Po prostu to wiem.

Po pierwsze, LEGION PANA TO JEDNO WIELKIE KŁAMSTWO. Bujda. Nigdy nie wybaczę Twojemu ojcu, że nas tu sprowadził, ani sobie, że mu na to pozwoliłam. Proszę, wybacz mi.

Po drugie, Ojciec John jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać. Wierzy w nadejście Ostatecznej Bitwy, wierzy w nią całym swoim sparszywiałym sercem i PRAGNIE JEJ NADEJŚCIA. A jeśli sama nie nadejdzie, to on do niej doprowadzi. Ludzie ucierpią albo stanie się coś jeszcze gorszego. Nie widzę możliwości, żeby skończyło się to w inny sposób, miałam tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie ten czas, nas już tu nie będzie.

Zdaje mi się, że sama już to wiesz, a przynajmniej się domyślasz. Jesteś o wiele bystrzejsza ode mnie, Moonbeam. Zawsze byłaś. Dlatego miej oczy otwarte i ufaj instynktowi. UWIERZ MI, ŻE CIĘ KOCHAM i zawsze robiłam, co w mojej mocy, żeby Cię chronić. Uważaj na siebie. BĄDŹ BEZPIECZNA.

Jeśli mnie wygnają, to po moim wyjeździe będą o mnie mówić rzeczy, które trudno Ci będzie znieść. Nie wiem, co konkretnie usłyszysz, pewnie w większości kłamstwa zmyślane przez Ojca Johna, ale przynajmniej jedna rzecz będzie prawdą – to, że od dawna staram się znaleźć sposób, żebyśmy obie się stąd wydostały.

Kiedy Shanti wyjeżdżał, prosiłam go, żeby ukrył nas w swoim samochodzie, ale nie ukrył, bo za bardzo się bał. Chyba nie mam mu tego za złe. Próbowałam odejść po ogłoszeniu Trzeciej Proklamacji, ale Ojciec John mnie powstrzymał. Nigdy nie zależało mu na mnie, ale TY jesteś dla niego ważna, Moonbeam, i wiem, że bacznie Cię obserwuje.

Powinłam była odejść po Czystce. Wtedy miałyśmy na to największe szanse, teraz to widzę. Ale obleciał mnie strach. Bałam się świata Na Zewnątrz i tego, że będę musiała samotnie Cię wychowywać. Kiedy spostrzegłam, co się dzieje, było już za późno. Żałuję, że nie byłam silniejsza. Przepraszam, że Cię zawiodłam.

A więc cokolwiek powiedzą, kiedy mnie już Wygnają, kimkolwiek nazwą – Heretyczką, Sługą Węża czy Bóg wie jak jeszcze – wiedz, że próbowałam nas stąd wydostać i że **NADAL BĘDĘ PRÓBOWAĆ. NIGDY NIE PRZESTANĘ.**

Wiem, że masz do mnie żal, że przekonałam Ojca Johna, by wybrał Cię na Przyszłą Żonę – i tego żalu nie mam ci za złe. Naprawdę Cię rozumiem. Zrobiłam to, bo są w Legionie rzeczy, przed którymi z całych sił chciałam Cię uchronić i miałam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się o nich dowiedzieć.

Trzecia Proklamacja to bzdura. **KŁAMSTWO JAK WSZYSTKO INNE.**

Większości dzieci urodzonych po jej ogłoszeniu **NIE** spłodził Ojciec John, choćby nie wiem, co opowiadali. Ojcami są mężczyźni, którzy zakradali się do kwater otwieranych przez Centurionów, do łóżek dziewcząt **UTRZYMYWANYCH W PRZEKONANIU**, że to, co się im robi, jest w porządku. W prawdziwym świecie, tym za ogrodzeniem, gdyby ktoś się o tym dowiedział, takich mężczyzn wtrącono by na całe lata do więzienia. Ale w Legionie uchodzi to za normalny stan rzeczy.

Nikt o tym nie mówi, a dziewczęta ostrzega się, żeby nigdy nie wyjawily prawdy. Tylko te z nich, których drzwi pozostają w nocy zamknięte na klucz, są **ZAKAZANE, A PRZEZ TO BEZPIECZNE**. To dziewczęta obiecane Ojcu Johnowi. **TAKIE JAK TY, MOONBEAM.**

Nie wiem, czy kiedykolwiek mi wybaczysz, że obiecałam Cię właśnie

jemu, ale spróbuj zrozumieć, że tylko tak mogłam Ci zapewnić bezpieczeństwo. Niektórzy Bracia zaczęli oglądać się za Tobą, jeszcze kiedy byłaś małą dziewczynką, co mnie przerażało, bo przecież nie mogłam być przy Tobie cały czas. Nie mogłam co noc siedzieć przy Twoim łóżku i wpatrywać się w drzwi. Tylko obiecując Cię Ojcu Johnowi, mogłam Cię ustrzec przed krzywdą do czasu, aż znalazłabym sposób, żeby nas stąd wydostać, i dopiero znacznie później, o wiele za późno, dotarło do mnie, że moje zabiegi ogromnie utrudniły ucieczkę.

Nie zorientowałam się w porę, że kiedy już zostaniesz mu obiecana, on nigdy nie pozwoli, by ktokolwiek mu Cię odebrał. Że nie może dopuścić, żebyś go opuściła.

A myślałam, że jestem taka sprytna.

Przepraszam, moja mała Moon. **JEST MI TAK OGROMNIE PRZYKRO, ŻE NIE UMIEM TEGO WYRAZIĆ.** Już dawno wzięłabym Cię w ramiona i przelazła przez płot, gdybym nie była absolutnie pewna, że nas dopadną, zanim uda nam się dotrzeć do szosy. A bez wątplenia złapałoby nas i ukarali w jakiś potworny sposób. Nie dbam o to, co stanie się ze mną – już od dawna mnie to nie obchodzi – ale Ciebie narażać nie mogłam. Po prostu nie. Poza Tobą nic więcej nie ma dla mnie znaczenia.

Dlatego musisz zrobić tak: jeśli mnie Wygnają – a jestem pewna, że to zrobią, bo Ojciec John nie zaryzykuje i nie pozwoli mi zostać, kiedy już przeczytał mój dziennik – chcę, żebyś mówiła **WSZYSTKIM**, że zasłużyłam na Wygnanie, tak jakbyś całym sercem była o tym przekonana. Musisz sprawić, **ŻEBY CI UWIERZYLI.** Trzymaj się blisko Ojca Johna, **NIGDY, PRZENIGDY** nie przestawaj szukać okazji, żeby się stąd wydostać i dopóki nie wrócę i Cię stąd nie zabiorę, dbaj o swoje bezpieczeństwo.

A JA NA PEWNO PO CIEBIE WRÓCĘ. WRÓCĘ, ZABIORĘ CIĘ Z TEGO OKROPNEGO MIEJSCA I NIGDY JUŻ NIE OBEJRZYMY SIĘ ZA SIEBIE. OBIECUJĘ.

Na wypadek, gdybyś zdołała uciec na własną rękę, zostawiam Ci adres Twoich dziadków, **SKONTAKTUJ SIĘ Z NIMI KONIECZNIE.** Pomogą Ci i będą wiedzieli, jak mnie odnaleźć.

*Michael i Anne Daltonowie
364 Green Harbor Lane
St James w stanie Waszyngton
Kod pocztowy: 78046*

Moja mała Moon, kocham Cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Wiem, że byłam dla Ciebie surowa i że wydawało Ci się, że mi na Tobie nie zależy, ale OKROPNIE SIĘ BAŁAM, że ściągnę na nas uwagę, że ktoś zacznie podejrzewać, co planuję zrobić.

Jestem pewna, że były chwile, kiedy myślałaś, że Cię nie kocham. NIE MAM CI TEGO ZA ZŁE. Nienawidzę siebie za to, że dałam Ci powód, by we mnie zwątpić. Ale miłość jest w Bazie Legionu uczuciem niebezpiecznym. Ojciec John wymaga absolutnego posłuszeństwa i oddania, a przy tym jest okrutny i zazdrosny.

Prawda jest taka, że JESTEŚ NAJLEPSZĄ RZECZĄ, JAKA KIEDYKOLWIEK MI SIĘ PRZYDARZYŁA i poświęcę resztę życia, żeby wynagrodzić Ci koszmar, który Ci wraz z ojcem zgotowaliśmy.

Bądź ostrożna. Trzymaj się z dala od niebezpieczeństw. I bezustannie szukaj sposobu, żeby się stąd wyrwać. NIGDY NIE PRZESTAWAJ.

KOCHAM CIĘ.

Mama

Podnoszę oczy na agenta Carlyle'a i natychmiast zaciskam powieki, bo z jego twarzy bije tak intensywna troska, że nie jestem w stanie jej znieść.

Próbuję ogarnąć myślą list od mamy, odnaleźć krawędzie i ułożyć resztę w całość, jak puzzle, ale ta układanka jest za duża, a mój mózg i serce wydają się pogruchotane. Przywołuję z pamięci listę pytań, które zawsze chciałam jej zadać – pływają płytko pod powierzchnią mojej świadomości – i z uczuciem przypominającym, o dziwo, smutek zdaję sobie sprawę, że większość znalazła już odpowiedzi.

Mama mnie kochała. Naprawdę.

Kochała mnie i próbowała nas stamtąd wydostać, zostawić Ojca Johna i Legion daleko za nami. Próbowała usilnie, chociaż wiedziała, co jej grozi, jeśli ktoś się dowie.

A ten jej chłód, którego nie znosiłam, przez który zawsze wydawało mi się, że wcale jej nie obchodzi? Jeśli mam wziąć to, co pisze, za dobrą monetę – a chyba tak właśnie muszę zrobić, zwłaszcza że został mi po niej tylko ten list – to dystans, który zawsze między nami utrzymywała, nie był przypadkowy, ale zamierzony. Stwarzała pozór absolutnie zwyczajnej wiernej, a jednocześnie w ukryciu organizowała naszą ucieczkę. Nawet to, że obiecała mnie Ojcu Johnowi – miała rację, że nigdy całkowicie jej tego nie wybaczyłam – wynikało z przyczyn, których zrozumienia nie mogła wtedy ode mnie oczekiwać i miało na celu uchronienie jej córki przed ciemnością kłębiącą się w samym sercu Legionu Pana.

Zrobiła to, żeby mnie chronić. Żeby zyskać czas.

Czas dla nas obu.

Otwieram oczy i patrzę na imiona, nazwisko i adres, który zapisała. To jej mama i tata. Moja prawdziwa rodzina, której nie znam.

– Próbowaliśmy się z nimi skontaktować – odzywa się agent Carlyle. – Twój dziadek zmarł siedem lat temu, a babcia osiem miesięcy po nim. Przykro mi.

Kiwam głową, choć przecież nigdy ich nie poznałam, a wiadomość o dwóch dodatkowych martwych osobach jest czystą arytmetyką. Nic nie czuję. I nie wiem, czy kiedyś zdołam cokolwiek poczuć. Myślę, że ta drętwość już nigdy mnie nie opuści.

– A więc umarli, jeszcze zanim mama została Wynnana – mówię. – Kiedy wciąż była w Bazie.

– Wysłaliśmy ludzi do ich miasteczka. Mieli sprawdzić, czy twoja mama pytała o dziadków po wydaleniu z Legionu. Niestety, żaden z sąsiadów nie przypomina sobie, żeby ją tam widział. Nikt też nie podjął próby przejęcia ich domu. W miejscowym sądzie zostałyby po tym jakiś

zapis.

– A więc po prostu rozpułnęła się w powietrzu?

– Nie wystawiono aktu zgonu na jej nazwisko – odpowiada Carlyle. – Ale obawiam się, że jest to jedyna sprawdzona wiedza, jaką dysponujemy.

Czuję, jak coś we mnie usycha. Coś kurczy się i znika, i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co to było. Ten nagły brak uderza mnie hakiem w brzuch.

Właśnie zgasł ostatni pełgający żarem węgielek mojej nadziei.

– Nie wróciła po mnie. W liście pisze, że nigdy nie przestanie próbować, ale Odeszła już trzy lata temu. I nigdy nie wróciła.

Carlyle patrzy na mnie z wyrazem głębokiego współczucia.

– Myśli pan, że o mnie zapomniiała?

Gwałtownie kręci głową.

– Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem. Choćby przez sekundę. Ty też nie powinnaś.

– Sądzi pan, że nie żyje?

– Moonbeam...

– Niech pan powie prawdę. Czy pan myśli, że ona nie żyje?

– Nie wiem – odpowiada, choć jego oczy mówią co innego.

– W porządku.

– Przykro mi, Moonbeam. Naprawdę.

„Nic nie czuję. Jestem odrętwiała”.

– Powiedziałam, że jest w porządku.

– Nasi ludzie jej szukają. Jeśli gdzieś tam jest, to ją znajdziemy.

„Nie znajdziecie. Ale to nie pana wina”.

– Wierzę panu.

– Osobiście zatwierdzałem skład zespołu dochodzeniowego. – Najwyraźniej chce mnie przekonać, że wciąż jest jakaś szansa. – To najlepsi fachowcy. Nie trać nadziei.

„Za późno”.

– Wciąż ją mam – kłamię. – Co się teraz będzie działo, skoro już wszystko mamy za sobą? Dokąd pan pojedzie?

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiada natychmiast. – Zjawię się, kiedy będziesz mnie potrzebować. Powiedz tylko słowo.

Pozostawiam uśmiech na twarzy jak maskę. Naprawdę chciałabym mu wierzyć, ale nie mam już w sobie Wiary.

Wyczerpała się.

POTEM

JEST NAS ZNACZNIE MNIEJ niż dotąd.

Upłynął już ponad miesiąc od pożaru, w którym moi ocaleni Braciszkwowie i Siostrzyczki, zataczając się, kaszląc i bełkocząc, pozostawili za sobą jedyne życie, jakie kiedykolwiek znali. Mój plan dnia nie uległ zmianie: rano spotykam się z doktorem Hernandezem, a agent Carlyle czasami wtyka głowę przez uchylone drzwi Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1, by się przywitać. To miłe, kiedy ktoś zadaje sobie trud, żeby przyjść i nas odwiedzić, mimo że już nic nie możemy dla niego zrobić.

Wydaje się w tym szczerzy.

Rainbow wyszła stąd pierwsza. Doktor Hernandez powiedział mi, że jej dziadkowie od lat próbowali przekonać władze, by pozwoliły im zabrać wnuczkę z Legionu. Ponieważ jej rodzice nie żyją, sędzia nie zwlekał długo z przyznaniem opieki dziadkom. Spotkałyśmy się jeszcze, kiedy po nią przyjechali. Nie wiedziała, czy ma się bać czy czuć podniecenie. Smutek wisiał nad nią ciągle jak chmura – jak nad nami wszystkimi – i myślę, że musi minąć jeszcze dużo czasu, zanim ta chmura rozdzieli się i całkiem rozwieje, jeśli kiedykolwiek tak się stanie, ale perspektywa opuszczenia szarych ścian Miejskiego Ośrodka Zdrowia im. George’a W. Busha, nawet w towarzystwie dwóch zupełnie obcych osób, napełniła jej buzię szczęściem. Ten widok mnie ucieszył, chociaż kiedy przy pożegnaniu objęła mnie, przytuliła i powiedziała, że mnie kocha, poczułam bolesne ukłucie w sercu.

Potem wyjechały Aurora i Winter – zabrali je ciotka i wujek

mieszkający na Hawajach, a Lucy zamieszkała z babcią na farmie w stanie Iowa. Ilekroć któreś z nas odchodzi, urządzamy małą imprezę w Sali Terapii Grupowych. Są chipsy, słodycze i napój pomarańczowy. Niektórzy płaczą. Nakazujemy sobie dbać o siebie i być ostrożnym. Jednemu lub dwojgu z najmłodszych dzieciaków wciąż zdarza się powiedzieć: „Pan jest Dobry”, ale mam wrażenie, że nie mówią tego tak serio jak dawniej, tylko raczej powtarzają odruchowo, jak gdyby czasami zapominały, że nie czeka ich żadna kara, jeśli tego nie powiedzą.

Honey nadal tu jest, tak jak Jeremiaś i dziesięcioro innych. Kilkoro z nich wkrótce wyjedzie i zamieszka z krewnymi odnalezionymi przez agenta Carlyle’a i jego kolegów. Ale pozostali, w tym ja, albo nie mają żadnej rodziny, albo – i tego nigdy nie mówi się głośno – nie mają żadnych bliskich, którzy chcieliby wziąć ich do siebie. Spytałam doktora Hernandeza, co się z nimi stanie. Powiedział, że w końcu pójdą do rodzin zastępczych, czyli do ludzi, którzy przyjmują do siebie cudze dzieci i otaczają je opieką.

Wydaje mi się, że istnienie takich rodzin znacznie lepiej dowodzi, że Pan jest Dobry niż którekolwiek z kazań Ojca Johna.

POTEM

– CHCIAŁBYM DZIŚ POROZMAWIAĆ O GNIEWIE – mówi doktor Hernandez. – Nie masz nic przeciwko?

Uśmiecham się.

– Wydaje mi się, że już raz czy dwa o nim mówiłam.

Doktor odpowiada uśmiechem.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak złowieszczo. Chodziło mi o to, jak można poradzić sobie z gniewem, jak się od niego wyzwolić.

– W porządku. Zainteresował mnie pan.

Kiwa głową i odchyła się na oparcie krzesła. Od jakiegoś czasu na biurku nie ma dyktafonu, a doktor jest znacznie bardziej rozluźniony, niż kiedy rozpoczynaliśmy nasze rozmowy. Wtedy obchodził się ze mną tak ostrożnie, jakby obawiał się, że jeden nieopatrzny komentarz roztrzaska mnie na tysiąc kawałków. Wtedy też, kiedy wypytywał mnie głównie agent Carlyle, miałam wrażenie, że doktor Hernandez widzi we mnie zagadkę do rozwiązania, jakiś obiektywny problem, będący wyzwaniem dla jego zawodowych umiejętności i doświadczenia. A teraz rozmawia ze mną jak z dobrą znajomą, choć wiem, że nie jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi – raczej nie sądzę, żebyśmy mieli się „kumplować”, kiedy i jeśli w ogóle stąd wyjdę – ale taki układ o wiele bardziej mi odpowiada.

– Nie tylko masz pełne prawo być wściekła przez to, co przeżyłaś – mówi doktor – ale wręcz powinnaś czuć gniew. Mówiąc szczerze, byłbym zaniepokojony, gdybyś go nie czuła. W tym pokoju pracowaliśmy nad nim intensywnie, ale chciałbym mieć pewność, że sobie z nim radzisz, że umiesz utrzymać go w ryzach. Bo nie chcę, żeby gniew cię pochłoniął.

– Nie pochłania – mówię.

Doktor kiwa głową.

– Ale czujesz gniew, Moonbeam?

– Tak. – Już teraz go nie oszukuję.

– Na kogo?

– Na Ojca Johna.

Zapisuje coś szybko w jednym z notesów, ale nawet to nie irytuje mnie tak jak kiedyś.

– A na twoją mamę?

Kręcę głową.

– Nie jestem na nią zła.

– Na Amosa Andrews a i na Jacoba Reynoldsa?

– Nie. I nie.

– A na Luke'a?

Chwilę zwlekam, po czym kręcę głową.

Doktor mruży oczy.

– Na pewno? Wiesz, jeśli jesteś na niego zła, możesz mi o tym powiedzieć. To nie jest problem.

– Nie jestem na nich zła – mówię. – Kiedyś byłam. Bardzo długo bałam się Luke'a, byłam wściekła na mamę i nienawidziłam Amosa i Jacoba. Nie mówię, że to, co zrobili, nie budzi mojego gniewu. Co to, to nie. Ale przeważnie nie działali z własnej woli, więc to nie ich wina.

– A czyja? – pyta doktor Hernandez.

Uśmiecham się.

– Czy muszę po raz kolejny wypowiadać jego imię?

– Nie. Nie musisz. Ale jeśli nie masz nic przeciwko, sam je przywołam.

Wzruszam ramionami.

– Proszę bardzo, niech pan przywołuje.

Przewraca oczami, ale nie przestaje się uśmiechać.

– A co z Ojcem Johnem? Czy możesz sobie wyobrazić moment, w którym przestajesz być na niego zła?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Mam nadzieję.

– A czy dopuszczasz myśl, że kiedyś wybaczysz mu jego czyny?

– Nie – odpowiadam bez wahania.

– Czy jesteś...

– Jestem pewna.

POTEM

– MIESZKA W LONDYNIE. TO TAKIE MIASTO – mówi Honey. – Będę tam leciała dziesięć godzin samolotem.

– Nie martw się, przeżyjesz.

Honey potakuje.

– Gdy rozmawialiśmy przez telefon, obiecał, że usiądzie obok i będzie cały czas trzymał mnie za rękę – mówi. – Ja na to, że chyba mu się wydaje, że mam pięć lat, na co bardzo się zawstydził. Chyba go polubię.

– To brat twojej mamy? – pytam.

Znów kiwa głową.

– I najwyraźniej już się poznaliśmy. Mówi, że przyszedł zobaczyć mnie w szpitalu, kiedy się urodziłam. Ale mama nigdy o nim nie wspominała.

– Chyba wiem dlaczego – mówię. Siedzimy w Sali Terapii Grupowych, a ja zmuszam się, by utrzymać przekonujący uśmiech, bo z jednej strony cieszy mnie, że Honey wyjeżdża, prawie podskakuję ze szczęścia, ale też będę bardzo za nią tęsknić.

– Napiszę do ciebie – mówi. – Są jeszcze rzeczy, o które chciałabym cię spytać, kiedy już nie będziemy pod nadzorem.

Przypominam sobie, co powiedziałam jej szeptem do ucha w czasie pierwszej sesji grupowej z moim udziałem, i uśmiecham się do niej. Szczyrzy się w odpowiedzi.

– A ty możesz przyjechać i mnie odwiedzić – ciągnie. – Kiedy już cię wypuszczą.

– Chciałabym. Ale będziesz musiała spytać wujka, co on na to.

Znowu suszy zęby.

– Zgodzi się. Wiem to na pewno. Przysłał mi zdjęcie swojego domu. Jest ogromny.

– Na pewno dobrze mu się wiedzie.

– No, chyba jest bogaty. Nie bardzo zrozumiałam, kim jest z zawodu, ale chyba handluje na jakimś targu czy innej giełdzie, i zarabia tam masę pieniędzy.

– Świetnie ci tam będzie – mówię. – Wiem, że będziesz szczęśliwa.

Znów kiwa głową, ale jej uśmiech blednie.

– I ty też, wiesz? Kiedy cię wypuszczą, będziesz mogła pojechać, dokądkolwiek zechcesz, i robić, co tylko zapragniesz.

Przytakuję kiwnięciem.

– Przetrwaliśmy, Moonbeam. Nie zapominaj o tym, bo jest się z czego cieszyć.

Wybucham śmiechem.

– Głęboka myśl.

Jej powieki zwężają się.

– Mówię poważnie. Obiecuj, że będziesz o tym pamiętać.

– Obiecuję.

Pochyla się do przodu i obejmuje mnie mocno, zaciskając ramiona wokół moich żeber, ja też przytulam ją z całej siły i uśmiecham się, bo wiem, że ma rację. Przetrwaliśmy.

Ona, ja i wszyscy pozostali utraciliśmy w pożarze część siebie, ale jednak przetrwaliśmy.

Żyjemy.

POTEM

DRZWI OTWIERAJĄ SIĘ i do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 wchodzi agent Carlyle i doktor Hernandez. Siadają na tych samych krzesłach co zwykle i obaj uśmiechają się do mnie, a agent Carlyle kładzie na stole przed sobą grubą teczkę.

– Dzień dobry, Moonbeam – mówi. – Wszystko dobrze?

Uśmiecham się.

– Na jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

– No to nieźle. A jak ręka?

Wczoraj po południu nareszcie zdjęli mi bandaż. Na palcach mam błyszczące zgrubienia i okrągłe placki białej, zabliźnionej tkanki wewnątrz dłoni, nowa skóra jest jaskraworóżowa, jak u niemowlęcia. Siostra Harrow wyglądała na bardzo zadowoloną i wciąż powtarzała, że mogło być gorzej i to znacznie gorzej.

Pewnie ma rację.

– W porządku – mówię. – Mam tylko wrażenie, że ta skóra jest tak napięta, że zaraz pęknie. Ale jest w porządku.

– Cieszę się, że tak mówisz – odpowiada Carlyle. – Upoważniono mnie, bym podzielił się z tobą nowymi informacjami, ale zrobię to tylko, jeśli chcesz je usłyszeć. Możesz odmówić.

Strumyczek chłodu śaczy się przeze mnie, przyprawiając o uczucie zbliżone do tęsknoty.

– Czy chodzi o moją mamę?

Doktor Hernandez zaprzecza ruchem głowy.

– Obawiam się, że nie, Moonbeam. Chodzi o Ojca Johna.

Odruchowo wzdygam się i wykrzywiam twarz w grymasie.

Nienawidzę tego, że sam dźwięk jego imienia jest w stanie wywołać moją fizyczną reakcję. Odkąd ostatni raz o nim pomyślałam, minęły dwa, trzy dni, a może nawet tydzień, bo świadomie starałam się o nim nie myśleć, choć zawisł wielką, ciemną chmurą nad życiem ludzi, których nazywam swoją Rodziną, więc nigdy nie zdołam całkiem o nim zapomnieć. Ale przynajmniej jego głos ucichł, a przez chwilę obawiałam się, że będzie mnie nękać w nieskończoność.

– Co to za informacje? – pytam.

– Mówiłem ci, że śledztwo przeciwko niemu wszczęto na długo przed wybuchem pożaru w Legionie Pana – mówi agent Carlyle. – I nadal się toczy. Możliwe, że potrwa jeszcze co najmniej rok, a dopiero potem jego wyniki zostaną przekazane do Departamentu Sprawiedliwości. Niemniej jednak Szef Sekcji upoważnił mnie do przekazania ci szkicu ogólnego raportu, jeśli chcesz go usłyszeć.

– Czego się dowiem?

– Większość zawartych tam informacji jest ci znana. Ale raport opisuje też dość szczegółowo, co robił i kim był John Parson, zanim pojawił się w hrabstwie Layton. Mówiłaś, że snucie domysłów na temat tego okresu jego życia było zakazane, więc pomyślałem, że zechcesz usłyszeć prawdę.

– Tak – odpowiadam bez namysłu. – Niech pan mówi.

Doktor uśmiecha się, a agent otwiera teczkę.

– John Parson – czyta Carlyle – urodzony dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku w Modesto w stanie Kalifornia, syn Charlesa i Laurie Parsonów. Rodzice rozwiedli się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku i, o ile nam wiadomo, matka przez większość czasu wychowywała syna samotnie. Brak niezwykłych wydarzeń w dzieciństwie, w szkole oceniany średnio, jako nieletni otrzymał dwa ostrzeżenia za spożywanie alkoholu i prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości, brak dokumentów

stwierdzających rozpoczęcie studiów wyższych. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku podpisał umowę o wspólny wynajem mieszkania w dzielnicy Echo Park we wschodnim Los Angeles. Dla numeru ubezpieczenia J. Parsona nigdy nie złożono zeznania podatkowego, więc nie ma pewności, z czego Parson utrzymywał się w czasie pobytu w Los Angeles, ale według kilkorga jego znajomych z tego okresu Parson przynajmniej sporadycznie muzykował i grał płatne koncerty w klubach. Świadkowie ci zeznali również, że w tamtym okresie Parson zaczął brać heroinę i handlował nią. Czy wiesz...

– Wiem, co to jest heroina – uprzedzam pytanie.

– Mówiłaś nam, że jednym z ulubionych tematów kazań Ojca Johna było zło wynikające z uzależnień – mówi doktor Hernandez.

Kiwam na potwierdzenie.

– A on sam uważał, że leki na receptę są narzędziem Sług Węża.

– Zgadza się – odpowiadam.

Doktor raczy mnie uśmiechem i zapisuje coś szybko w jednym z notesów.

– Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku Parson został aresztowany przez policję w Los Angeles – ciągnie Carlyle. – Przyznał się do posiadania narkotyków w celach handlowych i został skazany na trzy lata w więzieniu stanowym, z czego dwa w zawieszeniu. Odsiedział trzy miesiące.

Ściągam brwi.

– Dlaczego tak mało?

– Przeludnienie – odpowiada agent Carlyle. – Popełnił przestępstwo bez użycia przemocy, więc wypuścili go, żeby zwolnić celę dla kogoś gorszego. To dość powszechna praktyka. Ale nie minęło zbyt wiele czasu, nim znów go wsadzili. W maju następnego roku rozwalił głowę sąsiada kijem bejsbolowym i skazano go za napaść z bronią w ręku. Odsiedział osiem lat w Kern Valley, ale dziesięć dni po wyjściu z zakładu złamał warunki przedterminowego zwolnienia, więc wrócił za kraty na kolejne

dziewięć miesięcy. Z jego akt więziennych wynika, że właśnie w czasie tych ostatnich miesięcy odsiadki uczęszczał na zajęcia, na których studiowano Biblię, i ogłosił, że ponownie się narodził. Rozmawiałem z ówczesnym szefem jego bloku, który twierdzi, że nikt nie dał się na to nabrać, choćby przez chwilę. Według niego, była to, cytuję, „gówno prawda i pic na wodę”.

– Dlaczego miałby udawać? – pytam.

– Bo bywa, że sędziowie patrzą łaskawszym okiem na więźniów, którzy za kratami odnajdują Boga i twierdzą, że dostrzegli swój błąd – odpowiada agent Carlyle. – Oczywiście nie wszyscy tak robią, ale wielu owszem. A recydywista, który na dodatek przy ostatniej odsiadce złamał zasady zwolnienia warunkowego, spróbuje wszystkiego, żeby wyjść na wolność.

– Desperaci posuwają się do desperackich czynów – mówi doktor Hernandez. – Myślę, że sama rozumiesz to najlepiej.

„Co pan powie”.

Kiwam głową.

– Tego, czy rzeczywiście się nawrócił czy udawał, prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy – mówi agent Carlyle. – Ale, tak czy inaczej, Parson najwyraźniej postanowił pozostać przy tej wersji z nawróceniem. W dwa tysiące drugim roku przyłączył się do grupy Baranki Boże odłamu Adwentystów Dnia Siódmego i wyjechał do ich ośrodka w Newadzie. Spędził tam dwa lata, po czym go wydalono. Byli członkowie grupy powiedzieli nam, że Parson oskarżył ich przywódcę o czczenie diabła i próbował go obalić.

– Brzmi znajomo? – pyta doktor Hernandez.

Potakuję kiwnięciem i uśmiecham się lekko.

– Najwyraźniej z Newady wyjechał wraz z nim Amos Andrews – mówi agent Carlyle, odwracając stronę raportu. – Potem nie ma żadnych informacji o miejscach ich pobytu aż do czasu, kiedy przyjechali do Legionu Pana. Nie sądzę, żebyśmy musieli omawiać późniejsze wypadki.

Kręcę głową.

– Ja też nie.

Agent Carlyle obdarza mnie uśmiechem.

– A więc był właśnie tym, za kogo miała go moja mama – mówię. – Obnośnym sprzedawcą kitu.

Carlyle kiwa głową.

– Przejrzała go na wylot. Bez pudła.

– Szkoda, że tylko ona – mówię.

Obaj mężczyźni milczą, ale nie mam im tego za złe, bo cóż mieliby odpowiedzieć?

– Dziękuję za te informacje – odzywam się, kiedy jest już jasne, że żaden z nich nie przerwie ciszy. – Jestem wdzięczna.

Agent Carlyle odpowiada skinieniem.

– Bardzo proszę.

– Czy chcesz kontynuować sesję? – pyta doktor Hernandez. – Możesz wrócić do swojego pokoju, jeśli potrzebujesz czasu, żeby przetrawić to, co usłyszałaś.

Kręcę głową.

– Nie trzeba. – I tak spędziłam w nim więcej czasu, niż bym tego chciała. – Lepiej powiedzcie, co słyhać na zewnątrz.

Doktor Hernandez odchyła się na oparcie krzesła, a agent Carlyle snuje długą opowieść o tym, jak wezwano go do szkoły, ponieważ jego córka poprawiała nauczyciela od angielskiego i teraz grozi jej za to zawieszenie. Słucham, kiwam głową i uśmiecham się w odpowiednich momentach, ale myślami jestem gdzie indziej.

Zastanawiam się nad Ojcem Johnem i nad wieloma ludźmi, którzy zmarnowali albo stracili życie, bo zawierzyli człowiekowi tak dalekiemu od świętości, jak to tylko możliwe.

I chociaż czuję się odrobinę dumna, że w końcu go przejrzałam, to nie opuszcza mnie myśl o ogromnej stracie. O potwornej i bezsensownej

stracie.

POTEM

JESTEM OSTATNIA. Poza mną nie ma tu już nikogo.

Dziś rano para z Houston przyjechała odebrać Jeremiah. Widziałam ich w lobby, kiedy siostra Harrow prowadziła mnie do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Stali przy recepcji, kurczowo ściskając w rękach torbę pełną zabawek. Denerwowali się, ale też ich twarze błyszczały nadzieją. Wiem, że w ciągu dwóch ostatnich miesięcy odwiedzali Jeremiah kilka razy, ale dotąd ich nie widziałam. Wyglądają na miłych.

Doktor Hernandez pozwolił mi wyjść z sesji na pięć minut, żebym się pożegnała z Jeremiah. Uściskaliśmy się w korytarzu, a ja powiedziałam mu, żeby był dobrym chłopcem. Odpowiedział, że się postara, a ja, że dobre i to, na co wybuchnął śmiechem i jeszcze raz się do mnie przytulił. Głęboko w jego spojrzeniu jest nadal coś, co mnie niepokoi, pozostałość wyrządzonej mu krzywdy, jakiś niewidoczny siniak, ale kiedy pozwolił jednej z sióstr wziąć się za rękę i odchodził z nią korytarzem do nowej rodziny, powiedziałam sobie, a może nawet uwierzyłam, że z czasem wszystko w jego życiu się poukłada.

Mam nadzieję, że mu się ułoży. Jemu i wszystkim pozostałym.

I mnie samej.

Za dwadzieścia trzy dni skończę osiemnaście lat i formalnie będę dorosła. Tego dnia zyskam prawo do decydowania o sobie samej, co nie brzmi już tak strasznie jak kiedyś.

Śledztwo w sprawie Legionu Pana – tak jak przewidział agent Carlyle – nie zakończy się postawieniem zarzutów żadnemu z nieletnich wiernych. Ja również ich nie usłyszę. To, co zrobiłam w Wielkim Domu, opisano

w raporcie, który trafił do akt i nigdy nie zostanie wykorzystany. Nie wiem, czy to dlatego, że mi nie uwierzyli, uznali mój czyn za samoobronę czy może nie mieli wystarczających dowodów, żeby mnie oskarżyć. Tak czy inaczej, sprawa została zamknięta.

To już koniec.

Agent Carlyle nie mógł mi tego powiedzieć osobiście, gdyż wstępne ustalenia podano do wiadomości, kiedy był w Dallas. Nie chciał jednak, żebym musiała czekać na jego powrót, by się o nich dowiedzieć, więc przekazał mi je doktor Hernandez.

Płakałam przez jakieś pół godziny. Nie ze smutku ani z radości, ale dlatego, że poczułam ulgę. Poczułam, że coś się skończyło i teraz – kto wie, niewykluczone – będę mogła spojrzeć w przyszłość, cokolwiek dla mnie niesie, zamiast ciągle oglądać się wstecz. Coraz więcej myślę o tym, co mnie czeka.

Mniej więcej przed tygodniem doktor Hernandez powiedział, że – jeśli będę chciała – pozwolą mi opuścić Miejski Ośrodek Zdrowia im. George'a W. Busha w dniu moich urodzin. Zanim stąd wyjdę, będę musiała odbyć masę spotkań dotyczących pieniędzy, mieszkania, dowodu tożsamości i wielu innych spraw, a mieszkając na zewnątrz, będę musiała co tydzień zgłaszać się do gabinetu doktora w Austin, ale poza tym będę mogła pojechać, gdzie tylko zechcę.

Nie mam bladego pojęcia, dokąd miałabym się udać, ale chyba coś wymyślę.

Będę musiała.

POTEM

DO MOICH URODZIN zostały jeszcze trzy dni.

Moje poranne sesje odbywają się teraz co drugi dzień i nie ma sesji grupowych, bo nie został już nikt, z kim mogłabym się spotykać. Jeśli powiem siostrze Harrow, że chcę się zobaczyć z doktorem Hernandezem, to doktor zwykle pojawia się w ciągu godziny albo telefonuje, jeśli akurat jest w Austin, ale staram się tego nie robić, bo poświęcił już tyle energii i uwagi mnie, moim Braciom i Siostram, że teraz powinien odzyskać przynajmniej trochę własnego życia.

Agent Carlyle wyjechał na dobre. Powiedział mi, że szef dał mu trzymiesięczny urlop, czyli chyba zachował się przyzwoicie. Rodzina musiała tęsknić za Carlyle'em w te długie, mroczne dni po pożarze, kiedy każdą minutę spędzał albo tutaj, albo wśród dogasających ruin Bazy. Zwłaszcza jego córka, zaledwie o cztery miesiące młodsza ode mnie. Kilka razy mówił mi, że polubiłabym ją i myślę, że miał rację. Zanim po raz ostatni uściskał mnie i powiedział „do widzenia”, dał mi swoją wizytówkę i kazał dzwonić bez wahania, gdybym czegokolwiek potrzebowała. Podziękowałam, powiedziałam, że zadzwonię, ale raczej się powstrzymam. Myślę, że zrobił już wystarczająco dużo.

Doktor również.

Przez większość czasu moje drzwi nie są już zamknięte na klucz. Wprawdzie nie mogę wyjść z bezpiecznego oddziału, a mój pokój zamykają na noc, ale w ciągu dnia mogę chodzić, gdzie mi się podoba. Obok Sali Terapii Grupowych jest biblioteka, w której czasami przesiaduję. Prawie codziennie idę na dwór i spaceruję po dziedzińcu. Ale

większość czasu spędzam w moim pokoju.

Przestałam rysować. Do miejsca z domkiem, urwiskami i wodą uciekałam w razie potrzeby, trzymałam się go, bo było tylko moje. Spełniło swoją rolę. Doktor Hernandez zasugerował, żebym prowadziła pamiętnik, więc pisałam go przez jakiś tydzień, ale nie weszło mi to w nawyk.

Nie potrzebuję zapisywać tego, co mi się przydarzyło, ani tego, co widziałam. To wszystko jest wypalone we mnie jak piętno, które nie chce zblednąć.

POTEM

– STO LAT – MÓWI SIOSTRA HARROW, otwierając drzwi mojego pokoju chwilę przed dziesiątą.

Nie wspomniała o moich urodzinach, gdy przyniosła śniadanie. Pewnie w międzyczasie ktoś jej o nich przypomniał. Ale nie szkodzi, i tak jest mi miło, że teraz to mówi.

Uśmiecham się, wychodzę za nią na korytarz i automatycznie skręcam w lewo, do Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Ale ona idzie w prawo, w stronę lobby, stołówki i Sali Terapii Grupowych. A przecież odkąd wyjechał Jeremiaś, wcale tam nie chodzimy.

Pytam ją, co się dzieje, ale nie odpowiada, co też jest dziwne. Siostra Harrow była dla mnie miła od dnia, w którym mnie tu przywieźli, więc nie mam pojęcia, dlaczego miałyby ot tak nagle zacząć mnie ignorować. Idę obok niej w ciszy i z każdym krokiem czuję, że stąkam ciężiej niż zwykle, a mój tupot o plastikowe płytki podłogi niesie się echem dookoła. Wiem, że to zauważa, ale i tak nic nie mówi.

Mijamy załom korytarza, a tam, przed drzwiami do Sali Terapii Grupowych, stoi doktor Hernandez. Uśmiecha się do mnie. Siostra Harrow zawraca, więc już sama podchodzę do doktora.

– Dzień dobry, Moonbeam. – Doktor Hernandez stoi wyprostowany, a w jego głosie wyczuwam dziwnie formalny ton. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Dziękuję – odpowiadam. – Czy wszystko w porządku?

Kiwa głową.

– W najlepszym. Wybacz zmianę w planie dnia, ale chcę, żebyś coś

zobaczyła.

– Nie ma sprawy, a co takiego?

Gestem wskazuje drzwi.

– Poczekaj tam. W międzyczasie zastanów się, co oznacza ten dzień. I koniecznie zachowaj otwarty umysł. Pamiętaj, że jeśli będziesz mnie potrzebować, jestem tuż obok.

Ściągam brwi.

– Ale co się dzieje?

Doktor Hernandez kręci głową.

– Będę tutaj – mówi i otwiera drzwi.

Wchodzę do wnętrza, gotowa przyjąć każdy cios, który może tam na mnie czekać, ale sala, której wygląd dobrze poznałam w ciągu ostatnich miesięcy, jest prawie pusta. Zniknęły stoły i kanapy, nie ma też pudeł z zabawkami, papierem do rysowania i kredkami. Zostały tylko dwa krzesła na samym środku ustawione przodem do siebie.

Odwracam się do wyjścia, żeby spytać doktora Hernandeza, o co w tym wszystkim chodzi, ale drzwi są już zamknięte.

Jestem sama.

Wolno podchodzę do krzeseł i zastanawiam się, czy to jest jakiś ostatni etap „procesu terapeutycznego” doktora Hernandeza, którego nie rozumiem, ostatni test sprawdzający, czy naprawdę powinni mnie stąd wypuścić czy jednak nie. Zza pleców dobiega mnie odgłos otwieranych drzwi, więc odwracam się w ich stronę i mówię, nie kryjąc coraz większego rozdrażnienia:

– Naprawdę nie wiem, czego pan ode mnie...

I wszystko nieruchomieje.

Moje ciało tężeje jak beton, ciąży jak ołów, wszystkie zegary zatrzymują się, a ziemia staje jak wryta na orbicie, bo w drzwiach widzę moją mamę.

Zakrywa usta dłonią, w oczach ma łzy i patrzy na mnie, a ja nie mogę

się poruszać ani myśleć, bo przecież to moja mama, naprawdę tu jest, to nie ulega wątpliwości, ale pierwsza myśl, która przebija się do mnie, mówi, że to na pewno sen, bo żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu.

Wygląda o wiele starszej, niż kiedy widziałam ją po raz ostatni, jak gdyby od jej Wygnania minęło znacznie więcej niż trzy lata. Ma siwe pasma we włosach i bladą skórę, a na szyi i czole pojawiły się zmarszczki, ale oczy – jej oczy – są takie, jak były.

Gapimy się na siebie wzajem, a dzieląca nas przestrzeń jest ogromna i niezmierna jak ocean. Bałwany emocji i wspomnień ścierają się ze sobą, a wielka fala bólu, gniewu, ulgi i radości przewala się przeze mnie z siłą, której nie jestem w stanie zrozumieć ani wchłonąć. Mogę tylko płynąć, starając się oddychać, i mieć nadzieję, że nie utonę.

Wtedy mama robi krok w moją stronę, a ja jestem pewna, że zaraz zemdleję i runę na podłogę jak kupa gruzu. Głos z tyłu głowy wrzeszczy, że jestem silna i wytrzymam, i że nie po to przetrwałam wszystko, co przetrwałam, żeby w ostatniej minucie rozpaść się na kawałki. Wiem, że ma rację. Odpowiadam mu bezgłośnym krzykiem, który toczy się echem wewnątrz mojej czaszki. Wówczas rozjaśnia mi się w głowie, a czucie wraca do nóg, więc stoję, a mama podchodzi do mnie tak wolno i ostrożnie, jakby zbliżała się do dzikiego zwierzęcia.

Kiedy jest już na tyle blisko, że mogłabym wyciągnąć rękę i jej dotknąć, zatrzymuje się. Łzy płyną jej po policzkach i wciąż trzyma dłoń na ustach, patrząc na mnie tak, jak gdybym była tylko wytworem wyobraźni, jakby nie wierzyła, że naprawdę przed nią stoję.

– Moja mała Moonbeam – szepcze, a dźwięk jej głosu przeszywa mnie jak najostrzejszy nóż, rozcina i ukazuje całemu światu to, co mam we wnętrzu.

Wykrzywiam się w niekontrolowanym grymasie i wybucham płaczem, bo myślałam, że już nigdy jej nie usłyszę. Pogodziłam się już z tym okropnym faktem, nurzałam się w smutku, szlochałam, klęłam i łkałam, a teraz okazuje się, że byłam w błędzie i ta ulga jest prawie niemożliwa do zniesienia.

– Nie płacz – mówi. – Proszę cię, Moonbeam. Już wszystko dobrze.

Gwałtownie kręcę głową, bo nic nie jest dobrze. To niedobrze, że zginęło tak wielu ludzi, że tak wiele Sióstr i Braci straciło rodziców, że zostało z ranami, które nigdy całkiem się nie zagoją. I niedobrze, że moja mama może do mnie wrócić, podczas gdy ich mamy i ojcowie gniją w ziemi.

To niesprawiedliwe.

Ale nie mogę jej tego powiedzieć. Nie chcę jej tego mówić. Chcę tylko jednego: objąć ją, przytulić i już nigdy nie wypuścić z ramion.

– Powiedz coś – mówi drżącym głosem. – Cokolwiek, błagam.

Otwieram usta, ale nic się z nich nie wydobywa, więc mama przysuwa się, przyciąga mnie do siebie i szepcze mi do ucha dwa słowa, powtarzając je bez końca:

– Przepraszam cię.

POTEM

NIE WIEM, JAK DŁUGO STOIMY w objęciach na środku sali.

Wydaje się, że całą wieczność.

Kiedy wreszcie nasze ramiona się rozplatają, podchodzę do drzwi i zapraszam doktora Hernandeza do środka. Mama wygląda na stropioną, może nawet na zdenerwowaną, jak gdyby zdjęła ją obawa, że poproszę, by kazał jej wyjść. Ale doktor jest mi potrzebny do czego innego. Chcę, żeby stał przy mnie, kiedy zadam jej jedyne pytanie, które wciąż jeszcze ma znaczenie.

„Gdzie byłaś?”

Przestępując próg, doktor uśmiecha się powściągliwie, a na jego twarzy wyraźnie maluje się pytanie: „Czy wszystko w porządku?”.

Potwierdzam skinieniem głowy, po czym staję u jego boku i razem patrzymy na mamę, a ja zadaję pytanie.

Mama mówi, że kiedy wyprowadzono mnie z Wielkiego Domu, gdy zapadła decyzja o jej Wygnaniu, Ojciec John powiedział jej dwie rzeczy.

Po pierwsze, że Na Zewnątrz Bazy są ludzie lojalni wobec Legionu, którzy do końca życia będą obserwować każdy jej ruch i zrobić, co trzeba, żeby nigdy nie poszła do władz.

Po drugie, że jeżeli w Bazie kiedykolwiek pojawi się policja albo inni Rządowi, Ojciec John uzna, że to przez nią. Przyjmie, że to ona ich nasłała, a wtedy Jacob Reynolds zabierze mnie na pustynię, wypruje flaki i zostawi kojotom na pożarcie.

Nie wiedziała, czy wierzyć w to pierwsze, ale nigdy, nawet przez sekundę nie wątpiła w drugie.

– Mówił serio – szepcze łamiącym się głosem. – Boże, oni by to zrobili.

Gdy mama mówi, doktor Hernandez blednie i przybliża się do mnie o krok. Pewnie spodziewa się, że zemdleję, a stojąc bliżej, zdąży mnie podtrzymać. Raczej nie stracę przytomności, ale jestem mu wdzięczna.

Mama mówi, że skontaktowała się z kobietą, z którą przyjaźniła się jeszcze w Santa Cruz, i poprosiła ją o pomoc. Wcześniej ta sama przyjaciółka próbowała przekonać ją, żeby wcale nie wyjeżdżała do Teksasu. To od niej mama dostała pieniądze na wynajęcie mieszkania w Odessie, gdzie zaczęła planować, jak wydostać mnie z Legionu. Ale w ciągu trzech miesięcy włamano się do niej trzykrotnie, a mama zaczęła mieć wrażenie, że sąsiedzi i ludzie w sklepie ją obserwują. Z czasem nabrała przekonania, że jej telefon jest na podsłuchu, coraz rzadziej też opuszczała mieszkanie. I wtedy zaczęła pić. A raczej – chlać.

Przerywa i mówi, że chyba nie chcę tego słuchać. Że może to nie jest czas na tę opowieść. Na co doktor Hernandez odpowiada, że ja sama powinnam o tym zdecydować, co wzbudza we mnie falę ciepłych uczuć do niego i mówię jej, że chcę wiedzieć wszystko, choćby i najgorsze.

„Bądź dzielna” – szepcze głos z tyłu głowy.

Mama opowiada przez łzy, co było dalej. O tym, jak porzuciła mieszkanie w Odessie i uciekła do Dallas, a na każdym rogu, w każdym barze, w nieznanym, którzy uśmiechali się do niej, mijając ją na ulicy, widziała ludzi Ojca Johna. Piła coraz więcej, aż wreszcie nie robiła już nic poza tym.

Alkohol pochłonął ją na bardzo długo.

Po dwóch latach trafiła do karetki, która przewiozła ją na ostry dyżur. Dopiero tam wytrzeźwiała. To był szpital w Seattle. Nie pamięta, jak się tam znalazła, wie tylko, że upadła przed apteką na południu miasta, a w karetce dwukrotnie ustawała akcja jej serca. Gdy mówi, że przez sześć minut właściwie nie żyła, czuję, że mój żołądek zaraz eksploduje. Wypisali ją ze szpitala prawie miesiąc później. Dostała listę adresów, gdzie może się zatrzymać, i nareszcie powoli zaczęła wracać do siebie.

Kiedy w Bazie wybuchł pożar, była w połowie sześciomiesięcznego

programu odwykowego w Oregonie. Ograniczono tam dostęp do informacji z zewnątrz, żeby nie zakłócały „procesu terapeutycznego” – kiedy to mówi, spoglądam na doktora Hernandeza – a nikt w ośrodku nie wiedział, że mama była związana z Legionem Pana. Właśnie dlatego dowiedziała się o wszystkim dopiero przed dwoma dniami, kiedy ją wypuszczono po odwyku.

Natychmiast złapała za telefon, żeby dowiedzieć się co ze mną i po trzech godzinach była już w samolocie do Teksasu. Wylądowała w Odessie wczoraj wieczorem, a dziś rano – akurat w moje urodziny! – doktor Hernandez przekazał jej wiadomość, której spodziewała się już nigdy nie usłyszeć.

Że jestem wolna. I bezpieczna.

Mama kończy i wpatruje się we mnie. Na myśl o niej, o tym, co przeszła, boli mnie serce i zastanawiam się, czy kiedykolwiek przyjdzie kres szkodom, które wyrządził Ojciec John, czy jego cień już zawsze będzie kłaść się wokół, naznaczając wszystko, czego dotknie, bólem i cierpieniem.

Gdy doktor Hernandez pyta, czy u mnie wszystko w porządku, mówię, że chciałabym wrócić do swojego pokoju. Mama wygląda, jakby zaraz znów miała się rozplakać. Mówi, że nie ma mi za złe, że jej nienawidzę, bo zawiodła mnie na całej linii.

Zaprzeczam ruchem głowy i mówię, że ją kocham.

Wtedy wybucha płaczem i mówi, że ona też mnie kocha, że nigdy nie przestała.

Postaram się jej uwierzyć.

POTEM

MAM OSIEMNAŚCIE LAT już od ponad miesiąca.

Jestem dorosła. Mogłabym pojechać do dowolnego miejsca na świecie, które by mi się spodobało, ale w tej chwili – przynajmniej na razie – chcę być właśnie tutaj.

Siedzę w ogródku małego domu mojej mamy w Portland w stanie Oregon. Mama poszła do miasta na spotkanie ze sponsorem z AA, a w drodze powrotnej ma wstąpić do sklepu po coś na kolację. Zanim wsiądzie do samochodu, potrzebuje zawsze około dziesięciu minut, żeby przekonać samą siebie, że mówię prawdę, kiedy zapewniam ją, że poradzę sobie przez dwie godziny sama w domu.

Na stole przy moim fotelu stoi kubek parującej kawy. Zanim tu przyjechałam, nigdy jej nie piłam. Wciąż nie jestem pewna, czy ją lubię czy nie, ale ludzie żyjący w tym, czyli prawdziwym, świecie piją kawę, a ja nie chcę być odmieńcem. Przynajmniej przez jakiś czas chcę być dokładnie taka sama jak wszyscy.

Upijam łyk i rozglądam się po domu, który mama upiera się nazywać moim domem. Ogród nie kończy się tutaj urwiskiem, bezmiar wód nie rozciąga się za nim po horyzont, domek nie ma komina, a jego ściany nie są błękitne.

Ale jest w porządku.

Na początek to wystarczy.

OD AUTORA

Gdy ogień gaśnie jest fikcją literacką.

Święty Kościół Legionu Pana, Miejski Ośrodek Zdrowia im. George'a W. Busha, miasteczko Layfield i występujące w tych miejscach postacie są wytworami mojej wyobraźni. Mam też nadzieję, że z treści jednoznacznie wynika, że celem książki nie jest atakowanie czyichkolwiek przekonań religijnych. Nie bez powodu system religijny obowiązujący w Legionie Pana jest odległy od chrześcijaństwa praktykowanego przez dwa i pół miliarda ludzi na całym świecie. Ta książka jest opowieścią o władzy i moralnym upadku, o tym, jak charyzmatyczne postaci potrafią manipulować wiarą, by podporządkować ją własnym celom. W końcu jest to również opowieść o przetrwaniu, a konkretniej o dziewczynie, która powraca do życia po tym, jak jej świat legł w gruzach.

Podobnie jak większość znanych mi pisarzy, nie rozglądam się za pomysłami. Te dobre, te, które mogą okazać się warte bliższego zbadania, te, z których w końcu może rozwinąć się dłuższa opowieść, najczęściej pojawiają się znikąd. Czasami (a w moim przypadku – rzadko) są od razu w pełni ukształtowane, mają już gotowy początek, rozwinięcie i zakończenie. A czasami – i to doprowadza mnie do szału – są rozmyte: jest w nich jakiś urywek akcji, jakaś krótka scenka albo pierwszy zarys postaci. A jeszcze innym razem pojawiają się w bezpośredniej reakcji na coś, co przeczytałem, usłyszałem albo zobaczyłem.

Inspiracją dla tej książki było prawdziwe wydarzenie, które sam wyraźnie pamiętam, ale przypuszczam, że wielu czytelników o nim nie słyszało. Wydarzenia bledną z upływem czasu, nawet te, które zaszokowały świat.

19. kwietnia 1993 roku w trwającym prawie dwa miesiące oblężeniu

zakończonym piekielnym pożarem zginęło osiemdziesięciu dwóch członków sekty Gałąź Dawidowa i czterech agentów amerykańskich służb. Świat znał ten dramat jako oblężenie w Waco (od nazwy pobliskiego miasteczka). Byłem wtedy trochę za młody, żeby pojąć, jak mogło dojść do tak wielkiej masakry, i zdecydowanie za młody, żeby zrozumieć, jak to możliwe, że istnieją tacy ludzie jak mesjanistyczny przywódca sekty, David Koresh, w owym czasie ostatni z długiej linii mężczyzn (bo to prawie zawsze są mężczyźni) manipulujących strachem i wiarą innych, by zaspokoić swoją żądzę władzy.

Ale pamiętam szok, w który wprowadziła mnie telewizyjna relacja z ognistego finału oblężenia. Pamiętam, że oglądając płonące budynki, myślałem, jak strasznie muszą się czuć ludzie, którzy tam są, otoczeni przez chaos. Zupełnie nie umiałem sobie tego wyobrazić.

Wiele lat później pojechaliśmy z dziewczyną na wakacje do Waszyngtonu. Odwiedziliśmy tam mauzoleum Abrahama Lincolna, Muzeum Historii Naturalnej, oglądaliśmy pomnik Jerzego Waszyngtona, a w ostatnim dniu wizyty poszliśmy do Newseum. To muzeum amerykańskiego dziennikarstwa, od jego początków do dnia dzisiejszego. Jest fantastyczne. Jeden z działów przedstawia relacje mediów na temat działań FBI. Można się tam dowiedzieć o Bonnie i Clydzie, o batalii stoczonej przez Biuro z włoską mafią w Nowym Jorku i o polowaniu na sprawców ataku z 11. września. Całą ścianę w rogu pomieszczenia poświęcono oblężeniu w Waco.

Długo nie myślałem o tej sprawie. Choć od dawna fascynowały mnie sekty i organizacje takie jak Kościół scjentologiczny, który zaciekle odrzuca etykietkę sekty, to Waco, Gałąź Dawidowa i David Koresh od lat nie przeszli mi przez myśl.

Popatrzyłem na zdjęcia i jeszcze raz obejrzałem relację telewizyjną – pojazdy opancerzone, agenci w czerni z bronią automatyczną, płonące budynki, a wokół bezludna pustynia. Wysłuchałem też nagrań, na których Koresh negocjuje z władzami, i gdy beznamietnym, zupełnie zwykłym głosem opowiadał o końcu świata, przeszły mnie ciarki. Pomyślałem

wtedy o Waco z perspektywy osoby bogatszej o dwadzieścia lat doświadczeń, już jako dorosły, który naoglądał się okropieństw, jakie ludzie zgotowali ludziom, i zadałem sobie oczywiste pytanie: jak do tego doszło? Jak David Koresh przekonał ludzi, by na jego rozkaz poświęcili własne życie? Jak bardzo musiał wykoślawić ich wiarę i przekonania, by ten krwawy koniec stał się nieunikniony? Co sprawiło, że ludzie uwierzyli szarlatanowi, który w oczywisty sposób dbał wyłącznie o siebie samego? Jak wyglądało życie w takim kompleksie, jeśli towarzyszyło mu przekonanie, że zewnętrzny świat stanowi śmiertelne zagrożenie? Jak ciągły strach musiał wpływać na mieszkających tam ludzi? No i wreszcie: jak ci, którzy ocaleli, przyjęli fakt, że całe ich dotychczasowe życie było kłamstwem?

W drodze powrotnej do hotelu kupiłem notes i nakreśliłem ogólny zarys pierwszej postaci. Była to nastolatka, która przetrwała upadek swojego świata, ale nadal nie jest bezpieczna. Dziewczyna, która straciła wiarę, chociaż otaczali ją ludzie o najszczerzej wierze. Dostrzegła prawdę, ale dopiero wtedy, kiedy było już za późno. Miała też tajemnice, których nie zamierzała nikomu wyjawiać.

Wiedziałem już, jak dam jej na imię:

Moonbeam.

Natychmiast pojawił się jednak problem. Z oczywistego powodu nie chciałem zdawać fikcyjnej wersji relacji z oblężenia w Waco. Dla ocalałych członków Gałęzi Dawidowej to był najgorszy koszmar w życiu, więc opowiadając ich historię w formie rozrywkowej, okazałbym im brak szacunku.

Zacząłem więc poważnie badać temat i wraz z lekturą źródeł coraz klarowniej odsłaniał mi się obraz życia Moonbeam. Przeczytałem raport Danfortha opisujący rządowe śledztwo w sprawie działań agencji federalnych prowadzonych w czasie oblężenia w Waco, zapoznałem się z niezwykle ciekawym zapisem negocjacji między władzami a Koreshem autorstwa Malcolma Gladwella (artykuł Sacred and Profane opublikowany w „New Yorkerze”), odkryłem też książki doktora Bruce’a Perry’ego.

W pierwszych dniach oblężenia Koresh wypuścił dwadzieścioro jeden dzieci należących do sekty, by przekonać negocjujące z nim władze, że działa w dobrej wierze. Nie poczytam mu tego za wielką zasługę, ponieważ około dwadzieścioru innym dzieciom – przeważnie poczętym przez niego z różnymi członkiniami grupy – nie pozwolono opuścić kompleksu i większość zginęła wraz z ojcem.

Ale dwadzieścioro jeden dzieci przeżyło. Były złamane i sponiewierane. Wykorzystywano je. A jednak ocalały. Ale jakie miały szanse na to, żeby tak naprawdę wrócić do normalności po tym, co przeżyły?

W 1993 roku Bruce Perry był szefem oddziału psychiatrii Szpitala Dziecięcego w Teksasie. Stworzył on zespół szybkiego reagowania do diagnozowania traumy u dzieci, które przeżyły wypadek samochodowy, strzelaninę albo katastrofę naturalną. Perry zaproponował pomoc w roztoczeniu opieki psychologicznej nad uwolnionymi dziećmi (miały od pięciu miesięcy do dwunastu lat) i natychmiast udał się do Waco.

Na miejscu stwierdził, że serca ocalonych dzieci biją prawie dwukrotnie szybciej niż normalnie – to objaw głębokiego, intensywnego stresu, w jakim żyły wcześniej i którego nadal doświadczają, bo teraz wpadły w ręce „Babilończyków”, czyli ludzi z Zewnątrz, przed którymi ostrzegał je Koresh, i były przekonane, że są raczej zakładnikami niż pacjentami. Chłopcy i dziewczęta nie chcieli przebywać razem w jednym miejscu, bo to byłoby wbrew zasadom obowiązującym w sekcie. Dzieciom nakazywano walczyć między sobą w ramach „treningu” przed nadchodzącą apokalipsą i uczono ich rozlicznych sposobów na popełnienie samobójstwa w razie, gdyby zostały złapane przez „nieprzyjaciół”. Te dzieci żyły w prawie nieustającym przerażeniu.

Zespół doktora Perry’ego pracował z tymi dziećmi, starając się pomóc im odzyskać stabilność po przeżyciach z dzieciństwa, po oblężeniu zakończonym pożarem i po okropnym końcu świata, o którego nadejściu wciąż im mówiono i który pochłonął ich przyjaciół, rodzeństwo i rodziców.

Czułem, że ocalałe dzieci i wszystkie inne ofiary przemocy zasługują z mojej strony na uczciwe i delikatne podejście do tej historii, bez łagodzenia opisu okropności, jakie przydarzyły się Moonbeam, ale też bez pogoni za sensacją. Dodam tylko, że jeśli w opisie procesu terapeutycznego i procedur psychiatrycznych w niniejszej książce występują błędy, to wynikają one raczej z mojego niezrozumienia zawłości tematu niż z braku należytej staranności badawczej.

Gdy mając to wszystko na uwadze, latem 2015 roku zasiadłem do pisania pierwszego szkicu książki, Moonbeam wyrosła już na silną, wrażliwą, złożoną, sarkastyczną i błyskotliwą dziewczynę, która ocalała. Mam nadzieję, że jej portret na stronach, które właśnie przeczytaliście, jest prawdziwy. Okropności, które ją spotkały, opisywałem z prawdziwą przykrością, ale też bardzo chciałem opowiedzieć całą jej historię.

Przyznaję, że prawie do samego końca pracy nad książką nie wiedziałem, że zakończenie będzie (prawie) szczęśliwe, ale cieszę się, że zawłości jej akcji rozwiązały się właśnie w ten sposób. Lubię wyobrazić sobie Moonbeam i jej matkę w ich małym ogrodzie. Są razem, opatrują rany, starają się pozbierać i żyć normalnie.

Mimo wszelkich przeciwności starają się przetrwać.

Will Hill

Londyn, styczeń 2017

Tematy do dyskusji po lekturze książki

- Ojciec John sprawuje władzę nad członkami Legionu Pana, używając zarówno metod psychologicznych, jak i środków fizycznych. Wybierz kilka przykładów tych metod i środków, i powiedz, jak działają i dlaczego twoim zdaniem są skuteczne.
- Powieść jest podzielona na fragmenty przed pożarem (PRZEDTEM) i po pożarze (POTEM). Jaki wpływ na czytanie ma taka niechronologiczna narracja? Czy tę historię można było opowiedzieć w porządku chronologicznym albo w jakiś inny sposób? Jak myślisz, dlaczego autor zdecydował się na takie rozwiązanie?
- Czy można czuć empatię wobec Luke'a albo zrozumieć jego postępowanie? Dlaczego tak albo dlaczego nie?
- Zastanów się, jak przedstawiono postaci doktora Hernandeza i agenta Carlyle'a. Poznajemy ich w czasie pełnienia obowiązków zawodowych, oczami Moonbeam, ale w toku sesji terapeutycznych dowiadujemy się coraz więcej o ich życiu poza ośrodkiem. Co myślisz o tych postaciach? Omów podobieństwa i różnice w ich podejściu do Moonbeam.
- W posłowniu autor stwierdza, że książka nie jest atakiem na chrześcijaństwo, ale ma przedstawiać działanie mechanizmów władzy i związaną z nimi demoralizację. Czy doktrynę prowadzoną przez Ojca Johna można uznać za rodzaj religii? Czy myślisz, że książkowy Prorok sam wierzy w to, co głosi?
- Jakie masz przemyślenia na temat matki Moonbeam? Czy rozumiesz, dlaczego opuściła córkę? Czy mogła postąpić inaczej? Co myślisz o tym, że zachęcała Ojca Johna, by wybrał Moonbeam na swoją

przyszłą żonę?

- Moonbeam spędziła całe życie w Bazie, w „bezpiecznym świecie” wewnątrz ogrodzenia. Ale w Miejskim Ośrodku Zdrowia im. George’a W. Busha pielęgniarki zamykają ją w pokoju, skąd wychodzi tylko na sesje terapeutyczne. Kiedy mówi się o pozbawieniu wolności? Czy Moonbeam jest więziona w ośrodku? Czy była więźniem w Bazie? Czy jest różnica między tymi sytuacjami?
- Czy przed lekturą książki słyszałaś/słyszałeś o oblężeniu w Waco? Jaki masz stosunek do powieści skonstruowanych wokół prawdziwych wydarzeń? Czy, według ciebie, fikcja literacka może być pomocnym narzędziem do omawiania albo osvajania prawdziwych traumatycznych wydarzeń, takich jak oblężenie w Waco?
- Temat sekt łączy zarówno czytelników, jak i pisarzy. Jakie typy mentalności występujące w sektach – przypisywane ich przywódcom i członkom – sprawiają, że ten temat tak nas fascynuje? Czy czytałaś/czytałeś inne książki zajmujące się tym problemem? Jak został tam ujęty?
- Moonbeam stwierdza, że „głos Ojca Johna przez wiele lat był jedynym głosem, który się liczył, wyłącznym źródłem prawdy w świecie pełnym łgarstw”, a granice pomiędzy prawdą a kłamstwem są nieustająco weryfikowane wraz z rozwojem narracji. Czy „prawda” może być subiektywna? Czy szczerza wiara przesądza o prawdziwości obiektu tej wiary? Co myślisz o idei prawdy i kłamstwa zarówno w kontekście treści książki, jak i w szerszym ujęciu?
- Pod koniec powieści agent Carlyle mówi o wiernych Legionu: „Widziałem ich zdjęcia. Zapłacili życiem, bo uwierzyli niewłaściwemu człowiekowi. Gdy na nich patrzę, nie widzę głupoty, zła ani słabości. Myślę, że zostali oszukani, a to, co ich spotkało, mogło się zdarzyć komukolwiek, gdyby znalazł się w podobnych okolicznościach”. Czy uważasz, że to prawda? Czy mogłoby się to

przydarzyć każdej osobie?

- Co sądzisz na temat zakończenia powieści? Czy myślisz, że taki koniec historii odpowiada Moonbeam i jej matce?

O AUTORZE

WILL HILL dorastał w południowo-wschodniej Anglii. Był barmanem i księgarzem, później pracował w wydawnictwie, a wreszcie całkowicie poświęcił się pisaniu. Jego pierwsza powieść *Department 19* otwiera pięciotomowy cykl. Została wydana w 2011 roku i spotkała się z szerokim uznaniem. Will mieszka we wschodnim Londynie.

Twitter: [@WillHillauthor](https://twitter.com/WillHillauthor)

www.willhillauthor.com

PODZIĘKOWANIA

Wyrazy miłości i wdzięczności jak zwykle składam na ręce Sarah, mojej największej i najlojalniejszej fanki, pierwszej i najbardziej krytycznej z czytelniczek. Mojej partnerce we wszystkim, która toleruje mnie, mimo że spędzam tyle czasu z ludźmi istniejącymi wyłącznie w mojej głowie.

Dziękuję mojemu agentowi, Charliemu Campbellowi, za wszystko, co robi, i za to, że nigdy nie traci wiary.

Mojej redaktorce, Rebecce Hill, za to, że zaryzykowała, biorąc tę powieść na warsztat i ogromnie ją ulepszyła.

Becky Walker, Amy Dobson, Steviemu Hopwoodowi, Aleshy Bonser i całemu zespołowi wydawnictwa Usborne. Jesteście niesamowici, a wasza kreatywność i pasja nigdy nie przestają mnie zadziwiać.

Moim trzem rodzinom. Pierwszej, która mnie wychowała (Mamie, Peterowi, Sue, Kenowi, Mavis, Rogerowi i Claire), tej, do której mnie przyjęto (Kayowi, Tony'emu, Kevinowi, Jo, Tomowi, Pice, Ruby, Loli, Billowi i Angeli) i tej, którą sam sobie wybrałem (Jamesowi, Joemu, Mickowi, Jaredowi, Patrickowi, Kim, Tomowi i Lou).

I wszystkim, którzy tę powieść przeczytali. Dziękuję.

PRZYPISY

[1] ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives) – Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych; amerykańska agencja federalna zgodnie z nazwą zajmująca się przestrzeganiem praw dotyczących alkoholu, tytoniu i broni palnej, przestępstwami oraz ich zapobieganiem (przyp. red.).

[2] IRS (Internal Revenue Service) – amerykański urząd podatkowy (przyp. red.).